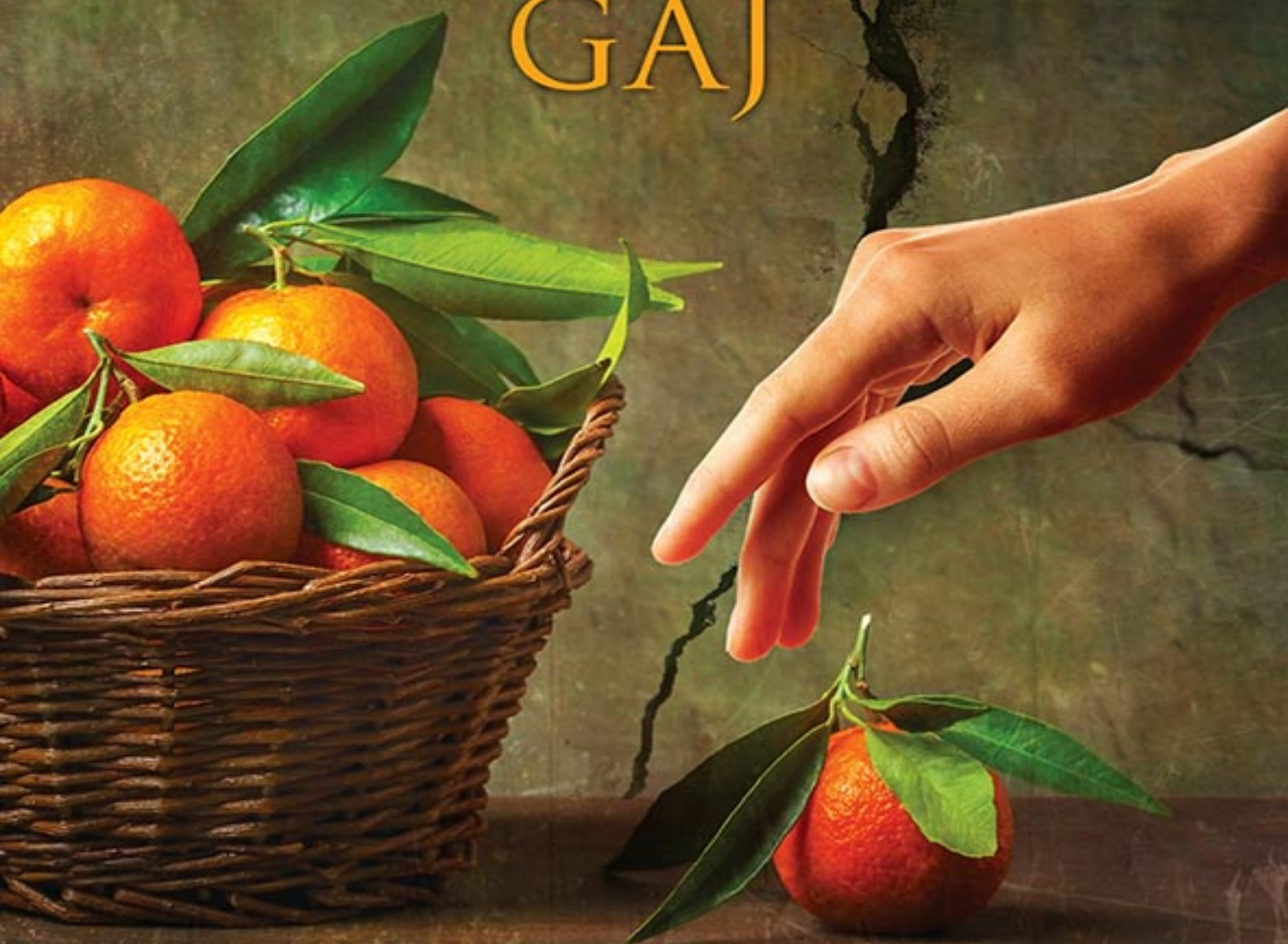


*Intrygująca opowieść o marzeniach, przyjaźni
i tajemnicy sprzed lat*

CYTRUSOWY GAJ



KATARZYNA KIELECKA

Plik jest zabezpieczony znakiem wodnym

CYTRUSOWY GAJ

KATARZYNA KIELECKA

SZARA GODZINA

Wszystkie prawa zastrzeżone. Żadna część niniejszej książki nie może być reprodukowana w jakiegokolwiek formie i w jakikolwiek sposób bez pisemnej zgody wydawcy.

Projekt okładki i stron tytułowych
Ilona Gostyńska-Rymkiewicz

Zdjęcia na okładce
© Marta Teron | stock.adobe.com
© Denis Rozhnovsky | stock.adobe.com

Redakcja
Calibra | Sylwia Mosińska

Redakcja techniczna, skład, łamanie oraz przygotowanie wersji elektronicznej
Grzegorz Bociak

Korekta
Barbara Kaszubowska

Niniejsza powieść to fikcja literacka. Wszelkie podobieństwo do osób i zdarzeń rzeczywistych jest w tej książce niezamierzone i przypadkowe.

Wydanie I, Katowice 2020

Wydawnictwo Szara Godzina s.c.
biuro@szaragodzina.pl
www.szaragodzina.pl

Dystrybucja wersji drukowanej: LIBER S.A.
ul. Kabaretowa 21, 01-942 Warszawa
tel. 22-663-98-13, fax 22-663-98-12
dystrybucja@dictum.pl

© Copyright by Wydawnictwo Szara Godzina s.c., 2020

ISBN 978-83-66573-26-0

Dla Magdy I.

*Dziękuję Ci za to, że zasiałaś w mojej rodzinie taniec, który po latach zakwitł
muzyką i śpiewem.*

*Gdzieś, między dobrym złem a dobrem złym,
nie biały, nie czarny.*

Człek, zawieszony jak podręczny rym.

Rym mały, rym marny.

Andrzej Poniedziałki, Żyłam tylko snem

Prolog

– Wiesz, coraz częściej dochodzę do wniosku, że chyba pora zrobić krok dalej. Człowiek nie może latami kręcić się w kółko po holu, skoro sala balowa stoi otworem. To idiotyzm i marnowanie życia. Sama pomyśl.

Ada Walicka zamarła z łyżką w połowie drogi do ust i utkwiała w swoim rozmówcy zbaraniały wzrok.

Próbowała poruszać ten temat wiele razy i zawsze kulawo szło. W zasadzie już jakiś czas temu dała sobie z tym spokój, bo przecież nic na siłę. Było niezłe. Mieli czas i wcale nie musieli się spieszyć. Znali się od zawsze, od dwudziestu ośmiu lat, od kiedy w upalną czerwcową noc świętojańską ich matki, połączone wspólnym bólem, niemal jednocześnie wydały ich na świat. Otumanienie oksytocyną i endorfinowy haj uderzyły kobietom do głów i obie z marszu uwierzyły w moc pogańskiego Kupały. Na wszelki wypadek dołożyły do tego pobożne: „O Jezusie święty, chroń dzieci nasze i trzymaj je razem w radości i smutku”, odmawiane na głos każdego wieczora, żeby sobie i obojgu zainteresowanym temat wpoić od małego jako oczywisty i przesądzony. W niewielkiej wsi specjalnej konkurencji nie było i żadne z młodych się nie buntowało. Potem, na studiach w Łodzi, wszystko szło już siłą rozpędu. Wyglądało na to, że ku dobremu.

– Jesteś innego zdania? – spytał Jacek Zawadowicz, widząc reakcję dziewczyny. – Uważaj, co ty wyprawiasz z tą łyżką? Zachłapiasz sobie bluzkę.

Ada szybko pokonała chwilowe odrętwienie i zanurzyła sztuciec w zawartości talerza. Też mi coś! Zachłapie, to zachłapie. To tylko łach, a tu się waży cała ich przyszłość i barszcz ukraiński z ziemniakami nie stanie jej na drodze.

– Skąd! Zgadzam się z tobą całkowicie.

– Czyli nie masz nic przeciwko?

– N...nie, to chyba dobry moment.

– Długofalowo oznacza to, jak się domyślasz, same zmiany na lepsze, jednak, co oczywiste, w najbliższej perspektywie możesz spodziewać się pewnych utrudnień, niewygód czy hm... jak by to powiedzieć... Chciałbym cię prosić o sporą wyrozumiałość. To będzie wymagać ode mnie dużego wysiłku, nakładu kosztów...

– Jacek, ale ja nie oczekuję od ciebie nie wiadomo czego. Wolę skromnie. Nie musisz wypruwać sobie żył i aż tak się starać. Poza tym wszystko

możemy przygotować razem. To przecież nasza wspólna sprawa, nie? – trajkotała podekscytowana, bo chociaż rozmawiał z nią bez jakichkolwiek emocji i dość oficjalnie, nie ulegało dla niej wątpliwości, że sprawę gruntownie przemyślał i chce z nią spędzić resztę życia.

Po co inaczej zaczynałby gadanie o ślubie?

Przecież do tego się to wszystko sprowadzało. Do ślubu, do zamiany małej wynajętej klitki na porządne lokum pachnące farbą deweloperską, z imponującą ratą kredytu hipotecznego, i ostatecznie do przekształcenia dwuosobowej komórki społecznej w trzyosobową, a może nawet czteroosobową, jeśli fantazja ich za daleko poniesie i popłyną na fali wezbranej miłości, podsycanej wizją pięćset plus.

Sielanka.

– Mylisz się – wyprowadził ją z błędu przyszły mąż, wstając od stołu i wkładając swój talerz do zmywarki. – To przede wszystkim moja sprawa. O ile pamiętam, już dawno postanowiliśmy w tych kwestiach nie wchodzić sobie w drogę. Jednak ciebie to też dotyczy, bo znacznie rzadziej będę w domu – dokończył, opierając się tyłem o blat, i wyszperał z kieszeni spodni papierosy. Wsunął jednego, zapalił spokojnie i zaciągnął się głęboko, wnikliwie badając wzrokiem sufit.

– O czym ty, u diabła, mówisz? – wydusiła z siebie, stając naprzeciwko niego.

Zainteresowanie zupą straciła zupełnie. Wyjęła z jego paczki czerwonego winstona. Nie chciało jej się szukać własnych mentolowych L&M-ów. Zostały gdzieś w torebce, w przedpokoju. Skrzywiła się, czując w ustach obrzydliwy smak, jednak moc nikotyny pozwoliła jej zachować panowanie nad sobą.

– O pracy. Nie będę przecież całe życie zasuwał za gówniane pieniądze na uczelni i wykładał totalnie niezainteresowanym kretynom czegoś, czego i tak nie są w stanie pojąć swoimi amebimi mózgami.

– Myślałam, że to lubisz – powiedziała, usiłując zdławić rozczarowanie.

– Poniekąd. Praca naukowa ma swój sens, jeśli do czegoś prowadzi. Badania i projekty są okej. Użeranie się ze zgrają studentów to strata czasu.

– Czyli chcesz odejść z polibudy? – podsumowała, sztachnęła się ostatni raz i pstryknęła niedopałkiem do zlewu.

Jacek natychmiast go wyjął, starannie zgasił o kuchenny ociekacz i wyrzucił do kosza. Resztki popiołu wytarł ściereczką.

– Tego nie powiedziałem. Od doktoratu dzielą mnie ostatnie miesiące i byłbym idiotą, gdybym się na to wypiął. Taki papier zawsze może się przydać. Dostałem jednak propozycję. Pewna firma farmaceutyczna, nawet blisko nas, na Chocianowicach, uzupełnia kadre – wyznał lekkim tonem. – Dołączę do nich za jakiś miesiąc. Koniec listopada, początek grudnia.

– Chcesz pracować nad nowymi lekami? Przecież nie masz wykształcenia medycznego.

– Potrzebują w zespole chemika, a lepszego w Łodzi nie znajdują.

– Co to za firma?

– Nazwa ci nic nie powie.

– Mimo wszystko...

– Lami Solutions.

– Nie znam.

– Mówiłem – mruknął, wzruszając ramionami, po czym wyminął ją i sięgnął z lodówki dwie puszki żywca.

Zerknął pytająco, więc w roztargnieniu pokiwała głową. Machnął ręką, wskazując kierunek na pokój, i dalszą część dyskusji toczyli już w klimacie salonowym, z niewielką, acz ułatwiającą konwersację ilością chmielu we krwi.

Ada pozwoliła sobie wmówić, że to świetna okazja, żeby się wybić i wypracować niezłe stanowisko. Zapachniały jej w oddali pieniądze oraz wizja wygodnego życia w dostatku i luksusie. Ponadto spełniony zawodowo partner to szczęśliwy partner, a to przecież powinno przekładać się również na szczęście w miłości i – ostatecznie – na te wszystkie inne duperele, które zdążyły przelecieć jej przez głowę: rodzinna idylla, zapach ciasta, choinki i tego typu bajery.

– Sama widzisz, że są same plusy – podsumował Jacek, kiedy skończył pić piwo. – Najgorszy będzie pierwszy rok. Zrobię doktorat, jednocześnie ustawię się w firmie. Wtedy rzucisz tę swoją koszmarną robotę i skupisz się na tym, czego naprawdę chcesz.

– Lubię moją robotę – zaoponowała gwałtownie, podrywając się z kanapy.

Pociągnął ją z powrotem, przytrzymując za rękę, aż klapnęła na poduszki.

– Może i lubisz, co nie zmienia faktu, że chciałabyś już wic gniazdo, rodzić dzieci i chodzić z wózkim na plac zabaw. Ja ci to zapewnię. Tylko mi zaufaj i uzbrój się w cierpliwość, okej? – mruknął, łapiąc ją za brodę i zaglądając głęboko w oczy.

– Okej – zgodziła się, bo faktycznie całość brzmiała jak dobry plan.

– Wiedziałem, że jesteś rozsądna – pochwalił ją, kładąc się na niej i wodząc czubkiem nosa od płatka ucha wzdłuż linii szyi. – Do tego kusząco seksowna. Twoje włosy pachną etanianem oktylu.

– Czym?

– Pomarańczami. Cudownie. Nowy szampon? W zasadzie z ważkich decyzji na dziś została jedna i tę akurat zostawiam tobie – gładził, gładząc dłonią jej dekolt.

– Hm? – mruknęła.

– Rozebrać cię od razu tutaj czy najpierw zanieść do sypialni?

Trzeba przyznać, że nie było źle. Czowała się szczęśliwa. Trafiło jej się udane życie i miało się zmieniać tylko na lepsze...

Rozdział 1

1.

Ada naprawdę lubiła swoją pracę.

Nawet bardzo.

Nie dawała kokosów, nie wróżyła kariery i nieraz oznaczała nieprzespane noce pełne łez, a jednak Walicka uparcie wierzyła, że ta robota ma sens i warta jest każdego wysiłku.

Mama byłaby z niej dumna.

Dawno, dawno temu, kiedy Ada była małą dziewczynką, każdego wieczoru mama sadzała ją na krześle w pokoju i rozczesywała jej włosy. Obie lubiły ten rytuał. Dziewczynka patrzyła na wspólne obicie w lustrze i prowadziła z mamą nadzwyczaj poważne rozmowy.

– Co trzeba zrobić, żeby zostać księżniczką? – pytała.

– Musisz żyć tak, byś zawsze przed snem mogła spojrzeć w swoją twarz w lustrze i powiedzieć: lubię cię, Ada, jesteś w porządku.

– I to wystarczy? Wtedy będę już księżniczką? – upewniała się mała, obgryzając białe skórki wokół paznokci.

Mama cierpliwie odciągała jej dłonie od buzi.

– Nie. Ale powinno wystarczyć, żebyś czuła się szczęśliwa.

– A co, jeśli się czasem nie uda?

– Wtedy próbuj to po prostu jak najszybciej naprawić.

Ada obgryzała skórki dalej, mama kończyła czesanie, udając, że tego nie widzi, a potem młodsza kładła się do łóżka i zasypiała przy dźwiękach starego singera, na którym starsza szyła różności na zamówienie, żeby dorobić do lichej pensji, której starczało ledwo na rachunki i chleb.

Pracowała u Andrzejaka, lokalnego Onasisa. Podczas kilku owianych tajemnicą wyjazdów do Niemiec dorobił się majątku i otworzył we wsi szwalnię. Stanowił niemal jedyne dostępne na miejscu źródło zatrudnienia. Doił na umowach śmieciowych prawie wszystkie kobiety z okolicznych wsi, położonych dokładnie pośrodku, między Tatrami a Pieninami. Dość blisko, by zachłysnąć się czasem o poranku pięknym krajobrazem, i dość daleko, by turyści pojawiali się tam rzadko i tylko przejazdem.

Jacek mawiał, że to zapomniany przez Boga czyściec między dwoma niebami, jednak Adzie zawsze się zdawało, że odrobinę przesadza z pogardą dla rodzinnej wioski.

Gabriela Walicka wychowywała córkę sama. To nie to, że Ada ojca nie znała, odszedł, wyparł się jej czy przepadł bez wieści. Stefan Walicki zaliczał odsiadkę. Garował, siedział pod celą tudzież gnił w mamrze.

To się stało, kiedy Ada miała osiem lat.

W pamięci zachowała tylko tyle, że latem chodzili na łąkę. Uczył ją robić fikołki w trawie, plótl dla niej wianki z koniczyzny, a potem opowiadał jej historyjkę o tym, jak to słońko tego dnia wstało wcześniej i od rana szykowało dywan kwiatków specjalnie dla Ady. Wierzyła w to przez wiele lat.

Potem go zabrali. Mama powiedziała, że już nie wróci. Dziewczynka bardzo długo nie mogła w to uwierzyć. W szkole dzieci nigdy nie dały jej zapomnieć, że jest córką lokalnego zbrodniarza. Jacek zawsze stawał po jej stronie. Tylko on. Może dlatego tak łatwo było jej go pokochać?

Gabriela Walicka zamknęła się w sobie i pokornie znosiła swoisty wiejski ostracyzm. Traktowano ją z mieszaniną pogardy i współczucia, niczym trędowatą. Przyjaźniła się jedynie z matką Jacka, chociaż także w ich relacji było sporo sztywnego dystansu. Gabriela skupiała się na pracy i wychowywaniu dziecka. Nie rozmawiała z córką o jej ojcu. Nigdy. Jakby po prostu nie istniał. Zresztą czemu Ada miałyby o nim pamiętać? Dostał dwadzieścia pięć lat... Póki dziewczynka była mała, kobieta starała się o tej sprawie nie myśleć. Potem już nie musiała się starać...

Ale wracając do tematu – mama byłaby dumna, gdyby wiedziała, czym jedynaczka się zajmuje. A może wiedziała? Córka bardzo chciała w to wierzyć. Jacek uważał, że praca Ady to zwykła walka z wiatrakami, ma tylko wartość doraźną, bo w ostatecznym rozrachunku i tak się nikomu nie przyda. Tak czy siak, ktoś będzie musiał wszystko po niej powtórzyć. Smutne. Jednak lubiła to robić, bez dwóch zdań.

We wczesny styczniowy poranek Walicka stanęła przed lustrem i związała włosy w luźny kok. Rozpuszczone przeszkadzały, dlatego rzadko pozwalała im na swobodę w czasie pracy. Co innego po. Sięgały sporo za łopatki, niby jasne, jednak tworzyły się w nich naturalne, nieco ciemniejsze pasemka. Mama miała kiedyś takie same...

Poprawiła džinsy i luźny biały sweter, założyła czarną narciarską kurtkę i kozaki. Posmarowała usta wazeliną z tubki w kształcie sowy. Pachniała etanianem oktylu, fantastycznie. Ada miała od dziecka chorobliwą słabość do wszelkich cytrusów, z pomarańczami na czele. Naciągnęła na uszy czapkę z pomponem, omotała się pasiastym szalikiem stanowiącym komplet z czapką i była gotowa do wyjścia.

– Cześć, Jacek! – zawołała w stronę łazienki.

Zahurgotał zamek i drzwi się uchyliły. Pojawiła się w nich twarz ze szczoteczką między zębami.

– Poczekaj trzy minuty, to cię podrzucę. Tyłek ci urwie z zimna na przystanku.

Uśmiechnęła się i przysiadła z ulgą na komodzie. Poluzowała szalik i ściągnęła z głowy czapkę. Prawie codziennie tak to wyglądało. Jakby nie można było po prostu ustalić, że odwozi ją co rano do pracy, i nie robić tego przedstawienia. Cóż, widocznie taka wersja pozwalała mu w pełni czuć, jaki jest szlachetny i pomocny. Trzymał się jej uparcie, od kiedy kupił samochód. Adzie nie robiło to różnicy. Ważne, że nie marzła.

Sapnęła z zadowoleniem, wnioskując z tarczy zegarka, że zaoszczędzi jakiś kwadrans. Zdaży napić się kawy i wypytać o najnowsze wieści z Majkowego brzucha. Z toczącej się w nim rewolucji otrzymywała relację niemal codziennie, a i tak zawsze pojawiały się nowinki, o których koniecznie powinna wiedzieć. A to bóle odcinka lędźwiowego kręgosłupa, a to skurcze przepowiadające, a to zgaga i coraz większe trudności ze znalezieniem wygodnej pozycji do wieczornych karesów z Tomaszem. Same utrapienia. W zasadzie Majka powinna już odpoczywać, siedzieć w domu i co najwyżej prasować śpioszki, bo nie było z niej większego pożytku, jednak czuła potrzebę ustawicznego terkotania i chyba tylko po to ciągle jeszcze zjawiała się w pracy. Potrzebowała cierpliwych słuchaczy.

Ada ją lubiła. Ba! Wszyscy ją lubili i dlatego przymykali oko na tę jej niewielką przydatność bojową. Przejściowy ucisk macicy na mózg. Podobno po porodzie mija, chociaż nie wszystkim od razu. Należało zwyczajnie poczekać.

Zostało około sześciu tygodni do finiszu. Może uda się nie zwariować.

Przez pierwszy miesiąc po wykonaniu testu ciężowego przejęta do granic możliwości Majka Lipska wybierała wózek, przez drugi – łóżeczko, a w kolejnych – pozostałe sprzęty do obsługi potomka. Kiedy podczas połówkowego USG lekarz wypatrzył kranik z oprzyrządowaniem, zgłupiała ze szczęścia, że ma syna, i zajęła się wyborem imienia. Tomasz, człowiek cierpliwy, spokojny, a w dodatku ślepo w nią zapatrzony, przyjmował te szaleństwa z pełną aprobatą. Uiszczal opłaty za niezbędne elementy wyposażenia niemowlęcia i z pobłażliwym uśmiechem akceptował coraz to nowe pomysły na to, jak nazwać pierworodnego. Zarejestrować dziecko w urzędzie pójdzie i tak on. Na żadne durne imiona nie będzie wtedy miejsca. Niby taki zwykły Tomasz, motorniczy łódzkich linii

tramwajowych, a naprawdę mądry facet. Żaden doktorant chemii organicznej. Szczęściara ta Majka. Może on też szczęściarz?

Po kilku minutach czekania Ada wybiegła przed blok, wciągając w płuca głęboki haust zimnego powietrza. Z przyjemnością, bo wiedziała, że nie zdąży przemarznąć aż do kości. Jak zwykle pomachała stojącemu za firanką sąsiadowi z parteru. Pokonując ten krótki odcinek dzielący ją od parkingu, wygrzebała z torebki L&M-y, zapaliła, złapała w locie rzucone przez Jacka winstony, podpałała papierosa dla niego i wsadziła mu go do ust, podczas gdy on wyjął z samochodu skrobaczkę i energicznie doprowadzał oblodzoną octavię do użytku.

Niepotrzebne były słowa, działali jak doskonale zgrane stare małżeństwo. Tego roku, już pod koniec grudnia, Łódź zmieniła się w coś na kształt przedsiionka Syberii. Prawie Irkuck. Na szczęście „prawie” robi różnicę.

Zima skuła lodem na amen całe miasto, a nawet kraj, i zlepiała tych dwoje do kupy tak, żeby stali się całkiem nierozłączni. W sielskiej świątecznej atmosferze, przy choince i kluskach z makiem Zawadowicz, podpuszczony ostro przez matkę, sięgnął do rodzinnych klejnotów i wepchnął dziewczynie na palec złoty pierścionek z rubinem. Podobno po prababce Austriaczce, co to ją pradziadek spod Wiednia przywiózł jeszcze za galicyjskich czasów. Ada wzruszyła się ogromnie, matka też, chociaż narzeczony nie padł na kolana i w zasadzie o nic nie pytał, tylko uroczyście poinformował, że odtąd będą zaręczeni.

Świeżo upieczona narzeczona zgodziła się bez szemrania.

Od tego czasu pierścionek świecił na jej palcu. Zahaczał, darł po kolei wszystkie rękawiczki i rozmazywał błogość po sercu niczym nutellę po chlebie tostowym. A podobno nutella niezdrowa i lepszy dżem. Takie tam głupie gadanie.

– Daj znać, kiedy skończysz – powiedział ów narzeczony po przedarciu się przez miasto, w którym jak zwykle zima zaskoczyła drogowców. – Może będę mógł cię odebrać.

– Dam – obiecała i wysiadła z auta.

Uniosła kciuk na pożegnanie i szybkim krokiem ruszyła do budynku.

Kochany ten Jacek. Przystojny, cholernie zdolny, zna się na etanianach oktylu i innych takich, a w dodatku odwozi ją do pracy, chociaż wcale nie ma po drodze. I chce się z nią ożenić. Dobiją do Lipskich z pieluchami jeszcze przed trzydziestką. Na pewno.

Z dużego neutralnego i pozbawionego charakteru holu wąskie przeszkłone drzwi prowadziły do świata, który porywał Adę bez reszty na kilka godzin dziennie. Bywało, że chociaż wracała do domu, jej myśli tu zostawały, krążąc po pustych korytarzach lub przysiadając cichutko na krześle w kąciaku którejś z sal. Chyba musiało tak być. Nic nie dało się na to poradzić.

Skierowała kroki do niedużego pomieszczenia, które mogła szumnie nazywać klasą szkolną. Swoją i Majki. Dzieliły ją na pół, chociaż formalnie w tym tandemie to Ada grała pierwsze skrzypce. Nie miało to jednak znaczenia. Doskonale się uzupełniały i pracowało im się razem wyśmienicie.

Zaczęło się na studiach.

Poznały się na samym początku. Ada biegła z rozwianym włosom, przekonana, że za moment spóźni się na inaugurację roku akademickiego i zaliczy gigantyczny obciach. Nagle wyprzedził ją wyfryzowany na sztywno żelem i woniejący duszącym zapachem tanich perfum gbur. Przez nieuwagę przywalił prawym ramieniem w plecy dziewczyny. Nawet się nie obejrzał. Wyminął ją tylko i wrzucił wyższy bieg. Nogi miał długie, nie było to zatem trudne.

Ta akcja dodała jej nieco za dużo pędu. Pochylona do przodu przebiegła parę kroków, po czym zaryła kolanami w chodnik. Niemal gołymi, bo w cieniutkich cielistych rajstopach. Szkoda gadać. Poległy na łódzkim bruku równie łatwo jak młody dziewczęcy naskórek.

Nadszedł przełom września i października. Babie lato nie odpuszczało i panowała piękna jasna aura. Słońce szczyrzyło się z nieba. W tym momencie siedząca na chodniku postać miała wrażenie, że złośliwie i szyderczo.

Krew i łzy popłynęły równym strumieniem. Kupa nieszczęścia w pełnej krasie.

Tak ją znalazła Majka.

– Popierdoleniec – warknęła, podchodząc. – Tylko jaja urwać. Żyjesz?

Ubrana była w elegancki galowy strój przykładowej studentki rozpoczynającej naukową karierę. Czarna spódnica, czarne rajstopy, biała bluzeczka. Na głowie gęste ciemne włosy ledwo zakrywające uszy, bardzo krótka grzywka i wielkie pstrokate kolczyki. Do tego ogromne piersi. Fantastyczne. Najpierw szły one, a potem dopiero ich szczęśliwa posiadaczka. A pod biustem talia osy. Dziewczyna zrobiła wrażenie nawet na Adzie, chociaż ta zawsze uważała, że jest aż do bólu hetero. Seksbomba

wyciągnęła z torebki wilgotne chusteczki i zaczęła usuwać z ofiary losu ślady jatki.

– Lecisz na *Gaudeamus*? Jaki kierunek? – zagadnęła, nie przerywając taplania się we krwi.

– Pedagogika.

– Serio? – ucieszyła się. – Ja też. Pójdziemy razem.

– Raczej się nie pokażę z takimi kolanami – zaproponowała Walicka niepewnym głosem.

Majka zdążyła już wygrzebać z torebki plastry i zaklejała jej kolana. Kiedy skończyła, podała dziewczynie rękę i podniosła ją z chodnika. Pociągnęła na ławkę, przysiadła obok i szybko zdjęła swoje czarne rajstopy.

– Wciągaj – poleciła.

– Co?

– No, wciągaj. Rajstopy zakryją opatrunki. Ja wystąpię z gołymi nogami. Trudno. Akurat mam ogolone. W nagrodę zabierasz mnie po tej całej szopce na kawę, a potem podpowiadasz mi na egzaminach podczas pierwszej sesji.

Poszły na tę i na milion innych kaw. Ada podpowiadała jej przez sześć kolejnych sesji aż do licencjatu, po którym Majka uznała, że ma dość i tyle jej wystarczy w zakresie kariery naukowej. Obie rwały się do praktyki, jednak Walicka nie przerwała nauki. Po magisterce z pedagogiki wczesnodziecięcej skończyła studia podyplomowe z pedagogiki dzieci przewlekle chorych. Od czterech lat przyjaciółki pracowały razem, stanowiąc dla siebie pomoc i wsparcie nie tylko merytoryczne, lecz także duchowe i wszelkie inne.

Ten piątek zaczął się jak każdy inny. Zanim Ada dotarła do klasy, minęła długi korytarz. Było tuż po ósmej i panowało zwykłe codzienne poruszenie. Dwa czy trzy razy kiwnęła głową i mruknęła coś konwencjonalnie pod nosem w formie powitania. Kilkakrotnie pomachała ręką i rozciągnęła usta w uśmiechu w ramach entuzjastycznego odzewu do kogoś, kogo dostrzegła w oddali. Wreszcie uchyliła właściwe drzwi i westchnęła głęboko, rozpinając kurtkę.

– Cześć! Rozbieraj się i siadaj. Zrobię ci kawę. Muszę ci się do czegoś przyznać – zaatakowała ją od progu Majka, napierając na nią swoim wielkim brzuchem.

Wyrwała Adzie torebkę, by rzucić ją w kąt na krzesło, po czym wróciła do przyjaciółki i zaczęła zdzierać z niej czapkę.

– Znowu zmieniałaś imię mojego chrześniaka? Nie będzie Afanazego? No wiesz? – zakpiła Walicka, głaszcząc ją po potężnej piłce z przodu i jednocześnie wyplątując się z szalika.

– Nie w tym rzecz. Chociaż ten Afanazy trochę mi nie pasi... Ostatnio mam fazę na imiona staropolskie. Mieszko albo Dobromir. Co ty na to? – pytlowała Lipska, nastawiając wodę w czajniku.

– Bezprym. Proponuję Bezpryma. Siadaj z tym bębniem przy biurku, zanim wszystko porzucasz, ja przygotuję coś do picia. Wolisz herbatę zieloną czy owocową?

– Wolę martini. Wstrząśnięte, nie mieszane.

– Mhm. Nie ma sprawy. To robię ci inkę. Mów, jakie masz dla mnie rewelacje.

Majka opadła na obrotowe krzesło za biurkiem. Oparła się, odginając nieco plecy i wsuwając dłonie pod dolną część kręgosłupa. Mościła się jak kura na grzędzie, wreszcie sapnęła z zadowoleniem i oświadczyła:

– Po weekendzie idę się byczyć. Dziś męczysz się ze mną ostatni raz.

– Zwolnienie?

– Ano. Tomasz z ginekologiem wleźli mi na łeb. Ty, nie wymawiając, głądziłaś to samo. Skała by się ugięła. Granitowa, o wapiennej nie wspomnę.

– Cholera – mruknęła Ada, rozsypując cukier na niewielkim stoliku w kącie, który służył jako aneks kuchenny, jadalnia i w razie potrzeby miejsce audiencyjne. – Myślałam, że jesteś twardsza od skały.

– Spojenie łonowe mi popuszcza, to mięknię. Szyjka macicy szykuje się...

– Błagam, nie kończ – przerwała jej Walicka, stawiając oba kubki na biurku i upijając niewielki łyk kawy z mlekiem. – Nie wiesz, czy dostanę wsparcie?

– Echeś. W poniedziałek rano Maruda osobiście przyprowadzi ci to cudo.

– Na etat?

– Na umowę na zastępstwo.

– Z dnia na dzień znalazła jakąś dziewczynę za te grosze, które płaci? Rany, byle nie studentkę albo mądralę po menopauzie, która całe życie pracowała w szkolnej świetlicy i zdążyło jej się znudzić.

– Podobno to siła fachowa. Z doświadczeniem.

– Pytanie: w czym?

– Co ty tak kręcisz nosem?

– A bo ciebie, ty koszmarna gaduło, nikt nie zastąpi – wypaliła Ada i obie zaczęły się śmiać.

Coś w tym było. Od dawna wiedziała, że musi nadejść moment, kiedy Majka da za wygraną i zniknie na dłużej z pracy, jednak nie potrafiła się na to przygotować. Głupie i dziecinne, jeśli weźmie się pod uwagę fakt, że przecież formalnie Lipska pełniła tylko rolę nauczyciela wspomagającego, a większość decyzji i pracy koncepcyjnej należała do Ady. Poradzi sobie niezależnie od tego, kogo dostanie na pomocnika.

– Spróbuj może nie skreślać dziewczyny, jeszcze zanim ją zobaczysz, co? Maruda byle kogo nie przyjmuje. Popatrz na nas.

– Fakt. Z nami trafiła idealnie.

Danutę Marudowicz, zwaną przez wszystkich uporczywie Marudą, nie łączyło z tym ponurym rzeczownikiem absolutnie nic poza faktem, że fonetycznie stanowił źródłosłów jej nazwiska. Przez ten drobiazg miała przefikane i już dawno, jeszcze w szkole podstawowej, zdążyła się z tym pogodzić. Ksywa ciągnęła się za nią jak smród za wojskiem przez liceum, studia, dziesięć lat pracy w korporacji oraz dwa nieudane małżeństwa. Tymczasem usposobienie miała nader pogodne, upór godny stada osłów i żadne malkontenctwo się jej nie imać. Pseudo przyszło za nią również do miejsca, które od początku do końca stanowiło jej dzieło, sukces i owoc ciężkiej harówki. Było jej dzieckiem tak samo, jak dzieckiem Majki był Afanazy, Bezprym czy jak mu tam... Maruda wzbijała się na szczyty bezczelności, przedsiębiorczości i geniuszu. Zdobyła dotacje, fundusze jednorazowe i stałe źródła finansowania, wszelkie możliwe zgody, uprawnienia, upoważnienia, zobowiązania współpracy i założyła fundację Szkiełko i Onko.

Przewrotna nazwa miała nasuwać skojarzenia nie tyle związane z Mickiewiczem, co z nauką, doświadczaniem i racjonalnym myśleniem, a jednocześnie podkreślać istotę problemu zawartą w słowie „onko”. Podstawowe i nadrzędne zadanie fundacji to opieka nad dziećmi z chorobami onkologicznymi, jednak nie w sensie medycznym, bo tę niósł szpital przy ewentualnej współpracy z innymi organizacjami charytatywnymi. Myślą Danuty Marudowicz było zapewnienie dzieciom najlepszych możliwych warunków rozwoju i utrzymanie ich w dobrej formie intelektualnej w czasie walki z chorobą, aby zminimalizować straty, jakie poniosą w zakresie edukacji w stosunku do rówieśników. Wysilek fundacji skupiał się zatem na tym, by nauczyć jak najwięcej, korzystając z chęci, zainteresowania, chwil dobrego samopoczucia i zapału dzieci. W efekcie powstał twór na bazie placówek edukacyjnych, choć nie stanowił szkoły

w pełnym znaczeniu tego słowa. To raczej coś między korepetycjami, zajęciami wyrównawczymi a szkolnymi kółkami zainteresowań.

W całej fundacyjnej machinie Ada i Majka były zaledwie ułamkiem – i to o tyle nietypowym, że jako jedne z niewielu zatrudniono je na pełnoetatową umowę o pracę. Maruda opierała działalność w dużym stopniu na nauczycielach prowadzących zajęcia ze starszymi uczniami przez kilka godzin w tygodniu i na wolontariuszach – ludziach, którzy z własnej woli przychodzili spędzać z dziećmi trochę czasu, żeby ubarwić im szarość dnia pełnego bólu i choroby.

Praca Danuty różniła się od zarządzania zwykłą szkołą diametralnie. Założycielka fundacji szanowała założenia podstawy programowej i próbowała się ich trzymać, jednak nie było to łatwe przy wciąż zmieniającej się grupie uczniów i ich zróżnicowanym wieku. W zamknięty krąg, jaki tworzył świat medycyny z rodziną chorego dziecka, Maruda musiała wciskać swoje trzy grosze i często, niemal siłą, dopraszać się o uwagę, wywieszając swoje nazwisko jak sztandar i nie dając za wygraną. Przy onkologach nauczyciele z fundacji pełnili rolę drugorzędną, co wcale nie dziwiło. Należało zachować czujność, by z tej drugorzędnej roli nie wypaść całkowicie poza boisko. Wyglądało to jak wieczna akrobatyka obarczona ryzykiem oberwania po łbie za niewinność. Poziom niemal kaskaderski. Maruda była w tym mistrzem, a Majka – jej doskonałym naśladowcą, nawet z brzuchem. Jej przyjaciółce nie szło tak dobrze. Ot, życie. Nie można we wszystkim zgarniać laurów.

– Idziemy po dzieci? – spytała Lipska, podrywając się dziarsko z krzesła i natychmiast podtrzymując z jękiem brzuch. – Jest prawie wpół do.

– Możesz tak nie szarżować? – spytała Ada, odstawiając oba kubki na bok i uznając niefrasobliwie, że umyje je potem. – Idziemy. Lokomotywa toczy się pierwsza.

2.

Wygospodarowanie pomieszczeń do nauki na terenie oddziału onkologicznego to trudna sprawa i wymaga niezłego uporu. Dzięki temu, że sam oddział został świeżo wyremontowany i przebudowywany, a uzyskane przez fundację środki częściowo dosponsorowały wystrój szpitalnych wnętrz, udało się wycygnąć dwa nieduże pokoiki pełniące rolę klas, jeden większy będący zarazem świetlicą i w razie potrzeby salą bankietowo-widowiskową, gabinet Marudy, pokoiik socjalny dla wolontariuszy i małą komórkę na rupiecie, tuż przy wyjściu na taras, za którym znajdował się zieleniec z placem zabaw. Przy oddziale zorganizowano hospicjum dla około dwadzieściorga dzieci z przeznaczeniem dla tych małych pacjentów, którym rodzice nie potrafili lub nie byli w stanie zapewnić opieki w domu. Jego mieszkańcy, dopóki ich stan na to pozwalał, także mogli się uczyć. Prezes fundacji Szkiełko i Onko na każdym kroku podkreślała, że właśnie w przypadku tych dzieci czerpanie radości z poznawania świata jest szczególnie ważne, żeby zdążyły doświadczyć jak najwięcej, zanim będą musiały odejść.

Przyjaciółki wędrowały powoli przez korytarz, zaglądając do każdego pomieszczenia. Medyczny obchód zdążył już przetoczyć się przez oddział, zatem śmiało zapraszały uczniów w wieku od sześciu do dziewięciu lat na zajęcia. Na starszych pacjentów polowali inni fundacyjni nauczyciele. Część dzieci nie czuła się dobrze, kilkoro zwyczajnie nie miało ochoty. Były też takie, którym zaplanowano na rano zabiegi i mogły wziąć udział w lekcjach dopiero po południu. Reszta chętnie podrywała się z łóżek i zgarniała z szafek nocnych swoje zeszyty i piórniki.

W jednej z sal nauczycielki znalazły obcego chłopca, przycupniętego skromnie na samym brzeżku łóżka. Miał na sobie bluzę z logotypem Realu Madryt i grał na telefonie. Na krześle siedziała jego matka. Założyła nogę na nogę, bębniła końcami długich paznokci w jasny materiał dżinsów na kolanie i wytrwale wpatrywała się w widok za oknem. Na propozycję dołączenia do zajęć zareagowała za trzecim razem. Wcześniej nie słyszała, że w ogóle ktoś mówi. Całkiem się wyłączyła. Myślami próbowała uciec ze szpitalnych murów.

– Czy to obowiązkowe? – mruknęła.

– Nie, ale nic nie stoi na przeszkodzie, żeby się uczył – wyjaśniała spokojnie Ada, bo zazwyczaj tym pytaniem zaczynały się tego typu rozmowy.

– Jest chory, powinien odpoczywać – broniła dziecko matka i natychmiast się poprawiła: – Znaczący jeszcze go diagnozują, jeszcze nic nie wiadomo.

– No widzi pani. Trzeba mieć nadzieję, może nie będzie tak źle – wtrąciła się Majka, przysiadając obok chłopca na łóżku, i zagadnęła: – Jak masz na imię?

– Konstanty – odpowiedziała za niego kobieta, a chłopiec nawet nie podniósł głowy znad telefonu.

– Piękne imię – ciągnęła Lipska niezrażona. – Też będę mieć syna i tak się ciągle zastanawiam. Miał być Afanazy. Ada mi wymyśliła Bezpryma. Ale Kostek to fantastyczny pomysł.

– To jak, Kostek? – przerwała jej ten rodzicielski wywód przyjaciółka. – Masz ochotę pójść z nami i zobaczyć, jak wyglądają lekcje? Jeśli ci się nie spodoba, zawsze możesz tu wrócić.

– Konstanty nie ma ochoty – wypaliła jego matka, kładąc wyraźny nacisk na pierwsze słowo. – Proszę dać nam spokój.

Ada zmarszczyła czoło. Wiedziała już, że teraz nie zdoła się pohamować, a potem zrobi jej się zwyczajnie głupio.

– Pozwoli pani synowi wyrazić własne zdanie? Przecież nie ma już pięciu lat.

– Słyszała je pani.

– Nie. Słyszałam tylko pani opinię i naprawdę mnie ona nie dziwi. Proszę uwierzyć, nie jestem waszym wrogiem. Wszyscy chcemy pomóc.

Przez dłuższą chwilę w pokoju panowała absolutna cisza. Przez uchylone drzwi docierał szum kroków i rozmów prowadzonych na korytarzu i w sąsiednich pomieszczeniach. Wreszcie chłopiec westchnął, odłożył telefon na poduszkę, wstał i zerknął na Adę nieco wyzywającym wzrokiem.

– Nie mam książek ani zeszytów.

– Nie szkodzi – odpowiedziała, uśmiechając się do niego szeroko. – Zabierz tylko dobry humor i kilka szarych komórek.

Matka Kostka drgnęła, jakby chciała go zatrzymać, jednak Majka nie dała jej na to szansy. Podniosła się i odgrodziła ją od oddalającego się dziecka wszystkim, co jej natura dała, czyli obfitym biustem i wielkim, wyprężonym na baczność brzuchem.

– Długo to potrwa? – spytała w końcu kobieta i zerkając na drgający materiał kwiecistej bluzki swojej rozmówczyni, dodała nieco cieplejszym tonem: – Matko kochana, aż tak kopie?

– Dwie do trzech godzin. Zależy od tego, jak się będą czuć i czy zdołają się skupić. Kopie bez ustanku. Kostek tak nie kopał? Lada dzień eksploduję.

– Nie pamiętam. Niech pani robi zdjęcia albo pisze pamiętnik, bo to się strasznie zapomina. To okropne. – Zaczęły trząść jej się ręce. – Co ja mam robić przez ten czas? Mogę iść zapalić?

– Proszę iść odpocząć, coś zjeść czy gdzie pani chce. Zapalić też. Zajmiemy się nim.

Kobieta powoli kiwnęła głową. Nim Majka i jej potomek ruszyli w ślad za Adą i Kostkiem, otrąbili w duchu mały rodzinny sukces.

Pokoik, w którym przyjaciółki piły wcześniej kawę, po wypełnieniu się dziećmi stał się prawdziwą salą szkolną. Na ścianie wisiała tablica, obok biurka i niewielkiego stołu w kącie stały trzy stoliki, a przy każdym z nich po cztery krzeselka. Przy maksymalnym obłożeniu dałoby się upchnąć dwunastu uczniów. Ada nie pamiętała, by kiedykolwiek miała ich naraz aż tylu. Tego ranka zebrała ośmiu, co uznała za niezły sukces. Dwoje dzieci przybyło z kroplówkami i na wózkach inwalidzkich, więc należało nieco przeorganizować pomieszczenie, żeby się wygodnie pomieścić. Dopiero wtedy mogła podjąć próbę łagodnego zbilansowania faktu, że siedzi przed nią przekrój maluchów od zerówki do trzeciej klasy. Większość z nich nie miała włosów. Kolejna rzecz, na którą nie było rady i z którą Ada zdążyła się już oswoić.

– Co tam dobrego od rana? – zagaiła.

– Doktor Maczek mówił na obchodzie – odezwała się Julitka, którą obie z Majką poznały już dość dobrze – że jak złapie jeszcze większy mróz, to wydusi wszystko, włącznie z rakiem. Myśli pani, że on tak na serio?

– Myślę, że żartował. Doktor Maczek to świetny lekarz i sam doskonale radzi sobie z wyduszeniem raka. Mróz mu niepotrzebny.

– Łe, to po co tak gadał? – Mała wyraźnie się rozczarowała.

– Każdy czasem potrzebuje poczuć, że stoi za nim potężny pomocnik. Kiedy robicie coś trudnego albo nowego, to chcecie, żeby pomogli wam mama czy tata...

– ...albo pani – wpadła nauczycielce w słowo dziewczynka, łapiąc, o co chodzi.

– Albo ja. Doktor Maczek widocznie chciałby, żeby mu pomógł mróz. Jak widać za oknem, zima bardzo się stara. A teraz zarządzam głosowanie. Kto woli najpierw czytać, prawa ręka w górę, kto liczyć, lewa. Kubuś jako najmłodszy sumuje głosy.

Przedpołudnie upłynęło nie wiadomo kiedy. Kostek pod koniec zajęć nabrał śmiałości i wniósł nieco świeżego powiewu opowieściami ze zwykłej miejskiej szkoły. Był bystrym i nad wiek rozwiniętym drugoklasistą. Należało dołożyć starań, żeby tego nie zaprzepaścić.

– Przyjdiesz po południu? – spytała Walicka na odchodnym.

– Jeśli mama mi pozwoli...

– Na pewno pozwoli – zapewniła Majka, puszczając do niego oko. – Już moja w tym głowa.

Gdy dzieci wróciły do swoich sal, nauczycielki posprzątały klasowy rozgardiasz. Ada zrobiła przyjaciółce herbatę, a sobie kawę i zarządziła chwilę odpoczynku, po której czekały je odwiedziny przy łózkach tych dzieci, które nie mogły uczestniczyć w lekcjach, a później druga seria zajęć popołudniowych.

– Jacek w sobotę pracuje? – zagaіła Lipska, grzejąc dłonie o ciepły kubek z naparem żurawiny zakropiony obficie cytryną.

– Nie wiem, pewnie tak. A co?

– Mama zapraszała na obiad i marudziła, żeby zabrać cię ze sobą.

– Daj spokój, nie może ciągle dożywiać wszystkich twoich koleżanek.

– Zwariowałaś? Od kiedy ty jesteś „wszystkie moje koleżanki”? Poza tym ona jest od lat przekonana, że nie dojadasz, i nie traci nadziei, że cię zaokrągli gdzieś. Obiecała mielone.

– W sprawie cycków raczej nic nie wskóra. Kotlety twojej mamy nie zmieniają mi rozmiaru stanika, chociaż są genialne.

– Przyjeżdż, proszę. Posiedzimy, pogadamy. Tata potem odwiezie ciebie i mnie. Też będę sama.

– Tomasz planuje bujać się na pantografie?

– Niestety. Bądź człowiekiem, nie daj się prosić.

Ada była człowiekiem i się zgodziła.

Lubiła rodziców Majki. Od wielu lat stanowili dla niej jedyną oazę normalności pośród wiecznie pędzącej dokądś dziczy. Żyli z pełnym spokojem, zawsze zadowoleni, nigdzie się nie spiesząc. Cieszyli się z tego, co mają, i szanowali siebie nawzajem. On maniacko oglądał Animal Planet, a ona powtórki seriali z lat siedemdziesiątych i osiemdziesiątych. Kupili więc dwa telewizory, ustawili je w osobnych pokojach i nie wchodzili sobie w drogę. Spotykali się przy wspólnych posiłkach w kuchni, przy grze w scrabble i wypadach na działkę nad Zalewem Sulejowskim. Być może także w sypialni, jednak w to przyjaciółki wołały nie wnikać. Kiedy tylko

przypadkiem pojawiał się w rozmowach z nimi temat łóżka, rumieniły się jak idiotki. Dzieciom zawsze się zdaje, że rodzice tego nie robią. Zabawne.

Nauczycielki zaliczyły ostatnie wspólne popołudnie w pracy i Ada miała dziwne wrażenie, że Jacek zjawił się po nią za wcześnie. Ostatnio zmienił zwyczaje i zamiast wysłać esemesa, a potem czekać na parkingu, paląc papierosa, wchodził wprost na oddział. Szukał jej po salach i pokojach szpitalnych, żeby jak najszybciej pokazać, że już jest, zgarnąć ją i wyjść. Zrobił się dziwnie niecierpliwy. A może po prostu brakowało mu czasu?

Tym razem były już z Majką gotowe do wyjścia, więc bez ociągania mogła omotać się stertą zimowych ciuchów i wybiec za narzeczonym w szarość zimowego zmroku.

– To do jutra! – zawołała do Lipskiej, która wolnym krokiem potoczyła się do swojego fiata, wołając po drodze:

– No ja myślę!

Jacek zaciągnął się winstonem i zerknął na Adę, unosząc lekko brwi. Nie znosił zapachu nikotyny w samochodzie, dlatego odstanie tych kilku minut przy aucie, przed odjazdem, nabierało powoli cech rytuału.

– Umówiłaś się?

Ada wysupłała z kieszeni mentolowe L&M-y i wyjęła mu z ręki zapalniczkę.

– Tak, przecież pracujesz, nie?

– Pracuję – przyznał. – A ty byś nie wolala pomyśleć o jakichś kursach? Może językowych albo jeszcze jednej podyplomówce? Bez sensu tracisz czas. Co będziesz z nią robić? Prasować śpioszki?

– To przytyk? – spytała, choć w zasadzie nie miała wątpliwości. – Chcesz mi dokopać? Nic nie będę prasować, po prostu spędzę z nią popołudnie. Tomasz też pracuje, odwiedzimy jej rodziców.

Jacek wznosił wzrok do nieba, jakby zamierzał sięgać po pomoc wyższych instancji w sprawie przywrócenia Adzie równowagi umysłowej.

– Nie chcę ci dokopać, oszalałaś? Po prostu uważam, że się marnujesz. Jesteś bardzo inteligentna, a nie korzystasz ze swoich możliwości. W dodatku obracasz się wśród osób, które cię uwsteczniają. Musisz tam iść?

– Nie muszę. Chcę. Lubię ich.

– Ada, to prymitywni ludzie, niewykształceni. Ciągłe siedzą przed telewizorem. Sama mówiłaś.

– Nasi rodzice też są niewykształceni.

– Dlatego nie zostaliśmy w tamtym środowisku, tylko szukamy innego. Przyjaźnisz się z Majką, okej, ale zupełnie nie rozumiem, po co ci oni.

– Jacek, nie chcę siedzieć wiecznie sama, kiedy cię nie ma.

– Przecież to ustaliliśmy, uprzedziłem cię, że przez pewien czas tak będzie.

– Uprzedziłeś. Nie mam pretensji. Po prostu czasem czuję się samotna.

– Dobrze, idź – mruknął, wyrzucając niedopałek. Zdeptał go butem i uniósł ręce w geście poddania. – Podjadę po ciebie, kiedy skończę, i wynagrodzę ci tę twoją samotność. Może być?

– Może być. Wycyganę od mamy Majki mielonego dla ciebie. Robi najlepsze na świecie.

– Nie chcę. Wolę twoje kotlety, nawet gdy przypalasz. Są kapitalne. A jeśli nie zdążysz dla mnie zrobić, to też nie problem. Kupię chińczyka po drodze.

Otworzył drzwi od strony pasażera i szarmanckim gestem zaprosił ją do środka. Obdarzyła go łaskawym uśmiechem, pozbyła się peta i z westchnieniem ulgi wsiadła do samochodu.

3.

Magdalena Pilch przeczesła lśniące ciemne długie włosy i pociągnęła usta pomadką. Uśmiechnęła się do swojego odbicia i zupełnie niepotrzebnie jeszcze raz skropiła perfumami tuż za płatkami uszu. Było nieźle. Znakomicie. Jak na skończone trzy dychy – nawet doskonale. Poprawiła stanik, chociaż leżał idealnie, przejechała dłonią wzdłuż talii i linii bioder, chwając w duchu samą siebie za wybór odważnej, idealnie dopasowanej sukienki z czarnego, lekko połyskującego materiału.

Raz w roku pozwalała sobie na taką ekstrawagancję i nie widziała powodu, żeby tym razem zmieniać zwyczaje. To już dziesięć lat. Równa dekada. Zawsze świętują z Borysem rocznicę ślubu w ten sam sposób. Odwiedza ich Bartek z bukietem i prezentem. Zostaje z Tymkiem, a oni wychodzą we dwoje na kolację do byle której restauracji. Zjadają wszystko jedno co, wypijają butelkę wina, rozmawiając o niczym, i rozmyślają tylko o tym, żeby jak najszybciej wrócić do domu. Potem Borys zaprasza Bartka na drinka, sugerując żonie, że powinna położyć dziecko spać. Magdalena się ociąga, Tymek też, zaczyna tworzyć się niewygodna, gęsta atmosfera, której nikt nie potrafi rozładować, wobec czego Bartek wstaje. Życzy im jeszcze raz samych serdeczności, przybija z dzieckiem piątkę i wychodzi na chłód zimowego wieczoru, żeby odetchnąć wolnością.

Ona, Magdalena, zostaje w środku z mężem, synem i tą atmosferą, która nie wraca do równowagi przez co najmniej kilka kolejnych dni.

Takich oto rocznic ślubu doświadczą rok w rok. Taka będzie ta i wszystkie następne. Z każdym styczniem z coraz większym trudem doszukuje się w tym śladów sensu. Niech to szlag, niech to wszyscy diabli i wszelkie zastępy rogate!

Jedyna pociecha to te nowe sukienki.

– Mamo, czy wujek już jedzie? – spytał Tymek zaraz po tym, jak opuściła łazienkę.

– Nie wiem.

– To zadzwoń do niego.

– Nie zamierzam mu zawracać głowy. Przyjedzie, to będzie.

– Ale nie ma daleko, prawda? Tato? Nie ma daleko?

– Nie ma – odparł cierpliwie Borys, odkładając na stolik czytanego Kinga, z którego i tak nic nie zrozumiał.

To kiepski dzień na lekturę.

Poprawił na nosie okulary w prostokątnych czarnych oprawkach i pomasażował palcami skroń. Drugą ręką nerwowo sprawdził, czy krawat jest dobrze zawiązany. Nie znosił tego elementu garderoby. Wkładając go, czuł się jak kretyn. Jak cielę na postronku. Może nawet coś w tym było?

Powiódł wzrokiem po chłodnym, minimalistycznym wystroju salonu. Wreszcie zatrzymał wzrok na dziecku i stojącej tuż za nim kobiecie.

– Na którą się umówiliście? – Chłopiec nie dawał za wygraną.

– Na osiemnastą.

– Jest za piętnaście. Piętnaście minut to niewiele, nie? Chyba już wyszedł z domu?

– Pewnie tak.

Tymek przebiegł przez pokój, wdrapał się na kanapę obok ojca i oparł łokcie na parapecie, przyklejając nos do szyby. Rodzice obserwowali go, tkwiąc w niewygodnym milczeniu. Czekał w bezruchu do chwili, gdy naprzeciwko bloku zaparkował obcy czerwony samochód o osobliwym, nietypowym kształcie. Takiego auta chłopiec jeszcze nie widział. Wysiadł z niego wysoki ciemnowłosa mężczyzna w błękitnej puchowej kurtce z ogromnym bukietem róż i torebką prezentową z Kubusiem Puchatkiem. Trzymał w żółtych łapkach sznurki z balonikami.

Tymek skrzywił się tylko na moment i natychmiast pognął do przedpokoju. Nacisnął brzęczyk domofonu dokładnie w chwili, gdy gość zadzwonił. Potem czekał już w otwartych drzwiach, wpatrzony w okienko szybu windy.

– No wiesz... – Usłyszał dwie minuty później obok ucha. – Myślałeś, że tak się zestarzałem? Jeszcze daję radę po schodach.

– Wujek! – krzyknął chłopiec i rzucił się gościowi na szyję.

– Stryjek – poprawił go mechanicznie Borys. – Brat ojca to stryjek.

– Wujek, masz na imię Stryjek? Myślałem, że Bartek.

Przybyły mężczyzna zdjął kurtkę, wręczył Magdalenie kwiaty i przykucnął naprzeciwko dziecka.

– Brat taty to nie wujek, tylko stryjek. A na imię mam Bartek. Od naszego ostatniego spotkania nic się w tym temacie nie zmieniło.

– A syn brata to kto?

– Bratanek.

– A gdybyś miał żonę?

– To byłaby twoją stryjenką.

– A dziecko?

– Wtedy miałbyś siostrę stryjeczną albo stryjecznego brata.

– Trochę to porąbane – podsumował Tymek, drapiąc się po głowie. – Jednak to nie fair, że nie masz swojej rodziny. Chyba powinienem się na ciebie obrazić.

Młodszy z braci Pilchów miał wielką ochotę, żeby wybuchnąć śmiechem, jednak kątem oka dostrzegł, że zarówno Borys, jak i jego żona zachowali surową powagę. Zdusił w sobie wesołość i wybrnął z niewygodnej sytuacji, zmieniając temat:

– Przyniosłem ci prezent.

– W torebce dla przedszkolaka – wypalił chłopiec cierpkim głosem, biorąc się jednocześnie pod boki, jakby pracował nad tą drobną złośliwością latami.

– To nie chodzisz już do przedszkola? – Usłyszał odpowiedź, w której zabrzmiała ta sama, jakby skopiovana z niego, lekko kpiąca nuta.

Gość stanął naprzeciwko chłopca, także biorąc się pod boki. Obie pary piwnych oczu w ciemnej, wyraźnej oprawie gęstych brwi zapłonęły ni to gniewem, ni to rozbawieniem. Pozostałe dwie osoby natychmiast poczuły się zbędne i postanowiły niezwłocznie usunąć się z placu boju. Borys podał żonie płaszcz i po cichu wymknął się z nią za drzwi.

– Mogliby już z tym skończyć – skwitował, wciskając guzik przywołujący windę. – Zawsze to samo. – Poprawił szalik i wsadził ręce do kieszeni najgłębiej, jak pozwalał na to krój jego kurtki.

Magdalena wzruszyła ramionami, starannie unikając wzroku męża.

– Nie lubię ich zostawiać samych – mruknęła, chyba bardziej do siebie niż do Borysa.

– Bez przesady. To mój brat. Ufam mu.

– Czy to nie dziwne? – spytała i natychmiast tego pożałowała, bo spojrzał na nią z wyrzutem.

– Chcesz iść w jakieś konkretne miejsce? – zmienił temat, otwierając przed żoną drzwi klatki schodowej i jednocześnie sięgając po komórkę, żeby wezwać taksówkę.

Zimny powiew styczniowego powietrza wyrwał Magdalenę z chwilowego odrętwienia.

– Wszystko jedno. Nie jestem głodna. Jedźmy gdziekolwiek i zabijmy czas.

Zerknął na nią badawczo, naciągając mocniej czapkę na głowę.

Zacząło padać. Zamarzające drobinki śniegu cięły twarz jak ostre igielki. Chodnik, trawnik i plac zabaw pokryła równa warstwa czegoś, co do złudzenia przypominało cukier puder. W świetle latarni wyglądało to nawet dość bajkowo, wystarczyłaby odrobina dobrej woli i pogodnego nastroju, żeby podchwycić ten nastrój.

Czasem dobrze jest wierzyć w bajki.

– To może chodźmy do kina? Darujemy sobie wino i inne bzdury. Pojedziemy samochodem. Po filmie zjemy pizzę albo cokolwiek.

– Może być – zgodziła się kobieta obojętnym głosem i skierowała swoje kroki na zadaszony parking dla mieszkańców osiedla.

Borys sprawdził tylko, czy ma w kieszeni dokumenty oraz kluczyki, i już bez zbędnych słów ruszył za nią.

No i dobrze. Kino. Zawsze to jakaś odmiana, cokolwiek by nie grali.

Tymczasem w ich mieszkaniu atmosfera robiła się coraz bardziej gorąca.

– Wujek, nie przeginaj! Nie jestem dzieckiem! Mam dziewięć lat, dwanaście stałych zębów i chodzę do trzeciej klasy.

– Stryjek. Poza tym nie wierzę w tę trzecią klasę. Dopiero co sikałeś w pieluchy. Pokazuj zeszyty, szczeniaku!

– Wu-jek! W urodziny pokazałem ci zeszyty i obiecałem, że już tego wstrętnego Puchatka nie będzie.

– W urodziny obiecałem, że nie przyniosę ci Boba Budowniczego i dotrzymałem słowa. Tym razem mogę obiecać, że nie powtórzę numeru z Puchatkiem.

– A co wymyślisz? Teletubisie?

– Podobno teraz jest w modzie Masza i Niedźwiedź.

– Wredniak!

– Spryciarz.

– Poza tym kupiłeś paskudne auto. Pół miasta będzie się z ciebie nabijać. Jak rozdeptana czerwona żaba. Co to jest? Rupieć z muzeum?

– Auto akurat mam w dechę. Starsze ode mnie o całe jedenaście lat, więc nie przesadzaj. Cacuszko. Dajesz zeszyty czy zabrać Puchatka dla kogoś mniej wybrednego, maluszku?

– Nie jestem maluszkiem!

– A ja nie jestem wujkiem.

Przez moment mierzyli się wzrokiem z groźnie zaciśniętymi szczękami. Nagle Tymek zmienił się na twarzy. Przywdział minę dobrotliwego łaskawcy i oświadczył od niechcienia:

– No dobra, wygrałeś. Mądrzejszy zawsze ustępuje. Dawaj tego Puchatka, zeszyty naszykowałem ci na biurku.

Bartek uśmiechnął się, nie kryjąc zadowolenia. Kolejna batalia z Tymkiem przebiegła według utartego od lat schematu, dając im obu niemałą uciechę i pogłębiając nic porozumienia. Mieli ze sobą wiele wspólnego: temperamenty, zainteresowania, nawet poczucie humoru rzutujące na ich sposób bycia z lekkim dystansem do świata, trącającym o błazenadę.

Z Borysem łączyła ich błyskotliwość i nieodparta potrzeba szczerości, walenia prosto z mostu nawet za cenę nietaktu czy kłopotów. Obaj bracia zawsze stawiali uczciwość i honor nad świętym spokojem, nawet nad rozsądkiem. Było bardzo prawdopodobne, że Tymek wyrośnie na takiego samego człowieka.

– To jest spitfire! – wykrzyknął chłopiec zachwyconym głosem, podchodząc do biurka, przy którym jego stryj wnikliwie przeglądał zeszyty.

– A co ty myślałeś, że przyniosłem ci *Chatkę Puchatka*? Model MK II A. Takiego jeszcze nie masz. Kończę oglądać te koszmarne bazgroły, robimy szybko coś do jedzenia i sklejemy.

– Wiesz, że jesteś najlepszym stryjkiem na świecie? Chociaż jeździsz paskudnym gratem.

– A ty najlepszym bratankiem. Nawet jeśli napisałeś w zeszycie „herbata” przez „ch”. Za karę wypijesz do kolacji bez cukru.

– Spoko. Poślodzę miodem.

Jakiś czas później siedzieli w luksusowo urządzonej kuchni i jedli tartę ze szpinakiem. Wokół panował idealny porządek. Poza okruszkami na stole i naczyniami w zmywarce nic nie wskazywało na to, że dwóch mężczyzn: mały i duży, przyrządzało w tym pomieszczeniu posiłek. Bartek zawsze dbał o to, by w tym domu nie zostawiać po sobie żadnych śladów.

– Smakuje ci? – rzucił w przestrzeń, choć było to raczej zbędne, zważywszy na fakt, że chłopiec pochłaniał już drugą porcję.

– Pycha. To, co gotujesz, zawsze jest pycha. Jesteś genialny.

– Bez przesady.

– Jesteś, jesteś. Powinieneś pracować w największej restauracji na świecie. Albo w telewizji. Na takim kanale o jedzeniu. Ale ty nie wiesz, o co chodzi, bo nie oglądasz.

– Myślisz, że taka praca byłaby sensowniejsza niż to, co robię teraz z twoim tatą?

– Nie dałoby rady, żebyś robił to i to?

– Chyba nie. Raczej nie starczyłoby mi czasu. Poza tym mam jeszcze parę innych zajęć, z których nie zrezygnuję.

– Jak choćby?

– Jak choćby wyszukiwanie modeli samolotów, których jeszcze nie poznałeś... Ale nie tylko.

– Dobra, łapię. Z pracy z tatą nie rezygnuj. Gotować możesz po prostu dla mnie.

– I to mi całkiem odpowiada – zgodził się stryjek, pociągając z kubka potężny łyk herbaty z imbirem.

Przez chwilę jedli w milczeniu. Od sąsiadów z góry dobiegały dźwięki skrzypiec. Borys często na nie narzekał. Bartek nie mógł tego zrozumieć. Dziecko się uczy, musi ćwiczyć. A że chwilami brzmiało to tak, jakby rozwścieczonemu kotu wrywano ogon... No cóż, nikt nie urodził się mistrzem. Geniusz to kropla talentu zatopiona w morzu wysiłku i pracy. To mały owad w bursztynie. Sam w sobie nie znaczy nic. Dopiero gdy otoczy go złocista, lśniąca żywica, która zna sekret, jak wyeksponować piękno, zyskuje nieśmiertelność na zawsze.

Dziecko grało, żywica powoli kapiała mu na nuty, a Bartek słuchał i obserwował chłopca przy stole.

– Wiesz, oni się chyba już nie lubią. Myślę, że się rozwiodą – przerwał ciszę Tymek.

– Czemu tak uważasz?

– Tata śpi na kanapie w gabinecie. Kiedy tata Marcela spał na kanapie, to potem się rozwiódł z jego mamą. To było okropne.

– Dlaczego okropne?

– Ciągłe się kłócili. Mama nie pozwalała Marcelowi spotykać się z tatą, a w końcu wyprowadziła się z nim do innego miasta. Musiał zmienić szkołę i wszystko. Nie chcę zmieniać szkoły. Mogą się kłócić, rozwodzić i wyprowadzać, ale szkoła to przecież moja sprawa. Mam rację, stryjek?

– Masz. Chcesz, żebym pogadał z tatą?

– O czym?

– No nie wiem... W zasadzie to tata powinien z tobą porozmawiać, wyjaśnić ci, na czym stoisz. Rodzice powinni wiedzieć, że się martwisz. Może sam im to powiedz.

– Myślisz? Małżeństwo to trudna sprawa. Najpierw się zakochujesz, bierzesz ślub, a potem jedna wielka lipa.

- Być może. Chyba czasem tak faktycznie bywa.
- Nie kochałeś nigdy żadnej dziewczyny?
- Jakoś nie. Ja się chyba nie nadaję do kochania dziewczyn.
- No wiesz! Czyli co? Nie mam szans na stryjenkę i brata stryjecznego czy chociaż siostrę stryjeczną? Taki z ciebie stryjek?
- Na cuda bym na twoim miejscu nie liczył.
- A ty na co liczysz?
- Ja się po prostu nad tym nie zastanawiam.
- Tak wcale a wcale?
- Mhm. Nie mam na to czasu. Koniec gadania. Składamy myśliwca?
- Składamy – zgodził się chłopiec, natychmiast zapominając o kłopotach. Wstał szybko od stołu i pobiegł przygotować miejsce pracy.

Bartek posprzątał po kolacji, reszkę tarty wsadził do lodówki, włączył zmywarkę i poszedł za nim.

Dziecko na górze nadal grało. Wciąż ten sam kawałek, jednak nieco lepiej niż pół godziny temu. Kot wrzeszczał jakby mniej rozdzierająco. Była szansa, że zachowa ogon. Może nałykał się żywicy.

4.

Film był beznadziejny i to jedno stanowiło dla Magdaleny największy plus wieczoru. Miała o czym rozmawiać z mężem przez bite półtorej godziny, które odsiedzieli w restauracji, żeby nie zjawić się w domu wcześniej niż o dwudziestej drugiej.

Przedyskutowali wszystkie kiepskie filmy, które w ostatnich latach wspólnie oglądali, potem zahaczyli nieco o pracę, która jako temat awaryjny zawsze sprawdzała się świetnie, i mogli spokojnie zdmuchnąć ze stolika romantyczne świece, by wrócić po znacznie mniej romantycznej ślizgawicy do domu.

Zgodnie z przewidywaniem zastali syna przy sklejaniu kolejnego samolotu.

- Już kończymy! – krzyknął chłopiec, nie podnosząc głowy znad biurka.
- Dosłownie kwadrans – poparł go stryjek.
- Trzeba dorobić nową półkę – mruknął Borys.

Jedną ścianę pokoju dziecięcego zabudowano regałami, na których stały kolejne modele myśliwców, helikopterów, szybowców i wszelkich urządzeń latających. Część stanowiły składane konstrukcje z klocków, inne były sklepane z papieru lub drobnych plastikowych elementów. Większość Tymeck dostawał od Bartka, czasem od Borysa. Interesował się tematyką dogłębnie i konkretnie, poszerzając powoli kolekcję zabawek o literaturę, coraz bardziej fachową.

Nie bez znaczenia dla jego hobby pozostawało również to, że ze swojego okna widział startujące samoloty na Lublinku. Fakt, że ostatnio latało ich coraz mniej, stanowił dla niego źródło nieustannej zgrzyoty. Co wieczór marzył o samodzielnym pilotażu, zasypiając w pościeli ozdobionej dwupłotowcami z drugiej wojny światowej.

- Zmieści się, spokojnie – uspokoił ojca. – To nie kobyła.
- Zrobić ci drinka? – spytał starszy Pilch brata, stojąc w progu pokoju, jakby nie chciał wchodzić w strefę, w której Bartek i Tymek rządzą się sami.
- Nie. Zaraz spadam. Poza tym jestem samochodem.
- Myślałem, że jednak człowiekiem.
- Żabą – poprawił chłopiec. – Stryjek jest wstrętną czerwoną żabą.
- Serio kupiłeś auto? Zmądrzałeś? Myślałem, że do końca życia zostaniesz przy motocyklach.

– Trochę chłodno ostatnio. Starzeję się. Honda poszła do młodszego pokolenia.

– Co masz? Pochwal się.

– Nissan 280 ZX. I młody łże. Wcale nie czerwony, tylko wiśniowy. Z siedemdziesiątego ósmego.

– To coś, co stoi pod blokiem i wygląda inaczej niż wszystko dookoła? Nie, wycofuję się. Ty nie zmądrzałeś. Ty już na zawsze będziesz pomyłecem.

– Być może. Tymczasem samolot gotowy. *Adieu*, młody, żółwik. – Bartek, podnosząc się, przybił zaciśniętą pięść z Tymkiem.

– Kiedy znowu przyjdiesz? – dopytywał chłopiec, ustawiając model na półce.

– Umówię się z tatą.

– Może mnie gdzieś zabierzesz, co? Na szybowce?

– Może. Bądź czujny i ucz się. Pilnuj zeszytów.

Wyszedł szybko, nie oglądając się za siebie. Magdalena zniknęła gdzieś za drzwiami łazienki. Tak było lepiej. Żegnanie się z nią wydawało mu się zawsze kłopotliwe. Pojawiała się przy tym jakaś sztywna niezręczność. Za to z Borysem mógłby się wcale nie żegnać. Jego i tak widywał najczęściej z całej trójki. Niemal codziennie.

Pracowali razem.

Niesamowite, że potrafili spędzać ze sobą tyle czasu i robić wspólnie mnóstwo rzeczy, nie zważając na to, co zaszło między nimi przed laty. Mimo że tak bardzo zdołali się zranić.

Bartek miał wątpliwości, czy wszystko sobie wybaczyli. Czy ta rodzinna sielanka nie była aby pozorna, nie kosztowała ich nieco za dużo, zmuszając do ciągłego zduszania, przydeptywania, chowania w sobie goryczy i wciąż nie znajdując dla niej właściwego ujścia. Może gdyby częściej o tym rozmawiali, żyłoby się łatwiej? A może nie?

Ich losy powinny ułożyć się całkiem inaczej. Tylko czy lepiej? Nie warto gdybać w nieskończoność. Trzeba po prostu żyć. Brać z każdego dnia to, co daje, wyciskać go jak cytrynę i nie pozwalać sobie na niepotrzebne smętki. Trzymać się swoich zasad, robić to, co należy, cieszyć się z chwil i drobnych przyjemności i nie zastanawiać się zbyt głęboko nad tym, co przyniesie jutro. Nie ma sensu rozpaczać, znacznie mądrzej trenować bycie szczęśliwym.

Taki świat budował wokół siebie latami, w taki wierzył i wcale nie chciał go zmieniać. Jedyna rewolucja, do której dojrzał tej zimy, to przesiadka z motocykla na nową zabawkę, nazwaną przez Tymka wstrętną czerwoną żabą. Chociaż określenie tego dojrzałością to przesada. Po prostu tak jest wygodniej. Szron nie osiada na plecach i można zabrać każdego, dosłownie każdego pasażera. Nawet najbardziej kłopotliwego. A i tacy się Bartkowi zdarzali.

Usiadł za kierownicą i zapatrzył się w znajome okno dziecięcego pokoju. Odczekał dziesięć minut, aż światło zgasło. Dopiero wtedy włączył silnik i ruszył przez puste osiedle.

Ręce, mimo skórkowych rękawiczek, zgrabiały mu całkowicie. Wnętrze samochodu nagrzewało się bardzo wolno. Cienka warstwa śniegu, która pokryła jezdnię, zdążyła przymarznąć i przekształcić się w coś na kształt zbrylonego lodu. Mężczyzna jechał wolno. Zbliżała się ledwo dwudziesta trzecia, donikąd się nie spieszył. Poza tym nie zdążył się jeszcze oswoić z prowadzeniem nissana. Wolał poznać go lepiej, zanim wydusi z silnika całą jego moc. Sam sobie powtarzał, że rozsądnie będzie poczekać na lepsze warunki na drodze.

Mieszkał blisko. Kiedy kilka lat temu kupowali z bratem mieszkania, kierowali się między innymi wygodą, jaką dawało osiedlenie się w obrębie tej samej dzielnicy. Jednocześnie Retkinia jest na tyle duża, że nie musieli co chwilę na siebie wpadać, przy zakupach w Biedronce czy tankowaniu. Skręcił z Popiełuszki w Maratońską i jechał na wschód, wzdłuż torów kolejowych. Miał wrażenie, że gdy już wydostał się z wąskich uliczek osiedlowych, asfalt stracił wiele z cech lodowiska. Silnik się rozgrzał i Bartek uległ pokusie, by odrobinę docisnąć pedał gazu. Dokoła panowała cisza. Nie działo się nic. Na chodnikach próżno było szukać przechodniów, jezdnie ziały pustką, po szynach nie toczyły się pociągi, nad Lublinkiem nie kołował żaden samolot. Pilch miał wrażenie, jakby na świecie oprócz niego zostały tylko jego poplątane myśli. Nie uznał tego za przyjemne, więc jeszcze przyspieszył, chcąc jak najszybciej dojechać do domu i pozbyć się uczucia niemal kosmicznej próżni.

Przy skrzyżowaniu z Retkińską wpadł w poślizg i kiedy dostrzegł granatową octavię, nie zdążył zareagować. Wiedział, że nie da rady wyhamować na czas. Jedyne, co mógł zrobić, to jeszcze przyspieszyć i starać się maksymalnie kontrolować sytuację, żeby oberwać jak najłagodniej.

Pomyślał, że nie ma mowy, to za wcześnie, bo nie zdołał zrobić i przeżyć wszystkiego, o czym marzył. To byłoby zwyczajne draństwo i oszustwo, tak nagle odbierać mu przed czasem szansę na życie.

Potem szarpnęło nim mocno do przodu, uderzył głową w kierownicę i otuliła go ciemność.

Kilka sekund później ktoś otworzył drzwi jego nowego czerwonego wozu i delikatnie poklepał go po policzku.

– Ej, człowieku, żyjesz? – Usłyszał męski głos, który docierał do niego z oddali, jakby zza gęstej mgły. – Powiedz coś. Możesz się ruszać?

Czuł, że żyje, jednak na ruszanie nie bardzo miał ochotę, bo ogarnęło go wrażenie, że głowa za chwilę mu eksploduje. Podniósł niemrawo rękę i pomacał się po nadwyrężonym karku, jęcząc cicho.

– Co mówiłeś? – dopytywał natrętnie ten sam człowiek.

– Rypie mnie dynia – odburknął i spróbował wyprostować plecy.

Poza lekko zeszywniałym karkiem w zasadzie wszystko działało i wyglądało na to, że nie odniósł poważnych obrażeń. Tylko uporczywy ból w prawej skroni nie dawał o sobie zapomnieć. Spróbował dotknąć obolałe miejsce i syknął, cofając dłoń. W mdłym świetle ulicznej latarni dostrzegł ciemny ślad krwi na palcach.

– Dzwonię po policję i pogotowie – zdecydował facet. – Niech pan nie wysiada.

– Nie zamierzam. Nie dzwoń nigdzie, przecież ci nie ucieknę – wymamrotał Pilch, sięgając ze schowka dokumenty. – Spiszemy oświadczenie, że ci zajechałem drogę, załatwimy sprawę raz-dwa i pojedziemy do domu. Cholernie zimno.

– Jakie oświadczenie, jesteś ranny! – Mężczyzna bez problemu przyjął przejście do mniej formalnej formy kontaktu, jednak dalej upierał się przy swoim. – Trzeba ci zszyć tę skroń.

Wyglądał na dystyngowanego intelektualistę, dbającego o to, jakie wrażenie robi na innych. Miał starannie ułożoną fryzurę z bardzo jasnych gęstych włosów, okulary w oprawkach, które wyglądały na dość drogie, i elegancki czarny płaszcz z bordowym szerokim szalem, fantazyjnie omotanym wokół szyi. Był wyraźnie podenerwowany, bo cały czas przestępował z nogi na nogę i grzebał rękami po kieszeniach. Wreszcie nie wytrzymał, wydarł z jednej paczkę papierosów, a z drugiej – komórkę. Pilch miał już zaprotestować i dalej upierać się przeciwko wzywaniu służb

medycznych, porządkowych i wszelkich innych, gdy nagle pojawiła się zupełnie inna postać.

Musiał już ją gdzieś widzieć, bo wydała mu się znajoma, choć za żadne skarby świata nie mógł otworzyć w pamięci właściwej szuflady. Ubrana była w ciemną pikowaną kurtkę, czarną czapkę z wielkim pomarańczowym pomponem i pasiasty szalik, spod którego wystawały długie włosy, niewiele ciemniejsze niż kudły jej towarzysza. Miała duże zielone oczy, które patrzyły na niego z niepokojem. Wlepił w nią otępiałe spojrzenie, szukając jakichś skojarzeń.

– Nie pamiętam... – bąknął.

– To normalne, jesteś w szoku. Spokojnie – mówiła ciepłym, cichym głosem, jak do dziecka. – Miałeś wypadek, wjechałeś nam prosto pod koła.

– Nie pamiętam... – powtórzył.

– Wszystko sobie przypomnisz.

– Nie pamiętam...

Wyjęła mu z rąk dokumenty, które wcześniej sięgnął ze schowka, i zaczęła je przeglądać.

– Nie denerwuj się, zaraz ci powiem, kim jesteś. Rozumiem, nie pamiętasz, tu jest napisane. Trochę ciemno, ale znajdę.

– Nie pamiętam...

– Okej, już wiem, daj mi poszukać. Nazywam się Ada Walicka.

Wypuścił powoli powietrze z płuc i oparł głowę o zagłówek. Przymknął oczy, jakby zamierzał się zdrzemnąć.

– No i wszystko jasne. Nie mogłaś, cholera, od razu powiedzieć? – wymamrotał.

Na moment ją zatkało, jednak nie dała za wygraną. Znalazła dowód osobisty poszkodowanego, a w nim właściwą informację. Od lat się uczyła, jak postępować z ludźmi w stanie szoku, pod wpływem leków, bólu i lęku. Nie dziwiło ją nic. Spokojnie i na pewniaka udzieliła mu podstawowej informacji.

– Nazywasz się Bartłomiej Pilch. Syn Ludwika i Marianny. Urodzony w Lublinie.

– Wiem – przerwał jej, otwierając oczy. – Nie rób ze mnie krety. Wiem również, że zajechałem wam drogę, spowodowałem wypadek i poniosę tego wszelkie konsekwencje. Mam OC, wam raczej nic się nie stało, więc proszę, odsuń się łaskawie od drzwi.

Znacznie zwawiej, niż mogła się przed chwilą spodziewać, wyrwał jej dokumenty z rąk i próbował zatrzaskać drzwi. Zaczęła się z nim szamotać, lecz nim podjął bardziej radykalne kroki, tuż obok zatrzymała się karetka.

Bartek wiedział już, że noc upłynie mu na przekonywaniu lekarzy, że nic mu nie jest, i przeklinaniu w duchu Ady Walickiej i tego wymuskanego kolesia.

Nieźle zakończenie dziesiątej rocznicy ślubu Borysa. Nie ma to jak bal do białego rana. Wszystkie plany szlag trafił. Bogate i te bogatsze. A tak liczył na idealne towarzystwo i odrobinę rozrywki przy muzyce Czajkowskiego...

Ada Walicka spędziła cudownie beztroski wieczór w otoczeniu kotletów mielonych uzupełnionych domową sałatką warzywną i sernikiem na kruchym cieście, podobnym do tego, które kiedyś robiła jej mama w Łapszance. Dodatkowo dała się skusić na nalewkę pana Józefa Kalety, ojca Majki, który wyczyniał cuda ze wszystkiego, co zdołał sam wyhodować w Zarzęcinie nad Zalewem Sulejowskim. Mieli tam niedużą działkę, może ze trzysta metrów kwadratowych, a ilość owoców i warzyw, soków, przetworów oraz wszelkiego dobra, które potrafili z niej wydusić, wydawała się wręcz nieprawdopodobna. Kochali ten skrawek ziemi niemal jak swoją jedynaczkę i umieli dbać o niego fantastycznie.

Ada czuła, że nalewka z mirabelek wcale nie jest „delikatnusia, prawie jak kompocik”, jak zapewniał pan Józef. Dziewczyna miała już nieco w czubie, kiedy zadzwonił telefon.

– Czekam na dole – oznajmił Jacek zmęczonym głosem. – Pospiesz się, bo lecę z nóg.

– Może wejdiesz i coś zjesz? – zaproponowała bez większego przekonania.

– Zwariowałaś? – warknął. – Nie mam ochoty na żadne balety. Marzę o tym, żeby wziąć prysznic i rąbnąć się spać. Nie chcę nawet kolacji. Kornecki zamówił catering.

Kornecki to szef, tyle wiedziała. Skoro siedział z Jackiem w sobotę, faktycznie musiało być grubo. Zapieprz po łokcie. Zaczęła zbierać się do wyjścia.

Pani Teresa wypchała jej torebkę słoikami z dżemem domowej roboty i dołożyła butlę malinowego soku.

– To do herbaty, Adulka – tłumaczyła, całując ją w oba policzki. – Żebyś się nie zaziębiła. I wpadaj do nas. Wiesz, że my cię jak własną córkę...

– Wiem – bąknęła skrzepowana, bo zawsze nieco onieśmiałała ją ta wylewność rodziców przyjaciółki. – Muszę lecieć. Pa, Majka – dodała, wołając w stronę pokoju. – Nie wstawaj. Pilnuj mojego chrześniaka i pozdrów tego swojego pantografa, gdy wróci z roboty. Zdzwonimy się.

Biegiem pokonała schody i wskoczyła do samochodu zaparkowanego tuż pod klatką.

Jacek spojrział krytycznie na jej zaróżowione policzki.

– Piłaś.

– Oj, zaraz piłaś. Trochę nalewki do obiadu. Z mirabelek. Pycha – zamruczała i oblizała się z zadowoleniem.

Zawadowicz skrzywił się tylko i ruszył spod bloku krętymi uliczkami osiedlowymi. Jego narzeczona, w doskonałym nastroju, nie zwracała uwagi na takie drobiazgi. Uśmiechnęła się figlarnie i położyła mu dłoń na udzie.

– No, rozchmurz się. Jutro niedziela. Możemy w ogóle nie wychodzić z łóżka. Co ty na to?

– Zobaczymy.

– Echeś, jasne. Już ja zrobię tak, że zobaczysz – obiecała i coraz śmielej krążyła dłonią po jego nodze, zbliżając się do rozporoka. – Mam dla ciebie pyszne domowe dzemy i sok malinowy.

– Przebadane przez sanepid? – spytał, zerkając na nią, i uśmiechnął się krzywo, skręcając w Retkińską.

– Nie bądź taki drobiazgowy – wymamrotała i stanowczym ruchem rozpięła mu pasek spodni.

Kilka chwil później zdołała tak skutecznie odwrócić uwagę narzeczonego od pozornie pustej jezdni, że gdy dostrzegł pędzącego Maratońską wiśniowego nissana, było już za późno, żeby uniknąć stłuczki.

Kłujący się intensywnie intymny nastrój w ciągu paru sekund wyparował jak kamfora. Zastąpiła go wściekłość skierowana głównie na Adę, czemu Walicka wcale się nie dziwiła. Mogła nie zaczynać w czasie jazdy. Natychmiast poczuła, że ze strachu stała się całkowicie i stuprocentowo trzeźwa. Facet z tego wiśniowego czegoś, w które przywalili, nie wysiadał, co wzbudziło gwałtowny niepokój. Jacek pierwszy zdecydował się wy badać sytuację. Szybko zamienił pogawędkę z poszkodowanym kierowcą na papierosa i rozmowę z numerem sto dwanaście.

Ada przejęła zatem ciężar porozumienia się z ofiarą wypadku i przez moment miała obawy, że gość doznał amnezji. Wkrótce jednak się okazało, że postanowił zrobić z niej wariatkę i jest po prostu najzwyczajniejszym

w świecie bucem. Może jej się należało. W sumie to jej wina. Kto normalny bierze się do takich głupich zabaw w aucie? W ogóle mogła nie pić tej nalewki, a najlepiej nie iść tego wieczora do Kaletów, tylko zostać w domu. Jacek miał rację. Idiotka z niej. Powinna zapisać się na kursy albo szkolenia. Może na jakieś zajęcia artystyczne, które można by potem wykorzystać w pracy z dziećmi. Na przykład na kurs kaligrafii. To uczy cierpliwości. Świetny pomysł.

Boże, dlaczego ona zawsze musi być taka narwana? I co zrobi w poniedziałek bez Majki? Znów z czymś wyskoczy i skompromituje się przed tą nową dziewczyną. Na pewno tak będzie.

– Głupia ja – szepnęła, wchodząc grubo po północy pod kołdrę.

– Co? – spytał narzeczony.

– Nic – odburknęła, niezbyt chętna do jakichkolwiek zwierzeń.

– Jak nic, to nic. To nie gadajmy – mruknął i przyciągnął ją do siebie, żeby dokończyć to, co zaczęła w samochodzie.

Adzie było wszystko jedno. Jacek robił swoje, a ona myślała tylko o tym, czy połatali tamtego faceta z rozbitą skronią, i o tym, co nowego czeka ją po niedzieli. Bała się tego. Wszelkich zmian w życiu bała się jak ognia. Brakowało jej na nie odwagi i wiary w siebie. A oprócz tego mamy stojącej z tyłu, za krzesłem, czeszącej wieczorami jej włosy. Albo kogoś innego, kto czasem pomógłby jej usiąść przed lustrem i powiedzieć: „Lubię cię, Ada, jesteś w porządku”.

Majka i Jacek nie nadawali się do tego. Żadne z nich nie rozumiało, dlaczego i po co miewa takie rozterki. Tej soboty Ada czuła, że nawet próba podejścia do lustra nie ma sensu. Wiedziała, że nie da rady spojrzeć sobie w oczy.

5.

Danuta Marudowicz zapukała lekko w jasne drewno i wsadziła głowę przez uchylone drzwi.

– Cześć, dzieciaki, co porabiacie? – zagaiła wesołym głosem.

– Mierzymy temperaturę – wyjaśnił blady chłopiec w bluzce z napisem *Jestem łobuzem*.

– Komu?

– Mrozu..., mrozowi... – zaczął się plątać, zerkając pytająco na nauczycielkę. – Zimie! Mierzymy temperaturę zimie. Sprawdzamy, czy się nie ociepla.

– I co?

– Słabo – stwierdził drugi chłopiec, sepleniący przez brak górnych jedynek. – Doktor Maczek mówi, że jak tak dalej pójdzie, Mikołaj przeprowadzi się do nas z Laponii.

– Chcielibyście! – Maruda zaśmiała się, otwierając drzwi szerzej. – Tymczasem mam dla was i dla pani Ady niespodziankę.

Walicka siedziała przy jednym ze stolików i wyjaśniała dwójce najstarszych dzieci tajniki dodawania sposobem pisemnym. Jak zdołała połączyć to z mierzeniem temperatury, wiedziała tylko ona. Podniosła głowę znad zeszytu i zerknęła na drzwi z zaciekawieniem.

Danuta była niską drobną kobietą w wieku około pięćdziesięciu lat. Miała szczupłą przyjemną twarz i bardzo krótkie szpakowate włosy, które wcale nie ujmowały jej kobiecości. Najczęściej nosiła obcisłe garsonki w jasnych kolorach. Uzupełniała je pstrokatymi apaszkami stanowiącymi jedyną ozdobę jej stroju. Nie uznawała kolczyków, pierścionków ani żadnej innej biżuterii. Uważała je za niepotrzebne i kłopotliwe bzdury, podobnie jak szpilki. W zakresie butów ograniczała się do niskich obcasów lub koturnów.

– Pani Majka wróciła? – podekscytowała się dziewczynka w koszulce moro, ściskająca w garści figurkę komandosa.

– Aż tak dobrze, niestety, nie będzie. Mam jednak kogoś, kto spróbuje wam ją zastąpić.

Danuta otworzyła szerzej drzwi i weszła do środka. Ada podniosła się z krzesła, żeby przywitać nową pomoc we właściwej, spionizowanej pozycji. Odruchowo podparła się dłonią na otwartym zeszycie, w którym nie zdążył zaschnąć kleks przy kreślonych piórem wynikach dodawania pisemnego. Następnie, żeby ukryć niepewność i zdenerwowanie, tą samą dłonią poprawiła włosy, odsuwając kosmyki, które uciekły z koka i zsunęły jej się

na czoło. Tym sposobem zupełnie nieświadomie rozmazała sobie malowniczą atramentową pręgę. Zaraz potem niemal zakrztusiła się własną śliną, kiedy Maruda przedstawiła jej zastępstwo za Majkę.

– Ada, to Bartek Pilch, nasz wolontariusz z hospicjum. Od dziś jest twoim pomocnikiem, powiernikiem i prawą ręką. Ma spore doświadczenie z naszymi dziećmi, na pewno się dogadacie. Resztę opowie ci sam. Lecę, nie zamierzam wam przeszkadzać. Szkoda czasu, kiedy młode chłonne mózgi czekają na wiedzę.

Walicka gapiała się na przybyłego faceta, nie mogąc wydusić z siebie słowa. Zaskoczenie mieszało się w niej z niezadowoleniem. Spodziewała się kobiety, była pewna, że w miejsce przyjaciółki zjawi się młoda dziewczyna. Zresztą, niechby nawet był to jakiś koleś, ale dlaczego akurat ten, w którego wjechali z Jackiem dwa dni temu w takich idiotycznych okolicznościach? Po tych paru zdaniach, które wymienili owego sobotniego wieczoru, zdołał sprawić, że poczuła się jak idiotka, i w ogóle nie miała ochoty z nim rozmawiać. Wolałaby zapaść się pod ziemię, niż zamienić z nim choćby jedno słowo, choćby sylabę czy nawet głoskę. Niech to diabli!

Maruda pomachała dzieciom na pożegnanie, poklepała przyprowowanego mężczyznę po plecach i wyszła z sali. Uczniowie z zaciekawieniem przyglądali się zastygłej nauczycielce i czekali na dalszy rozwój wydarzeń. Świeżo zatrudniona pomoc fachowa poczuła, że musi przejąć inicjatywę.

– Cześć, dzieciaki, czy wasza pani jest zawsze taka małowówna? Mam na imię Bartek i będę wspólnie z panią Adą was uczył. Proponuję, żebyśmy teraz się zapoznali, opowiecie mi coś o sobie, podczas kiedy pani Ada pójdzie się umyć, bo cała wymazała się atramentem.

Dzieci parsknęły śmiechem, a Walicka przez chwilę się zastanawiała, czy wolałaby zniknąć pod czapką niewidką, czy kopnąć tego patałacha w kolano. Może przestałby się szczerzyć i udawać takiego cholernie zadowolonego. Z jakiej racji próbuje rozstawiać ją po kątach i decydować o przebiegu zajęć? To ona jest nauczycielem prowadzącym i do niej należy inicjatywa.

Skoro tak, powinna zatem coś zrobić.

Mimowolnie ręka skoczyła jej do policzka, jakby była w stanie wyczuć pod palcami niebieskie ślady. Może faktycznie się pobrudziła?

Dzieci zachichotały jeszcze głośniejsze.

– Zimno – oświadczył ten błazen, który (litości, jakimże to niby sposobem?) miał jej zastąpić Majkę. – Radzę poszukać na czole.

– Za chwilę wracam – rzuciła do dzieci, obdarzyła uśmiechniętego barana spojrzeniem bazyliuszka i nie wdając się w dalsze dyskusje, zniknęła za drzwiami.

Kiedy wróciła kilka minut później, po zmyciu z czoła śladów frustracji, wściekłości i atramentu, w klasie robota szła pełną parą, każde dziecko zajmowało się swoim zadaniem, a nowy nauczyciel krążył między stolikami i w ciszy zaglądał do zeszytów.

Podszedł do niej z triumfalnym uśmiechem.

– Tak wyglądasz znacznie lepiej – skomentował. – Kontynuujemy to, co zaczęliśmy, zanim wam z Marudą przerwałem. Fajna ekipa, wszystko mi pokazali.

– Jak się czujesz? – wydusiła z siebie i zerknęła znacząco na opatrunek na jego skroni.

– Już mnie o to wypytały. – Zaśmiał się, wskazując wzrokiem na pracujące dzieci. – Goi się. Będę żył i mogę pracować. Nie bój się, nie zemdleję na lekcji. Samochód też mi za kilka dni wyklepią, w sumie nic wielkiego się nie stało.

– Ale mogło.

– Zawsze z ciebie taka pesymistka?

– A ty zawsze taki nadmiernie aktywny? – wypaliła, zdobywając się wreszcie na odwagę, żeby mu się odgryźć. – Mogłeś poczekać, aż wrócę. Pamiętaj, że ja tu dowodzę, a ty mi tylko pomagasz. I proszę, nie nabijaj się ze mnie przy dzieciach. To osłabia mój autorytet. Najlepiej w ogóle się ze mnie nie nabijaj – zakończyła stanowczym tonem, podnosząc nieco głos, i wyminęła go, żeby podejść do siedzących przy stolikach uczniów.

– Tak jest. Może zwracać się do ciebie „królowo” albo „caryco”? – rzucił przez ramię na tyle głośno, że wszyscy obecni w klasie zastrzygli uszami. –

Ja zostanę nadwornym błaznem i w razie potrzeby paziem albo skrybą. A niech tam, mogę zmienić się nawet w twój podnózek.

Ada stanęła w miejscu, a klasa wybuchnęła śmiechem.

– Myślę, że wystarczy tej popisowy, panie Plich.

– Pilch – poprawił ze spokojnym uśmiechem, przysiadając na biurku i krzyżując ręce na piersiach.

– Niech będzie Pilch, wszystko jedno.

– Mnie nie wszystko jedno. Dziadek by się obraził. Jest mocno przywiązany do nazwiska i historii rodu. Poza tym w sobotę przeszliśmy chyba na „ty”.

– Zatem „ty” przeszkadzasz mi w prowadzeniu lekcji – wycodziła przez zęby ze złością, podchodząc do niego i wciskając mu palec wskazujący w żebra.

Złapał ją za ów palec i odsunął jej dłoń na bezpieczną odległość, mniej więcej pół metra od siebie.

– Ależ skąd. Jestem tu po to, żeby pomagać ci w prowadzeniu lekcji. Po to zostałem zatrudniony i tym się właśnie zajmowałem, dopóki nie zaczęłaś robić mi awantury.

– Czy mogłabym cię zatem poprosić, żebyś teraz już mi nie pomagał i siedział cicho? – wypaliła, siląc się na maksymalną dozę szyderstwa, na jaką było ją stać w tym momencie. – Może wtedy zdołam czegokolwiek nauczyć te dzieci.

– Proszę bardzo – zgodził się Bartek, czym niebotycznie ją zaskoczył.

Wycofał się na krzesło przy stoliku w kącie i ograniczył do roli obserwatora. Nie wydał z siebie ani jednego dźwięku, ale jednocześnie nie spuszczał jej z oka. Gapił się jawnie, nie ukradkiem i nie w ten sposób, jakiego, na upartego, mogłaby się spodziewać. W końcu zdarzyło jej się parę razy w życiu, że faceci wodzili za nią wzrokiem. Ten nie patrzył ani na jej pośladki, ani na piersi, ani na nogi. Obserwował ją jakoś tak całościowo, jakby oceniał nie to, jak wygląda, a to, co robi, mówi, jak się zachowuje. Na coś takiego absolutnie nie była przygotowana. W efekcie wszystko leciało jej z rąk, plątał się język i cały czas potykała się o krzesła jak ostatnia lebiega.

Pieprzyć to!

Do dupy z taką pomocą!

Albo niech wraca Majka, albo niech Maruda znajdzie jej kogoś normalnego. Ona z tym natarczywym, przemądrzałym świrem nie wytrzyma!

Co za dziwoląg? Gdyby chociaż był przystojny! Może to wyjaśniałoby jego zbyt pewne siebie, szczeniackie zagrywki. Ale nie. Zwyczajny facet koło trzydziestki, dość wysoki, chyba nieco wyższy od Jacka. Sylwetka przeciętna. Ciemny kilkudniowy zarost na twarzy. Krótko ostrzyżone włosy z wyraźnymi zakolami. Walicka pomyślała z satysfakcją, że na pewno za kilka lat ten gbur będzie łysy jak kolano i – o dziwo – poprawiło jej to

samopoczucie. Z pewnością mógł się podobać, jednak nie był to typ mężczyzny, o którego panny zabijają się na każdym rogu ulicy. Więc po jaką cholere mu to całe pajacowanie?

Po porannych zajęciach wypadła jak burza przed budynek, bo marzyła tylko o chwili, kiedy wreszcie zapali papierosa. Wyszarpnęła z kieszeni pudełko mentolowych L&M-ów z taką siłą, że zapalniczka wypadła na udeptany śnieg. Złorzecząc na wszystkich po trochu, z Marudą na czele, Ada walczyła o ogień. Kiedy wreszcie udało jej się wtłoczyć odrobinę nikotyny do płuc, sięgnęła po telefon i wybrała numer do Majki.

– Nienawidzę cię – oświadczyła w ramach powitania.

– Aż tak źle? – ucieszyła się, nie wiedząc czemu, przyjaciółka. – Myślałam, że nie poczujesz różnicy.

– Różnica jest diametralna.

– A jakbyś tak coś konkretniej...

– Konkretniej to ty masz macicę, cycki i jajowody, a twoje zastępstwo ma zarost na pysku, nadmiar testosteronu i posrane we łbie.

– No nie kituj? Jesteś pewna?

– Że ma posrane? Absolutnie. Zarost widziałam, a co do testosteronu mam poważne podejrzenia.

– Znaczy, że to facet? – dopytywała Majka. – Taki normalny, po prostu, kurde, facet?

– Normalny raczej nie. Zachowuje się jak czubek. Ale facet. Chyba że kobieta z brodą. W spodnie mu nie zaglądałam i, wybaczyć, nie zamierzam.

– Rany, skąd ta Maruda go wytrzasnęła?

– Nie mam pojęcia. Wyrwał się jak filip z konopi. Podobno z naszego hospicjum. Urodź tego mojego chrześniaka, Bezpryma czy Afanazego, i wracaj.

– Wiesz co, a może by tak Filip?

– Może być i Filip, tylko zrób tak, żeby wyrobić się do jutra.

– Z czym?

– Z urodzeniem i wysłaniem go do żłobka.

– Zwariowałaś.

– Jeszcze nie, ale lada chwila zwariuję.

Majka zachichotała i zakończyła rozmowę, Ada z westchnieniem schowała telefon do kieszeni, zdusiła peta butem i zapaliła natychmiast kolejnego papierosa. Rozejrzała się po mroźnej, ośnieżonej okolicy i potupała nogami, żeby rozgrzać stopy.

– Nie jestem kobietą z brodą. – Usłyszała tuż za plecami i aż podskoczyła z zaskoczenia. – Nie musisz mi zaglądać w spodnie.

– Podśluchiwałaś?!

– Wyszedłem pooddychać świeżym powietrzem, a ty rozmawiałaś bardzo głośno.

Poczuła, że mimo mrozu oblewa ją fala gorąca. Jeśli ten osioł słyszał całą pogawędkę, przyjdzie jej spalić się ze wstydu jeszcze szybciej niż papieros.

– Mogłeś dać znać, że tu jesteś.

– Kazałaś mi się nie odzywać.

– W klasie.

– Nie odwołałaś rozkazu.

– Musisz być taki...

– Muszę. Niestety – przerwał jej nagle zirytowany. – A ty nie pal tyle, to cholernie niezdrowe. To głupota – dodał, odwrócił się na pięcie i zniknął we wnętrzu budynku.

Ada pierwszy raz od czterech lat, od kiedy przekroczyła próg fundacji, poczuła całym sercem, że nie ma ochoty wracać do pracy.

Podczas zajęć indywidualnych mogła odrobinę odetchnąć, ponieważ każde z nich zajmowało się innym dzieckiem. Przekazała jedynie w skrócie informacje, na czym Pilch powinien się skupić i czego dotyczą jego obowiązki. Zrobiła to tak formalnie, jak tylko się dało. Nie ułatwiał jej zadania, wysłuchując wszystkiego w milczeniu i ograniczając się wyłącznie do zdawkowego potakiwania. Popołudniowe lekcje w klasie przesiedział w swoim kącie przy stoliku bez słowa, podobnie jak rano, cały czas wnikliwie ją obserwując. Pod koniec dnia miała wrażenie, że za chwilę wybuchnie i rozpadnie się na strzępy z wściekłości, chociaż nie powinna mieć do niego pretensji, bo przecież sama kazała mu się zamknąć i wyłącznie przyglądać. A że robił to tak intensywnie, że powietrze w klasie gęstniało, a ona co chwilę gubiła lekcyjny wątek, to już inny temat.

Wariactwo.

Przyjazd Jacka odebrała z niekłamaną ulgą.

6.

Przez kolejne dni nie zmieniało się nic i wyglądało na to, że oboje postanowili sprawdzić, które pierwsze się złamie. Bartek wychodził ze swojego kąta tylko wówczas, gdy zostawał z dziećmi sam. Po powrocie Ada znajdowała go w pełnej akcji, podczas opowiadania im jakiejś historii lub zwyczajnego bawienia się z nimi. Zwykle zaśmiewały się przy tym do łez i wodziły za nauczycielem wzrokiem jak za gwiazdą rocka albo bohaterem ulubionego serialu. Zastanawiała się, co je tak w nim zachwyca, jednak nie miała szans, by to sprawdzić. Widząc ją, natychmiast przywdziewał na twarz maskę bez wyrazu i sadowił się na krześle obserwatora, by ani na chwilę nie spuszczać z niej wzroku. Miała wielką ochotę zagonić go do aktywnej pracy podczas jej obecności, jednak wciąż tkwiło w niej przekonanie, że to byłoby jak przyznanie się do porażki i uznanie własnej słabości.

W piątek miała już tak serdecznie dosyć, że planowała udać się do Marudy na poważną rozmowę i postawić jakieś niewygodne ultimatum typu: albo Ada, albo Bartek. Sprawa wydawała jej się wyjątkowo nieprzyjemna, bo wcale nie chciała przyczynić się do tego, żeby facet stracił pracę – nawet jeśli jest osłem i kretynem. Przetrwiała poranne zajęcia, które tylko utwierdziły ją w powziętym postanowieniu, odwiedziła pacjentów przykutych do łóżek i wracała do swojej sali na małą kawę przed popołudniowymi lekcjami, kiedy wpadł na nią młody chłopak pchający przed sobą na wózku inwalidzkim innego dzieciaka. Obaj głośno warczeli.

Ada jęknęła, łapiąc się za piszczel, w który oberwała w wyniku zderzenia.

– Jak prowadzisz, Gutek? – wybuchnął starszy chłopiec. – Taki z ciebie rajdowiec? Uszkodziliśmy panią naszym astonem martinem. Przepraszamy.

Walicka przeniosła wzrok z wystraszonej drobnej buzi na wózku na jasną bladą twarz powyżej i poczuła, że z jej policzków także odpływa cała krew.

– Maciek? – spytała niepewnym głosem.

– Maciek, Maciek. – Usłyszała w odpowiedzi. – Myślałem, że już mnie pani nie poznaje.

– Prawdę mówiąc, wolałabym cię tu nie spotkać. Ile się nie widzieliśmy? Dwa lata?

– Od ostatniego pobytu? Dwa i pół. Ale co zrobić? Skubaniec postanowił uderzyć trzeci raz. Leżę pod dziesiątką. Zajrzy pani po lekcjach?

– Jasne. Przyjdę po piętnastej. Czekać na mnie.

– To jesteśmy umówieni. Przywiozę do pani Gutka na lekcje. Jest nowy, z mojego bidula. Zostanie pani uczniem. Chyba że nic u niego nie znajdą

i skończy się tylko na badaniach. Coś ma nie halo z leukocytami.

Dotarła do klasy, ledwo widząc na oczy. Usiadła na krześle przy biurku, zsunęła buty i podkurczyła nogi, obejmując je ramionami. Oparła brodę na kolanach i przymknęła powieki, czując, że zbiera się pod nimi nadmiar niechcianej wilgoci.

Była pewna, że jest sama. Kiedy usłyszała stuknięcie kubka o blat, aż podskoczyła.

– Przepraszam – powiedział Bartek, podsuwając w jej stronę parujący napój o intensywnym i kuszącym zapachu cytrusów. – Napij się. Mocna herbata z cytryną i sokiem z pomarańczy. Do tego cukier trzcinowy. Nic więcej tu nie mam, ale taka mieszanka powinna postawić cię na nogi lepiej niż kawa.

– Dziękuję. Nie zauważyłam cię.

– Wiem. Przy mnie starasz się nie zachowywać ani naturalnie, ani uprzejmie. Drażnię cię pod każdym względem. Ciekawe zjawisko.

– Zawsze jesteś taki bezpośredni?

– Zawsze. Coś się stało? – zmienił temat, sięgając po chusteczki z parapetu i podając jej, żeby mogła wytrzeć zapłakaną twarz. – Mogę ci jakoś pomóc?

– Przed chwilą przyznałeś, że mnie drażnisz. Mimo to chcesz mi pomóc?

– A dlaczego nie?

Nie miała na to argumentu, więc żeby zabić niewygodną ciszę, skupiła się na siorbaniu gorącej herbaty. Kiedy zamierzała już się poddać i opowiedzieć mu o Maćku, w jego kieszeni zaterkotał telefon. Podniósł się, odwrócił do niej plecami i podszedł do okna.

– Tak, słucham? Oczywiście, pamiętam... „Dziennik Łódzki”, broń Boże nie „Express Ilustrowany”, garść włoskich orzechów i pół chleba. Pojawię się jak zwykle. Do zobaczenia. – Obszedł biurko i przyjrzał się Walickiej badawczo, chowając telefon. – Lepiej już się czujesz? Może coś zjesz?

– Dlaczego Maruda cię zatrudniła? Brakowało kandydatów?

– Nie wiem. Zadzwoiła i zapytała, czy nie mógłbym przez jakiś czas poświęcić fundacji nieco więcej godzin tygodniowo niż zwykle.

– To znaczy?

– Standardowo wpadam do hospicjum dwa razy w tygodniu.

– Nie pracujesz?

– Oczywiście, że pracuję. W domu. Sam decyduję o tym, w jakich godzinach. Bywa, że muszę dopasować się do terminów spotkań z innymi

ludźmi, zwykle po południu. Ranki mam wolne.

– To nadal nie wyjaśnia decyzji Danki. Dlaczego postanowiła przekształcić cię z wolontariusza w etatowca? Studiowałeś coś, co ma związek z dziećmi?

– Lepiej mnie zapytaj, czego nie studiowałem. Nie tknąłem chyba tylko medycyny.

– Okej, a cokolwiek z tego, co studiowałeś, zdołałeś skończyć?

– Coś tam się udało. Pedagogikę doholowałem do licencjatu.

– Nie ułatwiasz tej rozmowy.

– A powinienem? Zachowujesz się jak podczas przesłuchania podejrzanego o jakieś niebezpieczne szwindle. W dodatku już na dzień dobry ustawiłaś mnie na pozycji porównywalnej do kredy albo tablicy korkowej.

– Nie przesadzaj. Masz być nauczycielem wspomagającym. Ja prowadzę lekcje, ustaliam zasady, przygotowuję zajęcia i podejmuję decyzje. Ty mi pomagasz. Taki układ.

– Bez prawa do negocjacji?

– Sprawdzał się przez ostatnie cztery lata.

– Oczywiście, że się sprawdzał. Znając Majkę Lipską, tak było najwygodniej. Uwiesiła się na tobie i nie musiała myśleć.

– Nie mów tak, nie znasz jej.

– Od najgorszej strony zdążyłem ją poznać. Potrafi tylko wymachiwać biustem.

Ada obrzuciła Bartka wściekłym spojrzeniem i wyszła z klasy, trzaskając drzwiami. Postanowiła spędzić resztę przerwy w towarzystwie papierosa na mrozie, a potem iść prosto na obchód, żeby pozgarniać dzieciaki. Nigdy więcej sam na sam z tym patałachem. Niezależnie od tego, co studiował i co skończył. Dlaczego aż tak bardzo działał jej na nerwy? I skąd znał Majkę?

Nie, tego tygodnia nie można zaliczyć do szczególnie udanych.

Do tego jeszcze Maciek...

Dałaby wiele, naprawdę wiele, żeby go wcale w to piątkowe popołudnie nie spotkać.

Przesiedziała w szpitalu cały wieczór, tłumacząc się z tego uprzednio Jackowi, kiedy przyjechał, żeby zabrać ją do domu.

– Ada, nic nie musisz wyjaśniać, to oczywiste – powiedział ciepłym głosem, łapiąc ją za dłonie i mocno zaskakując.

Spodziewała się pretensji i żalów, jak o wieczór u rodziców Majki.

– Nie jest ci przykro, że zostaję?

– Skąd. Popracuję spokojnie. Mam mnóstwo papierów. Posiedź z tym dzieciakiem, pamiętam go. Nie może być dzisiaj sam. Lecę, a kiedy wrócisz, będę czekał z ciepłą kołdrą.

Odprowadziła go wzrokiem, gdy odchodził pustym korytarzem. Ze zdziwieniem spostrzegła, że skinął głową salowemu, który krzątał się przy wejściu do pokoju pielęgniarek. Tamten odpowiedział mu na powitanie podobnie oszczędnym gestem.

Jacek nawiązujący kontakt z kimś poniżej magistra? A może to jego student, który w szpitalu dorabia na czesne? Machnęła ręką na bzdury i szybkim krokiem podążyła do Maćka.

– Powiedzieli ci już coś konkretnego? – spytała, rzucając chłopcu sok. – Będzie chemia?

Przysiadła wygodnie na łóżku i pociągnęła łyk ze swojej butelki.

– Jeszcze nie wiem. Musimy o tym? Widzę, że miłość do pomarańczy pani nie przeszła.

– Absolutnie nie i chyba nigdy nie przejdzie. Opowiadaj, co się z tobą działo. Jak ci się wiedzie?

– Zwyczajnie. Nic ciekawego.

– Proszę cię, Maciek! Jakieś sukcesy, przyjaźnie, imprezy? Oryginalne hobby, może pierwsza miłość?

Chłopiec oparł się plecami o poduszkę, przebiegł wzrokiem po suficie, jakby szukał na nim odpowiedzi na wszystkie pytania. Nie chciał rozczarować byłej nauczycielki, jednak naprawdę nie było nic, czym mógłby jej się pochwalić. Pogapił się przez moment na widok za oknem i wreszcie spojrział Adzie w oczy.

– Nic. Uczę się tak sobie. Nie wlokę się w ogonie, jednak do czerwonych pasków mi daleko. Kręci się wokół mnie paru kumpli, chociaż nie nazwałbym ich przyjaciółmi.

– Dlaczego?

– Ci ze szkoły mają inne życie, rodziców, domy i jakieś wydumane problemy. Do tych z domu dziecka nie bardzo pasuję. Przez chorobę, a może sam z siebie jestem po prostu inny. Nie wiem. Na oryginalne hobby nie mam kasy, a pierwsza miłość ciągle mnie omija.

– To jak spędzasz czas?

– Chodzę do szkoły, trochę czytam, obijam się, a wieczorami pomagam srulsom w odrabianiu lekcji i uczę ich kopać piłkę.

– Srulsom?

– No tak, takim jak Gutek. – Maciek wskazał ręką chłopca, którego kilka godzin wcześniej brawurowym slalomem wiozł na wózku przez szpitalny korytarz.

Gutek oderwał wzrok od albumu z kartami piłkarskimi i spojrzał na Adę.

– Tak mówi, ale my się nie gniewamy, proszę pani. Dopóki mnie nie wytrenował w porządnym kopaniu, machałem nogą jak osioł kopytem. Śmiali się ze mnie, że ten z bidula umie tylko szmaty puszczać.

– Ale się poprawiłeś, młody – pochwalił go Maciek. – Jeszcze trochę i zaczniesz strzelać jak Lewy.

– Kiedyś zagram w reprezentacji. Niech pani zapamięta. Gustaw Bączek, napastnik stulecia. Zarobię gruby hajs i wszystkim srulsom z naszego domu dziecka załatwię darmowe wejściówki na mecze.

– Wtedy już nie będziesz w bidulu, Gutek – zwrócił mu uwagę starszy kolega.

– No to co? Przecież o tym nie zapomnę, nie?

– Widzi pani? Nawet srulsy wiedzą, że to zostanie w nas na zawsze.

– Maciek, ale to nie znaczy, że nie macie przyszłości, że nie będziecie szczęśliwi – powiedziała Ada, biorąc go za rękę, tak jak robiła to wiele razy, lata temu, kiedy sam był jeszcze małym srulsem.

Łagodnym, lecz zdecydowanym ruchem wysunął dłoń, jakby nie chciał jej obrazić tym, że ucieka przed czułością.

– Niektórzy z nas mogą nie zdążyć – oznajmił cicho, nie wiadomo, czy bardziej do niej, czy do siebie, bo odwrócił się do Ady plecami i zapatrzył w ciemność za oknem.

Nauczycielka wzięła z szafki Gutka książkę o największych gwiazdach światowego futbolu i – siedząc między chłopcami – przez cały wieczór głośno czytała.

Sruls otwarcie i jawnie cieszył się z jej przyjaznej obecności, z niespodziewanej uwagi, jaką ich obdarzyła. Jego starszy kolega wolałby być teraz wszędzie, absolutnie wszędzie, tylko nie tu z tą fantastyczną, przemiłą panią, którą naprawdę ogromnie lubił, i z tym nieopierzonym Gutkiem, który patrzył na niego jak na bohatera, bo nauczył go trafić do bramki i wiedział już, co to jest rak.

Życie potrafi mocno człowiekowi dokopać. Mając zaledwie trzynaście lat, Maciek odnosił wrażenie, że patrzy na świat oczami zmęczonego i nazbyt

dojrzałego człowieka. Przy srulsach czuł się stary. A tam przy srulsach! – przy pani Adzie też.

Taki paradoks.

– Jestem jak paradoks – wyszeptał cicho, delektując się tym, że zna takie trudne słowo. – Powinienem mieć na drugie Paradoks, a nie Wincent. Młody stary. Paranoja.

– Co mówisz, Maciek? – spytała Ada, przerywając czytanie.

– Nic – odpowiedział głośniejszym głosem. – Niech pani już idzie. Nie wyśpi się pani i narzeczony będzie się martwił.

Walicka zerknęła na zegarek.

– Może faktycznie. Ósma. Dobranoc, chłopcy. Do poniedziałku.

Sruls pomachał jej energicznie ręką na pożegnanie. Paradoks tylko uniósł dłoń.

7.

Kuchnia Lipskich była mikroskopijnych rozmiarów i dwie kręcące się po niej osoby już stanowiły tłok. Trzecia, w dodatku z wielkim bębniem z przodu, nie miała szansy się tam zmieścić. Dlatego spokojnie została w fotelu w większym pokoju nazywanym zwykle stołowym i buszowała po internecie w poszukiwaniu kompletów pościelowych dla niemowląt. Wybór wzoru powłoczek wydawał jej się sprawą życiową i zajmował ją bez reszty od dobrych paru dni.

Walicka spędzała sobotę na plotkach u przyjaciółki, korzystając z tego, że narzeczony, jak zwykle, pojechał do pracy.

Tomasz skroił na talerz pół blachy szarlotki i postawił ją na tacy obok cukierniczki. Na pozostałej wolnej przestrzeni próbował upchnąć dwa kubki ze świeżo zaparzoną herbatą z sokiem malinowym.

Lipski miał nieco misiowatą posturę, odrobinę może zbyt przysadzistą, za to cechowały go spokój i zdrowy rozsądek, co przy postrzelonej Majce było na wagę złota. Poza tym uważał się za całkiem normalnego faceta, domatora, bez nałogów, wielkich pasji czy wygórowanych potrzeb. Lubił seks z własną żoną, wieczory w towarzystwie teściów i tramwaje. Szczególnie stare, zabytkowe modele. Takie hobby. Liczył na to, że zarazi nim syna.

– Poczekaj, nie pchaj – powstrzymała go Ada. – Kubki ja wezmę, bo rozlejesz herbatę na to dobro. Szarlotka twojej teściowej to żarcie bogów.

– Bredzisz. Żarcie bogów to przy tym zwykła chała.

– Oj, chała... Pamiętasz te chały z cukierni przy Wojska Polskiego? Przynosiłeś Majce na uczelnię, kiedy ją odbierałeś po zajęciach. Zawsze odrywałam wielki kawał, a ona psioczyła, że gdybyś przynosił kwiaty, tobym nie kradła płatków. Zazdrościłam jej.

– Tej chałki?

– Zwariowałeś? Tego, że tak po nią przychodzisz, a ja wracam sama.

– Za to ty miałaś utytułowanego faceta stypendystę, który zgarniał wszelkie możliwe nagrody, jeździł na wymiany studenckie i zasuwiał jednocześnie na dwóch kierunkach, harując od rana do nocy. Pełen szpan. Ona trafiła tylko na tramwajarza z chałą.

– Coś za coś – podsumowała Ada i dołożyła na tacę dwie łyżeczki.

– Hej, wyzdychaliście tam? – Nagle dotarł do nich głos Majki. – Zdążycie z tą szarlotką, zanim urodzę Pankracego?

– Już idziemy! – huknął w stronę pokoju stołowego Tomasz, podnosząc ostrożnie tacę i ruszając w stronę żony.

– Pankracego? – wystraszyła się Walicka, idąc z kubkami tuż za nim. – To przecież był pies. Tomasz, ja cię proszę, ogarnij tę kobietę, bo jeszcze trochę i nazwie dziecko Azor.

Lipski zdławił w sobie śmiech, walcząc, by szarlotka nie wylądowała na podłodze w przedpokoju.

– Dziewczęta drogie – oznajmił chwilę później – zostawię was pod opieką mojego syna. Zachowujcie się przyzwoicie. Zabieram kawałek ciasta i idę do roboty.

– A ty bądź grzecznym pantografem – rzuciła Ada na pożegnanie, zamykając za nim drzwi, po czym natychmiast zaatakowała przyjaciółkę tematem, który wydawał jej się równie palący co Majce wzorki na dziecięcych kołderkach. – Słuchaj, on mówi, że cię zna, i to z najgorszej strony.

– Tomasz? Oczywiście, że mnie zna z najgorszej strony – przyznała Lipska z lekkim roztargnieniem, gapiąc się w ekran laptopa. – Patrz, te żyrafki na żółtym tle są najlepsze.

– Nie Tomasz, jaki Tomasz? Bartek.

– Jaki znowu Bartek? Chyba że jednak wyścigówki. Ale to takie typowe. Chłopak i autka, nie?

– Pokaż to. – Ada wyrwała Majce komputer z rąk i przez chwilę studiowała pootwierane zakładki. – Jeśli nie ma wzoru w tramwaje, to zdecydowanie żyrafki. Ja mu kupię, będą od ciotki. Temat zakończony. Teraz się skup – dodała, odkładając laptopa na bok. – Moja pomoc cię zna. Twoje zastępstwo.

– Aaa. Kobieta z brodą? Znaczy ten... Facet z brodą?

– No z brodą. Krótką taką, ale można uznać, że z brodą. Chyba oszczędza na maszynkach do golenia. Zresztą, o czym my mówimy? Skąd go znasz?

– Nie wiem. Trzeba było jego pytać. Pstryknęłaś mu zdjęcie? Nazywa się jakoś?

– Zdjęcie? Zwariowałaś? Wkurza mnie na każdym kroku i jeszcze mam go fotografować? – oburzyła się Walicka, sięgając po ciasto w ramach pociechy za ten burzliwy temat i związane z nim nerwy. – Podobno był wolontariuszem w naszym hospicjum. Nie kojarzę, ale ich jest tam sporo, mógł mi się nie rzucić w oczy. Ciemny, wysoki, zarośnięty jak małpa,

z zakolami. Nazywa się Pilch albo Plich, cały czas myślę, a on się o to ciężko oburza.

– Żartujesz?

– Nie, serio się o to piekli. Mówię ci, debil.

– Naprawdę pracujesz z Pilchem? Ja pierdzielę! – podekscytowała się Majka, nareszcie porządnie zainteresowana tematem.

– Czyli jednak się znacie? Miałaś z nim jakieś starcie?

– Pamiętasz tę wolontariuszkę Natkę?

– Jasne, kto by nie pamiętał? Mówili na nią Słoneczko.

– Echeś. A ona załamywała ręce, bo jej się kojarzyło z nieobyčajnymi zabawami, o jakie posądzano niegdyś gimnazjalistów. Tak czy siak, gdzie nie weszła, wszyscy się uśmiechali. Śliczna, pogodna, niska, drobna blondynka, w dodatku z seksapilem.

– Ideał.

– Prawie, moja droga. Prawie. Idealne jesteśmy tylko my – palnęła Majka, a Ada, porażona powagą i tonem jej wypowiedzi, zakrztusiła się spożywaną szarlotką. – I ten prawie ideał na śmierć zakochał się w Bartku Pilchu.

– Żartujesz?

– Nie, dlaczego? Oblech to on nie jest. Wręcz przeciwnie: inteligentny, odpowiedzialny, wykształcony, do tego empatyczny, wrażliwy. To rzadkość u facetów. No i znany.

– Co to znaczy „znany”?

– No wiesz? Słownik sobie kup. Kochają go wszystkie małolaty. Zresztą podobno nie tylko.

– Dlaczego? Jeździ wyczynowo na deskorolce czy rozprawdza prochy po szkołach? – kpiła Ada.

– Durnaś. Komiksy. Tworzy z bratem komiksy, cholernie popularne. Na ich bazie powstała gra na Androida, a dwóch szczypiorów prowadzi we współpracy z Pilchami tematyczny kanał na YouTube, więc głośno o nich w internetach. Podobno cały ten chłam nawet sensowny edukacyjnie i wychowawczo.

– Nie wierzę... – stęknęła Ada, bo ją zwyczajnie zatkało.

Nie znosiła youtuberów. Do komiksów miała stosunek niewiele lepszy. Przestało ją dziwić, że facet od pierwszego kopa wydał jej się odrażający.

– No co ci poradzę? W każdym razie chłopak może się podobać. Natce odwalilo dość porządnie. Łaziła za nim dobre pół roku i nic. Robiła

wszystko, włącznie z poniżeniem się do tego stopnia, żeby zdobyć jego adres i wystawać u niego pod domem.

– Spuścił ją na drzewo?

– Wręcz przeciwnie. Był bardzo uprzejmy. Powiedział w końcu, że jej zainteresowanie bardzo mu schlebia, ale nic z tego nie będzie, bo on się nie nadaje do randkowania z nią.

– Co to niby znaczy?

– Czekaj. Opowiedziała mi o wszystkim, bo my się znamy z dawnych lat, jeszcze ze szkoły, i podpuściła mnie na mały eksperyment. Przy niej jestem kontrastowa. Uznała, że może on woli ciemne, cycate i miałam spróbować go uwieść.

– Co?

Z emocji Walicka wylała na siebie odrobinę herbaty z sokiem malinowym. Czuła, że ten cholerny Pilch wkrótce ją wykończy.

– Oj, weź się nie ekscytuj, bo zaraz tobie wody odejdą, a nie mi. Przecież nie całkiem. Tomasz by mi nie darował. Tylko tak trochę, żeby było wszystko jasne – paplała ubawiona Majka i skubała palcami wierzchnią warstwę szarlotki obficie posypaną cukrem pudrem. Oderwane kawałki kruchego ciasta z lubością wpychała sobie do ust, nie bacząc na to, że biały pył sypie jej się na dekolt.

– Co żeby było jasne?

– Czy on ma wrodzoną odporność na babskie uwodzenie.

– Osiwieję przez ciebie, dobrze, że twój mąż uciekł do roboty, a syn jest za mały, żeby nakablować. Ty jesteś nienormalna! Jaki wyszedł wynik tych testów?

– Sraki. Pokręciłam się trochę koło niego, powywijałam cyckami i tyłkiem, potem próbowałam go zachęcić do działania w pokoju socjalnym wolontariuszy i gówno z tego wyszło. Nie okazał zainteresowania.

– I dlatego że nie chciał was obu, wyszło wam, że nie lubi kobiet?

– Nie tylko dlatego. Natka warowała pod tym jego blokiem naprawdę długo. Ze trzy miesiące. Trymestr jak nic. Regularnie, kilka razy w tygodniu, odwiedza go brat. Czasem te dwa szczypiory z YouTube'a. Podobno są parą. Nigdy nie przychodzą do niego kobiety. Robi obfite zakupy spożywcze z mnóstwem ziół i egzotycznych składników. Poza tym zdarza mu się kupować kwiaty, które też zanoszą do domu. Masz na to wszystko wytłumaczenie?

– To wcale nie znaczy, że jest gejem. Na cholerę szczypiorom trójkącik z łysiejącym pawianem?

– Świetnie dogaduje się z dziećmi i skończył pedagogikę wczesnoszkolną tak jak my.

– To też o niczym nie świadczy. Opanuj się. Zresztą on mi w ogóle na to nie wygląda.

– A Barry wyglądał?

No tak, Barry. Jeden z niewielu facetów na ich roku. Większość dziewczyn się w nim durzyła, część się zakochała i dopiero, gdy kilku złamał serce, postanowił przyznać się do tego, że żadna nie ma u niego szans. Był bardzo przystojny, wysportowany i umięśniony, stąd jego przydomek: Barry, co ma szerokie bary. Ada nie pamiętała nawet, kto to wymyślił, jednak przyłgnęło natychmiast. Był świetnym kolegą i kiedy tylko przestały się do niego wdzięczyc, z kumplostwa czerpały samą przyjemność. Fakt, że to gej, nie przeszkadzał im absolutnie w niczym.

– No okej, masz rację. Tylko jeśli nawet, to co z tego? Z pracą to nie ma żadnego związku.

– To akurat nie. Jednak ciekawy z niego gość. Taki dość, hm... szczery i bezpośredni. Potrafi przywalić z grubej rury. W dodatku naprawdę zna się na dzieciach. Raczej nie zgodzi się na taką rolę, jaką ja pełniłam w klasie.

– Coś ci nie pasowało?

– Wszystko mi pasowało. Tyle że ja jestem leniwa i wygodna, a to człowiek czynu, cholernie kreatywny. Będziesz miała przesrane, jeśli zamierzasz go sobie podporządkować.

– Zobaczymy. Na razie siedzi w kącie i tylko się na mnie gapi.

– Na twoim miejscu zaczęłabym się go bać – oznajmiła Majka grobowym głosem, chociaż jej mina wskazywała na to, że nabija się z przyjaciółki.

– Na twoim miejscu zaczęłabym się bać porodu – odszczeknęła jej Ada i z zadowoleniem dopiła herbatę.

Po chwili Lipska zdołała znowu dorwać się do laptopa i już do końca spotkania wybierały komplety pościelowe dla Pankracego, który pod żadnym pozorem nie mógłby nazywać się Azor.

Tak przynajmniej twierdziła Majka.

Na razie.

8.

Mijały dni, styczeń przemienił się w luty, a sroga aura nadal nie odpuszczała. Mróz trzymał w okowach wszystkie łódzkie zaułki, jakby na siłę próbował się sprzeczać z klimatyczną rzeczywistością i nadrabiać wszelkie zaniedbania z ostatnich lat, kiedy to zima uporczywie przypominała pogodę z późnego listopada lub wczesnego marca.

Ada korzystała z krótkiej przerwy między porannymi lekcjami a zajęciami indywidualnymi z dziećmi.

– Gównu, a nie topnienie lodowców – marudziła do słuchawki, tupiąc jednocześnie zmarzniętymi nogami o chodnik. – W ogóle przestaję w to wierzyć.

– Bzdury gadasz – odpowiedział Jacek zirytowanym głosem. – Doskonale wiesz, że nawet kilkutygodniowy epizod z ostrą zimą w naszej szerokości geograficznej nie wpłynie na zmianę ogólnej tendencji w przyrodzie.

– Dobra, przestań, proszę – jęknęła i mocniej zaciągnęła się papierosem. – Słuchaj, możemy umówić się tak, że przyjedziesz po mnie dopiero, gdy się wyrobisz? Mnie się nie spieszy.

– Chcesz siedzieć bez sensu w pracy i czekać? Masz coś do czytania?

– Nie bez sensu. Coś tam do czytania mam, ale pójdę do Maćka.

– Kto to jest Maciek? – spytał Jacek podejrzliwym, nieco agresywnym tonem.

– Jak to kto? Jeden z moich pierwszych uczniów z domu dziecka. Ma nawrót. Mówiłam ci przecież.

– A, ten. Pamiętam. Znowu będziesz płakać po nocach?

– Jacek, proszę cię... – mruknęła, zdeptując niedopałek i natychmiast wygrzebując kolejnego L&M-a z opakowania.

– No dobrze, postaram się zdążyć przed osiemnastą.

– Nie spiesz się. Przyjedź, kiedy skończysz robotę. Pa.

Zapaliła z trudem, bo palce jej zgrabiały od trzymania telefonu. Założyła rękawiczki i zaczęła skakać, intensywnie wymachując rękami, żeby się trochę rozgrzać. Papieros zwisał jej smętnie z ust.

Zima miała swoje zalety, zakrywała cały brud i szarość, chowała ubóstwo. Wszystko skrzyło się jednolitą czystą bielą. Nawet stare rozklekotane chałupy i zwykłe blokowiska wyglądały ładniej ubrane w śnieg, szron i szadź. Przynajmniej w oczach Ady.

– Jeśli cię dzieci przyfilują z okien przy tej gimnastyce, to twój nauczycielski autorytet runie z hukiem i rozbije się o szpitalny podjazd. –

Usłyszała nagle tuż za plecami i o mało nie wywinęła orła, odwracając się gwałtownie na obludzonym chodniku.

Prawa noga odjechała jej do przodu. Dziewczyna spróbowała złapać równowagę, nerwowo szukając podparcia lewą, co przybrało formę energicznego tańca z zamaszystym przytupem. Wykonała rękami kilka nieskoordynowanych młynków w powietrzu, zgubiła gdzieś L&M-a, który wyslizgnął jej się spomiędzy warg i został zmiażdżony obcasami, aż wreszcie runęła do tyłu.

Niewątpliwie grzmotnęłyby o ziemię mało szlachetną częścią swojej osoby, objając boleśnie kość ogonową, gdyby nie fakt, że Bartek złapał ją w pasie i ustawił do pionu.

– Zrobiłeś to celowo? – burknęła, wrywając mu się natychmiast i grzebiąc po kieszeniach w poszukiwaniu kolejnego papierosa.

– Jasne. Od kilku tygodni celowo gromadzę przy wejściu śnieg i lód w nadziei, że się poślizgniesz. Ten zimny front znad Syberii też ja sprowadziłem – odparł niezrażony jej naburmuszonym spojrzeniem.

– Pajac – rzuciła, wydmuchując mu prosto w twarz kłęby dymu.

Nie dał się sprowokować. Pomachał dłonią przed nosem, żeby oczyścić powietrze, i zaatakował:

– Naprawdę tak lubisz te wszystkie substancje smoliste, tlenki węgla, chlorki winylu, amoniaki?

– A ty co? Minister zdrowia? – odgryzła się, ruszając ostrożnym krokiem wzdłuż chodnika prowadzącego dookoła budynku szpitala.

Bartek natychmiast podążył za nią, nie przerywając pogawędki.

– Nie, skąd. Pomocnik grabarza. Szukam potencjalnych klientów. Postanowiłem cię pozachęcać. Taka akwizycja. Pał dalej.

– Ha, ha, ha. Powinieneś dorabiać w kabarecie.

– Dorabiałem, ale pomidory słabo spierają się z koszul – mruknął i uśmiechnął się krzywo, wpychając dłonie do kieszeni kurtki.

Próbowała ukryć rozbawienie, żeby sobie nie myślał, że podoba jej się ta rozmowa. A jednak. Miał skubany poczucie humoru i nic nie dało się na to poradzić. Mogła sobie dowolnie wmawiać, że to buc. Z prawdą miało to niewiele wspólnego.

– Tylko po to narażasz się na odmrożenia, żeby mi to oznajmić?

– Wyszedłem, żeby się poprzyglądać, jak z zapalem rujnujesz sobie zdrowie.

– To nie twoja sprawa – wypaliła, łypiąc na niego wściekłym wzrokiem, bo wreszcie zdołał ją wkurzyć na dobre.

– Oczywiście, że nie moja. Gdybyś nie zaczęła tych ludowych tańców, w ogóle bym się nie odzywał.

– Stałbyś bez słowa jak słup?

– Być może. W takiej roli najbardziej ci odpowiadam – odparł, po czym sięgnął do kieszeni dzinsów i wygrzebał dzwoniący telefon.

Ada przyglądała się Bartkowi w milczeniu. Na twarz wypłynął mu szeroki uśmiech skierowany do kogoś, kto się do niego dobijał. Odebrał natychmiast, chętnie i bez zbędnej irytacji, chociaż treść rozmowy znała, bo słyszała ją już kilkakrotnie, za każdym razem niemal identyczną, zawsze tak samo ciepłą i przyjazną.

– Pamiętam, oczywiście, „Dziennik Łódzki”, garść orzechów i pół chleba. Będę po południu, jak zwykle. Do zobaczenia.

– Intrygujące – wyrwało jej się, zanim zdążyła się pohamować.

– Doprawdy? – bąknął z kpina, a ona poczuła, że się czerwieni i ma ogromną ochotę z całej siły kopnąć go w kostkę. – Powiesz mi coś o tym Maćku, do którego chodzisz? – dodał nagle, zmieniając ton.

– To też nie twoja sprawa – skorzystała z okazji, żeby się odgryźć.

– Okej, zapytam Marudę.

Odwrócił się na pięcie i pomaszerował w stronę wejścia do budynku.

Dopalała papierosa, czując się jak kompletna idiotka i w dodatku zupełnie nie wiedząc, skąd to się wzięło.

Podczas przerwy na kawę, przed zajęciami popołudniowymi, sama nie wytrzymała i wróciła do tematu. Zostali oboje w klasie i mieli dobre dwadzieścia minut wolnego. Na dymka wyskoczyła tylko na moment, bo na dworze rozszalała się zamieć śnieżna, która zniechęciła ją do wszelkich prób dłuższego donikotynizowywania organizmu. Użycie zapalniczki graniczyło z cudem.

Siedziała przy biurku i grzała zziębnięte ręce o kubek z kawą. Obok, na talerzyku, czekała na nią obrana i podzielona na cząstki gigantyczna pomarańcza. Nastrajała ją pozytywnie i pozwalała na odbycie niezobowiązującej pogawędki z pajacem, na którego została skazana na dość długo i z którym musiała w końcu znaleźć jakąś nić porozumienia. Choćby najcieńszą.

– To jeden z moich pierwszych uczniów i jeden z pierwszych podopiecznych fundacji – powiedziała, zapatrzony się w okno.

– Maciek? – upewnił się pajac i przysiadł tuż obok, na biurku.

– Maciek – potwierdziła i na moment ich spojrzenia się spotkały, zanim znów nie wróciła do kontemplacji widoku za oknem. – Pojawił się na oddziale cztery lata temu z diagnozą ostrej białaczki szpikowej. Obie z Majką dwoiliśmy się i troiliśmy. Staraliśmy się cały czas przy nim być, na zmianę, żeby nie musiał się bać.

– Dlaczego wy?

– On mieszka w domu dziecka – oznajmiła, nie odrywając wzroku od okna.

Pamiętała, że dla Jacka nigdy nie stanowiło to dość istotnego argumentu, by pogodzić się z jej ciągłą nieobecnością w domu i brakiem obiadu. Tomasz uznawał sprawę za oczywistą i bez szemrania przejmował ciężar kuchennych obowiązków, gdy Majka siedziała z chłopcem w szpitalu. Nawet przynosił im jakieś łakocie na oddział, kiedy Maciek miał jako taki apetyt. Ada się śmiała, że to anioł na pantografie.

– A wolontariusze? – pytał Bartek rzeczowo i spokojnie, dzięki czemu Walicka zaczęła sama tonować emocje, chociaż czuła, że gdyby nie trzymała kubka z herbatą tak mocno, na pewno trzęsłyby jej się ręce.

– Nie wiem, nie zastanawiałam się nad tym. Też u niego bywali, ale po prostu stał się dla nas kimś wyjątkowym, rozumiesz? Jakby symbolem sensu istnienia fundacji, szczególnie że był chłopcem ciekawym świata i mimo choroby bardzo aktywnym i żywiołowym. Po chemioterapii nastąpiła remisja i wrócił do domu dziecka. Po roku spotkałyśmy go znowu. Przyjęli go na oddział z nawrotem. Tym razem potrzebował przeszczepu szpiku. Pozyskanie dawcy spokrewnionego się nie powiodło. Na szczęście znalazł się ktoś odpowiedni z Krajowego Banku Dawców Szpiku i wydawało się, że chłopiec najgorsze ma za sobą. Niestety. Tym razem białaczka uderzyła po raz trzeci. Maciek wiosną skończy czternaście lat. Nie uważasz, że to trochę za dużo jak na takiego dzieciaka?

Zawiesiła na nim wzrok i z zaskoczeniem stwierdziła, że pajac i błazen zniknął. Naprzeciwko niej, na jej własnym biurku, siedział człowiek, który słuchał tego, co miała do powiedzenia, z autentycznym zainteresowaniem. Nie myślał przy tym o swoich ważniejszych sprawach, jak zwykle robił Jacek, za to patrzył na nią intensywnym spojrzeniem ciepłych piwnych oczu.

– Zdecydowanie. Na szczęście, wracając, wiedział, że zastanie tu ciebie. To ważne, że się o niego troszczysz – podsumował, częstując się kawałkiem pomarańczy.

– Tak sądzisz?

– Tak. To może być nawet ważniejsze od doktora Maczka i całej mocy supernowoczesnej medycyny.

– Uważasz, że Maćkowi się nie uda?

– Nie o to chodzi. Żeby walczyć, trzeba mieć dla kogo. Trzeba zwyczajnie chcieć żyć i korzystać z siły wiernych sojuszników. Dlatego ci pomogę. Zastąpię Majkę i na tym froncie, tylko musisz mnie zaanonsować.

Przez chwilę przyglądała mu się w milczeniu, jakby oceniając jego kandydaturę na towarzysza i wsparcie duchowe dla Maćka. Wreszcie pokiwała głową i oznajmiła:

– Okej, zabiorę cię do niego.

Bartek uśmiechnął się z triumfem zwycięzcy, niczym Jagiełło pod Grunwaldem.

– No i fantastycznie. Cieszę się, że go poznam.

– Tylko wiesz – zastrzegła – on zwykle jest otwarty, zabawny i żywiołowy, ale miewa takie dni, że zamyka się jak w jakimś kokonie. Ciężko się wtedy do niego dobić. Nie zraż się tym.

– Ada, to zupełnie normalne. Boi się. Dorosły na jego miejscu by wariował ze strachu, a to dzieciak, w dodatku cholernie samotny. Przecież to jasne – zaczął tłumaczyć i dodał, kiedy dostrzegł, że odetchnęła z ulgą: – Ty naprawdę lubisz tę pracę.

– Bardzo. Daje mnóstwo satysfakcji. Chyba o tym wiesz, skoro od dawna jesteś wolontariuszem.

– Praca w hospicjum to zupełnie co innego.

– Pewnie masz rację – przyznała, wstając i odnosząc puste kubki na stolik w kącie. – Tam nie ma szczęśliwych zakończeń.

– A co tu jest dla ciebie najtrudniejsze? Poza tym co oczywiste. Tutaj rak też czasem wygrywa.

– Spotkania z byłymi uczniami.

– Czy to nie dziwne? – spytał, stając naprzeciwko niej i patrząc jej prosto w oczy. – Każdy nauczyciel za tym przepada.

– Ja moim uczniom życzę ze wszystkich sił, żeby już nigdy więcej ich nie spotkać. Żeby już tutaj nie wracali, rozumiesz? Raczej nie wpadają po to, by mnie odwiedzić – dodała z nieco sztucznym uśmiechem. – Kiedy uda im się stąd wyrwać, chcą o wszystkim jak najszybciej zapomnieć.

– Jak sobie radzisz? Wiesz, z tym, że nie zjawiają się na czternastego października i takie tam?

– Mam swój patent. Wymyśliłam mały trik – oświadczyła z tajemniczym uśmiechem.

– Jaki?

– Bardzo prosty. Popatrz.

Obróciła w swoją stronę laptopa znajdującego się na biurku i pochyliła się nad nim. Po chwili zalogowała się do systemu i otworzyła galerię zdjęć pełną roześmianych chłopców z krótkimi włosami, rozczochranych, potarganych na wietrze, i dziewczynek z małymi niesfornymi kitkami lub mnóstwem kolorowych spineczek. Bartek stanął tuż za jej plecami i oparł jedną rękę o blat.

– Co to jest?

Odwróciła głowę i przez moment zagłębiała mu w oczy, jakby szukała w nich drugiego dna z nadzieją na odkrycie całkiem innej osoby. Zmieszała się i uznała, że to wybitnie nie na miejscu, bo niby z jakiej racji on pozwala sobie na taką poufałość? Wyprostowała się jak struna i okrążyła biurko, stając z tyłu, za ekranem.

– Moi uczniowie. Przy rozstaniu proszę ich o przesłanie mi mailem zdjęcia po roku od zakończenia leczenia. Gdy już odrosną im włosy i wrócą siły. Jak widzisz, większość się z tego wywiązuje, dołączając laurki i listy. Nic więcej nie trzeba, by wiedzieć, że ta praca do czegoś prowadzi.

Przez chwilę Bartek przeglądał w skupieniu kolejne fotografie.

– Fantastyczne – stwierdził w końcu. – Cholera, kwintesencja sensu wiary w życie. Ada, te zdjęcia powinny wisieć powiększone na każdej sali tego oddziału, a przynajmniej na korytarzu! Aż ci zazdroszczę tej kolekcji.

Spojrzała na niego ze zdumieniem. Mógł sobie być kawalarzem, gejem i kimkolwiek chciał. Nawet facetem z brodą. Niech mu tam. Ale chyba jednak się pomyliła. To nie patałach. To porządny człowiek, w dodatku bardzo mądry. Zrozumiał, naprawdę zrozumiał, dlaczego te zdjęcia są ważne i dlaczego koniecznie musiała zająć się trzynastolatkiem z nawrotem ostrej białaczki szpikowej.

Tamtego dnia, kiedy przedstawiała ich sobie po raz pierwszy, czuła coś na kształt ulgi, że może się z kimś Maćkiem podzielić i że ten ktoś chce to wziąć na swoje barki, poświęcając swoją uwagę i czas. To wcale niemało, to dużo, dużo więcej, niż zwykła oczekiwać od ludzi.

9.

Mijały dni, podobno coraz dłuższe, chociaż ciągle nie dawało się tego odczuć. Gutek, nazywany przez Maćka srulsem, opuścił szpital. Doktor Maczek, przekopawszy się przez niego na wszelkie możliwe sposoby, nie zdołał dopatrzeć się śladów raka. Słabe wyniki morfologii chłopca postanowił poprawić w jakiś banalny sposób, witaminami czy czymś. Ani Ada, ani Maciek nie wnikali w szczegóły. Cieszyli się, że sruls jest bezpieczny i tyle.

Tymczasem starszy kolega Gutka poddał się męczącym działaniom medycznym, które wprawdzie znał już z poprzednich lat, jednak wcale nie ułatwiało mu to zachowania optymizmu i odwagi.

Ada i Bartek zostawali przy nim na zmianę, co drugie popołudnie, starając się, aby jak najmniej czasu spędzał sam ze swoimi myślami i strachem. Kilka razy pojawiła się też Majka. Szła wolno, z potężnym worem z przodu, kiwając się na boki niczym matka kwoka. Przy każdej wizycie rozbawiała Maćka kolejnymi rewelacjami dotyczącymi potomka, bo o niczym innym nie potrafiła rozmawiać. W połowie lutego zaparła się przy imieniu Eustachy i wyglądało na to, że już się od tego pomysłu nie odczepi. Maciek i Ada nabijali się z niej nieustannie, nazywając ją szmyrgniętą ciężarówką, jednak wcale się nie obrażała. Pozwalała chłopcu trzymać rękę na brzuchu i opowiadać Eustachemu niestworzone brednie o tym, jak to ciężiej jest na świecie facetom niż babom. Zdecydowanie odwiedziny Majki można było zaliczyć do najweselszych chwil w życiu Maćka.

Chyba.

Ada zwykle czytała mu książki albo po prostu rozmawiali. Co robił z nim Bartek, nie miała pojęcia. Niby mogła zapytać każdego z nich, jednak mimo wszystko układ z Pilchem wydawał jej się ciągle nieco niezręczny. Nie skakali sobie do oczu jak na początku, a w czasie lekcji wypracowali model zrównoważonej współpracy, lecz ciągle nie czuła się przy nim swobodnie.

Onieśmielał ją.

Zastanawiała się, czy to przez to, co nakablowała jej o nim przyjaciółka. Jednak chyba nie. W końcu Barry, ich przyjaciel ze studiów, też był gejem i nie czuła absolutnie żadnej sztuczności w relacjach z nim. To nie miało znaczenia. Przyczyna nie tkwiła też w komiksach. Bartek się nimi nie chwalił, zatem temat nie istniał.

Musiało chodzić o coś zupełnie innego. O co, tego wolą nie zgłębiać. Gnębiło ją wystarczająco dużo własnych problemów.

Jacek pracował niemal na okrągło. Poświęcał jej czas jedynie w tych krótkich momentach, kiedy ją odwoził i przywoził z pracy. Ten rytuał pozostawał niezmienny. W domu jadł albo nawet nie jadł obiadu, stwierdziwszy, że Kornecki zamówił catering, a potem siadał do laptopa. Ada spędzała wieczory z książką lub gapiała się bez zainteresowania w ekran telewizora. Do łóżka także kładła się sama. Czasem, kiedy zdążyła już zasnąć, Jacek budził ją na krótką chwilę, jeśli akurat zebrało mu się na amory. Działo się to coraz rzadziej.

Był przemęczony. Na pewno. Ada martwiła się, obserwując jego przekrwione oczy oraz zapadniętą twarz, i odliczała miesiące do jesieni. Pamiętała, że obiecywał trudny rok. Jeden rok, do czasu obrony doktoratu i rozkręcenia firmy. Tyle przecież można wytrzymać. Potem na pewno wszystko się ułoży.

Któregoś popołudnia, w drugiej połowie lutego, Ada dopadła biegiem do samochodu, otrzepując błoto śniegowe z butów. Jej narzeczony wrzucił między siedzenia parasolkę i natychmiast wsiadł za kierownicę.

– Jeszcze ze dwa dni takiej pluchy i zatęsknię za mrozem i zadymką – skomentowała pogodę Walicka.

– Nie, błagam. Tylko nie to. Odśnieżania auta wystarczy mi na kilka lat – narzekał Jacek, wyjeżdżając ze szpitalnego parkingu.

Odebrał ją z pracy. Obojgu dopisywały całkiem niezłe humory mimo panującej od kilku dni ponurej odwilży. Gawędzili w drodze do domu, nie zważając na popołudniowe korki.

– Ciesz się, że nie posiadamy wielkich włości i nie musiałeś odśnieżać bramy ani podjazdu.

– Nie strasz, że masz takie marzenia.

– Być może...

– Po co ten łysawy goguś lata ciągle z tobą do tego chłopaka? – spytał nagle Jacek i łypnął na narzeczoną podejrzliwie, gdy zatrzymał się na czerwonym świetle.

– Wcale nie łysawy, co najwyżej lekko łysiejący – oburzyła się Ada.

– Wszystko jedno.

– Po prostu odwiedza Maćka i wcale nie ze mną, tylko na zmianę, raz ja, raz on. Kiedyś chodziła Majka, teraz on ją zastępuje.

– Mnie się zdaje, że on na ciebie leci.

– A mnie się zdaje, że masz zielone. Roi ci się. Temat nie wchodzi w grę.

– Bo co?

– Bo jakiś czas temu taka jedna przy pomocy Majki robiła badania terenowe. Wyszło jej, że on nie lubi kobiet.

Jacek gwałtownie zmienił pas. Octavią szarpnęło, a kierowca mondeo, któremu zajechał drogę, zaczął pomstować i pukać się palcem w czoło.

– Kurwa mać, pracujesz z pedałem?! – wrzasnął Zawadowicz. – Pozwalasz, żeby zbliżał się do dzieci?

– Zwariowałaś? – zdziwiła się Ada, obrzucając go zaniepokojonym spojrzeniem. – A dlaczego nie? Od kiedy jesteś taki nietolerancyjny?

– Od zawsze. Jasna cholera, już chyba bym wołał, żeby się do ciebie przystawiał. Jak możesz na to pozwalać?

– Odbiło ci – warknęła i przez całą drogę do domu uparcie milczała, nie zważając na jego mamrotanie.

Wieczorem zdusiła w sobie gniew. Weszła do salonu, gdzie Jacek zabunkrował się przy stole i jak zwykle siedział zatopiony w stosie dokumentów, z nosem przed ekranem laptopa.

Odchrząknęła kilka razy znacząco. Nie zareagował. Podeszła i postawiła obok niego parujący kubek. Drgnął, jednak nie oderwał oczu od ekranu. Zamiast tego powiedział:

– Zabierz to naczynie, zanim mi zaleje papiery.

– Przyniosłam ci herbatę.

– Nie chcę, dziękuję – mruknął zimnym głosem.

– Okej, nie to nie. – Wzruszyła ramionami i zabrała napój. Stała nadal tuż za nim, trzymając kubek w rękach.

– Czegoś chcesz? Mam robotę.

– Jacek, jutro są imieniny mamy...

Westchnął głęboko, jakby kłopotliwy kot znowu nasikał mu do butów. Wiedział, że nasika, spodziewał się tego i podświadomie na to czekał, chociaż chciał jak najdalej odsunąć od siebie ten moment. W tym wypadku kotem była Ada, a tym uporczywym, niepotrzebnym sikaniem – wizyty u jej matki.

– Nie pojedę z tobą, to niemożliwe. Mam mnóstwo ważnych spraw, nie mogę stracić całego dnia. To w ogóle nie wchodzi w grę.

– Rozumiem.

– Jedź sama, masz bezpośredni pociąg.

– Tak, rozumiem, Jacek, naprawdę. Nie zajmuj się tym. Dam sobie radę.

Wycofała się powoli do kuchni i usiadła przy stole.

Zawsze tak było. Od kilku lat, od kiedy mama zachorowała. Wcześniej jeździli razem do Łapszanki, każde odwiedzało swój dom i nie tworzyło to żadnych problemów. Potem coś się zaczęło dziać, aż pewnego dnia zadzwoniła mama Jacka z informacją, że panią Gabrielę zabrali do szpitala. Wycieńczona, na granicy śmierci głodowej wylądowała na oddziale psychiatrycznym szpitala imienia Babińskiego w Krakowie i nic nie wskazywało na to, żeby miała nastąpić jakaś poprawa. Miewała lepsze i gorsze dni, zwykle jednak gdy Ada ją odwiedzała, nie mogła wydusić z niej ani słowa. Mama milczała i sprawiała wrażenie, jakby nie poznawała córki. Nie nawiązywała kontaktu z innymi pacjentami ani z personelem. Po prostu trwała dzień po dniu, pozwalając wmuszać w siebie nieco jedzenia i wykonywać wokół siebie niezbędne czynności. Lekarze nie zdołali dotrzeć do przyczyny, która spowodowała u niej taki stan.

Jacek uważał, że panią Gabrielę należy spisać na straty i dać sobie z nią spokój. Jej córka jednak wciąż się nie poddawała i głęboko wierzyła w to, że kiedyś uda jej się odzyskać mamę taką, jaką pamiętała sprzed lat. Dlatego jeździła do niej regularnie, przy każdej możliwej okazji, pamiętała o świętach, rocznicach i ważnych wydarzeniach. Podczas krótkich wizyt opowiadała jej o wszystkim, nawet jeśli wydawało się to nie mieć najmniejszego sensu.

Ada westchnęła głęboko i wypila łyk herbaty, którą zrobiła dla narzeczonego. Wyciągnęła z kieszeni bluzy telefon i sprawdziła, czy rozkład pociągów linii Łódź–Kraków nie uległ żadnym zmianom. Znała tę trasę na pamięć.

Kolejnego ranka wpadła do klasy jak po ogień. Bartek zdążył zdjąć kurtkę i zagotować wodę w czajniku.

– Zrobić ci kawę? – spytał w ramach powitania.

– Nie, dzisiaj mnie nie ma. Dasz sobie radę?

– Mam haluny? Widzę, że jesteś.

– No jestem, przyniosłam ci tylko materiały do lekcji, bo zapomniałam wczoraj zostawić – tłumaczyła, kładąc na biurku teczkę. – Wszystko tam opisałam, a jeśli braknie, to coś wykombinujesz, prawda?

– Ada, co się dzieje? – nie dawał za wygraną, podchodząc do niej bliżej i patrząc jej w oczy. – Coś z Maćkiem?

– Nie, do Maćka też idź ty, dobrze? Pójdiesz?

– Jacek ma problemy albo Majka? Powiedz. Może będę mógł ci pomóc.

– To nie ma z nimi nic wspólnego. Nie męcz. Po prostu mnie tu porządnie zastąp. Mogę na ciebie liczyć?

– Możesz – obiecał. – Nic się nie martw, wszystko ogarnę. Dzieci i Maćka. I trzymaj fason.

– Dzięki, Bartek – rzuciła i biegiem wypadła na korytarz.

Pilch przez długi czas patrzył jeszcze z niepokojem na niedomknięte drzwi, za którymi zniknęła.

Wczesnym popołudniem Ada stała w przytulnym pokoiku, który wcale nie sprawiał wrażenia szpitalnego. Rozczesywała długie siwe włosy matki i mówiła półgłosem:

– Tak naprawdę nie mam na nic czasu, bo jeśli nie siedzę do nocy w szpitalu z Maćkiem, to jeżdżę po pracy do Majki, żeby jej pomóc wszystko przyszykować. Ona zwariowała. Nie ma dnia bez poczty albo kuriera. Nie wiem, na co jej tyle tych bambetli. Tomasz pójdzie z torbami. Wyobrażasz sobie? Karuzelka na łóżeczko z muzyką Beethovena. Na pilota. Wariactwo. Ale może i mnie tak będzie odbijać, kto to wie. Na razie patrzę i się śmieję. Eustachy ma świrniętą matkę.

Skończyła czesać panią Gabriellę i usiadła obok, usiłując złowić jej szare spojrzenie. Matka toczyła wzrokiem dookoła tak, jakby córka była dla niej zupełnie przezroczysta, choć bez oporu poddawała się kolejnym zabiegom pielęgnacyjnym.

Ada westchnęła. Wyciągnęła z torebki pilniczek do paznokci i jasny, niemal bezbarwny lakier.

– Pomaluję ci pazurki, chcesz? Kiedy byłam mała, zawsze chciałam mieć czerwone paznokcie jak twoje. Malowałaś tylko na święta, pamiętasz? Skakałam wokół ciebie i marudziłam, żebyś i moje pomazała. Ustępowałaś czasem i byłam wtedy taka szczęśliwa, aż kłuło w sercu. Może i ciebie zakłuje. Opowiem ci teraz o Maćku...

Dwie godziny później Ada wyszła na chłodny krakowski wiatr i dymem mentolowego L&M-a próbowała zatamować napływające łzy. Pogawędka z mamą pozostała niekończącym się monologiem. Z rozmowy z lekarzem nie wynikło nic nowego.

Najgorsze było uczucie bezradności i brak wytłumaczenia stanu, w jakim znalazła się pani Gabriela.

Córka czuła się winna. Może gdyby nie wyjechała na studia, nic takiego by się nie stało? Tyle że Jacek też wyjechał, tylu młodych ludzi z ich okolicy

wyjeżdżało. Każdy ma prawo do nauki i życia. Mama nie próbowała jej zatrzymać.

Więc dlaczego? To najprostsze, a zarazem najtrudniejsze pytanie, jakie można sobie zadać przy każdej, absolutnie każdej chorobie.

Ada wracała do Łodzi z nadzieją, że może chociaż Maciek się do niej nazajutrz uśmiechnie. Coś poczytają, pożartują, tak by wieczorem mogła stanąć przed lustrem i powiedzieć: „Lubię cię, Ada. Jesteś w porządku”.

Po wizycie w Krakowie jakoś nigdy nie mogła się na to zdobyć.

10.

Był wczesny poranek jednego z pierwszych dni marca. Lekcja dopiero się zaczęła i nabierała rozpędu. Ada nie liczyła zbyt mocno na to, że zdoła skupić uwagę dzieci i porządnie z nimi popracować. Postanowiła zatem wziąć na luz i dostosować się do panującej atmosfery oraz warunków.

– Gdybyście mieli czarodziejski koralik, jak Karolcia w książce, którą wam czytałam, i moglibyście zażyczyć sobie czego tylko chcecie, to co byście wybrali? Zastanówcie się...

– Nie ma się nad czym zastanawiać – przerwał Kostek ponurym głosem.

Zdażył już stracić włosy, wrócić na trochę do domu, znów się pojawić w szpitalu i w pełni przywyknąć do nowego rytmu życia z chorobą.

– Poczekaj, ja proponuję, żebyście wymyślili trzy życzenia, nie jedno, i mi je przedstawili. Możecie pisać, rysować, malować, jak chcecie.

– Każdy chce po prostu wyzdrowieć – mruknął i Walicka już wiedziała, że jej pomysł nie wzbudził szczególnego entuzjazmu.

Zdarzało się to rzadko. Tego ranka wszyscy uczniowie byli wyjątkowo posępni. Poprzedniego dnia przyjęto na oddział chłopca w bardzo złym stanie, który po kilku godzinach zmarł. Dorośli starali się chronić dzieci przed takimi informacjami, a jednak zawsze rozchodziły się lotem błyskawicy, docierały do każdej, najodleglejszej nawet sali i gasiły na pewien czas radość i chęć do życia.

– Pani Ado, pozwoli mi się pani wtrącić? – odezwał się Bartek ze swojego kąta.

– Już się wtrąciłeś – odparła, nie wiedząc, czego się spodziewać, skoro zwrócił się do niej tak oficjalnie.

Rozbawiła go ta reakcja, zaświeciły mu się oczy, a na usta wypełzł lekko kpiący uśmiech. Podeszedł do dzieci i przykucnął przy jednym ze stolików.

– Posłuchajcie, największą frajdą jest spełniać marzenia innych. Własne to pikuś. Proponuję wam inną zabawę. Namalujcie i napiszcie takie życzenia, które koralik spełniłby dla waszych najbliższych. Dla mamy, taty, może brata albo przyjaciela. Możecie dowolnie pokombinować. Ruszcie wyobraźnię, to jest poważne wyzwanie. Nie uważacie, że tak będzie lepiej i przyjemniej?

Siedem bladych buź spojrzało na niego z zaciekawieniem.

– Chyba tak – przyznał Kostek i dodał w stronę Ady: – Zgodzi się pani?

Walicka omiotła spojrzeniem uczniów i zatrzymała wzrok na swoim pomocniku, który stanął wyprostowany, w rozkroku, skrzyżowawszy ręce na

piersiach. Minę miał tak zadowoloną, jakby właśnie odkrył niezawodne lekarstwo na wszystkie bolączki tego świata. Miała ochotę go pacnąć, chociaż w gruncie rzeczy nie zrobił nic złego.

– Myślę, że to dobry pomysł. Bierzcie się do pracy. Macie godzinę. Oczywiście jesteśmy do waszej dyspozycji, jeśli będziecie potrzebować pomocy.

Młodsze dzieci niemal od razu oczekiwały wsparcia. Często, otoczone w czasie choroby wzmożoną opieką i obecnością dorosłych, gubiły gdzieś naturalne dla wieku dążenie do samodzielności. Potrzebowały uwagi, a może brakowało im wiary, że same poradzą sobie z prostymi, dobranymi do ich wieku zadaniami. Na tym polu Ada toczyła z uczniami nieustanną walkę.

Bartek rozkładał na stolikach materiały plastyczne, donosząc je z przepastnej komody przy biurku. Dzięki temu dostrzegł, że wyciszony telefon nauczycielki mruga i doprasza się o rozmowę.

– Majka dzwoni – poinformował, zerkając w stronę Ady.

– Okej, potem oddzwonię – mruknęła, założyła za ucho kosmyki, które wysunęły jej się z koka, i pochyliła się nad małą Amelką, żeby pokazać jej, jak najprościej wyciąć kółko z kolorowego papieru.

Pilch wzruszył ramionami i zamyszkował w komodzie w poszukiwaniu dodatkowego kleju i nożyczek. Po chwili smartfon znowu mrugał.

– Słuchaj, ona ciągle się dobija.

– To odbierz – warknęła Walicka, przytrzymując dziewczynce kartkę. –

Dzwoni po dziesięć razy dziennie. Pewnie znudził jej się Eustachy i wymyśliła coś nowego. Kleofasa albo Zenobiusza.

Klasa zachichotała. Pilch rzucił garść materiałów plastycznych na najbliższy stolik i wrócił do biurka. Usiadł na krześle, założył nogę na nogę i położył dłoń na kolanie. Drugą ręką chwycił komórkę, przesunął palcem po wyświetlaczu i wyszczebiotał nienaturalnie wysokim głosem do słuchawki:

– Tu sekretarka profesor Ady Walickiej. Pani profesor chwilowo nie może podejść, ponieważ szkoli swoich doktorantów z obsługi nożyczek. Czy coś przekazać?

Przez chwilę słuchał wywodu Majki, a Ada z satysfakcją obserwowała, jak wyraz jego błazeńskiego rozbawienia klęśnie. Wreszcie powiedział:

– Rozumiem, dokąd? – A zaraz potem: – Spokojnie. Czekaj i trzymaj się.

– Rozłączył się i nadal korzystając z telefonu Ady, wezwał taksówkę.

– Co się dzieje? – spytała, podnosząc się i kładąc przed Amelką wycięte kółko.

– Jedź do szpitala Madurowicza. Ona czeka w domu na karetkę i zaraz też tam dotrze. Zaczęła rodzić. Rodziców ma poza zasięgiem i jest zadyma z jej mężem, nie może się do niego dodzwonić. Ktoś jej powiedział, że go policja zgarnęła pod jakimś wiaduktem. Gdzie on pracuje?

– W MPK. Zasmarkany pantograf. Jak to rodzi? Jaka policja? Jaja sobie robisz?

– Wyjątkowo nie. Ada, idź. To się powyjaśnia, ale ona nie może być przecież sama. Nie zawiozę cię, muszę zostać z dziećmi. Potem się dzwoniemy, powiesz mi co i jak. Może trzeba będzie jakoś jeszcze im pomóc. Nie wiadomo, co z tym jej mężem. – Wcisnął jej w rękę torebkę i pomógł założyć kurtkę.

– Cholera, ja mam z nią rodzić? Nie dam rady – oświadczyła bezradnie, patrząc mu w oczy.

– Dasz radę, Ada – odparł, wytrzymując jej spojrzenie, jakby chciał dodać jej sił. Ona na siebie liczy.

Wyciągnął rękę i lekko pogłaskał ją po policzku, następnie uchylił drzwi sali, puścił do niej oko i uśmiechnął się pocrzepiająco. Komórka znów zamrugła w dłoni Ady.

Obcy numer.

– Pani Ada Walicka? Czekam w taksówce pod szpitalem.

– Cześć, dzieciaki – wydusiła z siebie przez ściśnięte gardło i pobiegła w stronę wyjścia.

Bartek odprowadził ją wzrokiem aż do załomu korytarza. Tego jednak nie mogła już widzieć.

Pod szpital zajechały niemal jednocześnie. Odbębniły papierologię w izbie przyjęć, gdzie okazało się, że Majka przesadziła nieco z paniką i wcale nie trzeba było aż tak gnać, a następnie udały się na porodówkę. Dopiero tam ubrana w gustowne zielone jednorazowe wdzianko Ada spróbowała wydusić z przyjaciółki, dlaczego zajmuje miejsce jej męża, względnie matki, i co tu jest w ogóle grane.

– Co jest grane? Nie widzisz, co jest grane?! – wysyczała rozwścieczona Majka, usiłując zmieścić całą wypowiedź między skurczami. – Dziecko się pcha na świat, ojca zamknęli w pace, a dziadkowie w Zarzęcinie poza zasięgiem. Pierdolę takie rodzenie.

– Pani Lipska! – zwróciła jej uwagę oburzona położna, jednak Majka niespecjalnie się przejęła.

– Dlaczego go zamknęli?

– Nie wiem, w dupie mam, kurwa mać, jak to boooliiii...

– Może dacie jej znieczulenie czy coś? – zapytała Ada, bo pamiętała, że rozmawiały o tym z milion razy między Afanazym, Bezprymem a Eustachym.

– Za wcześnie, poczekamy na większe rozwarcie. Jeszcze się na dobre nie zaczęło, musi wytrzymać – wyjaśniła położna, zerkając czujnie na zapis aparatury KTG i siadając jak najdalej od rodzącej, przy biurczku w kącie sali.

Nic dziwnego, uszy puchły.

– Już nie chcę, kurwa, nie chcę! Wypisuję się, Ada, rozumiesz? Żadnych dzieci. Przerywam to, oddaję bilet, wychodzę. Rozwodzę się! Ty też się rozwiedź, najlepiej przed ślubem. Faceci to kutasy. Żeby pieprzyć, to pierwsi, a potem, kiedy trzeba, to sama ródź, ródź, ożeż cholera, do duuupy...

– Zawsze tak wrzeszczą? – zapytała Walicka pielęgniarkę po cichu, żeby przyjaciółka nie usłyszała.

– Niektórym się zdarza, chociaż zwykle lepiej panują nad słownictwem, i to przy silniejszych skurczach niż te. Szkoda, że nie może pospacerować. Wody odeszły, musi leżeć. Za godzinę lub dwie dostanie znieczulenie, to się uspokoi. Ten jej mąż to jakiś drań?

– Skąd. Ideał. Martwi się i pewnie dlatego taka rozwścieczona. Nie wiemy, co się stało.

– No widzi pani, z facetami zawsze kłopot. Ona ma rację. Najlepiej się rozwieść. Wiem, co mówię. Trzy razy się rozwiodłam.

– I trzy wyszła pani za mąż.

– Cztery.

– Dlaczego?

– Bo ja kochliwa jestem. I romantyczka. Lubię, jak mi kwiaty przyniesie i kremówki z cukierni. Tak jakoś...

– Kuuurrrwaaa maaac, wyjmijcie to ze mniecee! – darła się Lipska, czerwieniejąc na twarzy.

– Niech ją pani trzyma za rękę – poradziła położna. – To trochę pomaga – i dodała głośniejszym głosem w stronę Majki: – A pani niech oddycha!

– Zdycha, nie oddycha – wysyczała położnica przez zęby, kiedy tylko skurcz ustąpił, i rzuciła dookoła mordercze spojrzenia. – I jeszcze, cholera, syn. Kolejny siewca. Jakby nie mogła być córka.

Godzinę później dostała znieczulenie zewnątrzoponowe i cała porodówka szpitala Madurowicza odetchnęła z ulgą. Błoga cisza otuliła rodzącą i osoby jej towarzyszące niczym poranna mgła. Ada z przerażeniem przyjęła informację, że impreza może potrwać ładnych kilka godzin. Skoczyła po obrzydliwą kawę do automatu, wysłała do Bartka esemesa z informacją, że na razie jakoś sobie radzi, podjęła nieskuteczne próby dodzwonienia się do Tomasza i rodziców Majki, aż w końcu, w akcie desperacji, zatelefonowała do Jacka.

– Jestem w pracy, co mam niby zrobić? – spytał nieprzytomnym głosem, jakby go oderwała od bardzo ważnych zadań.

Wszystko, co robił, było zawsze bardzo ważne, hiperważne, znacznie ważniejsze niż ona. Należało przywyknąć, oswoić się z tym i pogodzić.

– Nie wiem, trzeba się dowiedzieć, co z tym jej mężem.

– To się dowiedz.

– Przecież nie mogę, jestem z nią w szpitalu.

– To wyjdź, najwyżej urodzi bez ciebie.

– Jasne, stanę na ulicy przed szpitalem i zacznę krzyczeć: „Kto wrobił Tomasza?”. Na pewno się dowiem.

– Skąd wiesz, że wrobił?

– Bo go znam. Poza tym nie zostawię jej tu samej. Wiesz, co to jest lojalność?

– Wiem. Nie rozmawiaj ze mną jak z dzieckiem. On ma jakiegoś adwokata?

– Pewnie nie ma. Nigdy nie potrzebował.

– Wiesz, gdzie go zawieźli? Na który komisariat?

– Nie mam pojęcia. Zgarnęli go podobno prosto z tramwaju.

– To może napisali coś w necie. Patrzyłaś na wiadomości albo na Fejsa?

– Nie.

– Rany, Ada... Spróbuję się czegoś dowiedzieć. Będę dzwonił, jak coś.

– Dzięki, Jacek, jesteś kochany – zdążyła jeszcze powiedzieć, ale chyba już nie usłyszał, bo natychmiast się rozłączył.

Wróciła na porodówkę z poczuciem, że zrobiła wszystko, co tylko mogła. Majka wariowała z niecierpliwości, chociaż powstrzymała już nieco rzucanie mięsem.

– Głodna jestem, nie chcą mi nic dać – poskarżyła się przyjaciółce. – Mam rodzić Eustachego z pustym żołądkiem?

– Naprawdę będzie Eustachy?

– Jeśli ten dupek, mój mąż, nie wyjdzie z kicia do rozwiązania, to tak. Wyjątkowo mu się nie podobało.

– Zemścisz się na dziecku?

– Na kimś muszę.

– Ty jednak jesteś szalona – skwitowała Ada i ukradkiem zaczęła przeszukiwać internet w telefonie w nadziei, że dowie się czegoś o Tomaszu.

– Też mi nowość – prychnęła Majka, jednak nie zdążyła powiedzieć nic więcej, bo w tym momencie zjawiała się położna, żeby sprawdzić rozwarcie szyjki.

Minuty mijały przerażająco wolno.

Rodząca marudziła raz mniej, raz bardziej. Momentami przysypiała lub pojękiwała cicho. Ada zdołała wyszperać krótką wzmiankę na miejskim portalu o aresztowaniu motorniczego za pobicie pasażera. Pod artykułem kolejne komentarze wykwiwały znacznie szybciej, niż postępowała akcja porodowa. Co jakiś czas przewijały się w nich spekulacje, że ktoś był nawalony, nie wiadomo – pasażer czy pracownik MPK. Adzie to wszystko wydawało się totalną bzdurą, szczególnie że internauci zdążyli już Tomasza parę razy osądzić, skazać, ukamienować, uniewinnić, niemal wynieść pod niebiosa i znów zmieszać z błotem. Jedna wielka kołomyja. W końcu schowała telefon do kieszeni w słusznym przekonaniu, że z internetowych krzykaczy rzetelnej wiedzy nie wyciśnie.

Po południu, w blaknącym świetle marcowego dnia, przestrzeń szpitalnego oddziału położniczego wypełnił silny ryk, który wyrwał się z młodej piersi nowo narodzonego Lipskiego. Ada sądziła, że noworodek wrzeszczy tak straszliwie, bo za nic w świecie nie chce mieć na imię Eustachy.

Młoda matka i jej przyjaciółka odetchnęły z ulgą, nie wiadomo, która bardziej wyczerpana.

Po kolejnych dwu godzinach spędzonych na relaksacyjnej nudzie telefon Ady wydał z siebie podwójne brzdęknięcie. Walicka uśmiechnęła się, z zadowoleniem odczytawszy pierwszą wiadomość:

Adwokat walczy. Tomasz przekazuje, że wymyślił imię. Nie wiem, o co chodzi.

Odpisała:

3650, 58 cm, 10 pkt Apgar, wszystko git. Mógłbyś pojechać do Zarzęcina po rodziców Majki?

Po chwili odczytała odpowiedź:

Nie przeginaj. Pracuję, nie mam czasu na wycieczki.

Westchnęła ciężko, niespecjalnie zdziwiona, i odezwała się do położnicy:

– Jacek załatwił adwokata. Wyciągnie ci chłopca z dołka.

– Chyba tylko po to, żeby mógł dostać ode mnie w zęby – bąknęła Majka, tuląc do piersi opatulone w kocyk niemowlę. – Tomasz, nie Jacek. Ale popatrz, cały tatuś, no cały tatuś!

Ada zdławiła w sobie śmiech, żeby nie obudzić dziecka, i odczytała drugiego esemesa. Tym razem od Bartka:

Wszystko w porządku? Nie trzeba Wam pomóc?

Nie, chyba że pojedziesz ze mną na speedzie nad Zalew Sulejowski po dziadków.

Pojadę. Odbiorę Cię od Majki. Coś kupić po drodze czy wszystko ma?

Zerknęła na przyjaciółkę, która cmokała i wydawała dziwne ciumkające dźwięki pod adresem śpiącego syna.

Mózgu nie ma. Wylazł z łóżyskiem. Reszta jest. Czekamy na położniczym pod szóstką.

Kwadrans – odpisał.

– Dawaj go – zdecydowała Walicka, odbierając matce chłopca i odkładając do przezroczyściego łóżeczka, które do złudzenia przypominało kształtem kuwetę.

– Ej, to grabież. Sama sobie urodź.

– Rodziłam. Ty tylko leżałaś i wrzeszczałaś, a ja się męczyłam za ciebie. Teraz wstajesz, bo musisz się wysikać.

– Nie chcę. To za wcześnie.

– Nie za wcześnie, tylko idealnie. Idziemy razem, pomogę ci. Za piętnaście minut wychodzę.

– Dokąd?

– Do Zarzęcina. Chyba że masz pomysł, jak inaczej przekazać nowinę rodzicom. Ta ich działka to jedna wielka dziura komunikacyjna. Ruszyliby się sto metrów dalej i już złapaliby zasięg, to nie! Siedzą na tyłku cały dzień i w ziemi grzebią.

– Jak tam pojedziesz? – dopytywała Lipska, usiłując z pomocą przyjaciółki wygramolić się z łóżka.

– Postaram się szybko.

– Walnę cię. Brudną pieluchą. Jacek cię zaholuje?

– Jasne. A krasnoludki są wśród nas. Bartek. Za chwilę się tu objawi, więc rusz tyłek, musimy się wyrobić z tym kiblem. Nie chcę, żebyś łaziła sama, bo jeszcze gdzieś zemdlejesz i fikniesz.

Majka, jęcząc i pomstując, zaliczyła nieprzyjemny obowiązek. Wróciła do łóżka wycieńczona i spocona jak mysz.

– To gdzie ten twój facet z brodą?

– Nie mój! – oburzyła się Ada.

– Tu – oznajmił swoje przybycie Bartek, stając tuż za nią z wielką paczką pieluch w ręce. – Prezent dla nowego łodzianina – dodał, kładąc pakunek w nogach łóżka Majki, i podszedł do noworodka.

– Cześć, Bartek – przywitała się sztywno położnica i zaczęła nerwowo wiązać troczki szpitalnego chałata. – Dzięki, że zgodziłeś się pomóc.

– Nie ma za co. Wszystko dobrze?

– Tak. Ada była wspaniała. Prawie na mnie nie warczała.

– Niemożliwe. Na mnie warczy nieustannie. – Zaśmiał się, łypiąc na Walicką. – Śliczny dzidzius. Postaramy się obrócić jak najszybciej, żebyś nie siedziała długo sama. No, chodź – powiedział do Ady, a gdy ta nie reagowała, złapał ją po prostu za rękę i pociągnął. – Nie śpij tu. Po porodzie masz prawo być zmęczona, ale lepiej będzie, jeśli się zdrzemniesz w aucie.

Puścił jeszcze do Majki oko i razem z oszołomioną nieco Walicką opuścił szpital.

11.

Tomasz zaczął poranną zmianę o czwartej. Wyjechał tramwajem z zajezdni i zabierając po drodze pierwszych zaspanych pasażerów, kierował się na swoją ulubioną trasę linii numer dziesięć prowadzącą z Retkini na Widzew. Pasowała mu ta praca. Była monotonna, nie stwarzała wyzwań, nie dawała możliwości pięcia się po szczeblach kariery i toczenia walki o kolejne awanse, ale on nie potrzebował tego do szczęścia. Wolał uporządkowane spokojne życie. Równowagę i poczucie bezpieczeństwa. Wystarczająco dużo bałaganu i emocji dostarczała mu ta wariatka, Majka, którą kochał ogromnie i której nawet nie próbował okiełznać.

Tak jak z tymi imionami.

Do terminu został tydzień, a ta sobie wydumała, że nazwie syna Eustachy. Po jego, Tomasza, trupie! Co to w ogóle jest za pomysł? Nawet Ada nie potrafi jej go wybić z głowy. Może to hormony? Jak mówić potem do takiego dziecka? Eustachu? Eustaszku? A może po prostu Staszku? To nie można nazwać syna Stanisław? Byłoby normalnie i po ludzku. Stanisław pasował zdecydowanie lepiej. Zwłaszcza że takie imię nosił pradziadek Lipski, żołnierz i bohater poległy pod Monte Cassino, a Tomasz zawsze był wrażliwy na tradycje rodzinne i historię.

Tak rozważając, dotarł do skrzyżowania marszałków i wjechał na torowisko trasy W-Z. Ranek wstawał nad miastem dość wilgotny, lecz jasny. W powietrzu czuło się pierwsze nieśmiałe podmuchy wiosny. Lipski dojechał na pętlę na Retkini i ruszył na wschód niemal pustym jeszcze tramwajem. Podśpiewywał pod nosem razem z Korą, która od świtu zawładnęła lokalną stacją radiową i twierdziła uparcie, że *słońce wysoko, wysoko świeci pilotom w oczy*. Złota kula pojawiła się akurat nad horyzontem i raziła motorniczego niemal tak jak tych pilotów.

Do wagonu wsiadła dziewczyna. Miała dwadzieścia, maksymalnie dwadzieścia dwa lata. Ubrana dość wyzywająco, jednak bez przesady. Raczej wyglądała na taką, co jedzie na szóstą do pracy, niż na taką, co wraca po nocnej balandze do akademika, chociaż w obecnych czasach nigdy nic nie wiadomo. Tomasz wiedział, że status studenta lub jego brak nie świadczy absolutnie o niczym. Krótka kiecka, płaszczyk, jakaś ogromna apaszka, wielka workowata torebka wypchana mnóstwem czegoś, zapewne zbędnego, i staranny makijaż, który okradł to młode stworzenie z co najmniej pół godziny porannego snu. Na oko. Tak oceniał Lipski, acz nie uważał się za eksperta. Jego żona potrafiła umalować się perfekcyjnie

w dziesięć minut, a i bez makijażu podobała mu się ogromnie. Szczególnie bez stanika i w ogóle bez niczego...

Skarcił się w duchu za frywolne fantazjowanie, szybko nakierował myśli na proste jak drut szyny tramwajowe trasy W-Z i skupił się na pilnowaniu przystanków. W centrum przybyło nieco pasażerów, dziewczyna siedziała twardo tuż obok niego, na pierwszym siedzeniu po prawej stronie. Kawalek za stadionem Widzewa została już tylko ona i koleś, mniej więcej w jej wieku, który wyraźnie się do niej przystawiał. Chyba naprany, bo lekko bełkotał.

– Póziesz ze mno na drincha, chsiężnizsko, so? Póziesz. Cho – kusił. – Jezdeś pięchna.

– Spierdalaj – odpowiedziała księżniczka, nie podnosząc wzroku z nad książki, którą pochłaniała zachłannie, od kiedy tylko wsiadła.

– Ojej, tacha pięchna, a tacha niechrzeszna. Lubie niechrzeszne. Pomiziamy się? – ciągnął niezrażony i zaczął bawić się kosmykiem jej włosów.

– Won, debilu – zasugerowała i przywaliła mu tą workowatą torbą w rękę.

Tomasz zaczął równie intensywnie przyglądać się im, co światu przed sobą. Na szczęście miał dwoje oczu, jakoś zdołał podzielić uwagę.

– Ała, kobieta mie bije – poskarżył się koleś, dziko rozbawiony. – Jeziemy do siebie szy do mnie?

Dziewczyna przestała reagować na jego gadanie, co Lipski uznał za słuszne, chociaż widział, że jest zdenerwowana. Przy każdym przystanku filowała na drzwi i kontrolowała, czy aby nikt nie wsiada. Niestety, wokół ziało pustką. Tymczasem podrywacz nie milkł ani na chwilę, podpadając także Tomaszowi, bo zagłuszał Maanam.

Dziewczyna podniosła się w miejscu dość pechowym, przy Gogola, gdzie w pustej i ciemnej przestrzeni pod estakadą wciąż czaiły się cienie. Wokół nie było żywego ducha.

Pijany facet, zataczając się nieco, wygramolił się tuż za nią.

Tomasz zamknął drzwi i zamierzał już ruszyć, kiedy dostrzegł, że łobuz łapie ofiarę swoich umizgów za ramiona, próbuje ją objąć i zmusić do pijackich karesów.

Wyskoczył z tramwaju, nie zastanawiając się nad tym, co robi.

– Posałuj chsięsia, chsiężnizsko, posałuj – domagał się natręt, a dziewczyna w coraz większej panice zaczynała intensywnie walczyć

o uwolnienie się z jego objęć. – Pięchna moja, śliska, chosiasz raz, nicht mie nie kooochaaa...

– Może ja cię pocałuję? – huknął gromkim głosem Tomasz, stając tuż za nim.

Facet odwrócił się zaskoczony i nawet nie zdążył zauważyć, z której strony poleciał cios prosto w zapijaczony pysk. Za nim nastąpił kolejny, z drugiej Tomaszowej pięści, i na tym w zasadzie przedstawienie się skończyło.

Koleś przewrócił się w wiosenne błoto, głośno jęcząc. Z kącika ust popłynęła mu strużka krwi, przekręcił się na bok i złapał za obolałą rękę, którą przygniótł w trakcie upadku.

Dziewczyna, nie bawiąc się w żadne podziękowania i nie czekając na dalszy rozwój wypadków, zwyczajnie zwiąła.

Lipski przykucnął nad swoją ofiarą i spytał z troską:

– Jesteś cały, mój książę?

– Jusz nie szyjesz. – Usłyszał w odpowiedzi.

Po chwili przestrzeń pod estakadą zgęstniała od przechodniów, podjechał kolejny tramwaj, ktoś wezwał karetkę, ktoś inny – policję. Poszkodowany chłopak zeznał, że motorniczy wyrzucił go z wagonu i pobił. Bezwładna ręka i zakrwawiona twarz mówiły same za siebie. Po dziewczynie, która mogłaby wszystko wyjaśnić, nie został nawet ślad.

Pijany i uszkodzony książę odjechał karetką prosto na chirurgię, a Tomasz, eksplodując paniką i stawiając zaciekle opór – na komisariat. Kiedy składał zeznania, jego terkocząca komórka rozładowywała się wytrwale w policyjnym depozycie...

Kilka godzin później odwiedził go na dołku sztywny jakby kij połknął prawnik w drogim garniturze, ze starannie ułożoną fryzurą i wypielęgnowanymi paznokciami, które nieustannie oglądał. Może się bał, że je sobie pobrudzi w tym niezbyt przyjaznym otoczeniu? Przedstawił się jako Michał Piekarz, znajomy Jacka Zawadowicza, a następnie szczerze doradził, żeby mu zaufać i opowiedzieć wszystko jak na świętej spowiedzi. Zatem Tomasz zeznał po raz kolejny to samo, a w nagrodę otrzymał informację, że ma żonę na porodówce.

Mało nie oszalał. Wprawdzie nieco koił jego nerwy fakt, że Ada jest razem z Majką i dzielnie go zastępuje, jednak i tak dostarczył wszystkim aresztantom i gliniarzom z dyżurki nieprzerwanej uciechy, biegając po celi, rwąc włosy z głowy i zawodząc w rytm skurczów macicy rodzącej. Zamilkł

dopiero na wyraźną obietnicę przemodelowania mu uzębienia tak, że wypłyje trzonowce dupą. Osowiały i ciężko spłoszony usiadł w kącie i zapadł w niemrawą katatonię.

Michał Piekarczyk po opuszczeniu komisariatu, gdzie Tomasza zamknięto na czterdzieści osiem godzin, natychmiast zadzwonił do Jacka. Dowiedział się, że w tej sprawie ma mu głowy nie zawracać, bo Zawadowicz goni z robotą i duperelami się nie zajmuje. Za to uzyskał numer do niejakiej Ady Walickiej, którą powinny interesować szczegóły. Spokojnie wrócił do swojego biura przy Żwirki, zapalił papierosa i zadzwonił do narzeczonej zapracowanego kolegi. Obiecała przyjechać za pół godziny. Tyle mógł poczekać. Innych klientów nie miał w planach, palić mu się chciało jak diabli, a cena jego czasu oraz poświęcenia i tak została z góry wliczona w budżet Lami Solutions. Jacek zasuwał jak galernik i Kornecki potrafił to docenić.

Tymczasem w nissanie Bartka, zwanym przez Tymka czerwoną żabą, Walicka raz po raz dziękowała za zawieszenie jej do Zarzęcina.

Wracali spokojnie, bez nadmiernego pośpiechu, bo rodzice Majki zdążyli wyprysnąć przed nimi z wąskiego podjazdu. Pognali, ile fabryka dała, żeby jak najszybciej dotrzeć do córki i wnuka o niepokojącym i wciąż niepewnym imieniu.

– Ada, to naprawdę nic takiego – przerwał Pilch, kiedy znów próbowała uderzać w dziękczynny ton po zakończeniu krótkiej rozmowy telefonicznej z adwokatem. – Normalna rzecz. Widziałaś, jak się ucieszyli? Fajni ludzie.

– Myślałam, że nie lubisz Majki. Nie miałaś o niej zbyt dobrego zdania.

– Może oceniłem ją zbyt pochopnie. Fakt, że kiedyś dała marny popis, ale kto z nas nie ulega własnej głupocie?

– No tak. A zrobisz dla niej jeszcze jedno? – spytała skrzępowana tym, że znów musi go o coś prosić.

– Co takiego? Chcesz, żebym został chrzestnym? – Zaśmiał się. – Bardzo chętnie.

– Raczej nie. Ta fucha jest już obstawiona. Słuchaj, dzwonił prawnik. Odwiedził komisariat. Nie ma potrzeby pchać go do położnicy, bo ona i tak teraz niewiele ogarnia. Równie dobrze może przekazać wszystkie wieści nam.

– A tajemnica adwokacka?

– To kolega Jacka, działa po kumotersku. Poza tym na prośbę Tomasza chyba wolno mu mówić, nie?

– Nie wiem, moja styczność z prawnikami ogranicza się do czytania kryminałów. Nieistotne, jedziemy do niego, a Majce potem wszystko przekablujesz – oznajmił bez wahania. – Podaj adres.

Kancelaria przy ulicy Żwirki była mała, chłodna i sterylna. Żadnych kwiatków, dekoracji i zbędnych gratów. Brakowało nawet sekretarki, choć może wynikało to z faktu, że dawno minęły typowo biurowe godziny pracy. Adwokat wydał się Walickiej nadmiernie sztywny i zdystansowany. Nie dziwiło ją, że ktoś taki może być znajomym czy nawet kumplem Jacka.

W gabinecie znajdowało się miniaturowe czarne biurko z obracającym fotelem, na którym siedział prawnik, oraz jedno krzesło dla klienta. Zajęła je Ada, a Bartek z konieczności po prostu stanął tuż za nią.

– Najlepiej byłoby znaleźć tę dziewczynę – oznajmił sztywniak, streściwszy im przygodę Tomasza. – Potrzymają go i wypuszczą po czterdziestu ośmiu, jednak ten połamany gnój odgraża się, że wniesie oskarżenie. Poszły dwie kości przedramienia, tak pechowo upadł.

– Nie ma znaczenia, że był pijany? – spytała oburzona Ada.

Pilch położył jej delikatnie dłonie na ramionach i mimowolnie poczuła, że się odpręża. To duża ulga, że miała go przy sobie i nie musiała sama stawiać czoła tej pokręconej sprawie.

– Niewielkie. Nie ma dowodów, że facet stanowił dla kogokolwiek zagrożenie. W tej sytuacji powstaje pytanie, dlaczego motorniczy w ogóle opuścił pojazd, pomijam rękoćzyny. Bez świadka będziemy się z tym długo szarpać i nie wiem, czy MPK nie wlepi mu dyscyplinarki. Dziewczyna rozwiąże problem natychmiast. Uruchomię swoje doświadczenia, wam też radzę działać. Mamy rysopis i portret pamięciowy. – Adwokat położył na biurku wydruk i podsunął go w stronę Ady wypielęgnowanymi długimi palcami. – Szukajcie.

Następnie podniósł się z krzesła i zapiął poły marynarki, sugerując jednoznacznie, że audyencja się zakończyła.

– Jak niby jej szukać w jednym z największych miast w kraju, nie wiedząc nawet, jak ma na imię? – wydusiła z siebie zdumiona Walicka.

– Spokojnie – szepnął Bartek, zgarniając dokument. – Dziękujemy. Przekażemy wszystko żonie Tomasza. Nie musisz jej zawracać głowy. Kontaktuj się z nami. Telefon do Ady masz, zostawię ci jeszcze mój – dodał, sięgając po żółtą karteczkę z pliku na biurku i zapisując na niej nazwisko oraz numer. – Do zobaczenia.

Michał Piekarczyk zerknął na świstek i wyciągnął dłoń na pożegnanie.

– Bartosz Pilch? Z tych braci Pilchów?

– Innych nie znam – odparł Bartek wymijająco, ściskając rękę adwokata. Następnie złapał Adę za łokieć i wyprowadził na klatkę schodową, a z niej wprost na chłodny marcowy wieczór.

– Wiesz, o co mu chodziło? – spytała. – Chyba nie czyta tych twoich śmiesznych komiksów. Trochę na to za duży.

Towarzysz utkwił w niej na moment spojrzenie. Nabrał powietrza w płuca, szykując się do jakiejś tyrady, w końcu jednak wypuścił je powoli i machnął ręką, uznawszy, że szkoda gadania.

– To nasz najmniejszy problem. Pobawimy się w tropicieli. Potrzebujemy komputera i czegoś na ruszt, bo padniemy trupem. Widzę dwie opcje. Jedziemy do mnie i robię na szybko jakieś żarcie albo do naszego szpitala i po drodze zahaczamy o pizzerię. Do ciebie się nie pcham, bo twój narzeczony chyba za mną nie przepada – zawiesił głos, łypiąc na nią w oczekiwaniu na decyzję.

Doszli do samochodu i załadowali się do środka. Ada zerknęła na zegarek. Była zmęczona, jednak wiedziała, że nie ma co marzyć o odpoczynku i termoforze pod ciepłym kocem. Spojrzała na Bartka. Cały dzień sam z dziećmi, potem ta wycieczka do Zarzęcina i na koniec wizyta u adwokata...

– Już widzę, jak robisz na szybko jakieś żarcie – zażartowała.

– Nie wierzysz, że umiem?

– Chyba bardziej wierzę w tę pizzę.

– Niech ci będzie – zgodził się, nie próbując z nią dyskutować. – Przy okazji zajrzemy do Maćka. Byłem u niego tylko przez chwilę w południe.

Zatrzymali się przy pizzerii i przy Żabce, z której Bartek wyniósł całą torbę zakupów.

– „Dziennik”, orzechy i pół chleba? – spytała Ada, filując na pakunek.

– Też – odpowiedział z uśmiechem. – Niezły z ciebie szpieg. Muszę podrzucić to do domu, a potem zobaczymy, jak nam pójdzie z tą dziewczyną.

Podjechali pod wysoki blok przy Florecistów. Ada została w aucie, a Pilch zniknął na dziesięć minut za drzwiami klatki schodowej. Wrócił bez zakupów, za to z wypchanym plecakiem. W całkiem niezłych humorach dotarli do siedziby fundacji. W końcu na świat przyszedł nowy człowiek, a Ada uczestniczyła w cudzie narodzin. Wprawdzie Tomasz narozrabiał, jednak oni mieli pomóc mu odzyskać dobre imię. Na dodatek pizza

pachniała nieziemsko i zapowiadała im niezły wieczór w roli psów tropicieli.

– Zanieśmy trochę Maćkowi, może jeszcze nie śpi – zaproponowała Ada, gdy dotarli na oddział.

Wpadli do klasy, chwycili czysty talerzyk i nałożyli na niego po porcji capricciosy i hawajskiej. Do kubka włąli sok pomarańczowy i tak uzbrojeni udali się w odwiedzinę do swego podopiecznego.

Siedział w ciemności z nosem przy oknie, zapatrzony w mrok za szybą.

– Hej, Maciek. Co słychać? Przynieśliśmy ci niespodziankę – zawołała od progu Ada. – Majka urodziła syna i z tej okazji kupiliśmy pizzę. Chcesz?

– Ja też mam dla was niespodziankę – powiedział chłopiec nieswoim głosem. – Doktor Maczek zastanawia się nad przeniesieniem mnie do hospicjum.

12.

Ada poczuła, że robi jej się słabo, i złapała Bartka za ramię.

– Skąd wiesz?

– Podśluchałem.

– Może źle zrozumiałeś, Maciek?

– Nie wiem, może. Podobno wyniki badań są fatalne i lekarzom kończą się pomysły. Nie dostanę już chemii.

Chłopiec mówił pozornie opanowanym głosem, jednak znali jego reakcje dość dobrze, by doskonale wiedzieć, że jest potwornie wystraszony.

– Jeszcze wiele może się wydarzyć – powiedziała Walicka i po krótkiej, niewygodnej chwili ciszy, nie zapalając światła, zbliżyła się do niego i przysiadła obok na krześle.

Bartek podszedł za nią, odstawiwszy talerz i kubek na stolik.

– Tak? A ilu widziała pani pacjentów, którzy wracali trzeci raz z kolejnym nawrotem i wychodzili zdrowi, by cieszyć się życiem? W dodatku takich, których leczenie nie sfinansuje rodzina, bo są z bidula i nikt nie będzie o nich walczył?

– Maciek, my wszyscy jesteśmy gotowi o ciebie walczyć i nie mamy zamiaru się poddawać – oświadczył Pilch, kładąc mu dłoń na plecach.

Złapał w ciemności Adę za rękę, chcąc dodać jej sił, żeby nie rozkleiła się przy chłopcu. Przez ostatnie tygodnie przyglądał się jej bacznie i wiedział, że potrafi być silna, odporna i wytrwała pod warunkiem, że ma jakieś wsparcie. Teraz ścisnęła go w mroku bardzo mocno i sprawiała wrażenie, że wcale nie zamierza puścić.

– Wiem, wiem. – Maciek wyrzucał z siebie słowa szybko, jakby ktoś go gonił. – Jesteście świetni. Zresztą cała ta fundacja też i lekarze. Nie powinienem narzekać. Ale nie wiecie, jak czuje się człowiek, który tak całkiem do nikogo nie należy. To znacznie gorsze niż ta okropna choroba. Tego się najbardziej boję, że nie zdążę.

– Czego nie zdążysz? – spytała Ada.

– Niczego. Za trzy miesiące kończę czternaście lat. Jeśli nawet do nich dotrwam, to mogą być moje ostatnie urodziny. Boję się, że nie doświadczę w życiu żadnych silnych przeżyć, żadnych porządnych emocji, przy których serce staje w miejscu, jakby na moment przestawało bić. Wie pani, o czym mówię?

Walicka niepewnie pokiwała głową, chociaż chłopiec na nią nie patrzył. Bartek przysiadł na łóżku, tuż za nim.

– Ja wiem, Maciek. Doskonale cię rozumiem. Chcesz po prostu poczuć się szczęśliwy. To się może stać, kiedy będziesz blisko, bardzo blisko kogoś, na kim ogromnie ci zależy, albo gdy stanie się coś, na co długo czekałeś. Może zdarzyć się też niespodziewanie, kiedy nagle zaskoczy cię coś przyjemnego lub po prostu spełni się twoje marzenie. Dla każdego młodego człowieka powinno to być proste i oczywiste. Niestety niektórym dzieciom los odbiera nawet tak banalny drobiazg, jak to ukłucie serca ze szczęścia.

– Ale pan jest mądry – skomentował oczarowany Maciek, odwracając się na łóżku i siadając skrzyżnię, plecami do okna. – Też się pan wychowywał w domu dziecka?

Ich oczy przyzwyczyły się już do ciemności. W mdłym blasku ulicznej latarni wpadającym przez szybę widzieli wystarczająco dużo, żeby nie szukać silniejszego światła.

– Nie. Miałem rodzinę, chociaż nieidealną. To nie o to chodzi. Po prostu umiem sobie wyobrazić, co czujesz. To wszystko. Pragniesz żyć, być szczęśliwy, a na koniec chciałbyś zabrać coś ze sobą i coś tu zostawić, co nie będzie puste, co na zawsze będzie kojarzyć się z tym skurczem w sercu i z tym przyjemnym uczuciem szczęścia.

– Dokładnie o tym myślałem. Nie chciałbym umierać, myśląc, że nikt się tym nie zmartwi.

– W ogóle tak nie myśl. Pani Ada zmartwiłaby się na pewno. Gwarantuję, zobacz, już beczy. – Mrugnął do Maćka i wskazał palcem łyzy, które wbrew jej woli zdołały wydostać się spod powiek. – Zdradź mi, Maciek, gdybyś miał ze wszystkiego, całkiem wszystkiego na świecie wybierać, to co chciałbyś zrobić? Przespacerować się po lodowcu, strzelić gola Fabiańskiemu, polecieć szybowcem?

Chłopak roześmiał się i łypnął na byłą nauczycielkę.

– Ten pani pomocnik jest szalony. W życiu nie leciałem samolotem, a miałbym się odważyć na szybowiec? Rany, chyba bym się posikał ze strachu.

– Czym ryzykujesz? – nie dawał za wygraną Bartek.

– Wkręca mnie pan.

– Na razie nie podsunąłeś mi żadnego innego pomysłu na silne emocje, przy których serce staje w miejscu. Jeśli szybowiec to dla ciebie za dużo, proszę bardzo, wymyśl coś, co ci odpowiada.

– Teraz, na biegu?

– Na jakim biegu? W łóżku leżysz.

– Okropny pan jest.

– Wszyscy mi to mówią, najczęściej pani Ada.

– Nie lubi go pani?

– Ja nie... – zaczęła niepewna, czy potraktować to pytanie poważnie, jednak Bartek natychmiast jej przerwał:

– Nie znosi. Uważa, że jestem gburem, zarozumiałym baranem, nie znam się na nauczaniu i w dodatku jestem ge...

– Powinniśmy już iść. – Tym razem zareagowała w porę stanowczym tonem. – Mamy przecież coś do zrobienia, a ty dostałeś temat do rozmyślań. Pizza ci całkiem wystygła – dodała, zrywając się z krzesła.

Kilka minut później zamknęli drzwi klasy, a Bartek z zapalem krzątał się przy czajniku, szykując wszelkie możliwe dodatki do uczy.

– Usiądź, zrobię ci taką kawę, po której łatwiej się pozbierasz.

– Kawa to kawa – mruknęła Walicka bez entuzjazmu, jednak posłusznie zajęła miejsce przy biurku.

– Ta będzie wyjątkowa, zobaczysz – upierał się przy swoim Pilch. –

Wprawdzie nie mamy tu ekspresu, jednak uzbroiłem się, w co mogłem. Jestem przygotowany.

Postawił na blacie biurka karton z pizzą. Następnie wyciągnął z plecaka spore pudełko. Przygotował kawę z mlekiem za pomocą french pressa i małego ręcznego spieniacza. Sparzył wrzątkiem dużą pomarańczę, na niewielkiej plastikowej tarce startł odrobinę jej skórki i kawałek laski wanilii. Pomarańczowo-waniliowym pyłem ozdobił kawę. Owoc obrał i rozdzielił na cząstki, układając je na talerzyku i posypując także wanilią oraz startą gorzką czekoladą.

– Jeśli to do spółki z pizzą nie poprawi ci humoru, to już nie wiem co – oświadczył, podstawiając Adzie pod nos talerzyk i kubek. – Maksymalna dawka kawy i cytrusów z drobnymi urozmaicheniami. Dokładnie to, co lubisz.

– Skąd wiesz, co lubię? – mruknęła, sięgając niepewnie po napój, bo trochę jej było głupio, że tak nad nią skacze.

– Widzę, co pijesz i co pochłaniasz kilogramami. Poza tym twoje włosy pachną jak pomarańcze.

Postawił krzesło obok i usiadł ze swoim kubkiem, zawieszając wzrok na jej twarzy. Zmieszana uciekła spojrzeniem gdzieś za okno. Cholernie dobra ta kawa. Dlaczego nigdy nie wpadła na to, żeby ją sobie przyrządzić w ten sposób? Przecież to banalnie proste, skoro taki zwykły patałach potrafi.

– Pachną etanianem oktylu – poprawiła chyba tylko po to, żeby coś powiedzieć.

– Bzdury. To zwykłe chemiczne brednie. Kiedy czuję ten zapach, wcale nie myślę o estrach i mojej koszmarnej chemicy z liceum. O twoim narzeczonym też nie ani o żadnym innym znanym mi chemiku organicznym bądź nieorganicznym.

– To o czym?

– Pierwsze skojarzenie podkorowe to pomarańcze. Całkowicie podświadome i bezwiedne. A kiedy uruchamiam wyobraźnię, widzę słoneczny pomarańczowy dywan, gdzieś na południu Hiszpanii. Ciągnie się aż po horyzont na szerokim wzgórzu. Gigantyczny cytrusowy gaj. Zapach jest tak intensywny, że odurza i czuć go nawet z daleka.

– A ty jesteś blisko?

– Zależy, jak na to spojrzeć. Niby blisko, a jednak ten dywan jest całkiem nieosiągalny. Lecę szybowcem, słyszę szum wiatru, który niesie mi kuszącą woń. Nie mam gdzie wylądować, muszę kręcić się w kółko i szukać stosownego miejsca w pobliżu. Wciąż jestem jeszcze na tyle wysoko, że mogę się przyglądać w spokoju i pozwolić sobie na kilka dodatkowych akrobacji w powietrzu, żeby potem znowu usłyszeć, że jestem pajac, błazen albo patałach. Chociaż i tak najgorsza była chyba ta kobieta z brodą.

Ada poczuła, że oblewa się rumieńcem wstydu, uczepiła się zatem możliwie bezpiecznego tematu.

– Potrafisz latać szybowcem?

– A nie wyglądam?

– Po prostu pytam.

– Potrafię. Jak widzisz, porozmawiać ze mną też się da. Nie jestem ostatnim kretyńcem – powiedział.

– Wcale nie twierdziłam... – zaczęła, lecz przerwała, bo nagle wstał, pochylił się nad nią i na moment zbliżył twarz do jej rozsypującego się koka, powoli wciągając powietrze. Mimowolnie wstrzymała oddech.

– Zdecydowanie pomarańcze – oznajmił, podnosząc się. – Świeżo zerwane gdzieś w Andaluzji, słodkie, bardzo soczyste. Jadłaś kiedyś takie?

– Nie.

– Dużo w życiu przed tobą. Jeszcze zdążysz wszystko poczuć i przeżyć. Teraz dowiedz się jak najszybciej, o czym marzy Maciek.

– Myślisz, że mu się nie uda?

– Nie wiem, na wszelki wypadek po prostu się dowiedz – poprosił.

Wziął do ręki swój kubek, do drugiej kawałek pizzy i sącył spokojnie kawę, stojąc przy oknie, zapatrzony w ciemność za szybą. Walicka przyglądała się jego plecom, zastanawiając się, co to za dziwny człowiek i ile razy zdoła ją jeszcze zaskoczyć.

Pół godziny później myślała nad tym jeszcze intensywniej, kiedy nad podziw sprawnie przeskakiwał między portalami społecznościowymi i łódzkimi grupami forumowymi, o których istnieniu nie miała pojęcia. Zanim się obejrzała, poszukiwaniem dziewczyny z tramwaju zajęty się już tysiące młodych ludzi, a jacyś youtuberzy nawoływali ją do ujawnienia się za pośrednictwem swoich kanałów. Bartek walił zawzięcie w klawiaturę, Ada mogła tylko patrzeć w ekran i popadać w coraz większe zdumienie.

– Ja piernicę – podsumowała na koniec.

– Jeśli to objaw podziwu lub, jeszcze lepiej, zachwytu, to dziękuję.

– Skąd oni wszyscy cię znają? Te maślaki wiedzą o tobie więcej niż ja.

Pilch zamknął klapę laptopa, potarł palcami oczy, a potem nasadę nosa.

– Gówno o mnie wiedzą. Po prostu kojarzą nazwisko.

– Dlatego, że wymyślasz komiksy? – drażyła, próbując nie zwracać uwagi na to, że rozterkotał się jej telefon.

– Odbierz – rzucił, wstając, i zaczął porządkować bałagan na biurku.

Niechętnie oderwała się od rozmowy i w przepastnych otchłaniach torebki usiłowała wyłowić smartfon. Zanim go wydobyła, zamilkł i zaczął hałasować ponownie. Migający wyświetlacz poinformował ją, że dawno minęła dwudziesta druga i że dzwoni narzeczony. Wiedziała, że nie będzie przyjemnie, jednak czym prędzej odebrała.

– Jacek...

– Kurwa mać, jaja sobie robisz?! – wydarł się na nią, nie oszczędzając na decybelach. – Wiesz, która jest godzina?

– Wiem, byliśmy u tego Masarza i on nam kazał szukać...

– Jacy my? U jakiego Masarza?

– Z Bartkiem. No, u twojego kolegi. Kazał nam szukać dziewczyny, Bartek rozpętał burzę, nawet youtuberzy pomagają. Niesamowite. Internet to magia.

– Znowu jesteś pijana?

– U Piekarza, Ada – odpowiedział Bartek, dusząc się ze śmiechu. – Nie u Masarza.

– A, sorry, u Piekarza. Wiedziałaś, że jakieś przetwórstwo spożywcze.

– Siedzisz cały czas z tym pedałem? – krzyczał Zawadowicz.

– Jacek, prosiłam cię... – Ada nagle spoważniała, jakby dotarło do niej wreszcie, że jej narzeczony nie jest w nastroju do żartów i luźnych pogawędek.

– To powiedz mu, żeby cię odstawił do domu, bo ja już wypięłem piwo. Chcę cię widzieć za kwadrans – ryknął jeszcze w słuchawkę i się rozłączył.

Siląc się na spokój, schowała telefon i natychmiast zaczęła się zbierać do wyjścia.

– Podrzucisz mnie? – spytała, jakby Bartek nie słyszał wywrzaskiwanych w głośniku fragmentów rozmowy.

– Oczywiście. Ada, on często tak się drze?

– Po prostu się o mnie martwił. W końcu od wielu godzin nie dałam znaku życia i w ogóle...

– No jasne – mruknął, wcale niepokieszony tymi mętnymi wyjaśnieniami.

– Chodźmy. Czerwona żaba ma tego wieczoru jeszcze jedną misję. Odwieźć zmęczoną pomarańczową damę do domu.

Walicka uśmiechnęła się blado i mocno opatulila szyję szeroką apaszką w kolorze swoich ulubionych owoców.

13.

– I wyobraź sobie, ktoś ją rozpoznał na Instagramie – opowiadała Majka, siedząc na szpitalnym łóżku i czekając na wypis.

Ada krążyła po pomieszczeniu z małym becikiem w ręku, usiłując co chwilę uciszać podekscytowaną przyjaciółkę, żeby zawiniątko się nie obudziło i nie zaczęło płakać.

– Z tego portretu pamięciowego, który puścił w świat Bartek?

– No tak. Bartek puścił i rozlało się lotem błyskawicy. Dziewczyna się zgłosiła, złożyła zeznania i w sumie zamknęła temat. Dopełniają ostatnie formalności. Ten nedorobiony romeo wycofał oskarżenie pod adresem Tomasza, bo odkrył, że to on zrobił z siebie kretyna.

– Czemu ona wtedy zwiąła?

– Mówiła, że trochę ze strachu, a trochę dlatego, że się spieszyła na szóstą rano do roboty. Studiuje zaocznie i pracuje w markecie. Banał taki i akurat musiało trafić na mój poród.

– Akcja z przygodami. Zapamiętasz do końca życia.

– I tak bym zapamiętała – westchnęła Lipska. – Nadal mogę siedzieć tylko półgębkiem. Znaczy, tym... półzadkiem. Niby takie kochane małństwo, a z dupska zrobił mi sieczkę. Szwy chyba mi pozakładali szewskimi nićmi. Ciągną jak cholera.

Ada parsknęła śmiechem i poprawiła kocyk, którym opatulą noszone niemowlę.

– A co Tomasz na to wszystko?

– Rozpacza, że największe show przesiedział pod celą, ale co poradzisz? Coś tam teraz podpisuje na komendzie i zaraz przyjedzie. Synem jest zachwycony, to najważniejsze.

– A żoną?

– Żoną zawsze był zachwycony, więc to żadna nowość.

– Czyli pełnia szczęścia. Kit z przygodami, grunt, że Eustachy zdrowy i w sumie wylazł z ciebie bez komplikacji.

– Jaki Eustachy? – oburzyła się Majka, odrywając wzrok od torby, do której pakowała powoli resztę szpitalnych kłopotów. – Zwariowałaś? Naprawdę myślałaś, że tak nazwę własnego potomka?

Ada stanęła między łóżkiem a oknem i spojrzała na przyjaciółkę całkowicie zbita z tropu.

– Jasna cholera, Majka, to jak on będzie miał na imię? Coś ty znowu wykombinowała? Kogo ja trzymam?

Lipska łypnęła na nią z rozbawieniem i spokojnie wróciła do pakowania.

– Trzymasz Stasia – rzuciła w przestrzeń. – To zwyczajny pocziwy Stanisław. Tatuś wymyślił, mamusia się zgodziła, a chrzestna jak zwykle nie ogarnia rzeczywistości.

– Niech cię cholera weźmie – warknęła Ada. – To trzeba było mnie miesiącami tak straszyć? – I dodała ciepło w stronę dziecka: – Twoja matka, Stasiu, jest całkowicie pomyłona, dobrze, że ciotkę masz normalną.

Majka wzruszyła ramionami i cicho zachichotała.

Chwilę potem do pokoju wpadł Tomasz, a za nim przejęci swoją rolę dziadkowie. Ada zebrała się do wyjścia, wycalowała maleńką jak pomarańcza główkę, wyściskała przyjaciółkę i pozwoliła szczęśliwej rodzinie świętować we własnym gronie.

Jadąc do pracy, starała się ze wszystkich sił zdusić w sobie kiełkujące uczucie zazdrości i świadomość, że gdyby nawet doczekała się takiego rozkosznego małego pakunku, w przypadku jej rodziny wyglądałoby to zupełnie inaczej. Jacek może urwałby się z pracy, żeby ją odebrać ze szpitala, jednak na zachwyty i obecność dziadków nie mogłaby liczyć. W zasadzie skazana byłaby tylko na siebie i nawet bólem tyłka i koniecznością siedzenia półgębkiem nie miałyby się z kim podzielić. Chyba że z dzieckiem.

A matką chciała być coraz bardziej, z każdym rokiem rosło w niej to pragnienie. Dojrzewało i domagało się swoich praw. Niemal krzyczało.

Gdy tylko zjawiała się w pracy, facetowi – w jej opinii najmniej odpowiedniemu z możliwych – pokazywała z zapalem wszystkie napstrykane telefonem zdjęcia Stasia, referując jednocześnie rozwiązanie sprawy Tomasza.

– Fajny maluch – przyznał Bartek. – Niedawno Tymek taki był.

– Kto to jest Tymek? – spytała ze zaciekawieniem.

– Mój bratanek – oznajmił, wyciągając z portfela fotografię kilkuletniego chłopca, bardzo do niego podobnego.

– Nosisz przy sobie fotkę bratanka? – nie kryła zaskoczenia.

– Dlaczego nie? Bardzo go kocham.

– Może masz rację. Też pewnie będę nosić za parę lat zdjęcie Stasia.

– Ty będziesz nosić podobizny swoich dzieci – powiedział, stawiając przed nią kubek kawy z odrobiną startej skórki pomarańczy. – Gwarantuję.

– Oby.

Przysiadł jak zwykle na biurku, obok niej. Przez chwilę przyglądał się, jak pije. Miała wrażenie, że zastanawia się, czy poruszyć jakiś niewygodny temat. Wreszcie nabrał głęboko powietrza i oznajmił:

– Rozmawiałem z Maćkiem, zanim przyszłaś.

– O czym?

– O zdrowiu i o tym jego marzeniu.

– Co mówi doktor Maczek?

– Niewiele. Ale Maciek swoje wie. Chemii nie dostaje. Hospicjum to kwestia czasu.

– Bartek, na pewno możemy coś dla niego zrobić.

– Możemy. Zdecydowanie. Powiedział mi, że szybowiec to niekoniecznie, ale chciałby polecieć samolotem, zobaczyć świat z góry, poczuć pęd wiatru i przez chwilę mieć wrażenie, że jest wolny od wszystkiego, co go trzyma na ziemi.

– Jak zamierzasz sobie z tym poradzić?

– Zamierzam to marzenie spełnić – oświadczył zdecydowanym tonem, po czym upił łyk kawy z jej kubka. – Ty mi w tym, Ada, pomożesz. Jeszcze zanim przeniosą go do hospicjum. I nie będziesz przy tej okazji beczeć ani się mazać. Pozwolisz mu na to, żeby ten jeden raz poczuł się szczęśliwy.

– Tylko jak? – spytała. – Jesteś w stanie to zorganizować?

– Moja droga, masz przed sobą potomka rodziny Pilchów. Nidoszłego asa polskiego lotnictwa. To dla mnie równie łatwe jak dla ciebie zwołanie dzieciaków na lekcję. Zdaje się, że już czas.

W Walickiej zawrzała ciekawość, szczególnie że wciąż miała w głowie opowieść o locie szybowcem nad dywanem z pomarańczy. Działo to na wyobraźnię. Jednak jej uwaga została skutecznie rozproszona przez kilka spragnionych wiedzy i rozrywki głów, które należało koniecznie, chociaż na jakiś czas, oderwać od monotonii szpitalnego życia i zająć nauką.

14.

Siwy zasuszony mężczyzna siedział przy stoliku i czytał kolejny, setny już chyba raz tę samą wymiętą kartkę. Otrzymał ją pocztą kilka tygodni temu. Tekst znał na pamięć, a mimo to przepływanie wzrokiem po rzędach liter sprawiało mu swego rodzaju przyjemność. I ból. Jedno z drugim. Nie wiadomo, co większe, jednak nie potrafił z tej czynności zrezygnować.

...Sukienkę miała taką ładną, ciemnoniebieską. Teraz w mieście to dziewczyny potrafią się bez wysiłku ubrać elegancko i szykownie. Chociaż ona zwykle wcale się nie stroi. Spodnie, luźne bluzki i swetry. Normalnie tak. Ale na święta – wiadomo. Pierścionek ma precudowny, z rubinem. Oczko trochę za luźno osadzone, bo to już ma tyle lat. Można dać do jubilera, to poprawi. Nawet lepiej, żeby tylko nie zgubiła. No i zahaczać o nic nie będzie. To już sobie sami załatwią, nie ma co się wtrącać.

Będą szczęśliwi, mówię Ci. Muszą być szczęśliwi. Już dosyć bólu i cierpienia. Pobiorą się, a Bóg da, to pojawią się dzieci. Zobacysz. Trzeba wierzyć, bo tylko wiara ma jeszcze jakiś sens.

W wiadomej sprawie nadal bez zmian. Może to i lepiej? Każdy musi ponieść swój krzyż, od pokuty się nie ucieknie. Pan Bóg zsyła cierpienie, żeby do nieba przybliżyć. Czuję to z każdym kolejnym rokiem.

Ty też pamiętaj o tym tam, gdzie jesteś. Każdego dnia. I myśl, że Twój czas się zbliża.

List nie zawierał podpisu. Mężczyzna i tak doskonale znał jego nadawcę. Zaklął szpetnie, wczytując się w ostatnie słowa, i miał już zmiąć papier, żeby rzucić nim o ścianę, ale w ostatniej chwili się powstrzymał, zaciskając mocno zęby. Pogładził dłonią kartkę, jakby poprzez jej pożąłkłą nieco biel mógł zbliżyć się do tych, o których mówiły zapisane na niej słowa, i schowawszy ją do koperty, wetknął w kieszeń spodni.

Potem długo siedział bez ruchu ze skrzyżowanymi ramionami, zatopiony w myślach i dumiał nad utraconym czasem i sensem tego, co mu się w życiu przytrafiło.

Od dawna nie wierzył w Boga, a mimo to zawsze niecierpliwie czekał na każdy kolejny list kreślony tym samym starannym, niemal szkolnym pismem. Przychodziły trzy razy w roku, po Bożym Narodzeniu, po Wielkanocy i po wakacjach. Pomyślał z ulgą, że zaczął się marzec, do świąt niedaleko. Wytrzyma, oddając się monotonii pustego życia toczącego się od listu do listu.

15.

– Ada, masz jakieś plany na jutrzejsze przedpołudnie? – zapytał Bartek po piątkowych zajęciach, kiedy już zbierała się do wyjścia.

– Pójdę do Majki. Małemu odpadł kikut pępownicy i ona uważa, że trzeba to koniecznie uczcić.

– Co mu odpadło?

– Taki obrzydliwy glut, który wystawał z pępka. Miał odpaść i odpadł. Wszystko w normie.

– Aha. – Pilch wyraźnie odetchnął z ulgą. – W takiej sytuacji należy świętować. Bardzo słuszne podejście. Mogłabyś się z nią spotkać wieczorem, a z rana poświęcić czas Maćkowi i mnie?

– A tak dokładniej o co ci chodzi? – zaciekawiała się i przerwała w połowie zakładanie kurtki.

– O niespodziankę. Znajdziesz dla nas ten czas czy nie?

– Jeśli nie powiesz mi, co wymyśliłeś, to nie znajdę.

– Nie umiesz się bawić? – mruknął Bartek z rozczarowaniem. – Ty, nauczycielka? Wstyd.

– Może po prostu nie mam do ciebie aż takiego zaufania? – odparowała, zapinając suwak po szyję i zamierzając wyjść.

– To jest jakiś argument – przyznał z rezygnacją. – Spełnimy marzenie Maćka. Obiecałem mu, pamiętasz? To idealny moment, zanim Maczek go wypisze z oddziału i przeniesie do hospicjum. Musimy wyjechać przed ósmą rano, żeby dotrzeć na lotnisko na umówioną godzinę.

– Załatwiłeś mu lot samolotem?

– Załatwiłem znacznie więcej. Wszystko, co tylko mogłem – opowiadał, nie kryjąc zadowolenia.

– Myślałam, że to tylko takie gadanie...

– Dziewczyno, jak ja się angażuję, to na całego. W każdą sprawę – podkreślił. – Więc nie chrzań, że nie możesz czy nie masz czasu, bo odpadł kikut. Temu małemu jest jeszcze wszystko jedno, a Maciek nie ma nikogo poza nami. Musisz przy tym być.

Ada obrzuciła go protekcyjnym spojrzeniem, jakim obdarza się wyjątkowo niepokornego dzieciaka w przedszkolu.

– Bartek, to nie takie proste. Nie możesz po prostu zabrać go ze szpitala i wyjść.

– Mogłabyś już z tym skończyć? – spytał, przysiadając na parapecie i krzyżując przed sobą nogi.

– Z czym? – zdziwiła się, zajmując swoje krzesło przy biurku, bo to gadanie na stojąco robiło się niewygodne.

– Z traktowaniem mnie jak idioty. Myślałem, że ten etap mamy za sobą. Dostałem pisemną zgodę Marudy, doktora Maczka i nawet dyrektora domu dziecka. Potrzebujesz czegoś jeszcze?

Wyraźnie ją zatkało, bo patrzyła bez słowa jak sroka w gnat.

– Mam ci pokazać te dokumenty? – zapytał. Wstał, sięgnął do swojego plecaka i wyjął z niego teczkę, którą położył jej przed nosem na biurku.

– Nie, nie chcę. – Zerwała się, stając naprzeciwko niego.

– Na pewno?

– Na pewno, przepraszam. Jak to załatwiłeś?

– Normalnie. Poszedłem, porozmawiałem, przekonałem. Maczek przyznał mi rację, że Maćkowi nic już nie zaszkodzi, dyrektor domu dziecka zaufał jego opinii, Maruda zgodziła się zasponsorować z kasy fundacji część kosztów imprezy, resztę pokrywam ja.

– Jak to ty?

– Zwyczajnie. Jedziemy moim samochodem, korzystam z prywatnych wejść i wtyków, biorę w tym udział. Nie przejmuj się tym. Po prostu spędź z nami ten czas, dobrze?

– W porządku, o której mam być w szpitalu?

– O wpół do ósmej wystarczy. Ubierz się ciepło, tylko bez przesady. I wygodnie. Lecisz z nami.

– Nie muszę...

– Musisz, robisz to dla Maćka. Nie chcesz chyba, żeby przeżywał to sam.

Lotnisko było niewielkie i trawiaste. Wydawało się przyjazne, choć przeczyło wszelkim wyobrażeniom Ady o tym, co miało ich spotkać w najbliższym czasie. Sądziła, że jadą na łódzki Lublinek, i kiedy opuścili miasto, próbowała podpytywać, co jest grane. Dowiedziała się tylko, że to niespodzianka.

W drodze Bartek cały czas gawędził z siedzącym obok niego Maćkiem o komiksie. Dwóch lotników walczących w bitwie o Anglię w wyniku tajemniczego załamania czasoprzestrzeni przeniosło się do dwudziestego pierwszego wieku, razem ze swoim defiantem. W omawianym fragmencie bohaterowie zwiedzali współczesny Nowy Jork wraz z jego nowoczesną zabudową i oferowanymi przez miasto rozrywkami. Podobno bywało to dosyć zabawne. Ada nie słuchała zbyt uważnie, na komiksach nie znała się w ogóle, uważając, że to nie książki, nie literatura i nie sztuka. Milczała

z nosem przy szybie i starała się nie przeszkadzać. Zapytała tylko, czy ci lotnicy to dzieło braci Pilchów, jednak nie doczekała się odpowiedzi. Podeksycytowani panowie nie zwracali uwagi na usadowioną z tyłu komiksową ignorantkę.

Bartek strzelił wreszcie strzępem konkretnych informacji o planach na przedpołudnie podczas parkowania.

– Polecimy z kilkoma osobami, między innymi z moim bratem i bratankiem. Impreza jest grupowa, niestety nie udało się zorganizować jej wyłącznie dla ciebie. Mam nadzieję, że ci to nie przeszkadza.

– Jasne, że nie – oburzył się Maciek. – Jak długo będziemy lecieć?

– Mniej więcej piętnaście minut. Wzbijemy się na cztery tysiące metrów.

– A potem wylądujemy?

– Potem tak – wyjaśniał Pilch, uśmiechając się zagadkowo. – Ale nie od razu.

– No dobra, to niech pan mówi, o co chodzi, bo coś mnie pan wkręca.

Bartek odpiął pas i obrócił się na siedzeniu, żeby móc wygodnie spojrzeć na chłopca i na Adę. Łypnął na krajobraz za oknem i startujący właśnie samolot. Pogoda była piękna. Niebo pokrywały pojedyncze baranki, świeciło słońce – idealne warunki. W miarę ciepło, wiał lekki wiosenny wiatr.

– Idziemy do hangaru. Tam wszystko ci pokażę i wytłumaczę. Poznasz mojego brata i Tymka. Dla niego to już drugi raz, chociaż to dzieciak, ma dziewięć lat. Pamiętaj, że nic nie musisz. Jeśli uznasz, że wystarczy ci sam lot, zrozumieć. Nikt nie będzie się śmiać. Jeśli się zdecydujesz, zrobimy to razem, we dwóch. A skoro mamy przeżyć wspólnie prawdziwą przygodę, nie możesz mówić do mnie „pan”, tylko Bartek – oświadczył i wyciągnął dłoń do zaskoczonego chłopca. – Ty – zwrócił się do Ady – jeśli też będziesz chciała, dostaniesz innego instruktora. Przepraszam, dzisiaj jestem do wyłącznego użytku Maćka. Nie dam rady się rozdwoić.

– Ja? – spłoszyła się, jakby nagle wywołał ją do tablicy. – Ale co?

– Pstro – zażartował i otworzył drzwi. – Idziemy, Maciek, bo pani Ada zaraz zemdleje z ciekawości.

Kilkanaście minut później Walicka została zaprowadzona do obszernego hangaru i z przerażeniem uświadomiła sobie, że bierze udział w krótkim szkoleniu przed tandemowym skokiem spadochronowym z pułapu czterech kilometrów. Zapierała się ze wszystkich sił, lecz w końcu przekonano ją do położenia się na czymś, co wyglądało jak przerośnięta deskorolka, kazano

przećwiczyć pozycję na brzuchu, jaką przyjmuje się w trakcie spadania, opisano po kolei wszystkie etapy zabawy i doprowadzono ją niemal do obłędu. Obcy facet przypisany do niej jako instruktor wręczył jej jakieś szmaty, które kazał założyć w formie kombinezonu, i pozapinał na niej dziwne uprząże, obmacując jej przy tym pachwiny i biust. Wyglądało na to, że tylko ona czuje się skrupowana. Pozostali traktowali całą procedurę jako zupełnie normalną. Poza tym nikt nie przyjmował do wiadomości informacji, że ona nie chce, boi się i absolutnie nie jest zainteresowana.

Tymczasem Maciek wyglądał na zachwyconego.

Słuchał instrukcji, natychmiast wykonywał każde polecenie, nie spuszczał swojego opiekuna z oka i nawet nabrał odrobiny rumieńców. Obok nich kręcił się nieustannie podekscytowany chłopiec, bardzo podobny do Bartka. Miał skakać ze swoim ojcem, starszym Pilchem, przystojniejszym od brata, bez zaczątków łysiny, za to dla Ady zupełnie obcym.

Walicka machnęła ręką na bezsensowne rozważania i skupiła się na tym, co działo się w hangarze. Szkolenie dobiegło końca, wszystkie formalności zostały dopełnione i instruktorzy zaprosili podopiecznych do samolotu.

– Wujek, ja pierwszy skaczę z tatą, ja pierwszy! – krzyczał chłopiec, szarpiąc Bartka za kurtkę.

– Stryjek. Zobaczmy. Zastanowię się.

– Wujek, masz na imię Stryjek? – przekomarzał się mały.

– Tymek, nie przeciągaj struny, bo wcale nie skoczysz – zagroził mu Bartek. – Za wujka masz gwarantowane klocki z Myszka Miki.

– Dobra, stryjek, wygrałeś. Możesz być pierwszy. Ale wredota z ciebie, wiesz?

Ada mimowolnie zaśmiała się z tych przekomarzanek i zerknęła na Maćka. Też się uśmiechał, chociaż chyba miał do Bartka nieco żalu o tę uwagę poświęconą bratankowi. Może był zazdrosny? W swoim krótkim samotnym życiu w to jedno przedpołudnie chciał mieć dwoje dorosłych tylko dla siebie i nie dzielić się nimi z nikim innym.

Bartek dostrzegł to, bo puścił Tymka z ojcem przodem i pozwolił, by reszta grupy także ich wyprzedziła. Objął Maćka ramieniem, a Adę złapał za rękę. Nie wyrwała się tylko dlatego, że ten nagły gest całkowicie ją zaskoczył.

– I jak? Gotowi na wielkie emocje? Kto ma pietra, ręka w górę – zagaił, zerkając raz na jedno, raz na drugie.

– Na mnie nie licz. Ja się nie mogę doczekać – odpowiedział chłopak.

– Na mnie nie licz – zawtórowała mu Ada, wyswobadzając rękę. – Ja nie skaczę.

Wzruszył tylko ramionami i szybkim krokiem skierował ich do samolotu.

Nieduży dwusilnikowy L-410 Turbolet mieścił na pokładzie maksymalnie osiem tandemów skoczków i dwóch pilotów. W środku, wzdłuż ścian, znajdowały się dwie wąskie ławki. Chłopak rozglądał się z zainteresowaniem na boki, wypytując Bartka o każdy element wyposażenia. Nieco rozczarował go fakt, że z samego lotu skorzystał niewiele. Zamiast siedzieć z nosem przy szybie, prawie cały czas należało poświęcić na przygotowania do skoku: sprawdzić wszystkie zapięcia, mocowania, szelki i połączyć skoczka z instruktorem, który przypinał się do podopiecznego niczym plecak. Wyglądało to nieco komicznie. Maciek musiał usiąść Bartkowi na kolanach, przed czym najpierw mocno się zapierał, jednak kiedy się zorientował, że pozostałe tandemy wykonują ten sam manewr, machnął ręką na bzdurne zahamowania i robił to, co trzeba.

Ada stanowczo odmówiła wzięcia udziału w szaleństwie i przeprosiwszy mężczyznę, z którym miała stanowić zespół, zajęła miejsce na ławce pod zaokrąglonym okienkiem, skąd bez ustanku wnikliwie obserwowała Maćka.

– Dobrze się czujesz? – spytała, przekrzykując hałas, kiedy poprzypinany i posprawdzany stał z Bartkiem obok niej przy otwartych drzwiach i czekał na swoją kolej.

– W życiu nie czułem się lepiej – odwrzasnął. – To jest lepsze od lodowca, strzelenia gola Fabiańskiemu i nawet od zakochania chyba też.

– Jesteś pewien?

– Nie, ale jak już będę wiedział na bank, to pani powiem.

Zaśmiała się i ścisnęła mu mocno dłoń. Tuż przed nimi skoczył Tymek z ojcem. Jeszcze do ostatniej chwili próbował coś krzyknąć do stryjka, chociaż ten nic nie usłyszał. Widział tylko, że chłopiec z nadmiaru emocji z trudem łapie powietrze. Miał świadomość, że Borys jest doświadczonym skoczkiem i doskonale sobie poradzi, a mimo wszystko wolałby skakać z bratankiem sam. Coś tkwiło w nim, nie wiadomo skąd i dlaczego, co sprawiało, że w powietrzu do końca ufał tylko sobie.

Dlatego cieszył się w duchu, że Ada postanowiła zostać w samolocie.

Powoli ogarniało go to przyjemne podekscytowanie wpadające z zewnątrz razem z wiatrem. Krew pompowała adrenalinę do komórek i wprawiała w radosne ożywienie cały organizm włącznie ze wszystkimi ośrodkami mózgu. W takich chwilach Bartek czuł, po co żyje, i jak dotąd nic na ziemi

nie dostarczyło mu równie silnych emocji. Nic na dole nie mogło się równać z tym, co spotykało go w chmurach. Nic. Maciek miał rację.

Kiedy przyszła kolej na ich tandem, stanął ze swoim podopiecznym na progu i chwycił się pałaka przy drzwiach. Tuż obok Ada pokazywała im kciuk uniesiony do góry. Wiatr szarpał jej włosy, które wymknęły się spod gumki, i rzucał pojedyncze pasemka na twarz i czoło. Bartek płynnym ruchem zgarnął jej luźne kosmyki za ucho i pogłaskał ją palcem po policzku.

– Kiedyś się odważysz i wtedy skoczysz ze mną – krzyknął, żeby przebić się głosem przez hałas silników i wiatru. – Obiecuję ci, że będzie pięknie. Sama ocenisz, czy to lepsze od zakochania. A teraz trzymaj kciuki za Maćka.

Poklepał chłopca po ramieniu, zgodnie z umową. Ten pokiwał głową i odepchnął się zdecydowanym ruchem od progu.

Przez pierwsze sekundy Maćkowi wydawało się, że pęd powietrza jest zbyt silny, by chociażby unieść odrobinę powieki i cokolwiek zobaczyć. Nie mógł zrobić zupełnie nic poza poddaniem się sile przyciągania. W końcu zdołał otworzyć chronione goglami oczy. O rozglądaniu się na boki nie było mowy, jednak dostrzegł gdzieś daleko, pod nogami, odlatujący samolot z Adą w środku. Widok wydał mu się tak irracjonalny i dziwny, że miał ochotę roześmiać się w głos i pewnie by to zrobił, gdyby nie to szaleńcze tempo, z jakim mknęli ku ziemi.

Spadali głowami w dół. Sama szybkość, blisko dwustu kilometrów na godzinę, wywoływała w chłopcu emocje, które były wszystkie dotychczasowe rekordy jego przeżyć.

Maciek czuł, że ciężko mu nabrać powietrza, a powoli kończył się tlen. Nie mógł wykonać żadnego ruchu. Całe ciało stało się bezwładne, ogromnie ciężkie, jakby w ogóle nie należało do niego. Nie bał się, całkowicie ufał swojemu opiekunowi, a mimo to miał wrażenie, że serce za moment wyskoczy mu z klatki piersiowej i odleci gdzieś w chmury, wolne jak ptak, porzuciwszy wszelkie troski i ograniczenia jego niedoskonałego ciała.

Po niecałej minucie takiego szaleństwa, zanim konieczność oddychania stała się absolutnie paląca, Bartek otworzył spadochron. Wszystko wyhamowało i nagle znaleźli się w pozycji poziomej. Nastolatek zrozumiał sens ćwiczeń na tej dziwnej deskorolce, nabrał głęboko powietrza w płuca, a wraz z nim przekonania, że doświadcza najcudowniejszego snu, jaki śnił w całym swoim życiu.

Bujało na boki, kiwało i kręciło jak na karuzeli. Chłopak podejrzewał, że to nie kwestia wiatru, lecz sprawka instruktora, który umiejętnie sterował czasem spadochronu, żeby dostarczyć im jak najwięcej uciechy. W pewnej chwili usłyszał tuż przy uchu:

– Teraz uważaj, młody!

Nagle znalazł się w nicości. Dookoła znajdowała się totalna pustka, kompletnie niewidzialne nic, nieprzejrzyste, wilgotne mleko. Zbiło go to nieco z tropu i zaskoczyło, aż krzyknął z niepokojem:

– Co to jest?

– Chmura, Maciek. Lecimy w chmurze!

– O kurde! – wrzasnął zachwycony i wyciągał rozcapierzone palce, próbując łapać tę chmurę w dłonie, w ogóle ich nie widząc.

To tak, jakby nie być i być jednocześnie, schować się całkiem przed światem, uciec od tego, co złe, i tylko cieszyć się chwilą.

Przyjemność trwała zaledwie kilkanaście sekund. W końcu wypadli z miękkiej bieli na jasny, słoneczny świat. Maciek zmrużył oczy i zaczął rozglądać się po widocznym w dole krajobrazie. Gdzieś tam było lądowisko, okoliczne lasy, łąki i w oddali autostrada. Samolot szykował się do lądowania.

– Za chwilę dotkniemy ziemi! – krzyknął Bartek.

– Nie chcę! – odwrzasnął chłopak. – Możemy tam wrócić, do tej chmury?

W odpowiedzi usłyszał tylko głośny śmiech.

Kilkuminutowa bajka się kończyła. Trwała krótko, stanowczo za krótko jak na takie smutne, ciężkie życie. Jednak mimo wszystko dobrze, cudownie, że w ogóle się zdarzyła.

– Podnieś nogi wysoko, najwyżej, jak będziesz mógł. Ja ci pomogę.

– Hukniemy mocno?

– Skąd. Posadzę cię miękko jak wisienkę na torcie. Zaufaj mi.

Kwadrans później Ada siedziała na trawie i przytulała do siebie trzynastolatka, którym raz po raz wstrząsał szloch. Sama też płakała, chociaż starała się to przed nim ukryć.

Bartek przykucnął obok nich i przyglądał się temu w milczeniu.

Podszedł Tymek, oparł się o jego plecy i wyszeptał stryjkowi wprost do ucha:

– Dlaczego on płacze? Nie podobało mu się?

– Bardzo mu się podobało. Po prostu wie, że to był jedyny raz. Nigdy więcej mu się to nie przydarzy.

– Czemu? Nie może przyjechać tu znowu?

– Niestety. Dla niego to już nie będzie możliwe.

Mały Pilch zmarszczył czoło i przez chwilę przyglądał się w zadumie starszemu chłopcu.

– Może zrobię wam zdjęcie? – zaproponował. – We trójkę. Tobie, jemu i tej pani? Będzie miał na pamiątkę.

– To chyba nie jest dobry moment – odpowiedział Bartek. – Ale dzięki, że pomyślałeś.

– Daj mu to – zdecydował Tymek, wciskając w rękę Bartka mały model L-410 Turboleta. – Dostałem go od ciebie przy pierwszym skoku, pamiętasz? Najwyżej kupisz mi drugi. Dasz mu?

– Dam. Dzięki – mruknął Pilch, przytulając chłopca. – Wiesz co? Następnym razem kupię torebkę na prezent w samoloty.

– No, najwyższy czas – westchnął chłopiec i odszedł w stronę ojca z szerokim uśmiechem na twarzy.

Maciek długo jeszcze nie mógł się uspokoić, a potem, przez całą drogę do szpitala, ścisnął w dłoni model samolotu, który podarował mu dziewięcioletni Tymek Pilch.

Świat był piękny, ludzie – fascynujący, a życie – pełne zagadek. Tylko czemu okazało się tak okrutnie, bezlitośnie trudne? I takie krótkie?

– Dziękuję ci, że go zabrałeś – powiedziała Ada, gdy już rozstali się z Maćkiem. – Chociaż myślałam, że nie odważy się skoczyć.

W zasadzie nie mieli już nic do roboty. Skierowali kroki do klasy z rozpędu i przyzwyczajenia. Może po prostu czuli, że powinni jeszcze chwilę porozmawiać?

– Nie musisz mi dziękować. Chciałem to zrobić dla niego. Bardzo to przeżył. Widziałaś, jak ścisnął tę zabawkę od Tymka?

– To musiało być dla niego niezwykle. Nie chodzi tylko o sam skok. Zresztą ja też przeżyłam dziś znacznie więcej, niż się spodziewałam.

– Cieszę się. Latanie pomaga poczuć się wolnym i szczęśliwym. Na ziemi trudniej tego doświadczyć – podsumował, patrząc jej w oczy, po czym uciekł wzrokiem i dodał: – Pójdę już. Muszę zahaczyć o sklep.

– Po „Dziennik” i orzechy włoskie?

– I pół chleba.

– Bartek... – zaczęła z pewnym skrepowaniem, chociaż wiedziała, że musi wreszcie to zrobić, bo temu facetowi zwyczajnie się należało. – Myślałam, że jesteś inny. Przepraszam.

– Czyli jaki?
– Nie wiem. Bezczelny, zarozumiały...
– Głupi baran i w dodatku gej? – uzupełnił, stając naprzeciwko niej.
– To akurat nie ma...
– I które z tych epitetów udało ci się obalić?
– Nie jesteś głupi ani zarozumiały – powiedziała z przekonaniem.
– Może bywam bezczelny – wszedł jej w słowo, obejmując dłoń jej podbródek. – Za to gwarantuję ci, że nie jestem gejem. A już przy tobie czuję się absolutnie hetero.

Pochylił się, jakby chciał ją pocałować. Patrzyła mu w oczy i mimowolnie rozchyliła usta. Zaskoczył ją, nie wiedziała, jak zareagować na to wyznanie, na to niespodziewane zbliżenie i nagłe napięcie, które pojawiło się między nimi. Miała wrażenie, jakby wokół gwałtownie zmieniło się ciśnienie, jak przy starciu lub lądowaniu samolotu. Jakaś niewidzialna siła napierała na nich z zewnątrz i pchała ich do siebie. A może działała w nich od środka? Kto wie. Szumiało jej w uszach i znienacka zrobiło się bardzo gorąco.

– Nie jesteś?
– Oczywiście, że nie.
– To dlaczego pozwoliłeś tak myśleć...
– Natce? Tak było dla niej lepiej. Naprawdę nie czułem się nią zainteresowany.
– A mnie?
– Ty i tak byś się w końcu dowiedziała, jaka jest prawda. Poza tym nigdy mnie o to nie pytałaś.

Przysunął się jeszcze bliżej i delikatnie, ledwo wyczuwalnie musnął jej usta, najpierw kciukiem, jakby na próbę, a potem wargami. To nie był nawet pocałunek, jedynie coś, co mogło stanowić jego zapowiedź lub obietnicę. Ada niespodziewanie poczuła gdzieś w sobie dziwne ukłucie, które rozlało po jej całym ciele przyjemne ciepło. Jakby wypełniło ją coś, co wprowadza w stan oszołomienia, oczekiwania i jednocześnie jakiejś nieokiełznanej radości. Zakręciło jej się w głowie, jak po potężnej dawce nalewki z mirabelek ojca Majki. Zanim zdążyła poukładać sobie te doznania, Bartek odsunął się od niej na krok. Jego ręka została w miejscu, zawieszona w pustce między nimi.

– Teraz znasz mój sekret, mała – szepnął i dodał z lekkim uśmiechem: – Nie wydaj mnie, bo się nie opędzę od wielbicielek.

– Nie jestem mała i mam narzeczonego – oznajmiła dziwnie roztrzęsionym głosem, ni to z żalem, ni to z pretensją.

– Pamiętam – mruknął, opuszczając dłoń. – Na razie to największa z twoich wad, jaką zdołałem odkryć. Ciekaw jestem, do czego się jeszcze dokopię. Kochasz go?

Cholera, co to jest za pytanie? Oczywiście, że kocha Jacka. Zawsze kochała Jacka. Całe życie, od podstawówki. Nigdy nie kochała nikogo innego poza nim, mamą oraz tatą, dopóki jeszcze wolno jej było go kochać.

– Tak.

– To znalazłem drugą wadę, która w zasadzie zamyka ten temat – oświadczył Pilch poważnym głosem i splótł ręce na piersi, przysiadając na biurku.

Nim zdążyła zareagować, drzwi skrzypnęły i do klasy wszedł Zawadowicz we własnej osobie. Omiótł ich podejrzliwym spojrzeniem.

– Gotowa? – zapytał, rezygnując z pytań i jakiegokolwiek powitania.

Ada na ułamek sekundy zastygła w przerażeniu na myśl, że mógł wejść chwilę wcześniej i przyłapać ją na... właściwie na czym? Na całowaniu się z Bartkiem? Cholera, czy ona faktycznie się z nim całowała?

Poczuła, że musi natychmiast wyjść i ogarnąć myśli, bo zwariuje do reszty.

– Już prawie – odparła, zgarnęła torebkę z biurka i po prostu opuściła klasę. – Dasz mi jeszcze minutę? Zajrzę do Maćka.

– Jakiego Maćka?

– Jacek, cholera jasna, mojego byłego ucznia.

– A, to ten chłopak, dla którego urządzaliście całą tę szopkę z lataniem?

– Ten. Chwila. To będzie dla niego ciężka noc.

– Czekam na korytarzu. Pospiesz się, lecę z nóg. Ty też wyglądasz blado – mruknął z nietypową dla niego troską i nagle pogłaskał ją po policzku.

Zdziwiła ją ta jego przelotna czułość, bo ostatnio rzadko miał czas i siłę na tego typu drobnostki. Obejrzała się jeszcze przez ramię i zobaczyła, że Jacek opada ciężko na krzesło w korytarzu. Chyba faktycznie gonął resztkami sił. Podkrążone oczy potwierdzały to, o czym wiedziała doskonale. Zdecydowanie za mało spał. Powtórzyła sobie w duchu, że spędzi u Maćka nie więcej niż trzy minuty, a potem pozwoli narzeczonemu odpocząć.

Było wczesne popołudnie, ledwo czternasta. Dojechali do domu, zahaczając po drodze o sklep i robiąc zwykłe spożywcze zakupy jak każda

normalna para albo rodzina.

Upychając zapasy w lodówce, Ada spytała narzeczonego, który palił papierosa przy zlewie:

– Będziesz dziś jeszcze pracował?

– Bo co?

– Po prostu pytam.

– Pasuje ci, żebym pracował? – Jego głos stał się dziwnie agresywny i natarczywy.

Odwróciła się od torby z warzywami i spojrzała na niego.

– Nie, no co ty? Planowałam pojechać do Majki. Zwykle w sobotę do wieczora siedzisz nad papierami, więc nie chcę ci przeszkadzać.

– A gdybym nie zamierzał dziś tego zrobić? – mruknął zaczepnie.

Zgasił peta o zlew, wyrzucił niedopałek do kosza i ruszył w jej stronę.

– No, to byłoby święto stulecia – próbowała żartować i wytrzymać jego twarde spojrzenie.

– I tak byś do niej poszła.

– Raczej tak, umówiłam się.

– Kurwa mać, Ada! – ryknął nagle tak głośno, że aż drgnęła.

Jednocześnie uderzył pięścią w blat bufetu. Leżące na nim pomarańcze i mandarynki podskoczyły. Część owoców potoczyła się i pospadała na ziemię.

– Co ty wyprawiasz, Jacek?

– Ja? Co ja wyprawiam?! – wrzeszczał. – Okłamałaś mnie. Zwyczajnie mnie orznęłaś. Od tygodni mnie oszukujesz.

Teraz stał już naprzeciwko niej, a ona, oparta plecami o stojącą w rogu lodówkę, nie miała się gdzie odsunąć.

– Odbiło ci? Co ty wymyślasz? Jesteś przemęczony.

– Wszystko już wiem, rozumiesz? Piekarz mi powiedział. Dlaczego byliście u niego razem? Dlaczego kładł ci ręce na ramionach? Taki z niego pedał jak ze mnie balerina. Od początku to, kurwa, widziałem, a ty mi mydliłaś oczy!

– Pojechał ze mną, bo ty nie miałaś czasu. Jakie to ma znaczenie? Jesteś zazdrosny?

– Nie pierdol! – wrzeszczał, łapiąc ją za ramiona i potrząsając nią jak szmacianą lalką tak, że raz po raz uderzała plecami i tyłem głowy o drzwi lodówki. – Nie rób ze mnie debila!

– Puść mnie. To boli – prosiła coraz głośniejszym głosem, bo ręce aż jej drętwiały od żelaznego uścisku.

Zupełnie nie zwracał uwagi na jej słowa.

– Widziałem was dzisiaj. Gapił się na ciebie jak ciele. Co robiliście, zanim przyszedłem? Zdążył cię chociaż porządnie wydymać? Bo ja, po tym, co zobaczyłem, jakoś straciłem ochotę!

Szarpnął nią jeszcze ostatni raz i odepchnął na bok tak, że upadła na podłogę. Po chwili usłyszała trzask drzwi.

Została sama.

Zdjęła bluzę i spojrzała na obolałe ramiona. Powoli rozlewały się na nich wyraźne, ciemniejące z każdą chwilą ślady – dowody na to, że tego, co się stało, wcale sobie nie wymyśliła.

Co to w ogóle było?

I dlaczego?

Powolnym krokiem powlekła się do lustra. Po radości z porannego lotu nie został nawet ślad. Chciała wyprostować się dumnie i powiedzieć tak, jak uczyła ją mama: „Lubię cię, Ada, jesteś w porządku”.

Naciągnęła z powrotem bluzę na ramiona i zapięła zamek pod samą szyję, a potem się rozplakała.

Rozdział 2

16.

Bartek wrzucił niedbale do bagażnika ostatnie reklamówki z zakupami. Obok nich wstawił spore pudło pełne butelek, szklanych i plastikowych, oraz kilka kartonów mleka. Na koniec upchnął w kącie czteropak piwa i z westchnieniem ulgi odprowadził wózek na miejsce.

Ściemniało się, chociaż wciąż daleko było do wieczora. Pilch wiedział, że jeśli czegoś nie zrobi z wolnym czasem, to godziny pozostałe do nocy będą mu się bezlitośnie dłużyć. A on chciał po prostu zabić czas i nie myśleć o niczym. Zwłaszcza o tym, o czym myśleć w ogóle nie powinien.

Odstawiając pusty wózek, zaklął pod nosem i zacisnął dłonie w pięści. Małe kółka zareagowały natychmiast i potoczyły się w bok na lekko pochylonym asfalcie. Po chwili wózek z całej siły wyrznął w metalowy słupek wiaty, w której należało parkować lekko i delikatnie. Stojący tuż obok przygarbiony starszy pijaczyna drgnął, oburzony tą gwałtownością. Wyglądał na bezdomnego. W uniesionej dłoni okrytej dziurawą rękawiczką ścisnął niesamowicie brudną reklamówkę z Biedronki. Cały czas przestępował z nogi na nogę, jakby się przymierzał do cza-czy.

– Panie, nie to nie. Nie trzeba tak niegrzecznie – fuknął, przekrzykując hurgot wózka, i zachwiał się jak targana wiatrem rachityczna brzoza pośrodku szczerego pola.

Oblicze miał szczerze jak to pole, a oczy ziały osobliwą pustką.

– Proszę? – rzucił wyrwany z zamyślenia Bartek.

– To ja proszę – sprostował pijaczek. – Grzecznie w dodatku: dołóż pan złotówkę z wózka, bo mi na flaszkę nie styka. A pan wózkiem rzucasz i mięsem w dodatku jak menel jakiś. Nie to nie, bez łaski.

– Przepraszam, nie słyszałem – mruknął Pilch. Wyciągnął z kieszeni garść drobniaków, przez chwilę mierzył rozmówcę wzrokiem, aż wreszcie spytał:

– Ma pan jakąś rodzinę? Żonę, dzieci, wnuki?

Stary pogładził się po długiej splątanej brodzie i mruknął:

– Nikogo nie mam. Nie dasz? Bo nie dla dzieci, bo bezdomny, bo na flaszkę, a nie na chleb, tak?

Bartek uniósł z zaciekawieniem brwi i uśmiechnął się do pijaczka.

– Dam – oznajmił, wpychając mu bilon w garść. – Jak nie masz rodziny, to nawet ci się nie dziwię, że pijesz. Poza tym nikogo nie skrzywdzisz tym, że się ubzdryngolisz.

Kiedy wracał do auta przez rozległy parking, cały czas słyszał za sobą dziękczynne pienia bezdomnego wróżące niechybne szczęście jemu

i wszystkim jego potomkom.

Pilch zdecydowanie nie przepadał za włóczęgiem się po olbrzymich marketach. Zwykle ograniczał codzienne potrzeby do Żabki lub zahaczał o nieduże osiedlowe targowisko, które mijał w drodze ze szpitala do domu. Większe wyprawy aprowizacyjne urządzał maksymalnie dwa razy w miesiącu i kupował wszystkiego tyle, ile była w stanie pomieścić jego przepastna lodówka z ogromnym zamrażalnikiem. A w zasadzie jeszcze więcej.

Spędzał wówczas w Tesco lub Carrefourze minimum dwie godziny i gdy wychodził na świat boży, był gotów gryźć, mordować i rozszarpać każdego, kto tylko nawinąłby mu się pod rękę. Stanowczo taka forma zakupów nie koła jego nerwów, za to odsuwała myśli od wszelkich innych problemów.

Przynajmniej tak to działało dotychczas.

Zdażył usiąść za kierownicą nissana i pokonać meandry olbrzymiego parkingu, kiedy rozdzwoniła się jego komórka. Leżała obok, na siedzeniu pasażera. Wystarczyło rzucić okiem, żeby nabrać pewności, że odebranie połączenia absolutnie nie jest dobrym pomysłem. Pilch nie miał ochoty na rozmowę z bratem o tym, z kim Borys widział go na lotnisku. O to z pewnością chciał zapytać. Nie bez powodu próbował się dobić już trzeci raz.

– Tchórz – mruknął Bartek o sobie i ignorując dźwięki telefonu, skupił się na ruchu ulicznym oraz niewielkim odcinku, jaki miał do pokonania, by dotrzeć do swojego mieszkania przy ulicy Florecistów.

Kwadrans później taszczył zakupy do windy. Nie zdołał zabrać wszystkiego naraz, więc zablokował drzwi kabiny kartonowym pudłem i wstawiał kolejne reklamówki, kiedy komórka znów się odezwała. Zirykowało go to i cicho zaklął. Cholera jasna, nie odbiera, to nie odbiera. Nie trzeba napierniczać co pięć minut. Ze złości ustawił ostatnią torbę nieco krzywo, przez co wysypały się z niej jabłka i potoczyły malowniczym łukiem po podłodze windy. Popchnął nogą karton, włożył do środka, nacisnął piątkę i zaczął zbierać owoce, jednocześnie wyszarpując smartfon z kieszeni.

Opieprzy tego barana za natręctwo, aż mu w pięty pójdzie.

Gównu. Nie opieprzy. W windzie nie ma zasięgu.

Zanim zdażył choćby zerknąć na wyświetlacz, drzwi się rozsunęły i znów musiał powtórzyć manewr z blokowaniem ich za pomocą pudła, żeby mu te

rozsypane jabłka nie odjechały. Sapiąc nieco, przetransportował wszystkie bambetle pod własny próg i olewając komórkę, wygrzebał klucze od mieszkania.

Dopiero kiedy poupychał zakupy w lodówce i w kuchennych szafkach, zerknął na wyświetlacz telefonu. Ze zdziwieniem odkrył, że to nie Borys dobijał się do niego w windzie. Bez wahania oddzwonił, a na jego twarzy pojawił się wyraz szczerego rozbawienia.

– Już idę – powiedział po uzyskaniu połączenia. – Razem z tobołami. W nagrodę liczę na porządnego kielicha i jakieś obrzydliwie kaloryczne ciasto.

Zamiast odpowiedzi usłyszał tylko chichotanie i postanowił się pospieszyć. Jego niezawodny lek na całe zło czekał na posterunku i stanowił idealną gwarancję doskonałego wieczoru.

Wpadł na moment do łazienki, wziął prysznic, założył wygodną polówkę i dżinsy, bo nie potrzebował wyszukanego stroju, przeczesał palcami wilgotne włosy, z rozpędu psiknął wokół siebie wodą toaletową i był gotów do wyjścia. Telefon zostawił na kuchennym stole. Niech dzwoni do upadłego. Tego dnia nie miał zamiaru tłumaczyć się z tego, jak żyje i jakie wybory przyszło mu podejmować. W każdym razie nie zamierzał dyskutować o tym z Borysem, bo czuł, że skończyłoby się to czymś nieprzyjemnym. Nie chciał kłótni. Nie teraz, nie po tylu latach i nie w sytuacji, kiedy obaj mieli inne problemy na głowie.

Załadował do przywleczonego ze sklepu pudła dwie nierozpakowane reklamówki i wyniósł je na klatkę schodową. Zamknął drzwi od mieszkania, przesunął butem zakupy o jakieś trzy metry, pod sąsiednią wycieraczkę, i nacisnął dzwonek umówionym znakiem, trzy razy krótko i raz dłużej.

– Właż. – Usłyszał ze środka, więc z własnego pęku kluczy wyłowił właściwy, posłużył się nim i po chwili bliźniacze mieszkanie, stanowiące lustrzane odbicie jego własnego lokum, stało przed nim otworem.

Dźwignął bagaż i włądował się do środka, zapalając światło w ciemnym przedpokoju. Z oddali dopadły go przyjemne dźwięki fortepianu. Nieco go to zaskoczyło, bo spodziewał się potężnego ryku orkiestry z wyraźną dominacją skrzypiec. W tym domu zazwyczaj królował Piotr Czajkowski.

– Chodź, chodź. Zaraz będzie szarlotka. Upiekłam, żebyś nie gderał, że nie umiem.

– A, to dlatego na całej klatce schodowej tak śmierdzi spalenizną? – zawołał i ruszył dziarsko przed siebie.

Zanim zdążył dotrzeć do obszernego pomieszczenia pełniącego rolę salonu, jadalni i kuchni, coś sporego, zielonego i niebywale ruchliwego zaczęło z zapalem okładać go po głowie, wykrzykując ostrym, zaczepnym głosem:

– Ignorrrant! Ignorrrant! Ignorrrant!

– Hej, Zoja. Co tak ostro? Od razu musisz lać po pysku?

– *Wot durrrak! Ja jebu!*

– Zoja, spokój! Nie krzycz na gościa. – Z głębi mieszkania dobiegł stanowczy i zdecydowany głos.

– A tam spokój. Zawsze musi mnie na dzień dobry obsobaczyć. Potem się będzie wdzięczyc.

– *Bliackij karrakan!*

Bartek wszedł wreszcie odważnie do salonu, nie zważając na to, że Zoja wciąż łypie na niego groźnie, przysiadłszy na oparciu fotela.

– Wyzywaj mnie od karaluchów, to nic nie dostaniesz. No jak? Chcesz orzeszka?

Spora papuga, niemal cała zielona z niewielkimi dodatkami żółci i czerwieni, przekrzywiła na bok lśniący kształtny łebek, poruszyła jasnoszarym potężnym dziobem, jakby się zastanawiała, co powiedzieć, i zacisnęła pazurki na kwiecistej tapicerce. Przez chwilę toczyła po pokoju czarnymi jak paciorki oczami, aż w końcu rozwrzeszczała się na całe gardło:

– *Karrakan, karrakan, dwużopnyj karrakan!*

Bartek sięgnął do kieszeni i wyjął z niej orzech włoski. Położył go na otwartej dłoni i podsunął pod dziób ptaka. Zoja zatrzepotała skrzydłami, pokręciła się na oparciu fotela, po czym bez ostrzeżenia porwała orzech z ręki mężczyzny i uciekła do swojej klatki stoczyć walkę o rozłupanie zdobyczy.

– Co się mówi, Zoja? – zawołał za nią.

– *Ja tiebia liubliu* – wyskrzeczwał ptak, przerywając na moment jedzenie.

– Ech, kobiety. Ja też cię kocham – wyznał ze śmiechem i natychmiast się poprawił: – Obie was kocham, moje panie. Jesteście cudowne.

– Nie masz wyboru – oświadczyła ledwo widoczna zza kuchennej wyspy osoba, grzebiąca zawzięcie w piekarniku. – Kogoś musisz. Czechow pisał, że mężczyzna bez kobiety to jak parowóz bez pary.

– Ja mam was dwie. Para buch, koła w ruch.

– E tam, takie dwie. Ale skoro żadnej innej nie chcesz na dłużej...

– Może właśnie bym chciał – oświadczył, wymijając wysepkę i przysiadając na kuchennym taborecie. – Tylko niewiele mi z tego chcenia przyjdzie.

Dwoje jasnobłękitnych oczu, schowanych za grubymi szklami okrągłych okularów w krzykliwe czerwonych oprawkach, utkwilo w nim zdumione spojrzenie.

Ręce trzymające ogromną blachę z gorącym ciastem lekko zadrżały i musiał pospieszyć z pomocą, żeby świeżo upieczony placek nie wylądował na podłodze. Udało się opanować sytuację i foremka z szarlotką spoczęła na bufecie, na przyszykowanej deseczce, gdzie bezpiecznie mogła przestygnąć. Bartek, nim znów wrócił na stołek, sięgnął z lodówki napoczętą butelkę soplisy, a z szafki nad zlewem – dwa kieliszki do wódki.

– Po kusztyczku? – spytał i nie czekając na odpowiedź, zaczął nalewać.

– Zakochałeś się, chłopaku?

– Nie wiem. Może tylko mi się zdaje. To bez znaczenia, bo i tak przesrane.

– Nie leci na ciebie?

– Można to tak ująć. Zaraz po tym, jak ją dziś pocałowałem, wyznała, że kocha narzeczonego. Czyli chyba nie leci, nie?

– Narzeczonego? Nie zamierzałeś przypadkiem trzymać się z dala od zajętych kobiet?

– Ano. Taki mam plan na życie. Dlatego siedzę tu z wami dwiema, zamiast stać jak idiota pod jej oknem, chociaż pchają mi się na usta różne durne serenady – podsumował i jednym szybkim ruchem opróżnił kieliszek.

– Czyli nie będziesz śpiewał?

– Nie będę. I może dobrze, bo koszmarne fałszuję. Co się stało z Czajkowskim?

– Zarządziłam odwyk. Zoja za bardzo szalała przy *Dziadku do orzechów*. Poznaj i racz docenić Modesta Musorgskiego oraz fortepianowe *Obrazki z wystawy*. Pijemy na drugą nóżkę?

– Pijemy.

– Za szczęśliwą miłość.

– O ile taka istnieje – mruknął, nalewając wódkę.

– *Durrrak! Durrrak! Dawat orrrekh!* – zaskrzeczała Zoja, podlatując do bufetu.

Bartek wyjął z kieszeni następny smakołyk i podał jej wprost do dzioba.

– Terroryzuje cię.

– No to co? Niech terroryzuje, skoro swojego pana już nie może. Ma to swój urok.

– Racja – przyznała mu rozmówczyni i wychyliła kolejny kieliszek do dna. – Napijmy się jeszcze.

– Nie ma mowy. Nie w tym tempie i nie na pusty żołądek, bo się nawalimy jak szpadle i nie damy rady zrobić nic pożytecznego. Kupiłem polędwiczki jagnięce, nie mogą się zmarnować.

– Grzyby masz?

– Mam. A do tego kaszę jaglaną.

– To ty cały kieliszek, a ja pół. Potem możemy pichcić do upadłego.

Bartek pokiwał głową i dolał soplidy.

– Pani Ludmiło, pani nikt nie przegada.

– Chyba że Zoja.

– Nie, nawet ona nie da rady. W końcu to tylko zwykłe zielone ptaszysko. Pani zdrowie – wznosił toast i wychylił kieliszek do dna.

– *Job twoju mać* – krzyknęła papuga z kąta i rozgniotła orzech.

– Twoje zdrowie, Bartek. Niech ci się wreszcie poszczęści – powiedziała uroczystym tonem pani Ludmiła i z wyraźnym zadowoleniem wypija swoją wódkę do ostatniej kropelki.

Była mała, maleńka, a kiedy siedziała, wydawała się jeszcze mniejsza i drobniejsza. Niemal jak dziewczynka. Bartka już wielokrotnie zdumiewało to, że w tak małym ciele mogły kryć się tak wielki hart ducha i tak bogata osobowość. Do tego tyle przeżyć, tyle przygód, historii i dramatów. Bartek słuchał ich często wieczorami, kiedy kobiecie zbierało się na wspominki.

Poznał ją cztery lata temu, kilka dni po tym, jak wprowadził się do swojego mieszkania.

Pewnego ranka do jego drzwi ktoś zadzwonił, a zaraz potem natarczywie zapukał. Gdy Bartek je uchylił, zobaczył starszego, łysego jak kolano faceta w szlafroku z dobrotliwym wyrazem twarzy.

– Dzień dobry – powiedział gość z wyraźnym wschodnim akcentem. –

Masz pan, *pożalsta*, trochę cukru użyzyć? Wszystko wypaprali i widzisz pan, nie ma jak *czaju* napić się.

– Mam tylko trzciny.

– Dobre i to.

– Żona na pana za trzciny nie nakrzyczy? – wyrwało się Bartkowi, zanim ruszył do kuchni, bo już wielokrotnie słyszał dochodzące z sąsiedniego mieszkania odgłosy dzikich awantur i rzucanie wyzwiskami.

Staruszek ochoczo podreptał za nim, głaszcząc się po łysej czaszce.

– A czemu krzyzczyć miałaby? Toż to anielskiego charakteru niewiasta, panie. Moja Ludmiła w życiu nie piekli się. Nawet po wódeczce.

– No co pan powie – mruknął Pilch, odsypując cukier w plastikowy pojemniczek przyniesiony przez gościa. – A te *duraki, karakany* i inne *parazity*?

Mężczyzna zaczął się śmiać tak gwałtownie, że poły szlafroka niebezpiecznie mu się rozchyliły. Bartek wystraszył się, czy aby gość jest pod spodem jako tako odziany, bo nie miał ochoty na nadprogramowy męski striptiz.

– To nie żona, człowieku. Gdzie żona? To *ptica*.

– Kto?

– Zoja. Papuga żółtogardła. Menda gadająca. W zasadzie głównie klnąca. Najczęściej po rosyjsku.

– Czemu?

– Przez moich kolegów z uczelni. Wyćwiczyli cholere. Ja ją od nich w prezencie z okazji doktoratu dostał. Przez lata w moim gabinecie mieszkała. Pupilem na wydziale była.

– Na jakim wydziale?

– No filologii słowiańskiej, rzecz jasna. Ja jestem rusycysta. Na emeryturę razem ze mną przeszła i teraz w domu klnie. A jak nie klnie, to poezję rosyjską recytuje. Bardzo pięknie. Profesor Zygmunt Gołębiwski – przedstawił się z lekkim ukłonem. – We Lwowie rodzony, drogi chłopcze, w roku pańskim trzydziestym dziewiątym.

– Pechowo – skomentował Bartek, stawiając przed facetem kubek z kawą.

Gość podziękował lekkim ruchem dłoni i z zadowoleniem usiadł przy stole.

– Ano pechowo, ale ja i tak z wojny niewiele zapamiętał poza tym, że mi tatusia zabrała, a my z mamusią się po radzieckich stepach aż do końca lat czterdziestych tłukli. Do Polski, prosto do Łodzi, dopiero po śmierci Stalina my przyjechali. To już zostało mi w pamięci. Kawał chłopca ja był. Do polskiej szkoły poszedł i pierwszego dnia Ludmiłę poznał.

– Od razu ją pan poderwał?

– Gdzie tam. Myślałem, że jej łeb ukręcę.

– Dlaczego?

– Od kacapów mnie zwyzywała i za ruską granicę wracać kazała. Wyobraża pan sobie? Mnie, polskiego zesłańca.

- Skąd wiedziała?
- Przecież słyszała. Po naszymu ja zaciągał i to jej wystarczyło.
- I przez to wyskoczyła z atakiem?
- No nie. Pewnie jeszcze dlatego, że ja ją pociągnął za warkocz i krzyczał, żeby mnie pocałowała.

Bartek zaśmiewał się z tej opowieści, łapiąc się za boki, a pan Zygmunt opowiadał coraz więcej i coraz barwniej. Aż w końcu dzwonek w drzwiach się rozdzwonił jak szalony, wspomagany waleniem pięścią w drewno. Pilch pognał otworzyć, nawet nie zerkając w wizjer.

Do mieszkania wpadło mu zielone upierzone coś, dziobiąc go po głowie i wrzeszcząc:

– *Durrrak! Durrrak! Durrrak!*

Za zieloną furią wtarabaniła się niewielka dama w różowym puszystym szlafroczku, z obcięzonymi na pazia siwiutkimi włosami i w grubych okrągłych okularach.

– Czy nie wsiąkł przypadkiem u pana taki łysy gadatliwy profesor? Zaciąga po lwowsku i obsesyjnie opowiada bzdury o swojej syberyjskiej tułaczce.

– Czyli to wszystko nieprawda?

– *Karrakan! Karrakan!* – wydzierał się ptak.

– Oczywiście, że prawda, ale kogo to interesuje? – mruknęła i machnęła ręką, besztając ptaka: – Cicho, Zoja. Rozumiem, że jest?

– Jest. Pije kawę i opowiada. To nawet fascynujące. Czy mogę i pani coś zaproponować?

Pani Ludmiła spojrzała na Bartka, oceniła go wzrokiem w kilka chwil i wypaliła:

– Dobrze ci z oczu patrzy, chłopcze. Ja poproszę kawę i kieliszek wódki, a dla Zoi orzech włoski. Jeśli masz, już jesteśmy twoje.

Miał.

Tym sposobem zdołał wkupić się w łaski całej rodziny. Wtedy, na zawsze i na wieki.

Pan Zygmunt przed dwoma laty zmarł nagle na wylew, zostawiając Bartkowi w spadku opiekę nad swoimi damami. Pani Ludmiła radziła sobie świetnie, jednak niezmiernie cieszyło ją towarzystwo młodego sąsiada, gdy doskwierała jej samotność i miała ochotę na kieliszek wódeczki.

Do czasu.

Gwałtownie postępująca i silnie opierająca się leczeniu jaskra pozbawiła ją pełni wigoru, ograniczając samodzielność. Po operacji rozwój choroby się zatrzymał, co pozwoliło cieszyć się starszej pani resztkami wzroku, jednak brak pełnej sprawności zmuszał ją do częstszego korzystania z pomocy Bartka niż dotychczas. Po domu poruszała się całkiem swobodnie, lecz samodzielne wyprawy na miasto odpadały. Robił więc dla niej zakupy, woził ją do lekarzy i zabierał na spacer. Poza tym wykonywał trudniejsze prace domowe, jak choćby mycie okien, a w wolnych chwilach wspólnie z sąsiadką kucharzył, bo oboje przepadali za pichceniem frykasów. Sprawiało im to olbrzymią frajdę, a dodatkowo ograniczało ryzyko, że starsza pani się pokaleczy lub poparzy.

Pani Ludmiła przyjęła nową sytuację pogodnie i nad wyraz spokojnie. Jeśli coś ją w tym wszystkim martwiło, to tylko fakt, że z przyczyn zdrowotnych Bartek nie zechce jej dolewać kolejnych kieliszków wódeczki.

To nie to, że była pijaczką. O nie! Po prostu lubiła się napić i powspominać przy okazji uroki życia u boku męża rusycysty, te wszystkie służbowe wojaże do Moskwy, Petersburga czy nawet Władywostoku i podróż koleją transsyberyjską. Tam to dopiero była wódeczka! Nikt nie pytał, czy dolewać. Tam się piło i już! Po słowiańsku. A potem się czytało wiersze Jesienina.

– Tak, Bartuś – opowiadała bez ustanku, siedząc na kuchennym taborecie, podczas gdy on smażył mięso i dusił grzyby. – Zawsze grała muzyka. Bo to bardzo muzykalny naród jest. W kolei transsyberyjskiej trwa nieustanny koncert. Zasypiasz, śpiewają i piją, budzisz się, śpiewają i piją. Nigdzie indziej tego nie doświadczysz.

– No, wystarczy. Teraz tylko kasza musi dojść – oznajmił, przykrywając pokrywką patelnię z polędwiczkami. – Jeszcze kwadrans. Ukroić pani ciasto?

– Ciasto przed obiadem? – zawahała się. – A, w sumie raz się żyje. Ukroić. I nalać kielicha. W tej kolei działo się wszystko. Ludzie się rodzili, umierali, zachodzili w ciążę. Nawet ja...

– Co nawet pani?

– Nawet ja tam zaszłam w ciążę. Którąś tam, nie pamiętam. Piątą czy szóstą...

– I co?

– *Żopa! Żopa! Żopa!* – wydarła się Zoja ze swojej klatki.

– Dokładnie. Dupa. Jak z każdą.

– Przepraszam.

– Nie przepraszaj. Przecież to nie twoja wina.

– *Lecz ci wyznam prrrawdę zawiłą, / Chociaż takem cię upokorzył: / Gdyby piekła i rrraju nie było, / Człowiek sam by je sobie stworzył**.

* Z wiersza Sergiusza Jesienina *Nie patrz na mnie z takim wyrzutem*, tłum. Jan Brzechwa.

– Co za ptak – zachwycił się Bartek. – Bluzga po rosyjsku, a wierszem po polsku gada.

– To Jesienin.

– Ciekawe. Chyba muszę pomyśleć nad tym, co ona tu wyskrzeczwała.

Przed północą wrócił do siebie i długo siedział w ciemnym pokoju. Z godziny na godzinę rosła w nim obawa, że jest na najlepszej drodze do stworzenia sobie piekła. Za każdym razem, gdy zamykał oczy, czuł zapach pomarańczy, a pod palcami – zarys policzka, brody i ust, których dotykał ledwo kilka godzin wcześniej.

Co z tego? Jaki to mogło mieć sens, skoro na to wykrakane przez Zoję niebo nie widział najmniejszych szans?

Nim zasnął, zdążył postanowić, że nigdy więcej to się nie powtórzy, bo przecież zna ten schemat, wie, jak można zniszczyć w ten sposób komuś życie. Bartek Pilch będzie trzymał się z dala od cudzych kobiet. Nawet gdyby się miało okazać, że to znacznie, znacznie trudniejsze niż kiedyś.

17.

Tego samego wieczoru w mieszkaniu Ady przy ulicy Paderewskiego szum odkurzacza zagłuszył dźwięk przekręcanego w zamku klucza i otwierających się cicho drzwi. Pochylona nad dywanem Walicka szorowała z zapalem miejsce przy miejscu, po raz kolejny, doskonale czystą powierzchnię, nie słysząc cichych kroków ani lekkiego westchnienia ulgi, na jakie pozwolił sobie jej narzeczony, opierając się o framugę w progu salonu.

Przez ostatnie kilka godzin zastanawiała się, jak powinna się zachować i co powiedzieć, kiedy on wróci. Z początku była pewna, że w ogóle nie chce z nim rozmawiać, potem uznała, że zrobi mu dziką awanturę. Kiedy największe emocje opadły, doszła do wniosku, że wysłucha jego wyjaśnień, bo to przecież niemożliwe, żeby zareagował w ten sposób bez poważnego powodu. Potem zaczęła rozmyślać, czy aby nie było w tym jej winy, czy go nie sprowokowała. Analizowała własne zachowanie, każde swoje słowo i popadała w coraz bardziej ponury nastrój. Na końcu zaczęła się o niego martwić, bo mijały godziny, a on nie wracał. Wciąż nie mogła się jednak zdecydować, żeby do niego zadzwonić.

Dlatego zabrała się za domową robotę.

Jacek przez chwilę stał cierpliwie, czekając, aż skończy porządki. Po paru minutach zaczął się trochę niecierpliwie i przestępować z nogi na nogę, raz po raz pocierając palcem wskazującym nasadę nosa. Wreszcie doszedł do wniosku, że odkurzanie nie jest wynikiem nagłej eksplozji pedantyzmu w narzeczonej, a zwykłej potrzeby zajęcia czymś głowy i rąk. Podszedł do ściany i wyjął wtyczkę od odkurzacza z gniazdka. Walicka podskoczyła jak oparzona i obróciła się w miejscu, wbijając w niego spłoszony wzrok.

– Przepraszam – powiedział zachrypniętym głosem, łamiąc w sobie dziwny wewnętrzny opór przed odezwaniem się, po czym odchrząknął i dodał: – Nie chciałem cię wystraszyć.

– Nie słyszałam, jak wszedłeś.

– Zauważyłem. Byłaś dosyć zajęta. Skończyłaś? Możemy porozmawiać?

W dłoni międlil potężny bukiet z dwudziestu pięciu czerwonych róż. Przybrany wszystkim, czym się dało. Kosztował majątek, jednak kwiaciarka zapierała się, że to najlepszy wybór, jeśli się coś przeszkrobało.

– Kupiłeś kwiaty? – spytała zdumiona Ada, zerkając na kłęb, który ścisnął w garści.

– Co? – mruknął nieprzytomnie i podążył za jej wzrokiem w dół, na własną rękę. – A, tak. To dla ciebie – dodał, podnosząc róże i wyciągając

w jej stronę. – Słuchaj, bo to jakoś tak głupio wyszło. Zupełnie niechcący mnie poniosło. Zapomnijmy o tym, dobrze?

– Dziękuję – powiedziała niemal mechanicznie, biorąc od niego bukiet. – Jacek, ale ja zupełnie nie wiem, o co ci chodziło...

Zawadowicz wcisnął stopą przycisk w odkurzaczu i przewód zasilający zwinął się z głośnym klekotem. Następnie wyniósł urządzenie do przedpokoju i umieścił na właściwym miejscu, w małej szafce, tuż przy drzwiach. Dopiero wówczas spojrzał na Adę, ciepło się do niej uśmiechając.

– Usiądźmy, co? – zaproponował. – Tylko poczekaj, umyję ręce, a przy okazji skoczę po wodę do wazonu. Bo te róże zwiędną, a kosztowały fortunę.

– Przecież nie musiałeś...

– Kochanie, dla ciebie wszystko. Nie zamierzam oszczędzać na narzeczonej. Pachną obłędnie – oznajmił i po chwili ustawił kwiaty na samym środku stołu, tak żeby rzucały się w oczy z każdego miejsca w pokoju.

Usiedli obok siebie na kanapie i zapatrzyli się na wazon. Na chwilę zawisło między nimi niewygodne milczenie. Jacek zapalił mechanicznie papierosa i podał go dziewczynie. Następnie sięgnął po drugiego dla siebie. Ada rozejrzała się za popielniczką. Trafiała wzrokiem na małą metalową puszkę z napisem „Szklarska Poręba”, której od lat używali do strząsania popiołu. Kupili ją wypełnioną drobnymi cukierkami jeszcze na początku studiów. Początkowo miała ją otrzymać mama Ady, jednak jakoś tak wyszło, że któregoś popołudnia Jacek sięgnął po pierwszego cukierka, potem po kolejnego i tym sposobem puszka została u nich. Pani Gabriela dostała wtedy tylko kilka zdjęć zrobionych gdzieś pod Szrenicą. Wyglądali na tych fotkach na najszczęśliwszą parę na świecie.

Ada strząsnęła z siebie wspomnienia z równą zaciętością co popiół z papierosa. Chciała mieć to jak najszybciej za sobą. Nie lubiła takich sytuacji ani takich rozmów. Nie znosiła kłótni i napiętej atmosfery. Siedziała sztywno jak na obronie pracy magisterskiej, skubała skórki przy paznokciach i zastanawiała się, na co tak naprawdę czekają.

– No? – pogoniła wreszcie narzeczonego, nie mogąc już znieść panującej w mieszkaniu ciszy.

– Co? – spytał nieprzytomnym głosem. Oderwał oczy od kwiatów, zgasił peta o dno puszki i z lekkim ociąganiem przeniósł wzrok na dziewczynę.

W odpowiedzi uniosła brwi z pytającym spojrzeniem.

– A, już wiem. Chciałaś porozmawiać. Zmęczony jestem straszliwie. Słabo śpię, byłem nawet u lekarza po jakieś prochy. Mówi, że to stres. Za duże napięcie.

– O czym ty mówisz? – przerwała mu, bo odniosła wrażenie, że mieli sobie wyjaśniać zupełnie co innego.

– O wszystkim po trochu. Nazbierało się. Wiesz, jak jest. Za dużo na mojej głowie. Na wydziale w tym semestrze zawalili mnie robotą, poza tym muszę skończyć doktorat. Chciałbym się obronić przed świętami. W firmie badania wchodzą w fazę finalną i robi się nerwowo.

– Czemu nerwowo?

– Za dużo gadania, nie zrozumiesz.

– Może zrozumiem, opowiedz.

– To złożone. Każdy dzień to straszne pieniądze. Musisz wiedzieć, że od strony chemicznej to ja jestem mózgiem całego tego projektu. Jeśli się uda, mój wysiłek może mieć wielkie znaczenie dla mnóstwa ludzi.

– Jacek, nad czym pracuje ta twoja firma?

– Przecież wiesz, zajmujemy się produkcją leków, mówiłem ci.

– I to ci spędza sen z powiek? Skład kolejnych tabletek przeciwbólowych albo maści na hemoroidy? – zakpiła, chociaż wiedziała, że jest przewrażliwiony na tym punkcie.

Ku jej zdziwieniu wyjątkowo nie obraził się ani nie rozwścieczył. Wręcz przeciwnie, zareagował w miarę normalnie, nawet się przy tym uśmiechając.

– Naprawdę uważasz, że marnuję swój czas i talent na takie duperele?

– To na co marnujesz swój czas? Powiedz, niech wreszcie się dowiem, przez co spędzam samotnie popołudnia, wieczory, a nawet noce.

Jacek westchnął głęboko i omiół wzrokiem sufit, jakby toczył sam z sobą wewnętrzną walkę, czy się złamać i uchylić przed narzeczoną rąbka tajemnicy firmy, którą wraz z Korneckim i całym zespołem naukowców tworzył niemal od podstaw.

Ada nie poganiała go. Przeczekała cierpliwie ten teatr, bo doskonale wiedziała, że lubi rozdmuchiwać wszelkie swoje przedsięwzięcia i nadawać im niemal epokową rangę. Czasem ją to bawiło, innym razem irytowało, zależnie od nastroju. Teraz było jej w zasadzie obojętne, czy odstawi swój cyrk, byle wreszcie wydusił z siebie coś konkretnego.

Po jakichś dwóch czy trzech minutach westchnień i wywracania oczami wreszcie zebrał się w sobie i uroczyście pokiwał głową.

– Okej, powiem ci, ale zatrzymaj to dla siebie. Najprościej mówiąc, Kornecki pracuje nad nowym składem mieszanki do chemioterapii. Ja dołączyłem do niego, jak wiesz, dopiero na jesieni, jednak moja rola ma znaczenie kluczowe. Pomysł jest dość prosty, choć zupełnie nowatorski. Nie będę się wdawał w szczegóły, bo nie zrozumiesz. W każdym razie, jeśli nasze założenia ostatecznie się potwierdzą, taka forma leczenia zredukuje skutki uboczne i uciążliwość terapii, jednocześnie znacznie poprawiając jej skuteczność.

– Żartujesz? – wymamrotała, wybałuszając oczy.

– Dotyczy to także najbardziej zaawansowanych nowotworów. Zapewnimy ratunek nawet części tych pacjentów, którzy obecnie są skazani na leczenie paliatywne, bo lekarze rozkładają ręce.

– Chcesz powiedzieć, że zmagistrowaliście skuteczne lekarstwo na raka?

– Nie. To już wiemy na pewno. Aż tak rewolucyjnie nie będzie. Ale niektórym uda się pomóc nawet w krytycznym stadium choroby.

– To chyba nie rozumiem

– Co tu jest do rozumienia? – mruknął zirytowanym głosem. – W wielu przypadkach terapia skutkuje, ale nie we wszystkich. Na jednego działa całkowicie, a na drugiego nie bardziej niż placebo. Łapiesz? Będziemy zadowoleni, jeśli osiągniemy w badaniach wyleczalność na poziomie około pięćdziesięciu procent przy nowotworach złośliwych. Nie jest to wynik, przy którym możemy mówić o skutecznym lekarstwie na raka, a jednak to przełom. Zawsze lepsze „na dwoje babka wróżyła” niż wyrok. Rozumiesz? – tłumaczył, a gdy z uznaniem pokiwała głową, kontynuował dalej: –

Potrzebujemy jeszcze paru tygodni testów i oczywiście zgód na objęcie pierwszej grupy ludzi leczeniem eksperymentalnym. Tym już się zajmuje Kornecki.

– Jezu, Jacek... Nie mówiłeś mi, że to aż tak, że robisz takie rzeczy.

– Po co? Żebyś przeżywała, jeśli się nie uda?

– Powiedz mi, a dla tych z ostrą białaczką szpikową to też będzie szansa? Wiesz, myślę o Maćku...

– O jakim Maćku?

– No tym chłopcu od latania.

– A, tym – odparł z roztargnieniem i złapał ją za obie dłonie. – Ada, nie ekscytuj się. Dopiero nad tym pracujemy. To potrwa, a ja muszę się angażować na maksa, rozumiesz? Im więcej czasu poświęcę tej sprawie, tym szybciej dotrzemy do końca. Ten Maciek pewnie nie doczeka.

– Rozumiem, Jacek. Naprawdę. Nie będę już robić wyrzutów, że cię nie ma. Obiecuję. Pracuj jak najwięcej, proszę. Maciek jest silny, młody, dużo wytrzyma. Może udałoby się go wkręcić w pierwszą grupę. Jak to się odbywa? Ile to może potrwać?

To był ten moment. Zawadowicz wiedział już, że wygrał. Załatwił problem tak, jak powinien zostać załatwiony, i mógł spokojnie, mimochodem wrócić do tej drobnej sprawy, która poróżniła go z Adą kilka godzin wcześniej, żeby rozwiązać wątpliwości raz na zawsze. Cokolwiek by nie zrobił i nie powiedział, jego pozycja pozostała niezagrożona.

– Musisz zrozumieć jeszcze jedno – tłumaczył, gładząc kciukami wnętrza jej dłoni i patrząc prosto w oczy. – Nie mogę wiecznie odrywać się od roboty i zastanawiać się nad tym, co ty wyprawiasz i czy przypadkiem nie dajesz się znowu podrywać jakiemuś łysiejącemu kmiotowi.

Ada przełknęła ślinę i zdusiła w sobie chęć ofuknięcia go o to, jak mówi o jej koledze z pracy. Przypomniała sobie ostatnie chwile, które spędziła z Bartkiem sam na sam, i poczuła, że robi jej się gorąco. Zaraz za falą ciepła napłynęło coś na kształt kłujących jak drobne, cienkie igiełki wyrzutów sumienia.

– Przecież mówiłam ci, że nic mnie z nim nie łączy. Gej czy nie gej, to bez znaczenia. Lubię go i tyle. Tak jak Tomasza czy Majkę. Po prostu.

– Na pewno?

– Tak, Jacek. Na pewno. Możesz być spokojny. Przecież ty to wiesz. Kocham tylko ciebie. Zawsze kochałam tylko ciebie. Jesteś zazdrosny?

– To bez znaczenia – mruknął, przyciągając ją bliżej. – Zapomnijmy o tym. Najlepiej zapomnijmy o całej tej sprawie. A o Maćka się nie martw. Będę o nim pamiętał.

Powoli zdjął jej przez głowę sweter i przez chwilę przyglądał się sinym śladom na jej przedramionach. Potem delikatnie pogłaskał ją po szyi i policzkach.

– Jeszcze raz przepraszam, Ada. Nie wiem, jak to się mogło stać. Zaniosę cię teraz do łóżka i wszystko ci wynagrodzę, tak jak lubisz. A jutro zawiozę cię do Majki, chcesz?

– Miałam jechać do niej dzisiaj.

– Dzisiaj zostań ze mną, proszę.

– Zawieziesz mnie jutro?

– Zawiozę. Wcześniej wejdziemy do jakiegoś sklepu i kupisz dziecku ładny prezent. To jest chłopiec czy dziewczynka?

- Staś.
- Kupisz Stasiowi prezent od wujka i cioci. Tylko załóż do Majki bluzkę z długim rękawem, żebyś nie musiała jej się głupio tłumaczyć, okej?
- Dobrze, Jacek, zostanę dzisiaj z tobą.
- Kocham cię, Ada – mrucał jej prosto do ucha, niosąc do sypialni. – Kocham cię, kocham – powtarzał wciąż, bez końca, przez cały wieczór, bo doskonale wiedział, że właśnie tego najbardziej chce słuchać.

18.

Majka siedziała na kanapie i płakała krokodylimi łzami. Nawet nie próbowała się uspokoić. Zanosila się szlochem, a obok niej w zastraszającym tempie rosła kupka zasmarkanych chusteczek. Wyciągała je z kolorowego kartonowego pojemnika nerwowym, energicznym gestem, jakby to biedne pudełeczko było winne jej krzywd i dramatów.

Doszła właśnie do wniosku, że wszystko jest do dupy, a życie stało się nie do zniesienia.

Chciało jej się spać. Ponad wszystko na świecie marzyła o tym, żeby runąć na łóżko i wyłączyć się z wszelkiej aktywności na minimum dobę. Poza tym miała ochotę na zimne piwo, butelkę martini i wielki kawał tortu orzechowego z bitą śmietaną. A najbardziej chciałyby iść do klubu, napić się i potańczyć... Niechby nawet za cenę porannego kaca.

Chociaż nie...

W życiu by się tak nie pokazała w klubie.

Zerknęła na lustrzane drzwi ogromnej czterodrzwiowej szafy zajmującej niemal całą ścianę. Skrzywiła się. Jaki to durny pomysł wybrać mebel, w którym z każdego kąta pokoju widać odbicie jej żalostnej postaci. Ubrała się w stary, niegdyś biały, a teraz poszarzały, T-shirt Tomasza. Sięgał jej do połowy ud. Z boku wystrzępiony, bo jej mąż wplątał się w nim kiedyś w kawałek siatki ogrodzeniowej, którą stawiał z teściem na działce w Zarzęcinie. Z przodu na koszulce widniał kufel wypełniony po brzegi bursztynowym płynem. Po oszronionych ściankach spływała obfita piana. Dookoła rysunku bił w oczy głupkowaty napis: „Piwo to moje paliwo”. Nie było go jednak widać, bo z jednej strony Majka podciągnęła materiał pod samą brodę, żeby Staś mógł wygodnie ssać, a z drugiej – wykwitła mokra plama w wyniku sączącego się z nabrzmiącej piersi mleka. Włosy młodej matki wyglądały na przetłuszczone i rozczochrane, jakby od paru dni nie widziały grzebienia lub szczotki. Pod oczami miała sine obwódki, a na policzkach – czerwone przebarwienia. Na paznokciach bosych stóp czerwieniły się nieregularne plamy z resztek lakieru. Pochodził z czasów przed Wielkim Wybuchem, czyli z okresu, kiedy Lipska czuła się jeszcze panią własnego życia mimo wielkiego bębna z przodu. Teraz każdą minutą jej egzystencji władał mały pasożyt, który nie liczył się z niczym i stanowił wyjątkowo żywiołowe uosobienie egocentryzmu.

Matka Polka w pełni szczęścia.

Pasożyt zaniechał ssania i sapnął z zadowoleniem. Majka poderwała się natychmiast, podnosząc małe ciało do pionu, a na swoje ramię zarzucając tetrową pieluszkę. Przytuliła dziecko, podtrzymując dłonią chwiejną główkę.

– Bekaj, synuś – szepnęła ciepłym, spokojnym głosem, kontrastującym z jej zasmarkanym nosem i czerwonymi od płaczu oczami.

Zaczęła krążyć wolno po pokoju, czekając, aż dziecku się odbije. Głaskała je intensywnie po plecach, mniej więcej tak, jak uczyła ją w szpitalu położna. No, może nieco bardziej niecierpliwie. Gdy znienacka rozległo się głośnie pukanie, instynktownie przycisnęła niemowlę do siebie, jednocześnie mocno pociągnęła nosem i usłyszała tuż przy uchu odgłos jakby chluśnięcia. Zacisnęła zęby i poszła otworzyć drzwi. Całe mleko, które Staś przez ostatnie pół godziny z takim wysiłkiem wydoił, spływało jej po plecach i gołych łydkach, wsiąkając w miękki materiał góralskich kapci z beżowym futerkiem. Pamiątka z Podhala, psia ich mać.

– Cholera jasna, znowu?! – warknęła, wpuszczając zaskoczoną Adę.

– Mam sobie pójść? – spytała zaskoczona Walicka.

– Zwariowałaś?

– No to jakie „znowu”? Jak ci się napraszam, to mów.

Majka westchnęła ciężko i machnęła ręką, usiłując jednocześnie nie upuścić dziecka i obejrzeć z tyłu swoje nogi.

– Znowu puścił pawia. Siedzę jak żona Lota i godzinami go karmię, a potem on to wszystko wywala z siebie prosto na moje plecy. Oczywiście natychmiast zaczyna się drzeć, bo jest głodny.

Jakby na potwierdzenie jej słów Staś nabrał powietrza i zaczął przeraźliwie krzyżeć. Ada nie dawała za wygraną i wypytywała dalej, podnosząc nieco głos i lustrując przyjaciółkę uważnym wzrokiem:

– A w nocy?

– Co to jest noc? Masz na myśli ten czas, kiedy zapada ciemność? – zadrwiła młoda matka. – Jemu nie robi różnicy i albo haftuje, albo wrzeszczy, albo szarpie mi brodawki aż do krwi. Wampir jeden. Łóżeczka nie toleruje w ogóle.

– Tomasz ci nie pomaga? – dopytywała Ada, sięgając po rąbek tetrowej pieluszki zwisającej smętnie z ramienia przyjaciółki, po czym wytarła Stasiowi z buzi ślinę zmieszaną z resztkami nieprzetrawionego mleka.

– Oczywiście, że mi pomaga, ale za dużo nie może. Nie ma wymion – oznajmiła, wzruszając ramionami. – Syn wdał się w ojca i od małego pasjonują go cycki.

Ada uśmiechnęła się krzywo i ruszyła do łazienki. W progu potknęła się o kosz pełen mokrych, świeżo wypranych mikroskopijnych ubrań. Nad wanną wisiały w równym rzędzie kolejne ciuszki. Maleńkie spodenki, bluzeczki z fikuśnymi nadrukami, czapeczki z miękkim daszkiem, a nawet kilka koszulek z kołnierzykiem i mały niebieski krawat w żółte gwiazdeczki. Pomacała pierwszy z brzegu błękitny bezrękawnik w białe romby i stwierdziła, że jest zupełnie suchy. Umyła ręce, pozbierała szmatki i powiesiła w ich miejsce mokre. Z lekkim stęknieniem podniosła z podłogi kosz wypełniony po brzegi pachnącą płynem do płukania i domagającą się żelazka zawartością.

Weszła do pokoju, gdzie Majka siedziała znów w fotelu i trzymała dziecko przy piersi. Wzrok utkwiła bezmyślnie w wielkim na pół ściany ekranie, chociaż dźwięk wyciszyła. W prezentowanym programie pojawiały się na zmianę raz rozchichotane, raz rozhisteryzowane damy szykujące się najwyraźniej do ślubu, bo przymierały kolejne białe suknie oraz przebierały w ekskluzywnej i maksymalnie wyzywającej bieliźnie.

– Po co to oglądasz? – spytała Walicka, łapiąc za pilota i wyłączając telewizor.

Majka nie odwróciła wzroku i mruknęła posępnym głosem:

– Tak sobie. A co mam robić? Nudzi mi się.

– Rozbierz się i ciuchów pilnuj – warknęła jej przyjaciółka, stawiając kosz na środku dywanu. – Dawaj młodego i bierz się za te szmaty.

– Nie mam siły na prasowanie. Poza tym on się będzie darł, kiedy go weźmiesz.

Jakby na potwierdzenie jej słów mały zaczął intensywnie ssać, zgarniając do buzi cały jej sutek i przez kilka chwil słyhać było głośne posapywanie i przełykanie. Ada obserwowała to w milczeniu z mieszaniną wzruszenia i lekkiej zazdrości. Majka ją wkurzała i przez krótką chwilę miała ochotę jej zwyczajnie dokopać, przysrać jakimś ostrym słowem tak, żeby w pięty poszło. Zanim zdecydowała się odezwać, Lipska ziewnęła przeciągle, a Staś rozluźnił mięśnie i rozchylił usta w bezzębnym i nieświadomym uśmiechu. Różowe dziąsła były o kilka tonów jaśniejsze niż wymiędlona do cna brodawka. Wyglądało na to, że najedzone niemowlę zapadło w sen.

– No i pięknie – szepnęła Walicka i delikatnie podniosła malucha.

– Musi beknąć, do pionu go – syknęła Majka, wachlując się tetrową pieluszką i chłodząc obolałą pierś.

– Sama musisz beknąć.

Ada trzymała chłopca tak, żeby głowę miał nieco wyżej od reszty ciała. Leżał na jej ramieniu jak na leżaku. Nim Lipska zdążyła zareagować, Stasiowi się lekko odbiło i z jego ust wypłynęła odrobina mleka. Matka zerwała się z fotela i starła białą strużkę ginącą pod kołnierzykiem koszulki w niebiesko-czerwoną kratkę.

– Idź się umyć – przykazała Walicka, nie odrywając oczu od malucha. – Wali od ciebie zważonym mlekiem. I ubierz się po ludzku. Jego stroisz niczym na wesele, a sama wyglądasz jak wyżęta szmata.

– Dziękuję ci bardzo. Gównu wiesz, jak to jest...

– Gównu wiem, ale umyć się możesz.

– A jeśli zacznie płakać?

– To zacznie. Dam sobie radę. Skołużę nam coś do picia.

– Ja poproszę martini – powiedziała Majka, kapitulując.

– Jasne. Wstrząśnięte, nie mieszane. Wynos się pod ten prysznic, zrobię ci inkę.

Lipska usunęła się za drzwi, mamrocząc coś pod nosem i zerkając z niepokojem przez ramię. Ada pokrażyła jeszcze chwilę dookoła dywanu i przeniosła się do sypialni. Pokoik był niewielki i pogrążony w półmroku. Tylko przez szpary w zasuniętych roletach sączyła się odrobina światła. Na środku stało obszerne, rozbebeszone łóżko ze skotłowaną pościelą. Na podłodze wałała się zmiętoszona konfekcja, damska, męska i niemowlęca, włącznie z wszelkiego typu bielizną. Na stoliku nocnym stało kilka brudnych kubków, szklanek i talerzy z resztkami jedzenia. Jedyne uporządkowane kąty zajmowało łóżeczko z ciemnego drewna. Otaczał je żółty bawełniany baldachim w żyrafki, identyczne jak na pościeli. Wnętrze wzdłuż szczebelków zostało szczelnie wypełnione zabawkami w jaskrawych kolorach o różnorodnych kształtach i fakturach. Niecały metr nad poduszką znajdował się okrągły stelaż, z którego zwisały błyszczące i migające autka. Ada przypomniała sobie, ile było gadania o tej karuzelce: że stymuluje i zachęca dziecko do aktywności, koi nerwy i nie drażni rodziców, bo kiedy się kręci, zamiast grać jakieś dziecięce jazgotliwe melodyjki, z głośnika płyną miękkie utwory Beethovena. W dodatku ma pilota, więc można ją włączyć lub wyłączyć, nie podnosząc się z łóżka...

Pilot nigdzie nie rzucał się w oczy. Dziecięcy kącik wyglądał na nieużywany. Walicka pomyślała, że w życiu nie dałaby rady spać w takim pstrokatym otoczeniu i ukłuło ją coś na kształt współczucia dla Stasia. Położyła chłopca ostrożnie na poduszce Tomasza i po kolei pochowała do

szuflady pod łóżeczkiem wszystkie zabawki. Po lekkim wahaniu rozmontowała też karuzelkę. Ze złośliwym uśmiechem przykręciła ją do wezłowania małżeńskiego legowiska Lipskich. Mały drgnął lekko, gdy autka zaklekotały, jednak się nie obudził. Wstrzymała na moment oddech i w ciszy dobiegł do niej szum wody z łazienki. Uspokojona kontynuowała dzieło zniszczenia. Rozsunęła baldachim, aby nie panowała pod nim duchota, i z przekrzywioną głową spoglądała na efekt swoich działań. Zagryzła wargę, zmrużyła oczy i po lekkim wahaniu zabrała jeszcze poduszkę i wepchnęła ją do szuflady z zabawkami. W końcu uznała, że wystarczy. Pochyliła się nad chłopcem, płynnym ruchem wsunęła dłonie pod jego plecy i głowę, a następnie zaniósła go do pustego łóżeczka. Okryła tylko flanelową pieluszką, bo w domu czuło się nienośny suchy zaduch.

– Ciotka ograbiła cię ze wszystkiego, biedaku – szepnęła.

Chłopiec skrzywił się nieco i zapiszczał cienko jak mały kociak. Położyła mu rękę na brzuszku i przez chwilę uspokajająco głaskała. Poruszał zabawnie buzią, jakby śnił o ssaniu mleka. Po chwili się uspokoił i tylko oczy drgały mu lekko pod rzęsami. Coś obserwował w swoim zamkniętym pod powiekami świecie, przeżywał oniryczne baśnie i przygody, układając w głowie to wszystko, czego zdążył już doświadczyć na jawie przez dwa tygodnie życia poza brzuchem.

Ciotka uśmiechnęła się, dumna ze swojej zaradności, i udała się do kuchni, zabierając ze sobą brudne naczynia z nocnej szafki.

Phi, co to za problem uśpić dziecko. Przesadza ta Majka, stanowczo przesadza. To maleństwo jest po prostu idealne...

Krzyk przetoczył się przez mieszkanie i poniósł po betonowych ścianach bloku, gdy dotarła do połowy zmywania. Mniej więcej dziesięć minut po opuszczeniu przez nią sypialni. W tym samym momencie Lipska w czerwonym frotowym szlafroku wyłoniła się z łazienki i stanęła w drzwiach kuchni z niepokojem w oczach.

– Zostawiłaś go samego? – spytała zdumionym głosem.

– Spał, więc postanowiłam ogarnąć tę stajnię Augiasza – odpowiedziała jej przyjaciółka, zerkając wymownie na stertę naczyń.

– Jasna cholera – syknęła młoda matka i popędziła do dziecka, kłapiąc rozdeptanymi kapciami o drewniane panele w kolorze jasnego dębu.

Walicka nie przejęła się jej gwałtowną reakcją i spokojnie wróciła do szorowania talerzy. Opuściła kuchnię dopiero po półgodzinie. Może nie lśniło tam wszystko jednolitym blaskiem i na teście białej rękawiczki Ada

by poległa, jednak pomieszczenie znacznie bardziej przypominało ludzką siedzibę i dało się w nim przyrządzić coś do picia. Z dwoma kubkami inki i talerzem kanapek weszła dziarsko do salonu. Majka siedziała w tej samej pozycji co poprzednio, z ponurym wyrazem twarzy gapiąc się w wyciszony telewizor. Tym razem z ekranu straszło trzech bykawatych facetów siedzących za stołem pełnym hamburgerów i ścigało się, który z nich wepchnie w siebie więcej tego świństwa. Ada poczuła, że w żołądku coś jej wzbiera i czym prędzej chwyciła za pilota.

– Jedz – poleciła Majce, stawiając obok niej kanapki z wędliną, rzodkiewką i pomidorem. – Jesteś blada jak diabli.

– Dlaczego go ograbiłaś z zabawek? – spytała bardziej z zaciekawieniem niż z wyrzutem przyjaciółka.

– Bo mu zrobiłaś z łóżka odpustowy jarmark. Jak ma spać w tym cyrku?

– No, a bodźce? Stymulowanie rozwoju? – broniła się Lipska między kolejnymi kęsami kanapki.

– Opanuj się, on ma dwa tygodnie! Potrzebuje jeść i spać w spokoju. Mów do niego, dotykaj, podgłośnij nieco ten telewizor, skoro już musisz go oglądać, i będzie miał bodźców po uszy. Na spacerach chodzicie?

– Jeszcze nie.

– Dlaczego?

– Nie mam nawet kiedy się ubrać, bo wiecznie się drze, gdy go odkładam. Jak mam wyjść? W piżamie?

– Ale stroić go masz czas?

– No bo on tak słodko wygląda w tych ciuszkach. No powiedz sama, czy nie jest milusi?

Majka zaczęła ćwierkać i cmokać nad głową syna. Obdarzył ją obojętnym spojrzeniem, nie przerywając jedzenia.

– Odbija ci ze zmęczenia – podsumowała Ada. – Zresztą nie. Odbiło ci już dawno temu, ale wbrew moim oczekiwaniom po porodzie to wcale nie mija. Gdy skończy jeść, wrzucam go w wózek i idę z nim na spacer. Ty śpij albo gap się na tych mutantów w telewizji, wszystko jedno. Kiedy wrócimy, masz być wypoczęta.

– Żadne „wrzucam go w wózek”...

– Bo?

– Bo się zwałił w pieluchę i trzeba go przewinąć.

Walicka wydeła wargi i poszła do sypialni grzebać w komodzie z dziecięcymi łaszkami. Udawała, że nie dostrzega kpiny i rozbawienia

w głosie przyjaciółki. Znalazła zwykle bawełniane ubranko w pasczki. Wiedziała, że to się nazywa pajacyk. Ba, wiedziała nawet, jak wcisnąć w to noworodka. Z głębokim przekonaniem, że to nie może być trudne, zgarnęła z półki pieluszkę, wilgotne chusteczki i krem do pupy z dzidziusiem na obrazku. Kiedy wróciła do pokoju, Staś zdążył właśnie beknąć i zalać Majkę świeżo pochłoniętym mlekiem.

– Może za mocno nim trzęsiesz? Albo przyciskasz mu brzusek? – bąknęła, odbierając przyjaciółce dziecko.

W odpowiedzi usłyszała tylko prychnięcie.

Położyła Stasia na kanapie i przystąpiła ochoczo do przewijania. Obok umieściła naszykowany pajacyk.

– Zamierzasz go wyprowadzić między ludzi w takim stroju?

– A co jest z nim nie tak?

– No... taki średnio elegancki i wyjściowy ten łaśzek.

– Majka, ogarnij się. On nie idzie na rozmowę o pracę, tylko na spacer po miejskim blokowisku. W dodatku przykryję go kocykiem.

Kwadrans później pchała wózek po nierównym chodniku i usiłowała ochłonać po spieraniu niemowlęcej kupy z kanapy. Przyjaciółka zdradziła jej w tajemnicy, że im pełniejsza pielucha, tym bardziej ruchliwe dziecko przy przewijaniu. Szkoda, że powiedziała to po fakcie.

Było ciepło i bezwietrznie. Poza kilkorgiem hałasujących kilkulatków na placu zabaw między blokami panowała sielska cisza. Świat jawił się jako uroczy, a życie – nadzwyczaj przyjemne. Pewnie Majka jest naprawdę zmęczona i niewyspana. To niemożliwe, to nie w jej stylu, żeby gapić się z miną cierpiętника w telewizor, zamiast cieszyć się dzieckiem. Może ma depresję poporodową? Hormony uderzają jej do głowy i przestawiają priorytety? Ona, Ada, nigdy się taka nie stanie. Na pewno. Będzie cieszyć się każdą chwilą z dzieckiem, od pierwszej minuty. Nie będzie żałować nieprzespanych nocy, a przy karmieniu postara się patrzeć na buzię dziecka, żeby jak najlepiej zapamiętać ten widok, zapach skóry niemowlęcia i ciężar obrzmiałych mlekiem piersi. Czas mija tak szybko. Nie pozwoli uciec żadnej chwili. Trzeba wszystko notować w pamięci i robić zdjęcia. Tysiące zdjęć. Stworzą najszczęśliwszą rodzinę na świecie. Jacek od kilku dni jest taki miły i ciepły, jakby chciał jej wynagrodzić tamto sobotnie popołudnie. Nawet jej mówił, że nikt nie nadaje się na matkę tak jak ona.

– Akurat – mruknęła pod nosem, przywołując się do porządku. – Ciotka jest przemądrzałym zarozumialcem, wiesz, Stasiu? – dodała, pochylając się

nad wózkiem.

Łatwo planować i marzyć. Znacznie trudniej żyć. Jeśli szczęście ma wszystkie kolory tęczy, to także barwę zafajdanych pieluch, zjełczałego mleka i szarej ze zmęczenia twarzy. Nie ma tak, że sam róż. Takie rzeczy tylko u kucyków Pony.

Kiedy wróciła po godzinie do mieszkania Majki z głębokim postanowieniem, że będzie uprzejma i wyrozumiała, młoda matka spała kamiennym snem, tuląc do twarzy brudny kaftanik Stasia.

Zdecydowała się jej nie budzić, póki mały też drzemie. Ustawiła wózek na balkonie, żeby oszukać dziecko i udawać, że ciągle są na dworze. Usiadła z westchnieniem na fotelu i wyciągnęła z kieszeni komórkę. Czas na relaks. Odpoczynek przy Facebooku i Instagramie.

Naodpoczywała się, ile wlezie... Po dwóch minutach i szesnastu sekundach jej surfowania po sieci Staś się obudził i zaczął rozpaczliwie płakać.

– Biedna Majka – westchnęła Ada i poszła wyciągnąć z łóżka przyjaciółkę.

19.

Mieszkanie Bartka składało się z jasnego i nieco pustawego salonu z aneksem kuchennym, niewielkiej sypialni, którą niemal w całości wypełniało łóżko, oraz obszernego, absurdalnie zagraconego gabinetu. Naprzeciwko drzwi, pod sporym oknem, stały dwa biurka połączone ze sobą tak, by siedzące przy nich osoby mogły się widzieć. Parapet stanowił ewidentnie poszerzenie pola do pracy, bo pokrywało go mnóstwo luźnych kartek, częściowo zabazgranych, a częściowo pokrytych drukiem. Trzy ściany wypełniały półki na książki, dość przeciążone, bo lekko wyginały się do dołu. Trudno było przy tym odnaleźć jakikolwiek ład w tej bibliotece, bo z braku miejsca część egzemplarzy leżała poziomo na rzędach innych, zupełnie niepowiązanych ani tematem, ani autorem, ani nawet kolorem okładki. Przeważała beletrystyka, z fantastyką na czele, nie brakowało jednak także tytułów popularnonaukowych z dziedziny historii, tematyki podróżniczej, psychologii, filozofii i oczywiście lotnictwa. Przy czwartej ścianie stała sofa, na której zdarzało się sypiać Borysowi. Dookoła na podłodze zalegało mnóstwo dodatkowych książek w bezładnych stosach czekających na znalezienie im stosowniejszego miejsca na ledwo zipiących półkach. Ponadto po ciemnych drewnianych panelach poniewierało się co najmniej pół ryzy papieru, mniej lub bardziej zapełnionego, ale o dziwo niepogniecionego. Zwinięte w kulki niepotrzebne świstki lądowały co jakiś czas w metalowym koszu na śmieci lub obok niego. Na biurkach natomiast panował wzorcowy porządek, jakby pochodziły z zupełnie innego świata niż chaos dookoła.

Jedyną ozdobę pokoju stanowił zegar ścienny w kształcie dwupłatówca oraz kilka zdjęć w metalowej ramie. Bartek szczyrzył się na nich razem z bratem, dzierżąc w dłoniach kolejne nagrody za komiksy. Na każdej fotografii w prawym dolnym rogu ktoś dopisał czarnym flamastrem daty. Najstarsze zdjęcie pochodziło sprzed czterech lat, najmłodsze miało niecałe dwa miesiące.

– Nie rób z niej lafiryndy z monstualnymi cyckami na wierzchu, bo to nie przejdzie – mruknął Borys, zerkając krytycznym wzrokiem na pojedynczą kartkę leżącą przed bratem.

Siedzieli przy biurkach już ładnych kilka godzin i znużenie powoli zastępowało skupienie i zapał. Za oknem zapadła ciemność, choć przez opuszczone żaluzje nie zdołali tego dostrzec. Pokój rozjaśniały dwie okrągłe

lampy biurkowe i trzy kinkiety ściennie upchnięte między półkami. Kąty spowijał przyszarzały mrok.

– Mam o niej myśleć jak o niewinnej pensjonarce, która się rumieni pod każdym męskim spojrzeniem? – zapytał Bartek z kpina i łypnął na brata.

– Popieprzyło cię? Musisz popadać w takie kontrasty? Albo dziwka, albo zakonnica? Nic pomiędzy? Nie znasz normalnych kobiet?

– Normalnych kobiet? – zadrwił młodszy Pilch. – A są takie? Pokaż mi chociaż jedną, a zrobię wszystko, co każesz – dodał, rozpierając się wygodnie na krześle i splatając ramiona na piersi.

– Idiota. – Usłyszał w odpowiedzi i na dłuższą chwilę w pokoju zapadła cisza.

Bartek pochylił się z ołówkiem nad swoją kartką, a Borys walił zawzięcie w klawiaturę. Zegar tykał wymownie, jakby chciał zachęcić obu mężczyzn do ustalenia jakichś konkretów.

– No dobra. – Bartek podniósł głowę i niedbałym ruchem położył swoją kartkę na otwartym laptopie, tuż przed nosem brata.

– I co się niby zmieniło?

– Nie ma monstualnych cycków.

Borys popukał się w czoło i wstał, wyciągając do góry ręce. Coś nieprzyjemnie mu trzasnęło w plecach. Skrzywił się i pokręcił głową we wszystkie strony, żeby rozluźnić kark.

– Ma, tylko zakryte pod ciuchami – jęknął z rezygnacją. – Zrób kawę i obgadamy to jeszcze raz.

– Od tygodnia obgadujemy.

– Bo od tygodnia chodzisz nieprzytomny. Wirus cię jakiś dopadł?

– Ta, wirus – mruknął Bartek i posłusznie poszedł do kuchni.

Jego brat podążył za nim, zgarniając po drodze dwa opróżnione kubki.

Przez chwilę działali jak idealnie zgrany duet. Starszy opłukał pod zlewem kubki, wyjął z lodówki mleko i ukroił z kwadratowej blaszki stojącej na bufecie dwa kawałki drożdżowca. Obejrzał je dokładnie ze wszystkich stron, wybrał dla siebie ten z większą porcją kruszonki i położył ciasto na talerzykach. Młodszy wrzucił do młynka garść ciemnych lśniących ziarenek i zmielił je na aromatyczny puch. Wsypał całość do szklanego french pressa i zalał gorącą wodą. Przykrył pokrywką i pozwolił się zaparzyć kawie, spieniając w tym czasie mleko. Nim skończył, Borys zdążył pochłonąć swoje ciasto i dokroić sobie nowy, solidny plaster.

– Nie żryj tyle, bo ci bęca wywali i własne klejnoty będziesz oglądał tylko w lustrze – oznajmił Bartek, stawiając przed bratem kubek.

Z pianki ułożył się wzór idealnie przypominający dwa jędrne pośladki.

– Znowu kawa z dupą?

– Dupę mi w kółko trujesz, to co się dziwisz. Myślisz, że ci będę rzeźbił serduszka albo kwiatki?

– Fiuta se wyrzeźb – padło w odpowiedzi i Borys zamasyście zakręcił łyżeczką w kubku, żeby pozbyć się nieprzyjemnej dekoracji. – Napij się, odetchnij i zacznijmy jeszcze raz. Ustalmy, jaka ona jest.

– Atrakcyjna, szczupła, długie włosy, lekko wystraszona, ale nastawiona bojowo do życia. Młoda koza, chociaż już nie dzierlatka.

– Sam jesteś koza. W naszym wieku mniej więcej. Nie rób z niej nastolatki, bo nie jesteś Nabokov, a to nie Lolita.

– Okej – przyznał z wahaniem Bartek, odłamał od swojego ciasta spory kawałek i wepchnął sobie do ust. – Ale to, czy ma osiemnaście, czy dwadzieścia osiem lat, to w sumie bez znaczenia. Dzieciakom nie robi różnicy. Ta moja jest atrakcyjna, nie powiesz, że nie.

– Aż za atrakcyjna. Bartuś, przecież tu nie o to chodzi, żeby się na jej widok ślinili. Zrób z niej ładną, ale w miarę przeciętną dziewczynę.

– Ty wiesz w ogóle, co mówisz? Ładną, ale przeciętną? Według ciebie każda przeciętna dziewczyna na ulicy jest ładna?

– A nie? Patrząz czasem na zwykłe kobiety? Nie powiesz mi chyba, że stawiasz namiot w gaciach tylko na widok kiecki długości paznokcia i dekoltu do kostek. Tyłek jak w tej twojej kawie i arbuzy z przodu. Rozumiem, że to twój ideał kobiecego piękna, jednak odbiega od normy, którą też można się zachwycić, a która mniej przyciąga wzrok.

– Gównu wiesz o moim ideale kobiecego piękna – zachnął się młodszy Pilch i zebrał palcem z talerza ostatnie okruszki drożdżowca.

– Coś tam jednak wiem – odparł ponuro brat i tak samo wyczyścił swój talerz.

– O tym chyba nie zamierzasz gadać?

– Zdecydowanie nie. W zasadzie sram na to, co robisz i z kim, dopóki nie wcina nam się to w pracę. Te kwestie mamy ustalone raz na zawsze – oświadczył Borys pojednawczo, a Bartek w milczeniu pokiwał głową. –

Wracając do tematu: to musi być normalna dziewczyna, z którą można by się utożsamiać. Ma przeciętnie wyglądać i zwyczajnie żyć, czasem przegrywać, czasem wygrywać, mieć na plecach swój bagaż, a mimo to

wiarę w życie, rozumiesz? Taka dziewczyna, która jest piękna od środka i dzięki temu atrakcyjna na zewnątrz, niezależnie od tego, czy ją ubierzesz w małą czarną, czy džinsy. Nie ma przyciągać uwagi tłumów, ale zachwycić tego, kto zechce spojrzeć na nią z bliska.

– Jak Ada... – mruknął Bartek i natychmiast, lekko speszony, zaczął grzebać łyżeczką w pustym kubku po kawie.

– Jaka Ada? Ada, Ada... – Borys szukał w pamięci skojarzeń, wnikliwie przyglądając się bratu. – Znamy jakąś Adę?

Bartek zacisnął usta i milczeniem próbował wykręcić się od niewygodnego tematu. Odkroił z blachy duży kawałek ciasta i pieczołowicie pakował go do plastikowego pudełka.

Jego brat jakby nie zauważył nagłego napięcia w atmosferze. Wstał, zebrał talerze i kubki, po czym starannie powkładał je do zmywarki.

– Pełno garów – oznajmił, sięgając do torebki z tabletkami do zmywania. – Włączę ci, niech ryczy teraz, a nie w nocy. Jeszcze przyzwoita godzina. To co z tą Adą?

– Nic.

– Jak nic?

– Po prostu nic. Odwal się. A najlepiej już idź. Do jutra coś wymyślę. Weź dla Tymka – powiedział, wtykając bratu w rękę pojemnik z drożdżowcem i pchając go w kierunku drzwi. – Na dziś mam dość, naprawdę.

– To ta laska z lotniska? – W głowie Borysa nagle coś zaskoczyło. – Przyjechała z tym dzieciakiem, Maćkiem?

– I co z tego?

– Cholera, Bartek. To jest to! Jesteś geniuszem. Potrzebujemy takiej właśnie dziewczyny. To jest dokładnie to, o co mi chodziło. Niby bez szalu, a jednak... – Borys zacmokał w powietrze, nie był w stanie ukryć entuzjazmu. – Masz bazę, zrób coś z tego. Wiem, to nie twój typ i może cię nie rusza, ale zobaczysz, zrobi furorę.

Bartek nie mógł już tego słuchać, bezceremonialnie wypchnął brata za drzwi i oparł się o nie plecami.

– Nie mój typ i w ogóle mnie nie rusza – powtórzył głośno sam do siebie.

Wyjrzał przez okno, sprawdzając, czy samochód Borysa zniknął spod bloku, złapał kluczyki i wybiegł z mieszkania, głośno tupiąc na schodach. Na półpiętrze zwolnił, wyciągając z kieszeni telefon. Po omacku stąpając po stopniach, szukał właściwego numeru w historii połączeń. Znalazł

nieodebraną rozmowę sprzed dziesięciu dni. Skrzywił się, lecz z pełną determinacją wcisnął zieloną słuchawkę.

– Ktoś ci ukradł telefon?

– Bo nie oddzwoniłem?

– Bo nie wierzę, że oddzwoniasz.

– Sorry, Vanessa, wiesz, jak jest...

– Jak jest?

– Trochę się działo.

– Aha. Zawsze się dzieje. A teraz przestało i chcesz się spotkać?

– Jesteś w domu?

– No co ty? Ja? Wyglądam na wielbicielekę wieczorów z szydełkowaniem i *Modą na sukces*?

– *Moda* już chyba nie leci.

– O, za to ty, jak widzę, na bieżąco. Kupiłeś już kapcioszki na Górnika?

– Daj spokój, Van. Wszystko dobrze u ciebie?

– Nie mów tak do mnie. Czuję się jak ciężarówka.

– Miejscami masz niezły ładunek. Pierwsza klasa.

– Mam to uznać za przeprosiny czy propozycję spotkania?

Bartek uśmiechnął się, mimowolnie wyobrażając sobie, jak Vanessa wyciąga z kolorowego drinka parasolkę i wytrwale w nim miesza, oblizując przy tym nienagannie umalowane usta. Nie nosiła mocnego, wyzywającego makijażu, ale szminka była dla niej jak torebka, karta kredytowa i majtki. Bez tego zestawu nie wychodziła z domu.

Lubił ją. Cholera, była zupełnie z innej bajki, ale naprawdę ją lubił. Inteligentna, beztroska, zawsze roześmiana, z fantastycznym poczuciem humoru. Bez żadnych fochów, niepotrzebnych łez i jakichkolwiek oczekiwań. Dawała z siebie tylko tyle, ile można było wziąć tu i teraz, a co ważniejsze, sama też nie oczekiwała więcej. Studiowała dietetykę i korzystała z młodości, wierząc, że to jedyne prawdziwe życie warte jej czasu i uwagi. Dla Bartka spotkania z nią były jak powrót do czasów, kiedy wybór piwa na wieczór stanowił jego największy problem.

Uśmiechnął się do słuchawki i już miał oznajmić, że pojawi się za pół godziny, kiedy brzdęknął mu dźwięk esemesa. Zerknął na ekran i puknął w ikonę wiadomości.

Spóźnię się na poranne lekcje. Muszę wpaść do Majki. Dasz sobie radę?

Szybko odpisał, że owszem, nie ma problemu, i zamarł, czując, że stracił ochotę, żeby się porządnie zabawić.

– Barti, jesteś tam? Zastanawiasz się nad odpowiedzią czy zemdlałeś z wrażenia?

Strząsnął z siebie nagły stupor i szybko przyłożył komórkę do ucha.

– Przepraszam, dostałem właśnie wiadomość...

– Czyli nie przyjdiesz?

– Nie. Dzisiaj chyba nie. Ale zadzwonię, Van, obiecuję.

– Jak chcesz, twoja strata.

– Wiem, przepraszam.

– Nie wiesz. Chłopaki za barem dostali zielone światło na eksperymentowanie z nowymi drinkami. Dla pierwszych odważnych za pół ceny.

– Ha, ha, tylko nie przeholuj jak na wyprzedażach w H&M-ie.

– Chyba nie myślisz, że sama płacę za swoje napoje?

– W żadnym wypadku. Ale sama je w siebie wlewasz. Zachowaj umiar.

– Dobrze, ciociu – rzuciła jeszcze Vanessa i natychmiast się rozłączyła.

Bartek z lekkim uśmiechem na ustach wspiał się po schodach na swoje piętro i zapukał do sąsiednich drzwi.

– Co tak późno? – spytała pani Ludmiła, zaciskając na sobie poły szlafroka i robiąc mu przejście.

– *Nocnaja sobaka, nocnaja sobaka!* – wydarła się Zoja, latając mu tuż nad głową.

– Mogę na chwilę? Czy już śpicie?

– Oj, chłopaku, chłopaku. Po kusztyczku?

– Pani Ludmiło, pani jest moim ideałem. Ale w jednym się pani myli.

– A w czym to niby?

– Nie po kusztyczku. Dzisiaj co najmniej po dwa.

20.

Mimo obaw, które towarzyszyły Adzie od czasu wyprawy na lotnisko, w jej relacji z Bartkiem nic się nie zmieniło. Zachowywał się naturalnie i uprzejmie, bezkolizyjnie pomagał jej w prowadzeniu zajęć i dzielił się swoimi przemyśleniami dotyczącymi uczniów. Nadal od czasu do czasu robił jej kawę z otartą skórką pomarańczy i podtrzymywał ją na duchu, gdy wracała od Maćka. Sprawiał wrażenie, jakby nic między nimi nie zaszło. W końcu Ada zaczęła się zastanawiać, czy aby nie wymyśliła tej historii z pocałunkiem, którego prawie nie było, a jednak się zdarzył. Może Bartek tylko pajacował, droczył się z nią jak zwykle, a naprawdę nie miał na myśli niczego... No właśnie: czego? Nie mogła go wprost zapytać, czy to były żarty. W gruncie rzeczy nie miało to dla niej znaczenia, bo przecież kochała Jacka i żadne głupoty nie mogły tego popsuć. Jeśli się nad tym zastanawiała, to tylko dlatego, że chciała wiedzieć, co siedzi Bartkowi w głowie, ot, ze zwyczajnej ciekawości. Po prostu wiedzieć i nic z tym nie zrobić, a z czasem zwyczajnie zapomnieć, jak o błahostkach, bzdurkach, epizodach. Może i wychodziła na ciekawską, ale nie zamierzała się nikomu do tego przyznawać, zatem i szkoda niewielka.

Na głupie domysły nie miała zbyt wiele czasu, bo w pracy, jak zwykle, działa się sporo, a każdą wolną chwilę pochłaniała Majka. Jakoś wciąż nie była w stanie wrócić do równowagi po pojawieniu się na świecie potomka i tylko przyjaciółka potrafiła ustawić ją do pionu. Działo się, chociaż tylko na moment.

Tego dnia Walicka dotarła do szpitala dopiero około jedenastej. Potężnie spóźniona po porannej wizycie u Stasia i jego matki zdążyła już wejść na oddział, gdy jej rozmyślenia uciął natarczywy dzwonek telefonu.

– Cześć, Ada, przeszkadzam ci? – Przyciszony głos Tomasza zabrzmiał desperacko i nieco złowieszczo.

– Nie, wbijam właśnie do pracy. Stało się coś? – spytała z niepokojem. – Znowu cię zgarnęli na dołek?

– Weź przestań! Nie wiem, co się stało. Niby nic, ale ona ciągle ryczy. A jeśli przypadkiem nie ryczy, to gapi się w telewizor – oświadczył. – Jakby już zupełnie nie umiała się cieszyć. Jakaś tragedia ją spotkała czy co? Zaczynam tracić cierpliwość.

Walicka przewróciła oczami i przystanęła w korytarzu, podpierając się plecami o ścianę.

– Tomasz... – jęknęła. – Właśnie od was idę. Ty sobie od bladego świtu popylasz dziesiątką, bujasz się wesoło na pantografie, a ja w tym czasie zdążyłam zmusić twoją żonę do wzięcia prysznic, władować w nią śniadanie i ugotować wam ogórkową na obiad. Po czym ona stwierdziła, że ogórkowej nie zje, bo małego będzie bolał brzuch. Słuchaj, Majka jest po prostu przemęczona, niewyspana, jeszcze nie doszła do siebie po porodzie i tym całym zamieszaniu. Bardzo przeżywała, że cię wtedy nie było. Już pomijam, że całe to rodzenie jest dość... hm... szokujące. Ja się nie mogłam otrząsnąć, a co dopiero ona...

– Przecież wiem, nic na to nie poradzę, że tak to wyszło. Sprawa z policją zamknięta, trzeba się zebrać do kupy i iść dalej. Ona wcale ze mną nie gada, tylko wiecznie rżnie cierpiętnicę, a kiedy coś mówi, to marudzi pod nosem bardziej do siebie niż do mnie.

– Na małego?

– Jak na małego, o co na małego? Przecież on nic złego nie robi. Nie da się z nim jeszcze bawić, więc znalazła sobie inną rozrywkę i stroi go jak jakiegoś dandysa, przebiera dziesięć razy dziennie, przez co nie nadążamy z praniem. Poza tym nie wypuszcza go z rąk, nie dba o siebie ani o dom, że już nie wspomnę o ugotowaniu obiadu czy innych rewelacjach. Nawet na spacer z nim nie wychodzi, bo mówi, że on wiecznie płacze i chce cyca. Bola ją piersi, mówi, że strupy jej się porobiły, dziecko własną krwią poi i wampir nam urośnie. Rady położnej w tym temacie totalnie olewa. To chyba nie jest normalne? Moja mama wykarmiła nas czworo i wszystko robiła w domu, kiedy ojciec w pole szedł. Świnie, kury były na jej głowie, ja nie wiem, o co tej dziewczynie chodzi. Najmłodszy brat mleko ssał, a mama kartofle w tym czasie obierała, siostrze gile wycierała, a nam, najstarszym, pomagała lekcje odrabiać.

– Tomasz, ty masz dziecko z Majką, nie z twoją mamą – westchnęła Ada, rozpinając kurtkę i z rezygnacją ściągając z szyi apaszkę, która zaczynała niemożliwie grzać.

Już wiedziała, że jej spóźnienie przekroczy wszelkie granice przyzwoitości, jednak nie chciała brutalnie przerywać rozmowy, skoro pojawiła się szansa na zrozumienie rozmiaru dramatu wstrząsającego stadłem Lipskich.

– Przecież wiem, nie oczekuję, żeby miesiąc po porodzie myła okna i lepiała pierogi. Wystarczy, że ogarnie siebie i małego i nie będzie robiła przy tym miny męczennicy. Nie mogę jednocześnie pracować i iść

z dzieckiem na spacer. Gdy wracam do domu, cały czas przewijam go, prasuję i odgruzowuję dom. Z niczym więcej nie wyrabiam. Naprawdę tak dużo od niej wymagam?

Ada przeciągnęła dłonią po czole, jakby chciała z niego zetrzeć niewidoczny pot.

– Nie wiem, czy dużo. Nie jestem matką.

– Ale porozmawiać z nią możesz? Jej matka z nią rozmawiała kilka razy. Ojciec też. Majka na nich nawarczała i kazała się nie wpieprzać w nasze sprawy. Więc teściowie strzelili focha i pojechali na tę swoją działkę. Moja mama dzwoni do niej codziennie i proponuje, że przyjedzie, ale Majka reaguje histerią. Nie mam pomysłów, co robić, żeby ją jakoś ustawić do pionu.

Walicka przyznała w duchu, że rodzicom Majki wcale się nie dziwi. Zawsze byli dyskretni i nie lubili się narzucać. Zapewne postanowili przeczekać szaleństwo pierworodnej w pewnej odległości, żeby zachować życie i zdrowie psychiczne. Następnie przywołała w swojej głowie obraz starszej pani Lipskiej i doszła do wniosku, że byłoby znacznie prościej, gdyby matka Tomasza w ogóle nie dzwoniła. Znając ją, wyrzucała z siebie rady z szybkością karabinu maszynowego głosem nieznoszącym sprzeciwu, opieprzając synową, jakby ta była szczeniakiem, który narobił jej do butów. Majka, ostatecznie też przecież wygadana i pewna siebie, bladła na widok teściowej i najchętniej chowałaby się przed nią na dnie szafy. Obłąd. Ada zamrugała kilka razy, pozbywając się sprzed oczu obrazu przysadzistej kobiety o ostrych rysach, spracowanych dłoniach i niezwykle tubalnym głosie.

– Tomasz, muszę kończyć. Wpadnę do niej jutro po pracy i pogadam. Albo razem z nią pogadamy, co? Może tak być? Dzisiaj nie dam rady, bo chcę posiedzieć z Maćkiem. O której kończysz?

– Dopiero o osiemnastej, mam szkolenie po robocie. Obowiązkowe, psia krew. Jesteś aniołem.

– Jestem, jestem. Tylko ktoś mi zaiwanił skrzydła. Zadzwoń do ciebie. Pa.

Przez chwilę stała jeszcze z telefonem w dłoni i patrzyła tępo w ścianę, zastanawiając się, jak u diabła ma pomóc przyjaciółce w tym poporodowym spleenie, skoro sama o macierzyństwie wie tyle co nic. Doszła do wniosku, że nawet jeśli nie wymyśli nic mądrzejszego, to znowu coś im upichci, zabierze chrześniaka do parku, a młodej matce pozwoli się po prostu

zdrzemnąć. Może przyniesie jej jakąś książkę, żeby nie gapiała się tak bez sensu w telewizor. Po drodze jest spora księgarnia. Tak robi, to genialny pomysł.

– Halo, pani Ado, jest tam pani? – Głos doktora Maczka wyrwał ją z zamyślenia tak nagle, że aż podskoczyła.

Lekarz stał tuż obok z rozbawioną miną, jakby wyrwanie jej ze stanu zadumania wybitnie poprawiło mu humor.

– O Boże – jęknęła, łapiąc się za serce. – Dzień dobry, panie doktorze, co pan dziś tak krzyczy?

– Trzeci raz mówię, a pani gdzieś buja w obłokach. Pewnie z narzeczonym? Trafił się pani idealny facet. Codziennie go tu widzę, gdy na panią czeka. Przy okazji z każdym porozmawia, dla każdego ma dobre słowo. Nawet przyjechał dzisiaj z samego rana i rozmawiał z policją, żeby pomóc w wyjaśnieniu tej afery...

– Jakiej afery?

– A pani skąd się urwała? Od świtu cały szpital o tym mówi. Toż doktor Bosak wykrył, że ktoś się wczoraj dobrał do podręcznej szafki z lekami na naszym oddziale!

Wiedziała, o której szafce mowa. Wysoki wąski regał ze szklanymi, solidnymi drzwiczkami i potężnym zamkiem znajdował się w małym ślepym pomieszczeniu wraz z mniej strategicznymi skarbami, takimi jak chociażby środki opatrunkowe, strzykawki, ciśnieniomierze czy termometry. W życiu nie przyszło jej do głowy, by zaglądać do środka. Czasem tylko w przelocie wpadło jej coś w oko, gdy przechodziła korytarzem, a drzwi akurat były otwarte. Zdarzało się to rzadko, bo pielęgniarki nie wpuszczały do środka nikogo, strzegąc wrót niczym niewyciężone cerbery.

– Zginęło coś?

– Wygląda na to, że nie, i to jest najdziwniejsze. Policja ma zbadać ślady swoimi metodami, wie pani. Ja oglądam seriale kryminalne, ale te ich techniczne możliwości to dla mnie czarna magia. Mój umysł nie wykracza poza zrozumienie daktyloskopii. Badanie linii papilarnych ma już prawie sto lat, więc śmiało może pani stwierdzić, że jestem koszmarnie zacofany. W każdym razie gliniarze stwierdzili wstępnie, że to mogło być nie pierwszy raz. Ktoś regularnie dobiera się do farmaceutyków po to tylko, żeby na nie popatrzeć? Dlaczego, pani Ado? Po kiego grzyba? Nie muszę dodawać, że jesteśmy ogromnie zaniepokojeni. W końcu nie trzymamy tam aspiryny i środków na przeczyszczenie, tylko silne i drogie lekarstwa, a na oddziale

przebywa mnóstwo dzieci. Aż strach pomyśleć, że to mogłoby być któreś z nich.

– Tylko które? – spytała Ada, mocno poruszona tymi rewelacjami.

– Ano właśnie. Poza dziećmi w grę wchodzi tylko personel szpitala. No, chyba że jakiś zdesperowany rodzic... Hm... to też nie ma sensu, skoro zawartość apteczki się zgadza z dokumentacją. Każdy listek, buteleczka i każda fiolka się odliczyła.

– To może nic się nie stało, fałszywy alarm?

Doktor Maczek westchnął głęboko.

– Zamek uszkodzony i podobno, cytując: „Nosi liczne ślady dźubania wytrychem”. Po cóż ktoś z nas miałby używać wytrycha?

– Policja ma już jakiś trop? – drażyła Walicka, coraz bardziej zaintrygowana tematem.

– Otóż to jest dopiero fascynujące, pani Ado! Policja podejrzewała naszego nowego salowego. Wiadomo, że wczoraj kręcił się przy pokoju pielęgniarek, świadkowie zeznali. On się rzuca w oczy, jedyny mężczyzna wśród personelu pomocniczego. Ta szafka z lekami stoi w małej kanciapie, naprzeciwko, pani wie. I właśnie pan Jacek obalił podejrzenie od ręki. Dał mu alibi. Podobno facet szorował podłogę i mył drzwi do tej kanciapy oraz sąsiednie, do toalety. Wtedy widzieli go tam inni ludzie. Pielęgniarki nic nie mogą potwierdzić, bo miały zamknięte drzwi. Urządziły sobie we trzy babską naradę. Podejrzewam, że plotkowały i straciły poczucie czasu, zapominając o robocie. Znać po tym, że ewidentnie im teraz głupio. Kiedy salowy skończył sprzątanie, obaj, znaczy z panem Jackiem, poszli na dymka przy parkingu i gadali dobrą godzinę. Gdy wrócili, to już się to nie mogło stać, bo pokój pielęgniarek, tak jak powinien, stał otwarty na oścież. Któraś tam zawsze siedziała i raczej by zauważyła albo chociaż usłyszała coś podejrzanego. Drzwi do kanciapy trochę skrzypią. A jeszcze wcześniej cały czas ktoś go widział. Sprzątał zupełnie gdzie indziej. Znaczy salowy, nie pan Jacek. Krystian czy Christian, diabli wiedzą, jak to się pisze – relacjonował przejęty lekarz. – Maruda, tfu, znaczy pani Danuta, widziała pana Jacka z daleka pod wiatą na parkingu. Z papierosem. Salowy musiał schować się głębiej, bo go nie dostrzegła. Pani Danuta nie wyklucza, że ktoś inny też tam był. Mżyło wczoraj jak cholera, za przeproszeniem, o ile pani pamięta, więc chowanie się było całkiem zasadne. No i pan Jacek to świadek nie do podważenia, każdy mu tu ufa, bo to złoty człowiek.

Fakt, mżyło, nawet dość obrzydliwie siępiło – tyle Ada pamiętała. Jednak zupełnie nie z powodu pogody spojrziała na doktora Maczka z niedowierzaniem. Poczł się w obowiązk, by rozwinąć sprawę szerzej.

– No, wie pani, dba o panią jak żaden inny. Odwozi, przywozi, co jakiś czas widuję kwiaty... Kilka razy rozmawialiśmy, ciekawiły go różne medyczne drobiazgi, w końcu nic dziwnego, pracuje w pokrewnym zawodzie. Medycyna byłaby bezradna bez firm farmaceutycznych, a firmy farmaceutyczne bez medycyny by nie istniały. Jesteśmy od siebie ściśle zależni.

– Tak, wiem, Jacek pracuje nad...

– Spotkałem go też raz w pokoju pielęgniarek, mam nadzieję, że nie będzie pani zazdrosna, akurat wszystkie od pani starsze, choć, nie powiem, urodziwe. Pomógł kiedyś naszym praktykantom i często rozmawia z tym nowym salowym. Mógłby zadzierać nosa, w końcu doktorat za pasem, ale nic z tych rzeczy. Gadają jak równy z równym. Fantastyczne. Chyba znają się spoza szpitala.

– Podejrzewam, że to jego student z polibudy – zdołała wtrącić i szybko dodała, zmieniając temat: – A jak Maciek?

– Student? No nie wiem, może student. Maciek stabilnie, jak na jego sytuację oczywiście. Darowaliśmy sobie chemię, pani wie, bo tylko by go bez sensu wymęczyła. To, co ma w organizmie, to jeden wielki dramat. Cieszymy się, że na razie czuje się nieźle.

– Nie za szybko pan zrezygnował? – wyskoczyła, zanim ugryzła się w język.

– Pani Ado, czy widziała pani kiedyś, żebym zrezygnował z leczenia, kiedy to miało sens? – Głos lekarza gwałtownie stwardniał. – Nie zwykłem się poddawać. Mogę pani pokazać wyniki jego badań. Jeśli znajdzie pani w nich chociaż cię szansy na leczenie farmakologiczne albo operacyjne, to chętnie oddam pani mój kitel i pieczętkę.

– Raczej nie znajdę – wymamrotała zawstydzona.

– Doskonale wiem, że on nie ma nikogo bliższego niż pani i pan Bartek. Na razie nie widać pogorszenia. Maciek jest w całkiem przyzwoitej formie, kręci się po szpitalu, zagaduje dzieciaki, czasem nawet się uśmiecha. Nie cierpi, w każdym razie nie fizycznie. W jego stanie to najlepsze, czego powinniśmy oczekiwać.

– Hospicjum jest nieuchronne? Boję się, że on się tam załamie. Nie ma innego rozwiązania?

– Obawiam się, że nie ma. Standardowo optowałbym za wypisem i hospicjum domowym, jednak jestem przekonany, że dom dziecka nie będzie w stanie tego udźwignąć. W szpitalu nie możemy go trzymać bez końca. Uzgodniliśmy z Marudą – zachnął się, zakrywając dłonią usta – znaczy z panią Danutą, że to dla niego najlepsze rozwiązanie. Mam nadzieję, że mimo tego, jak sytuacja się pokomplikowała, znajdą mu tam miejsce.

– Co to znaczy: znajdą mu miejsce? Do tej pory zawsze sobie radziliśmy, nawet przy dużym obłożeniu. Co się znowu pokomplikowało? Przecież ta afera z lekami nie ma nic wspólnego z fundacją, a Danka jest niezawodna.

Walicka, tak jak wszyscy fundacyjni pracownicy i wolontariusze, wierzyła, że moc pani prezes jest nieograniczona. Napędzało to Danutę Marudowicz do działania, choć czasami przytłaczało i przygniatało niemal do ziemi. Bywa, że ciężiej dźwigać bezmiar zaufania innych ludzi niż ich rozczarowanie. Na ogół radziła sobie znakomicie z presją i przeciwnościami, taszcząc na swoich barkach losy rzeszy podopiecznych i ich opiekunów niczym Atlas sklepienie niebieskie.

– Ale nie jest magikiem.

– O czym pan mówi? – zdumiała się, a Maczek uciekł wzrokiem gdzieś na pobliskie okno.

Jako żywo nie było tam nic ciekawego poza rozrastającymi się bez umiaru krzakami dzikiego bzu. O tej porze roku pokrywały je zaledwie pąki z wolna przechodzące w małe liście. Żadne dziwo.

– Powinna pani z nią porozmawiać – mruknął wreszcie. – Ja w sprawy fundacji się nie wtrącam, wystarczy mi leczenie.

– Albo przenoszenie do hospicjum i odbieranie nadziei?

– Nadzieja, moja droga, jest zawsze. Jestem tylko lekarzem, nie decyduję o ludzkim życiu. Od tego są mądrzejsi ode mnie – oznajmił, wymownie wskazując palcem w górę. – Powiem tyle: według danych na dziś nie potrafię go wyleczyć i to nie jest kwestia moich kompetencji, a posiadanych zasobów.

– Czyli chodzi o pieniądze, droższą terapię? Gdyby miał starych śpiących na forsie, mógłby żyć?

– Nie, nie. Raczej chodzi o dostępne medycynie leki. Byłem jednak w swoim życiu już świadkiem paru zaskakujących remisji, rzekłbym, samoistnych. Cuda się zdarzają, pani Ado. Naprawdę chciałbym mu pomóc.

– Przepraszam, panie doktorze, przecież pana znam. A bez cudu ile on będzie żył?

– Niech pani da spokój. Nie odpowiadam na takie pytania. Ja wierzę w Boga, pani Ado. Poza tym znamy się od lat, a pani jest rozsądną kobietą.

– Ale to nie dni czy tygodnie? Sam pan mówił, że całkiem nieźle się trzyma.

– Proszę mnie nie zmuszać, żebym panią okłamywał i traktował jak żółtodzioba. Widzi go pani codziennie i doskonale pani wie, jak on się czuje. Równie dobrze zdaje sobie pani sprawę z tego, że sytuacja w takich przypadkach potrafi zmienić się nagle i gwałtownie. Z pewnością nie umknie to pani uwadze. Zrobimy dla niego wszystko, co możliwe, by mu zapewnić komfort i poczucie bezpieczeństwa. Nie tylko pani o nim myśli. Ten chłopak całe życie był sam, więc chociaż na koniec należy mu się maksimum uwagi. A teraz pani wybaczy, pędzę na zabieg. Czeka na mnie pewna młoda dama o niezwykle błękitnych oczach. Mówię pani, jak dwa bezkresne nieba. Byłbym się w niej zakochał, gdyby nie...

– Gdyby nie pańska żona?

– To też. Ale przede wszystkim gdyby nie miała ośmiu lat.

Ada parsknęła śmiechem, odprowadziła wzrokiem onkologa, póki nie zniknął za drzwiami pokoju lekarskiego, po czym ruszyła w stronę swojej klasy. Po deszczu z poprzedniego dnia nie został żaden ślad. Zrobiło się wyjątkowo ciepło i wiosennie, więc włożyła luźną miętową bluzkę z krótkim rękawkiem i czarną aplikacją wąsów na piersiach. Cieszyła się, że może odrzucić swetry i bluzy. Sine ślady z ramion zniknęły. Nie było ryzyka, że przyjdzie jej się z nich komuś tłumaczyć. Nie chciała kłamać, lecz wiedziała, że w razie czego prawda nie przeszłaby jej przez gardło. To jej i tylko jej sprawa. Prawie, bo jeszcze Jacka, ale przecież wszystko już sobie wyjaśnili i temat został zamknięty. Na zawsze.

– Cześć, Ada. – Usłyszała tuż za sobą niski, zdecydowany głos Pilcha. –

Skoro olałaś poranne lekcje, zagęść teraz ruchy. Wbijasz na spowiedź do Marudy i lepiej od razu się zastanów, czy to nie ty narozrabiałaś.

– Oszalałaś? Na jaką spowiedź? – warknęła, zerkając na niego przez ramię.

Nadal zaskakiwało ją, że zawsze był tak bezpośredni. Walił prosto z mostu, nie owijał w bawełnę żadnego słowa. Ba, nawet żadnej sylaby czy gestu. Ciskał nimi jak kamienną lawiną w górski staw, a Walicka czuła, jak naga prawda rozchodzi się w niej niczym kręgi po wodzie, poruszając każdy, najgłębszy zakamarek jej umysłu. Nie wiedziała, czy bardziej ją to fascynuje, czy wkurza i przeraża. Nie przywykła do takiej szczerości.

– Gruntowną. Policja zabunkrowała się u Danki i przesłuchuje po kolei wszystkich pracowników fundacji.

– U Danki? Dlaczego?

– Tam im najwygodniej. Siedzą w norze i nie budzą niepotrzebnej sensacji wśród dzieciaków. Chociaż podejrzewam, że one i tak wszystko wiedzą. O niczym innym nie mówią.

Ada uśmiechnęła się pod nosem. No jasne, w obliczu szpitalnej nudy każdy chętnie się chwyta sensacji. Zapewne do tej pory powstało co najmniej kilka wersji dramatu: od zgubienia złamanej strzykawki poczynając, na porwaniu doktora Maczka kończąc. Plotki wypełniały oddział szybciej niż Staś swoją pieluchę.

– To chyba dziwne, że przesłuchują w szpitalu, a nie na komisariacie, prawda?

– Maruda, wzorem ordynatora, zapowiedziała, że nie widzi powodu, by pozbawiać dzieci na tyle godzin wsparcia, więc jeśli chcą nas maglować, to tu. Do siebie mają zapraszać tylko w razie konieczności, pewnie tych najbardziej podejrzanych.

– Czyli nie jestem podejrzana?

– Chyba nie. Od rana przepytali cały personel medyczny, rodziców, starsze dzieciaki i teraz na deser wzięli się za nas.

– A co z lekcjami? – dopytywała, zerkając na zegarek.

Lada chwila powinni zacząć popołudniowe zajęcia.

– Luzuj, mnie już przetrzepali. Jestem wolny, niewinny jak niemowlę. Od świtu walczę sam, to powalczę dalej. Do tej pory nie padłem trupem, nawet nie odniosłem ran. Radzę sobie.

– To po cholere ze mną idziesz? – warknęła, przystając pod drzwiami gabinetu szefowej i biorąc się nagle pod boki. Obrzuciła go gniewnym spojrzeniem, jakby niewinność w oczach policji nie stanowiła dla niej wystarczającego argumentu, by Bartek mógł swobodnie chodzić po świecie.

Pilch uniósł dłonie w geście poddania.

– Rany boskie, dziewczyno, nie strzelaj! Chciałem cię odprowadzić, żeby ci było raźniej. Wypytywali mnie o twojego narzeczonego, podobno coś widział. Zresztą do niego też dzwonili, zaprosili go na pogawędkę. Mówił ci?

Akurat. Oczywiście, że nic jej nie powiedział. Przed ósmą podrzucił ją do Majki. Po drodze zagadywał wyłącznie o pogodę i jojechał, że na Wielkanoc na pewno przyjdzie im jechać do Łapszanki w afrykańskim upale albo

marznącym deszczu, bo w tym kraju od lat nikt już nie widział prawdziwej wiosny. Meteorolog amator, psia jego mać.

– Kraj kontrastów, nawet w aspekcie klimatycznym – mamrotał pod nosem Jacek, nie zwracając uwagi na to, czy Ada go słucha. – Albo niebo, albo piekło, albo czarne, albo białe, albo tolerancja i rzyganie tęczą, albo palenie na stosach i upychanie po kieszeniach ząbków czosnku. Pieprzony zaścianek, zero otwartych umysłów.

– Chyba trochę przesadzasz – próbowała polemizować. – To ty jesteś nietolerancyjny i nie znosisz żadnych ustępstw.

– Nie siedzisz w mojej głowie, więc się nie wypowiadasz. – Usłyszała w odpowiedzi i dla świętego spokoju postanowiła zamilknąć.

Resztę drogi spędziła na obracaniu pierścionka zaręczynowego na palcu i powtarzaniu sobie w duchu, że musi koniecznie oddać go do jubilera, bo ten cholerny kamień o wszystko zaczepia i kiedyś jeszcze, skubany, wypadnie. Wyjątkowo zaczynał jej przeszkadzać.

Stojąc przed gabinetem Marudy, Ada poczuła, że wstępuje w nią duch walki z nie wiadomo czym, najpewniej z wiatrakami. Wyprostowała się i uniosła dumnie brodę. Tanio skóry nie sprzeda. Nie pozwoli nikomu się gnoić, robić z siebie wariatki, a tym bardziej pokazywać sobie, jak powinna żyć. Nie ma mowy. Nie potrzebuje doradców ani pocieszycieli.

– Oczywiście, że mi mówił. Ja wchodzę, ty wracasz do dzieci i robisz dalej to, co ustalaliśmy.

– Kontynenty i kolejność działań w matematyce.

– Dokładnie – potwierdziła z zadowoleniem.

– Kalka. Nieładnie – mruknął, unosząc kąciki ust w delikatnym uśmiechu.

– Co?

– Kalka językowa, pani profesor. Przekopiwane z angielskiego.

– Dokładnie?

– Mhm. – Pokiwał głową z zadowoleniem. – *Exactly*.

Ada miała ochotę się roześmiać, ale wzruszyła tylko ramionami i zdecydowanym ruchem nacisnęła kłamekę gabinetu szefowej.

Pomieszczenie było niewielkie i urządzone zdecydowanie po spartańsku. Danuta Marudowicz nie miała w zwyczaju marnować pieniędzy na niepotrzebne zbytki. Proste biurko ze sklejki, laptop, regał na dokumenty, trzy krzesła i metalowy wieszak w kącie. To wszystko, czego potrzebowała do zarządzania swoją fundacją. Do tego wiecznie trzymany w dłoni telefon i niekończąca się kolekcja barwnych apaszek. W pokoju nie brakowało

światła, bo okna wychodziły na południe i zachód. Niewyposażone w rolety stawały się bezbronne wobec upartych promieni wiosennego słońca. Maruda siedziała na krześle przy parapecie i z zapalem tłukła palcami w wyświetlacz smartfona. Oderwała wzrok od komórki jedynie na ułamek sekundy. Omiotła Adę spojrzeniem i rzuciła w przestrzeń, wracając do przerwanej aktywności:

– Porozmawiaj z panem aspirantem. Ja mam sponsora na Messengerze.

Ada pokiwała ze zrozumieniem głową, wiedząc, że ze sponsorem nie wygra. Wprawdzie na polu finansowym zawsze jakoś udawało się wiązać koniec z końcem, jednak do luzu i pełnej beztróski w tej dziedzinie było im ciągle daleko. Zapasów na czarną godzinę nie miewali raczej nigdy, a czarne godziny nastawały co i rusz, gdy tylko pomoc któremuś z pacjentów przepoczwarzała się w zbiórkę na leczenie. Niby wykraczało to poza założenia fundacji, jednak Maruda nie potrafiła nie dorzucić paru groszy zarówno ze swoich zaskórniaków, jak i skromnego budżetu fundacji. Nikt nie miał jej tego za złe, tylko księgowa zgrzytała w milczeniu zębami, rujnując wyposażenie swojej szczęki.

Pan aspirant Walery Łutkiewicz pogodził się już z sytuacją i nie zwracał uwagi na siedzącą w kącie prezes fundacji. Czy też prezeskę. Sam nie wiedział, jak powinien o niej mówić i myśleć, a odmiana rzeczownika „prezes” zniechęcała go do wszelkiej artykulacji kierowanej w stronę właścicielki gabinetu. Wolał na nią zerkać, niż konwersować. Na samym wstępie zdołała go zagadać niemal na śmierć i podkreślić, że choć chwilowo odstępuje mu biurko, to ona tu rządzi. Nie zamierzał z nią dyskutować, szczególnie że kobieta, choć niewysoka, machała nieustannie tuż obok obleczoną w cienkie rajstopy łydką, którą policjant uważał za wyjątkowo kształtną. Dama wprawdzie nie dysponowała nieskazitelną cerą i czasy, gdy jej młodość kwitła, bezpowrotnie minęły, jednak zgrabnej nodze towarzyszył interesujący dekolt, niedokładnie przykryty wściekle różową apaszką. Walery, pewien, że przyszedł na świat w tej samej dekadzie, czuł, że mógłby się na nią gapić godzinami. Niestety, przeszkadzali mu w tym nieco ludzie, z których musiał wydobyć tonę nudnych zeznań. Na przykład teraz ta dziewczyna. Weszła i wyciągnęła do niego rękę jak do równego sobie. Zupełnie bez strachu. Albo bezczelna, albo niewinna.

– Ada Walicka – przedstawiła się i nieproszona usiadła naprzeciwko biurka.

– Aspirant Walery Łutkiewicz – odpowiedział mechanicznie, także opadając na krzesło.

– Od łódki czy łutu?

– Łuta, nie łutu, błąd w dopełniaczu – wyjaśnił cierpliwie policjant, od lat przyzwyczajony do tego typu pytań.

– Łuta? – powtórzyła bezmyślnie Ada. – Cholera, ale mam dzisiaj szczęście do lingwistów.

– Łuta. Łut to dawna jednostka wagi. Niecałe trzynaście gram.

– Niewiele – palnęła, za późno gryząc się w język.

– Wystarczająco – uciał dyskusję gliniarz i wreszcie zmienił temat. – Poproszę o pani dowód osobisty.

Walicka wygrzebała z torebki plastikowy prostokąt i położyła go przed sobą na biurku. Walery przepisał z niego wszystko, co się dało, do wielkiego notesu, zadał kilka pytań uzupełniających dotyczących danych osobowych i przeszedł do konkretów.

– Czy wie pani, gdzie trzymane są leki przeznaczone na bieżący dzień dla pacjentów?

– Tak, w takiej klitce obok pokoju pielęgniarek.

– Kto ma do niej klucze?

– Zgaduję, że ordynator albo siostra oddziałowa. Albo oboje.

– Jak wygląda to pomieszczenie?

– Nie mam pojęcia, nigdy w nim nie byłam.

– Nie zaglądała pani nawet przez otwarte drzwi?

– Zawsze są zamknięte.

– Bez wyjątku? Nie zdarzyło się, że ktoś trzymał je uchylone albo zostawił klucz w zamku?

– Nie wiem.

– Mówi pani, że zawsze są zamknięte...

– Zawsze widziałam je zamknięte, ale nie spędzam w szpitalu całej doby.

Ada starała się wyjaśniać rzeczowo i precyzyjnie. Łutkiewicz notował sobie jej wypowiedzi, ale z jego twarzy ciężko było wyczytać, czy jest zadowolony.

– Kogo widywała pani przy tym pomieszczeniu?

– Każdego. Drzwi znajdują się w ścianie głównego korytarza. Nie da się przejść przez oddział, nie mijając ich.

– Lubi pani wyrażać się dosłownie, tak? – zakpił zirytowany. – Zatem jak dobrze pani narzeczony zna Christiana Łodzika, salowego z onkologii?

– Lodzika? – Jego rozmówczyni nieudolnie próbowała zapanować nad kaśliwym uśmiechem.

– Lodzika. Teraz będzie się pani czepiała wszystkich nazwisk?

– Nie, przepraszam. W ogóle nie wiem, że go zna. Znaczący wiem tylko tyle, że się sobie kłaniają.

– Co robią?

– Kilka razy widziałam, jak Jacek skinął mu głową na przywitanie, kiedy mijali się na korytarzu. Tak, wie pan, zwyczajnie, grzecznościowo.

– Nie widziała pani, żeby rozmawiali albo gdzieś razem szli?

– Nieee – odpowiedziała z pewnym wahaniem, przeczesując pamięć i szukając w niej wszelkich obrazów, które mogłyby zadowolić gliniarza.

– Poza pracą też nie? Może u narzeczonego w pracy. On pracuje na politechnice, tak?

– Między innymi, niestety ja tam nie bywam.

– Nie sprawdza go pani? Nie obawia się pani o niego? To przystojny facet, musi mieć wiele propozycji.

– Może tak. Od razu mówię, że szkoda pana wysiłku.

– Słucham?

– Może się panu wydawać nie wiem jak przystojny, ale jest chorobliwym tradycjonalistą.

– Co ma pani na myśli?

– Interesują go tylko dziewczyny.

Maruda podniosła wzrok znad telefonu i obdarzyła Adę rozbawionym spojrzeniem, cicho chichocząc. Walery otaksował wzrokiem panią prezes i westchnął ciężko, jakby to ona z niego zadrwiła.

– Widzę, że ma pani mnóstwo czasu, pani Walicka. Ja jednak chciałbym ustalić fakty. Pani narzeczonego nie interesuje mnie jako mężczyzna, wyłącznie jako świadek. Rozumiem, że nie może pani potwierdzić bliższej znajomości między Jackiem Zawadowiczem a Christianem Lodzikiem?

– Nie mogę – przyznała szczerze.

– Czy wspólne wypadki na dymka, tfu... na papierosa tych dwóch panów uważa pani za prawdopodobne?

– Nie wiem – zawahała się.

– Według pani dotychczasowej wiedzy... Jak pani sądzi? Takie zachowanie pasuje do pani narzeczonego czy nie?

– Nie bardzo – przyznała i nie wiedząc czemu, poczuła budzące się wyrzuty sumienia.

– Bardzo ładnie – pochwalił ją policjant, przekładając papiery. – O której wyszła pani wczoraj z pracy?

– Około siedemnastej.

– Tak długo trwają lekcje?

– Nie, lekcje kończą się wcześniej, potem byłam u Maćka... – Zerknęła znów na Marudę i postanowiła doprecyzować, żeby nie przeciągać struny. – To nasz pacjent, trzynastolatek, Maciej...

– Rozmawiałem już z Maćkiem – przerwał gliniarz i twarz mu złagodniała. – W porządku, czyli wyszła pani o siedemnastej. Spotkała pani kogoś?

– Nie, korytarz był pusty, z pokoju pielęgniarek dochodziły odgłosy śmiechu i rozmowy.

– Widziała pani wewnątrz tego pokoju?

– Nie, drzwi były przymknięte, szpara mogła mieć z pięć centymetrów. A zwykle zostawiają szeroko otwarte, żeby widzieć i słyszeć...

– Ile było tych głosów?

– Nie wiem, co najmniej trzy, chyba nie więcej niż cztery.

– Same damskie?

– Tak.

– Czy może pani potwierdzić, że nie było tam żadnego mężczyzny?

– Nie. Nie widziałam, kto jest w środku. Mogła tam siedzieć cała reprezentacja Polski, z Lewandowskim na czele, pod warunkiem że milcząca jak głaz.

– Okej, minęła pani te drzwi z reprezentacją w środku i co dalej?

– Nic, zeszałam na dół, rozejrzałam się po parkingu, szukając samochodu. W końcu go znalazłam, zbliżyłam się i chciałam zapalić papierosa, ale Jacek doszedł do mnie od strony bocznego wejścia i powiedział, że on już zakurzył i się spieszy, więc wsiadłam do auta i pojechaliśmy do domu.

– Nie wychodziliście do wieczora?

– Ja zostałam, a on udał się do pracy. Wrócił, kiedy zdążyłam zasnąć.

– O której?

– Koło dwudziestej trzeciej.

– To spała pani, gdy przyszedł, czy nie?

– Spałam. Obudził mnie, bo trochę hałasował.

Trochę! Ładne mi trochę! Musieli lekko zabalować na koniec dniówki, bo bujało nim jak na łajbie w dzikim szkwale. Stłukł wazon w przedpokoju, a kiedy wstała, żeby posprzątać, zaczął ją obmacywać i ściągać z niej majtki,

choć w żadnym razie go nie zachęcała. Z nawaloną jak stodoła to żadną przyjemnością. Nie upierał się. Kiedy runął na łóżko i poczuł pod policzkiem poduszkę, odpłynął w błogi sen, zapominając o karesach.

– Nie zdziwiło to pani?

– Że hałasował? – spytała, celowo nie ułatwiając zadania aspirantowi, ku wyraźnej ucieście Marudy.

– Że wrócił o takiej godzinie. Niechże się pani nie wygłupia!

Walery wyszarpnął z kieszeni chusteczkę do nosa i z ciężkim westchnieniem przetarł zroszone czoło. Ada zdziwiła się przelotnie, cóż mogło go tak zmęczyć.

– Nie, często kończy późno. Ma ważną pracę, prowadzi badania, wie pan...

– Tak, tak. Dziękuję. Gdyby pani sobie coś przypomniała, proszę do mnie zadzwonić – oświadczył, mając już jej dość. Na biurko cisnął lśniąca białą wizytówkę. – Teraz proszę iść do dzieci.

– To wszystko? – spytała zaskoczona Ada w przekonaniu, że przez swojego ducha walki w zasadzie niewiele pomogła, a jeszcze mniej się dowiedziała. Wyładowała tylko na niewinnym facecie frustrację.

– Tak, chyba że jednak widziała pani wtedy w korytarzu coś ciekawego.

– Nic!

– W takim razie to tyle.

Walicka, nie rozmyślając dłużej o tej dziwnej sprawie, pośpiesznie dołączyła do Bartka i całą swoją uwagę skupiła na kolejności działań arytmetycznych na bazie zadań z tekstem o Afryce, Azji i obu Amerykach.

21.

Maciek krążył między salami chorych i szukał kogoś, kto zechce posłuchać jego paplania. Ekscytował się faktem, że po oddziale grasują policjanci i tropią aferę, o której niby nie chcą nikomu nic powiedzieć, a jednak każdy już wszystko wie. Ktoś się włamał do składziku z lekami. Na bank coś zginęło, bo inaczej nie robiliby zamieszania. Pewnie cały arsenał przeciwbólowych. Chyba to jakiś ćpun albo samobójca zabrał zapasy oddziału. Maciek czytał o takich, co już dziesiątki lat temu kradli w szpitalach morfinę. W zamierzchłych czasach dwudziestego wieku. Niby dlaczego teraz miałyby być inaczej? Świat się zmienia, ale ludzie są tacy sami. Cierpią też tak samo. Zwłaszcza kiedy są samotni. Chociaż Maciek czytał i o takich, którzy mieli rodziny, porobili kariery, a i tak kończyli z przeciętymi żyłami, nabrzmiałymi brzuchami od różnych zabójczych świństw czy jako plama na chodniku tuż przy ścianie wieżowca. Albo gdzieś na torach kolejowych. Ta opcja wydawała się Maćkowi wyjątkowo egoistyczna. Jak można w swoje dramatyczne decyzje wciągać innych i jeszcze obciążać tym ich sumienie? On by tak w życiu nie mógł. Zresztą, o czym tu rozmyślać, w ogóle by nie mógł zrobić czegoś takiego. Życie może jest trudne i takie kruche, lecz jednocześnie ogromnie ciekawe. Nigdy nie wiadomo, czy nie przyniesie czegoś zachwycającego, nawet gdy wisi na włosku. Tak jak ten skok ze spadochronem...

Chłopiec wciąż odtwarzał w głowie, klatka po klatce jak ulubiony film, przebieg wyprawy na lotnisko. To było jak sen, czasem zastanawiał się nawet, czy sobie tego nie wymyślił. Wtedy sięgał do kieszeni spodni, w której krył się niewielki model samolotu. Dał mu go ten mały Tymek. Bartek przekomarzał się z nim cały czas, czy jest jego wujkiem, czy stryjkiem. Ależ Maciek zazdrościł temu srulsowi. Nie dość, że miał tatę, to jeszcze stryjka. I to jakiego! W dodatku był zdrowy... Maciek ma trzynaście lat, nie wie, czy dożyje czternastych urodzin, jego domem za chwilę stanie się hospicjum, a za całą rodzinę muszą mu wystarczyć pracownicy fundacji, pielęgniarki i lekarze. niesprawiedliwe. Nawet już w piłkę nie pokopie z Gutkiem i resztą srulsów z bidula. Wprawdzie dałby radę posędziować im na boisku, bo czuje się całkiem nieźle, ale przecież go tu nie odwiedzą, a na wycieczkę do domu dziecka nie ma szans.

Smętnie się zrobiło Maćkowi i ponuro. Przysiadł na parapecie i rozprostował na kolanach zwinięty w rulon komiks, który trzymał w dłoni. Pogładził go i powyginał lekko w obie strony, żeby nie sprawiał wrażenia

wydyżdanego. Czytał go już pewnie z dziesięć razy. Ten i wszystkie inne, które przynosił mu Bartek. Maciek lubił komiksy. Pani Ada patrzyła na to krzywo, lecz co można poradzić na to, że zwykle książki go nudziły? Wcale nie czuł się przez to gorszy. Uważał, że i jemu coś się należy w życiu, skoro ma tak całkiem przerypane. W domu dziecka mieli bibliotekę. Komiksy, które w niej znalazł, znał niemal na pamięć. Najwięcej naczytał się Thorgala. W szkole pożyczal coś czasem od kolegów, żeby kartkować na lekcjach pod ławką. W szpitalu, od kiedy poznał Bartka, zaczęły się dla niego złote czasy. Dostał mnóstwo starszych i nowszych wydań, kilka serii i tytułów, chociażby Marvela czy rodzimego Tytusa. Wszystko, co jego opiekun posiadał w swojej domowej kolekcji. Czasem pachniały farbą drukarską i Maciek poważnie podejrzewał, że Pilch kupował je specjalnie dla niego. Niesamowite uczucie dla chłopaka, który nigdy wcześniej nie posiadał na własność niczego poza ciuchami i szkolnym plecakiem. W największą dumę wprawiał go leżący na szafce przy szpitalnym łóżku pełen komplet wydanych dotychczas *Skrzydeł*. Ten tytuł, niezwykle w swojej formule i nowatorski pod względem relacji z czytelnikiem, w ostatnich latach bił rekordy popularności wśród polskiej dzieciarni. Ponoć nawet pojawiały się pomysły przetłumaczenia go i wyeksportowania za granicę. Na początek do Czech czy na Słowację, Maciek nie pamiętał, jednak wydawało mu się to wystarczające, by widzieć w komiksie bombę na miarę *Spidermana*. Przesadzał? Być może. Ale kto mu zabroni przesadzać? Przygody dwóch polskich lotników przeniesionych przez tajemniczą dziurę w czasoprzestrzeni z okresu drugiej wojny światowej do dwudziestego pierwszego wieku fascynowały go i często śniły mu się po nocach. Stąd pomysł lotu samolotem, który zakończył się przygodą najpiękniejszą z możliwych i tak niesamowitą, jakby została żywcem wydarta ze *Skrzydeł*.

Przekartkował kilka pierwszych stron i dotarł do miejsca, w którym Zygi i Teo wylądowali w wyjątkowo niesprzyjających warunkach pogodowych na małym lotnisku w północnej Norwegii. Należało się spodziewać, że zanim wykombinują miejsce na nocleg, Zygi zdąży doprowadzić przyjaciela do furii, klnąc na ziąb i swoją lichą skórzaną kurtkę.

– Gdzie jesteśmy? Brrr... Gorzej niż u kacapów – utyskiwał bohater komiksu, a nad ośnieżonym skalistym krajobrazem unosiła się biała chmurka wypełniona jego zrzędzeniem.

– Coś ty taki znawca ruskiego klimatu? Na wczasach u nich byłeś? – dogadywał mu Teo, wygrzebując się z kokpitu na oblodzony pas startowy.

– Dziadek rodzony w Nowosybirsku, kpie. Syn powstańców styczniowych. Wrócił po wielkiej wojnie i opowiadał.

Maciek wiedział, że lada moment komiksowe postacie wezmą się za łby i pokażą próbkę przedwojennego boksu. Bawiły go te ich awantury o byle co, lecz przecież w ważnych sprawach lotnicy mogli w pełni na siebie liczyć i jeden za drugiego bez wahania oddałby życie. To dopiero przyjaźń. Taka, jaka Maćkowi nigdy się nie przydarzy. Bo nie zdąży...

– O! *Skrzydła!* – Usłyszał niespodziewanie tuż nad głową i jakaś nieznajoma przysiadła obok niego na parapecie. – Która część?

– Norwegia – burknął niezbyt przyjaźnie, bo miał ochotę w spokoju poczytać.

– Pożyczysz? Mam wszystkie aż do Brazylii, tylko tej jednej mama nie zdążyła mi kupić. Podobno niezła petarda. Czytałam na Fejsie, wiesz, na profilu Zygi i Teo, że to jeszcze lepsze niż Kanada. Mnie się podobała najbardziej, a tobie?

Dziewczyna wyglądała na rówieśnicę Maćka. Kremowa chustka, którą obwiązała sobie głowę, nie pozostawiała wątpliwości co do powodu jej obecności w szpitalu. Była bardzo drobna, wręcz chuda, a jej oczy, szare i błyszczące, wydawały się głęboko zapadnięte w twarzy. To jednak nie stanowiło niczego niezwykłego. Maciek miał wrażenie, że wszystkie dzieciaki w czasie chemioterapii stają się do siebie podobne. W niej było jednak coś szczególnego. Długo szukał odpowiedniego słowa, by określić to coś, i w końcu uznał, że najlepiej pasuje przymiotnik „szlachetne”. Miała w sobie coś szlachetnego. Przyglądał się jej dużym, lecz wąskim stopom. Rozmiar buta co najmniej taki jak jego. Białe conversy ciasno zasznurowane kolorowymi silikonowymi sznurówkami układającymi się w barwy tęczy. Przyciągały wzrok, nie ma co. Dłonie też miała wąskie, z długimi palcami i wyraźnie widocznymi wszystkimi kosteczkami. Chłopak pomyślał, że dziewczyna o takich dłoniach powinna grać na pianinie albo na skrzypcach, a nie czytać komiksy. A potem uświadomił sobie, że w ogóle nie powinno jej tu być, bo szpital to nie miejsce dla takich jak ona. Zrobiło mu się smutno, potwornie smutno, że aż się wystraszył, czy aby ona nie dostrzeże tego w jego oczach. Na chwilę podniósł spłoszony wzrok na jej twarz. Przy bladej cerze usta odcinały się niezwykle wyraźnie. Dość wąskie i niewielkie, żadne tam krwistoczerwone obfite wargi składane w serduszko lub dzióbek, jakie widywał u dziewczyn z domu dziecka i na szkolnych dyskotekach. Za to uśmiechnęły się do niego lekko, odrobinę niepewnie, i usłyszał:

– Jestem Patrycja. Kiedyś wołałam mangi; *One Piece*, *Naruto*, kojarzysz? Same japońskie dzbany. Wyrosłam z nich. *Skrzydła* wymiatają.

– Maciek – mruknął niepewny, czy kontynuowanie tej pogawędki mu się podoba, czy jednak wolałby zwać gdzie pieprz rośnie. – Nie kitujesz? Zamieniłaś Kakashiego na Zygiego? Podkochujesz się w zwykłym lotniku zamiast w przystojniaku z Hatake? – wypalił z nutą drwiny w głosie.

– Jeśli mam się w kimś podkochiwać, to wolę Teo. Zwłaszcza w finałowych rozgrywkach.

– No proszę. A na ringu regularnie dostaje po masce. Jako bokser wysiada przy Zygim. I nie jest taki gładki ani romantyczny...

– Za to jak się coś sknoci, to on ratuje sytuację. Zawsze umie zrobić coś z niczego. Naprawić śmigło w locie, sklecić szafas w czasie burzy, skombinować coś do jedzenia pośrodku pustyni...

– Dobra, dobra. Wcale się nie sprzeczam. – Maciek klepnął się dłońmi w kolana i nie walcząc już ze sobą dłużej, uśmiechnął się szeroko. – Też wolę Teo. Masz *Skrzydła* online? Kiedy gram, zawsze wybieram go jako swoją postać.

– Mówisz o tej apce na podstawie komiksu?

– Mhm – przytaknął Maciek i wyciągnął z kieszeni ukochanego huaweia.

Ten dość prosty i w dodatku wysłużony model dla Maćka stanowił skarb strzeżony niczym grobowiec Tutenchamona. Dostał go od Bartka niemal na samym początku ich znajomości, jeszcze zanim Pilch zaproponował mu, by przeszli na „ty”. Maćkowi głupio było brać taką drogą rzecz, bo wiedział, że nie ma się jak odwdziaczyć. Jego obiekcje zniknęły, gdy usłyszał, że to stary grat, który leży w szufladzie i się marnuje, bo właściciel dawno przerzucił się na najnowszego samsunga. Od tej pory chłopiec mógł zawsze zadzwonić do Bartka lub do pani Ady i chociaż nie korzystał z tej możliwości, samo jej istnienie dodawało mu otuchy. Poza tym, ku własnej uciechy, mitrężył mnóstwo czasu na gry i grzebanie w sieci. Na szpitalnym wi-fi surfował po zakamarkach internetu, pogłębiając przydatną wiedzę o świecie oraz chłonąc przy okazji tę, która do niczego nie mogła mu się przydać. Wirtualny świat stał przed nim otworem.

– Nie. Mam iPhona, a w Apple Store jej nie udostępniłi. Ale mogę poprosić mamę, żeby mi przyniosła tablet. Ruszy na tablecie, nie?

– Na luzie, jeśli ma dobry RAM. Tylko musi hulać na Androidzie.

– Wiadomka. Pokaż, jak to wygląda – poprosiła i usiadła tuż obok chłopca.

Maciek uruchomił grę i przez długą chwilę pukali w wyświetlacz, co jakiś czas wyrывая sobie komórkę z rąk i ekscytując się akcją. Za oknami pachniało wiosną i miasto zieleniło się bez opamiętania. Słońce grzało przez szpitalne szyby, przypiekając plecy siedzącej na parapecie pary. Zrobiło się jakoś jaśniej, żywiej, pełniej, jakby głowa Maćka zaczęła z wolna nabrzmiewać poczuciem sensu i celu. Doskonale się bawił z tą Patrycją w kremowej chustce na głowie i z wariacko kolorowymi sznurówkami. Czas płynął tak przyjemnie, że nie czuło się w nim żadnych złowieszczych zgrzytów...

Gwałtowne i nieposkromione szczekanie psa przerwało pokonywanie niezwykle trudnego elementu rozgrywki. Chłopak zdeorientowany rozejrzał się po korytarzu. Musiał mieć przy tym wyjątkowo głupią minę, bo dziewczyna wybuchnęła śmiechem. Jednocześnie wyszperała z kieszeni iPhona i puknęła w wyświetlacz. W tym momencie szczekanie ustało. Wariatka, pomyślał Maciek. Już głupszego dzwonka nie można wymyślić.

– Co tam, mamó? – powiedziała Patrycja do słuchawki.

Przez chwilę słuchała kogoś po drugiej stronie. E tam, nie kogoś. Przecież Maciek wiedział. Słuchała mamy.

– Rany, nie chcę – jęknęła nastolatka i oczy jej się zaszkliły. – Znowu się zacznie...

Mama chyba podniosła głos, bo do chłopca zaczęły docierać pojedyncze słowa z drugiej strony, ponagłające i zarazem uspokajające.

– Dobra, no przecież idę, już daj spokój. Narka.

Patrycja wygasiała ekran i schowała telefon do kieszeni. Spojrzała na Maćka, który siedział ze swoją komórką w ręce i uważnie ją obserwował. W tle jazgotała melodyjka z gry o lotnikach.

– Muszę iść. Za chwilę mam wlew chemii.

– Boisz się? – spytał i miał wielką chęć złapać ją za tę drobną dłoń, jednak się powstrzymał.

– Nie boję się. Niczego się nie boję. Po prostu strasznie tego nie lubię. Zwłaszcza po. Zawsze rzygam.

– Współczuję. Może odwiedzić cię potem na sali? Jeśli będziesz na siłach, pogramy albo poczytamy razem *Skrzydła*.

– Ty nie dostajesz chemii? – spytała.

– Już nie – odparł, darując sobie szczegóły. – To co? Widzimy się?

– Szczęściarzu – mruknęła, zeskakując z parapetu na podłogę. – Leżę w trójce. Wbijaj po kolacji. Wcześniej będę nie do życia.

Westchnęła i oddaliła się, dudniąc conversami. Światło słoneczne odbijało się w jej jaskrawych sznurówkach, kiedy na końcu korytarza nagle wykonała kilka nad podziw lekkich i zgrabnych piruetów. Wyglądała przy tym tak, jakby stworzono ją do tańca. Ją i jej kolorowe trampki.

Maciek sprawdził stan baterii w telefonie i bez wahania schował go do kieszeni. Rozłożył na kolanach komiks i z zadowoleniem przeniósł się do północnej Norwegii, gdzie nie ma raka, chemii ani dziewczyn z chustkami na głowach. Przez chwilę jeszcze zastanawiał się, jak by Patrycja wyglądała w warkoczach i czy byłyby jasne jak zboże, czy ciemne jak inka, którą pijali czasem w domu dziecka. Uznał, że wolałby jasne, a potem pozwolił, by przygody Zygiego i Teo całkowicie go pochłonęły.

Szczęściarz, któremu nie dają chemii. Szczęściarz, który ma *Skrzydła*. Afera z lekami i policyjne przesłuchania poszły w zapomnienie.

22.

Ada, ciągle wzburzona po rozmowie z policjantem, wybiegła przed budynek szpitala, wyszarpując z kieszeni paczkę mentolowych L&M-ów. Oddychała głęboko, miarowo, żeby się trochę wyciszyć i spróbować zrozumieć cokolwiek z rozmowy, która wydawała jej się wybitnie idiotyczna. Dlaczego ten gliniarz gadał z nią tak, jakby próbował ją o cokolwiek podejrzewać? To głupota. Pociągnęła trzy potężne machy i rozkasłała się, gdy nadmiar nikotyny buchnął jej w płuca. Zgasiła niedopałek o metalowy słupek ogrodzenia, wyrzuciła go do kosza i sięgnęła po telefon. Zaskoczyło ją, że nagle tak wiele usłyszała o Jacku, zarówno od aspiranta, jak i od doktora Maczka. Wydawało jej się to niemożliwe, postanowiła zatem zasięgnąć informacji u źródła, które uznała za najbardziej godne zaufania.

– Jacuś, ja tylko na chwilę – oznajmiła zapobiegawczo, zanim zdążył ją poinformować o swoim braku czasu. – Czy to prawda, że gadałeś dzisiaj z policją?

– Skoro wiesz, to po co pytasz?

– Bo mi nie powiedziałaś.

– Nie miałem kiedy. Zmarnowałem przez nich prawie dwie godziny. Wiesz, jakie to ma znaczenie? – W głosie Jacka zawibrowała irytacja.

Ada pozwoliła sobie przemilczeć tę oczywistą kwestię i nie wchodzić w bezsensowną dyskusję.

– Wypytywali mnie o twoją znajomość z tym, jak mu tam... Lodkiem, Lodzikiem... Chyba Lodzikiem.

– I co odpowiedziałaś?

– Że nic nie wiem. Podobno kopciliście razem. Glina sugerował, że się znacie, chciał, żebym to potwierdziła.

– Potwierdziłaś?

– No skąd. Wyglądało to głupio. Wyszło na to, że albo nic nie wiem o twoich znajomościach, albo któreś z nas kręci. Ja nie mam powodu, więc pewnie ty.

– Niby po co? – wysyczał i chociaż nie podniósł głosu, była pewna, że jest wściekły.

– Skąd mam wiedzieć? Może żeby dać mu alibi? Naprawdę byłeś z nim na fajce pod wiatą? Nie widziałam, żebyś stamtąd szedł. Kiedy dotarłam do parkingu, pojawiłeś się z innej strony.

– Ada, do kurwy nędzy! – wrzasnął nagle. – Policja mnie przepytowała jak zbira, a teraz ty? Jeśli im coś powiedziałem, to znaczy, że tak było, i nie rozumiem, dlaczego postanowiłaś podważać moje zeznania. Tego twojego Sancho Pansę sprawdzili? Zadowala się pracą belferskiego sługusa, ma dziwnie rozbiegane oczka, wcale bym się nie zdziwił, gdyby się okazało, że łyka tonami neuroleptyki albo inny syf. To nie jest normalny człowiek. Twierdzisz, że to nie gej i nie leci na ciebie. Czyli co? Może interesują go dzieci i dlatego podjął się takiej kretyńskiej pracy? Żeby mieć łatwy dostęp? Może je otumania lekami. One i tak chodzą jak naćpane od chemii, więc to nietrudno...

– Przestań, Jacek – poprosiła z westchnieniem i gwałtownie zapragnęła zapalić kolejnego papierosa.

– Sama dzwonisz, wypytujesz mnie jak bandytę i kłamcę, a teraz „przestań”? Jest coś na rzeczy? Widziałaś coś? Prawda w oczy kole.

– Skończmy to...

– Jak sobie życzysz, słonko. Uwierz mi, jeśli przez te twoje pokrętne zeznania gliny zaczną mnie nachodzić w pracy, to chyba mnie trafi szlag.

Jacek bez ostrzeżenia się rozłączył i Ada stała przez chwilę ogłupiała, nie wiedząc już, kto i w czym namieszał, że zaczęło zalatywać jak z szamba. Cholera jasna, a od kilku dni było już tak dobrze i spokojnie...

Nerwowo przekręciła pierścionek zaręczynowy na palcu, pstryknęła zapalniczką i podpaliła kolejnego L&M-a. Tym razem zaciągała się powoli, niemal delektując się każdym momentem. Przymrużyła oczy, obracając głowę w stronę słońca, i nie zauważyła, że żwawym krokiem idzie w jej stronę Maruda. Za nią, z rękami w kieszeniach i miną rasowego luzaka, dreptał Bartek.

– Patrz, tu się ukryła – zawołała szefowa, żywo gestykulując.

– Norma. – Pilch wzruszył ramionami. – Taki ma rytuał. Przyłazi tu truć i knuć.

– Kogo truć? – zdziwiła się Danuta.

– Siebie oczywiście. Substancjami smolistymi. A knuć jak popadnie. Zazwyczaj przeciwko mnie.

– Nie pochlebiaj sobie – warknęła zirytowana Ada, jakby dziwnym sposobem czas cofnął się o kilka tygodni, kiedy widziała w Bartku przede wszystkim wroga i wszelkie zło tego świata. – Teraz wy postanowiliście zrobić ze mnie wariata? No już, nie żałujcie sobie...

– Ada – przerwał jej Bartek – nie przesadzasz trochę? Przyszliśmy na pogawędkę, a nie na wojnę. W dodatku o sprawach neutralnych, fundacyjnych. Odwołuję uwagę o knuciu i truciu, skoro jesteś rozsierzona, i proszę cię, złóż broń.

Uśmiechnął się do niej i poczuła, że całe napięcie z niej wypływa jak przez sito. Jeszcze przez moment, jak ostatni powidok złego snu, wstrząsała nią irytacja. Z jakiej racji on tak łatwo steruje jej emocjami i nastrojem?! Potem spojrzała na Marudę i dostrzegła w jej oczach troskę.

– Co się stało? – spytała już stonowanym głosem.

– Bida – oznajmiła prezes fundacji i bezradnie rozłożyła ręce.

Ada uniosła pytająco brwi i przenosiła wzrok raz na jednego, raz na drugiego rozmówcę. Ciężkie milczenie trwało kilka sekund, aż w końcu Bartek nie wytrzymał.

– Znaleźliśmy się w czarnej dupie – oznajmił.

– W sensie?

– Finansowym, rzecz jasna. W każdej innej kwestii jesteśmy fantastyczni i tego się trzymajmy.

– Co się dzieje, Danko? Nigdy nie mieliśmy eldorado, ale jakoś sobie radziliśmy.

– Jeden z naszych sponsorów rozważa wycofanie się – wygłosiła Maruda grobowym głosem. – Zadzwoił przed chwilą zaniepokojony tą zadymą z policją. Mówi, że nie zamierza się wikłać w podejrzane sprawy, bo to może wpłynąć na wizerunek firmy, ble, ble, ble.

– Skąd wie o policji?

– A co ja, wróżka? Na razie zdołałam go jakoś ułagodzić. Nie jest to sponsor kluczowy, ale jeśli nas wystawi do wiatru, to nam się budżet nie zepnie. Już się zastanawiam, jak mam utrzymać poziom opieki w hospicjum, bo tam przecież wszystko wychodzi najdrożej.

– Jasna cholera. Co to za sponsor?

– Facet nazywa się Kornecki. Lami Solutions. Branża farmaceutyczna.

– Oni nas sponsorują?

– Nie wiedziałaś?

– Nie. – Ada przetarła dłonią czoło, choć było całkiem suche.

Poczuła się nagle skołowana. Co jest grane? Dlaczego nic o tym nie wie? To chyba jakiś żart, pewnie jest w ukrytej kamerze czy coś w tym stylu. Maruda zaraz wybuchnie śmiechem, a Bartek zacznie się szczyrzyć i natrzasać po swojemu. To nie ma sensu, przecież Jacek od zawsze, od

samego początku, kpił z jej pracy w fundacji. Ba, drwił z samego sensu powoływania jej do życia. Wierzył tylko w medycynę. W twarde fakty, wczesną diagnozę, chirurgię i farmakologię.

– Nie nabijacie się ze mnie? – spytała niepewnie, zerkając na Pilcha.

– Gdzieżby, Ada. Nie w takich sprawach – zapewnił Bartek.

W tym momencie zawibrowała jego komórka. Natychmiast wyjął ją z kieszeni i odszedł kilka kroków, żeby odebrać. Nie dawało się nie słyszeć, kiedy mówił z uśmiechem w głosie:

– Tak, pamiętam, „Dziennik”. Chleba nie? Na pewno? Okej, o włoskich pamiętam. Bałbym się bez nich wejść.

– Co on tak wiecznie z tym „Dziennikiem” i włoskimi? Zauważyłaś? – zagadnęła Maruda wymownym szeptem. – Codziennie to słyszę. Poderwał amatorkę orzechów i papierowej prasy? To musi być osobliwa kobieta.

– Jeśli poleciała na Bartka, to na pewno jest osobliwa – odparła Ada zgryźliwie, siląc się na złośliwość. – A o Korneckim naprawdę nic nie wiedziałam.

– Może po prostu nie zwróciłaś uwagi? – próbowała zbagatelizować sprawę Danuta. – Albo Kornecki nie zwierzył się z tego twojemu Jackowi. Firmy nie zawsze się z tym afiszują, a dla nich takie wsparcie to drobiazg. Może sponsorują kilka fundacji i Korneckiemu umknęło.

Walicka nie bardzo w to wierzyła, ale postanowiła zatrzymać wątpliwości dla siebie.

– Co teraz?

– Nic. Działamy jak dotąd i mamy nadzieję, że sprawa ucichnie, Kornecki się uspokoi i nie pójdą za nim inni sponsorzy. Mogłabyś pogadać o tym z Jackiem. A niezależnie od wszystkiego powinniśmy pokazać, że sami też potrafimy o siebie zadbać.

– Co masz na myśli?

– Kiedy ostatnio wykombinowaliśmy jakąś porządną i dochodową akcję charytatywną?

– Bo ja wiem? Chyba na początku, kiedy startowaliśmy.

– No widzisz, kochana – przyznała szefowa, zerkając na roześmianego Bartka, któremu ciągle nie udało się zakończyć telefonicznej pogawędki. – Tak mnie właśnie olśniło, że chyba nadszedł czas na dubla.

23.

Mijały dni, niepostrzeżenie zlepiając się w pachnące wiosną tygodnie. Za oknem rozgościł się na dobre kwiecień, a wraz z nim wyjątkowo słoneczna pogoda. Do szpitala wrócił spokój. Policjanci przestali kręcić się po korytarzach, chociaż nie zdołali osiągnąć sukcesu i dopaść włamywacza. Jedynym skutkiem całego zdarzenia była wymiana zamków w drzwiach do kanciapy oraz w samej szafce z lekami. Nad kluczem pieczę sprawowała siostra oddziałowa. Chowiała go do szuflady w swoim biurku, tak jak wcześniej, bo żaden inny pomysł nie przyszedł jej do głowy. Gdyby stało się coś poważnego, pewnie wymyśliłaby lepszą kryjówkę. Wobec braku jakichkolwiek strat nie zwracała sobie głowy kombinowaniem. Zbyt wiele innych spraw pochłaniało jej uwagę, w końcu nie wykonywała pracy, w której zostaje miejsce na nudę.

Staś skończył sześć tygodni. Z tej okazji Majka musiała wyjść z nim z domu i udać się na szczepienie do przychodni. Większość drogi przebyła biegiem, spanikowana, że mały zacznie wyć. Rozpłakał się, owszem, podczas badania i klucia, na szczęście jednak po tym horrorze spokojnie go nakarmiła, zanim ruszyła w drogę powrotną do domu – także biegiem i w dodatku sama zaryczana, bo dowiedziała się, że dziecko zbyt wolno przybiera na wadze i powinna je częściej przystawiać do piersi.

Jak częściej? – wołała bezgłośnie w duchu, łykając łzy. – Jak częściej, skoro mam już na stałe przyczepione do niego przynajmniej jedno wymię. Oszaleję. Już nie chcę być matką. Nie nadaję się!

Mąż ją pocieszał, że przecież radzi sobie doskonale i tak pięknie wygląda z dzieckiem przy piersi. Jak Madonna z Dzieciątkiem. Takie to sielskie i naturalne. Sama rozkosz. Teściowa huczała na nią, żeby piła więcej bawarki, od której żołądek zwijał się w ciasne supły i odmawiał wszelkich usług trawiennych. Rodzice odzywali się wyłącznie telefonicznie i z uporem powtarzali, że pierwsze trzy lata z dzieckiem są najtrudniejsze, potem będzie już lepiej. Rany boskie, trzy lata? Majka czuła, że do tego czasu zmieni się we wrak człowieka i zostanie jej wyłącznie leczenie w zakładzie zamkniętym, z dala od ukochanego potomka. Ta perspektywa z każdym dniem jaśniała coraz bardziej kusząco.

Jedyną pociechą dla młodej matki była przyjaciółka, choć Ada ograniczała się do pomocy organizacyjnej – a to obiad, a to pranie, a to spacer z małym. W kwestie wiszenia dziecka na cycku się nie wtrącała,

uznając, że nie czuje się dość kompetentna. Nawet dość rozsądnie, acz Majka czekała na jakąś jej radę w tym zakresie jak na zbawienie.

Ada, po dzikiej awanturze, jaką zrobił jej Jacek o rzekomy brak lojalności w trakcie przesłuchania przez Łutkiewicza, miała serdecznie dość wszelkich afer, tajemnic i podejrzanych spraw. Przez dwa dni narzeczony w ogóle się do niej nie odzywał, a potem przyniósł bukiet kwiatów, przeprosił i przyznał, że chyba faktycznie wkurzył się na wyrost. W końcu nie miała prawa wiedzieć, że znają się z Łodzikiem jeszcze z dawnych, studenckich czasów. Adzie wydało się to dziwne, bo w latach, gdy Jacek studiował, Łodzik mógł co najwyżej zrywać się z kolegami z matmy w gimnazjum, jednak nie wnikała. Skoro chciał z tego robić tajemnicę, niech mu będzie. Zdradą to nie pachniało, a wszystko inne miała w nosie, szczególnie że jej uwaga skupiła się na czymś zupełnie innym.

Wszystko zaczęło się przez Maćka...

Nim odwiedziła chłopca, wyskoczyła na papierosa przed budynek i jak zwykle dopadł ją tam Bartek. Omiotła go wzrokiem od stóp do głów i stwierdziła, że doskonale do niego pasują ciemne dżinsy, biały podkoszulek i szara marynarka z czarnymi łatami na łokciach. Nie golił się od wielu dni i Ada przypomniała sobie, że kiedyś Majka nazwała go „kobietą z brodą”. No nie, na kobietę to on na pewno nie wygląda. Mimowolnie się wyszczerzyła, gdy do niej podszedł.

– O, cieszysz się na mój widok? – zagadnął.

– Nie schlebiaj sobie. Po prostu uśmiecham się do swoich myśli – odparowała, wyciągając zapalniczkę.

– O czym rozmyślasz?

– O Maćku. – Chwyciła się pierwszego z brzegu bezpiecznego tematu. –

Nie masz wrażenia, że jest ostatnio jakby taki poruszony, pobudzony? Ciekawe, co mu chodzi po głowie.

Pilch zastanowił się przez moment, potarł palcami podbródek i wreszcie machnął ręką.

– Wymyślasz. Sądziłem, że dumasz nad sprawami finansowymi fundacji.

– Jasne. I z tych finansów bym się tak cieszyła?

– Gdybyś wymyśliła genialny sposób na ich poprawę, to czemu nie? – Zaśmiał się i wyciągnął zza pazuchy bezbarwną butelkę.

– Co to? – spytała Ada z zaciekawieniem, bo gęsty płyn w środku lśnił jej ukochanym, pomarańczowym kolorem.

– Świeży sok. Osobiście wyciskałem go dziś rano. Same cytrusy. Pycha – mruknął i pociągnął niewielki łyk.

– Przyszedłeś pastwić się nade mną czy się podzielić?

Wokół było zupełnie pusto. Poranna fala odwiedzin i wypisów zdążyła już się przewalić, a popołudniowi goście ciągle tkwili w szpitalu. Wśród personelu brakowało palaczy, a ci nieliczni, którzy chodzili na dymka, wybierali osłoniętą od wiatru wiatę z drugiej strony budynku, tuż przy parkingach. Ada przychodziła w swoje stałe miejsce właśnie z uwagi na spokój, a także dlatego, że wołała w ciągu tych kilku minut przerwy napatrzyć się na przyszpitalny zieleniec, a nie na rój samochodów.

Stali zatem całkiem sami. Pomyślała, że gdyby nawet teraz ją pocałował, nikt by tego nie zauważył. Szybko zdusiła w sobie tę myśl.

– To zależy tylko od ciebie – mruknął, podsuwając jej napój pod nos, żeby mogła powąchać. – Smakuje nieziemsko. Zupełnie inaczej niż te sklepowe z kartonów.

– Czego chcesz w zamian? – spytała, nie mogąc do końca wyrzucić z głowy myśli o pocałunku.

– Tylko jednego, mała – szepnął, zbliżając czoło do jej czoła tak, że gdy niemal się zetknęły, Ada wstrzymała oddech. – Oddaj mi swoje fajki.

– Nie jestem mała – zachnęła się, odskakując gwałtownie do tyłu i sprawdzając przy tym dyskretnie, czy aby na pewno nikt ich nie widział.

Poza wiewiórką buszującą na drzewie i walczącą z wiosennymi porządkami nie wyłowiała wzrokiem nikogo. Energiczna ruda kulka miała ich głęboko w nosie, zajęta swoimi sprawami. Co ją obchodzą jacyś tam ludzie, skoro widać, że nie mają zamiaru jej nakarmić?

– Jesteś, jesteś. No to jak? Oddajesz?

– Chcesz zapalić?

– W życiu!

– To o co chodzi?

– Proponuję ci umowę. Będę dostarczał ci codziennie taką oto flaszynę, a do niej gumy nikotynowe. Ty w zamian oddasz mi tę paczkę substancji smolistych i nie kupisz kolejnej.

Ada zdumiała się ogromnie. Wprawdzie już nie raz myślała o rzuceniu palenia, a doskonały pretekst stanowiła ciąża Lipskiej, kiedy to przyjaciółka siłą rzeczy musiała zaprzestać wyskakiwania z nią na papieroska. Namawiała wówczas Adę, by także pozbyła się nałogu. Walicka nie zdecydowała się na ten krok, wiedząc, że palący na okrągło w domu Jacek

z powodzeniem unicestwi jej próby. Zawsze powtarzał, że pali, bo lubi, i ma w nosie wpływ papierosów na zdrowie, a na coś umrzeć trzeba. Mama Ady nigdy nie kopciła i proszę bardzo, w jakim jest stanie. Tymczasem Adzie coraz bardziej to przeszkadzało. Nie tylko świadomość zatruwania się. Także zapach dymu obecny w meblach, ubraniach, we włosach, bezsensowny i niemały wydatek oraz poczucie zniewolenia, jakie rodziło się w niej przez sam fakt, że musi zapalić. Pomysł Bartka nie wydał jej się zatem taki głupi.

– Dożywotnio? – zapytała, odpowiadając mu wreszcie uśmiechem na uśmiech i zbijając go z tropu.

– Co dożywotnio?

– Ten sok i tabletki.

Bartek potoczył oczami po koronach drzew, jakby w nich szukał wsparcia w tej dyskusji.

– O matko! Nie szalej. Na sok możemy umówić się dożywotnio, tabletki tylko na jakiś czas. Ten punkt umowy nie podlega dyskusji.

Po chwili piła z zachwytem ukochany napój, gawędząc z Pilchem beztrosko o uczniach. Po zawarciu tak ważnej umowy, przypieczętowanej uściskiem dłoni, żadne fundacyjne problemy nie wydawały jej się straszne. Czowała, że głowę ma pełną pomysłów i gdyby zrealizować chociaż połowę z nich, bez trudu wypłyną na spokojne wody, na których dzieci zdrowieją, pieniędzy wystarcza, a sponsorzy nie wypinają się tyłem do Marudy. Kiedy dotarli do Maćka, wiedziała już, że nic jej nie powstrzyma od działania i przekucia pomysłów w rzeczywistość. Oczy jej błyszczały, aż Bartek zerkał na nią podejrzliwie.

W sali zamurowało ją na amen. Chłopiec nie był sam. Siedziała z nim bardzo blada dziewczyna z ciemnymi obwódkami wokół oczu, które wraz z jasnoróżową chustką na głowie świadczyły dobitnie, że mają do czynienia z leczoną chemioterapią pacjentką. Oboje z zawzięciem tłukli w ekrany telefonu i tabletu, co i rusz przerywając i sprawdzając coś w leżącym na pościeli komiksie.

– Cześć, Maciek – zawołała Ada, usiłując przerwać tę idyllę.

– Już kończę – mruknął. – Zestrzelę jeszcze tylko jednego messerschmitta.

– Narwik? – spytał z zaciekawieniem Bartek, zaglądając dziewczynie przez ramię.

– Bitwa o Anglię – odparła, zerkając na niego kątem oka, i nagle jakby ją zamurowało. – Pan jest Barti! – wydusiła z siebie, a dłonie z terkoczącym, pikającym i huczącym odgłosami wojny tabletem opadły jej na kolana. –

Uwielbiam pana komiksy. Kocham wręcz. Kupuję regularnie, wszystkie. Jestem Patrycja – zakończyła, wyciągając dłoń, którą Bartek z szacunkiem uściskał.

– Barti? – Ada nie kryła zdumienia.

– Taka ksywka artystyczna – wyjaśnił Maciek. – Pani wie, że te komiksy o lotnikach to on tworzy?

– No nie sam, nie sam – przerwał skromnie Pilch. – Z bratem. Borys to wszystko wymyśla, ja tylko rysuję.

Ada oczywiście wiedziała o komiksach. Za to nigdy dotąd nie spotkała się z aż takim entuzjazmem kogoś innego niż Maciek. A tu proszę: fanka. I to dziewczyna!

– Ta gra to też twoje dzieło? – spytała, żeby ukryć konsternację.

– Bez przesady – wyjaśnił Bartek. – Dwa lata temu dwóch studentów informatyki zwróciło się do nas z pytaniem, czy mogą w ramach pracy dyplomowej stworzyć grę na podstawie *Skrzydeł*.

– Zgodziliście się?

– Tak, chociaż Borys postawił warunek, że gra ma mieć walory edukacyjne, tak jak komiks. Cel to popularyzowanie historii lotnictwa. Zgodzili się i wyszła im jedna z najchętniej pobieranych obecnie polskich gier na Androida. Zwłaszcza od kiedy dołożyli do gry kanał na YouTube, gdzie czasem się z bratem pojawiają. Strzał w dziesiątkę, a dla nas genialny ruch marketingowy. Można powiedzieć, że pomogliśmy sobie nawzajem.

– Fiu, fiu. To niezły z ciebie celebryta – zakpiła Ada, chociaż te informacje zrobiły na niej wrażenie. – Czy w tej sytuacji można w ogóle liczyć na to, że pomożesz w zorganizowaniu akcji charytatywnej dla fundacji?

Bartek zdążył już rozsiaść się wygodnie na łóżku Maćka, ale teraz zerknął na Adę bykiem i zmarszczył brwi.

– Chcesz mnie wkurzyć, mała? – warknął z udawanym gniewem. –

Dzieciaki, będziecie świadkami i każdy sąd mnie uniewinni. Zasłużyła sobie.

– Nie jestem mała – próbowała wtrącić Walicka, a Maciek jednocześnie zapytał:

– Co jej zrobisz?

– Wytarłoszę ją za warkocz – sapnął z zadowoleniem Pilch, bo faktycznie tego dnia włosy Ady zostały zaplecione w schludny jasny splot ciągnący się od czubka głowy.

Nie miał pojęcia, że taka fryzura nazywa się „dobierany”. Wiedział natomiast, że bardzo mu się podoba. Ada wyglądała w nim bardziej dziewczęco i naturalnie niż w swoim zwykłym codziennym koku.

Chwilę beztróskiego chichotu, której oddali się obaj panowie, przerwała Patrycja.

– Co to za akcja charytatywna? Fundacji brakuje pieniędzy?

– Bardziej chodzi o to, żeby pokazać sponsorom, że jesteśmy samodzielni, zaradni i warto w nas inwestować – wyjaśniła Walicka.

– Ale co to ma być? – drążył Maciek. – Aukcja, kiermasz, koncert...?

– Koncert! – wpadła mu w słowo nastolatka. – To świetny pomysł. Mogą wystąpić nasi znajomi. Każdy przecież zna jakiegoś artystę. Ja tańczę w zespole tanecznym. Znaczy... tańczyłam – potknęła się o własne słowo i nagle po jej twarzy przebiegł cień. – Na pewno chętnie wystąpią.

– Brzmi ciekawie – pochwalił ją Bartek. – Możemy urządzić coś na kształt pikniku na zieleńcu. Najlepiej od razu po Wielkanocy. Dekoracje przyszykujemy sami, występy, tak jak mówi Patrycja, a o konferansjerkę poproszę Robsona. On lubi takie rzeczy.

– Kogo? – wydusiła z siebie Walicka.

– No, Robsona – wyjaśnił niecierpliwie Maciek. – To jeden z twórców gry. Na YouTube nawija tak, że wszyscy pękają ze śmiechu. Byłoby super.

– Co o tym sądzisz? – Bartek wreszcie zwrócił się do Ady.

Para jego fanów też wpatrywała się w nią podekscytowana. Nawet ich policzki nabrały rumieńców. Nauczycielka jednak wciąż się wahała, czy pomysł ma sens. To potężne przedsięwzięcie. Wcale nie będzie łatwo je zorganizować tak, by wszyscy pacjenci oddziału mogli wziąć udział w imprezie. Walicka nie chciała brutalnie gasić entuzjazmu, więc wybrała najbezpieczniejsze rozwiązanie.

– Patrycja i Maciek, wracajcie do gry. Bartek, zapraszam ze mną. Przypominam, że w tej fundacji nie zapadają żadne decyzje bez wiedzy i aprobaty pani prezes.

Wstała z krzesła i nie pozostawiając żadnych wątpliwości, machnęła ręką na Pilcha tak, jak się macha na psa. Zdążyła się nawet w przelocie zastanowić, czy bardzo by się obraził, gdyby zagwizdała. Natychmiast jednak zrobiło jej się głupio, uświadomiwszy sobie, że on przecież nie

zasługuje na takie traktowanie. Wsadziła rękę w kieszeń spodni i wymacała w niej paczkę gum nikotynowych. Westchnęła głęboko, posłała Bartkowi całkiem bez powodu promienny uśmiech i różnym krokiem ruszyła w stronę gabinetu Marudy.

Pilch potknął się z wrażenia w progu sali i słysząc za sobą chichot dzieciaków, popędził za Adą.

24.

Walicka siedziała na biurku w swojej klasie, stopy oparła bez troski o parapet i z zapalonym papierosem pyłowała przez telefon.

– Wyobraź sobie, że Maruda to klepnęła. Teraz mamy urwanie głowy, bo trzeba wszystko przygotować, a to tylko kilka tygodni.

– Zebraliście już komplet artystów? – spytała roztargnionym głosem Majka.

– W zasadzie tak. Okazało się, że Patrycja świetnie wyczuła sytuację i każdy kogoś zna. Wystąpią różne łódzkie zespoły, między innymi ten Patrycji. Ona wprawdzie nie da rady z nimi zatańczyć, ale i tak się cieszy. A Maciek nie odrywa od niej oczu.

– Zakochana para? – Lipska zaśmiała się, wreszcie nieco zainteresowana.

– Sama nie wiem... Chyba nie. To jeszcze dzieciaki, w dodatku mocno doświadczone przez los. Może po prostu się zaprzyjaźnili. Fajnie widzieć Maćka takiego ożywionego. W jego przypadku każdy dobry dzień jest cenny – westchnęła Ada i pociągnęła potężny łyk soku pomarańczowego z butelki.

– Tylko przez to może być mu jeszcze trudniej odejść.

– Daj spokój, Majka, im więcej doświadczy, tym lepiej. Zresztą nie chcę o tym mówić, przyjdzie czas na takie tematy.

– No dobra, a jak z fajkami? Nadal się trzymasz?

– Nadal. – Walicka nie kryła dumy. – Mam doskonałe zamienniki. Od tych gum trzeszczą mi wszystkie plomby, za to sok jest doskonały. – Zamruczała i przyssała się do butelki, opróżniwszy jej zawartość do ostatniej kropelki.

– Cuda się dzieją na tym świecie, prawdziwe cuda. A u mnie cały czas do dupy. Nuda na etacie, robota na trzy zmiany. Jestem wyłącznie wymionami z doczepioną do nich istotą, nie wykluczam, że ludzką. Bo już nawet nie nazwę się kobietą.

– Jak zwykle przesadzasz.

– Jak zwykle nic nie rozumiesz.

Ada zirytowała się na przyjaciółkę. Przestała kontrolować własne ciało i nogi zsunęły jej się z parapetu, waląc z impetem o podłogę. Tułów poleciał do przodu i niewiele brakowało, żeby wybiła sobie zęby o ścianę. Z cichym jękiem wróciła do poprzedniej pozycji.

– Oj, Majka, jak się nudzisz, to rusz się trochę. Mogłabyś nam pomóc. Trzeba ogarnąć przygotowanie dekoracji, drobnych konkursów dla dzieci,

załatwić nagłośnienie i chcemy wypożyczyć taką przenośną scenę plenerową, a jeszcze nie wiemy gdzie...

– Narobicie się jak osły, a potem w dniu koncertu spadnie deszcz.

– Czyli nie pomożesz?

– Nie. Jestem matką i, kurde, niczym więcej. Mały nie przybiera na wadze, muszę go non stop karmić.

– A ty tego nie lubisz – wygłosiła Ada odkrywczym tonem, nie wiadomo, czy z nagłym zrozumieniem, czy pretensją.

– Nie znoszę. Nienawidzę, gdy on ciumcia i międli mi cycki. I co teraz? Wyzwiesz mnie od złych matek, patologii czy innych dewiantów? – wrzasnęła Lipska w słuchawkę. – Powiesz, że nie zasługuję na cud macierzyństwa, a może nawet na Tomasza? No, proszę, mów. Słyszę to codziennie od teściowej, więc od ciebie też zniosę.

– Majka, nie o to chodzi. Może kup butelkę i bebiko czy inne cudo...

– Jasne, bo według ciebie nie potrafię wykarmić własnego dziecka! – krzyczała dalej rozżalona młoda matka. – Nie potrafię albo mi się nie chce – dodała i bez ostrzeżenia zakończyła rozmowę.

Ada przez chwilę zerknęła w wyświetlacz telefonu, nie wiedząc, czy powinna oddzwonić, czy może lepiej dać przyjaciółce ochłonać. To już prawie dwa miesiące. Trochę zbyt długo, żeby tak totalnie nic się nie poprawiało. Czowała, że powinna, a nawet musi pomóc, lecz nadal nie była pewna, jakie rozwiązanie uznać za najwłaściwsze.

O karmieniu piersią jest wokół tyle gadania: że najzdrowsze dla matki i dziecka, że najprostsze i najtańsze, że to jedyny sposób, by zapewnić dziecku wszystko, co najlepsze, i że to najgłębszy wyraz miłości matki. Kobieta powinna czuć się najszcześniejsza właśnie wtedy, gdy ma niemowlę przy piersi, bo to kwintesencja macierzyństwa, ulotna, niedostępna dla mężczyzny. Coś, co trwa krótko, kilka miesięcy, czasem rok, i nigdy więcej nie wróci.

A co, jeśli kobieta nie znosi karmić piersią? Jeśli odbiera to jako nieprzyjemne, męczące, może nawet bolesne? Jeśli kocha swoje dziecko bezgranicznie, ale w tych chwilach magicznej bliskości marzy tylko o tym, by się skończyły, by przestać, uciec, zniknąć? Czy ma prawo zrezygnować z tego i nie czuć się wyrodną matką? Czy może chce tulić swoje maleństwo, całować, głaskać i dbać o nie bez codziennego maltretowania sutków?

Ada zastanawiała się nad tym dłuższą chwilę i nie umiała znaleźć odpowiedzi. Była przekonana, że karmienie dziecka to fantastyczne uczucie, próbowała jednak zrozumieć też to, że można myśleć inaczej. Nawet nie myśleć. Czuć. A na to, co się czuje, niewiele przecież da się poradzić. W końcu doszła do wniosku, że jeśli Majka jest nieszczęśliwa, cały jej wysiłek nie ma sensu. Stasiowi w ten sposób nie pomoże, bo i on nie może być przy niej szczęśliwy. Postanowiła odwiedzić przyjaciółkę i przede wszystkim przekonać ją, że wcale nie odebrała źle tego wyznania. Nikt nie skreśli jej jako matki, jeśli zachowa wymiona tylko dla siebie. I ewentualnie dla Tomasza.

Zerwała się z biurka, zrzucając na podłogę stertę dziecięcych rysunków. Nie chciało jej się ich zbierać, więc machnęła ręką i wypadła z klasy w poszukiwaniu Bartka. Znalazła go u Patrycji. Obaj z Maćkiem czytali komiks głośno, z podziałem na role. Patrycja, świeżo po kolejnej porcji chemii, uśmiechała się blado i trzymała Maćka za rękę. Gdy zobaczyła Adę, lekko się zarumieniła, a nastolatek poczerwieniał jak burak. Wyrwał dłoń z uścisku dziewczyny i potarł nią o spodnie, jakby chciał zetrzeć ślady krępującej intymności. Ada puściła do dziewczyny oko, chłopcu zmierzwiła włosy i zwróciła się do Pilcha:

– Dasz sobie radę, jeśli już się zmyję? U Majki kryzys, muszę interweniować.

– Znowu narozrabiała?

– E tam. Pospolitość jej skrzeczy.

– A cóż jej się niepospolitego marzy, że tak cytuje Wyspiańskiego? – Bartek się zaśmiał.

– Ona nie cytuje, ona po prostu chciałaby być kimkolwiek innym niż matką karmiącą.

Pilch omiół Adę badawczym spojrzeniem od stóp do głów, szczególną uwagę skupiając na okolicach jej biustu.

– I ty zamierzasz ją zastąpić?

Walicka, skonfundowana, skrzyżowała ręce na piersiach i spytała lekko podniesionym głosem:

– Mogę iść czy nie?

– Idź, mała, zbawiaj świat, a przynajmniej postaw na nogi rodzinę państwa Lipskich. My tu sobie jakoś poradzimy.

– Nie jestem mała. A ty jesteś pajac – fuknęła, przesłała w powietrzu po całusie dla dzieciaków i już jej nie było.

– Czy pani Ada wie, że pan się w niej kocha? – spytała słabym głosem Patrycja.

Maciek z zaskoczeniem uniósł brwi. Bartek przyglądał się przez chwilę dziewczynie, marszcząc czoło, a potem machnął tylko ręką i wrócił do czytania komiksu.

Po południu słońce grzało niemal bajecznie. Zbliżała się Wielkanoc, w tym roku wyjątkowo późna, bo przypadała dopiero w drugiej połowie kwietnia. Ada szła przez miasto, rozmyślając o tym, jak piękne są wiosny w Łapszance. Wzgórza zakwitają, a widoczne w oddali Tatry stają się jeszcze wyraźniejsze, jeszcze bardziej monumentalne na tle wszelkich możliwych odcieni zieloności. Wieczorami cykają świerszcze, a o świcie wystarczy uchylić okno, by usłyszeć ptasie pogaduszki. Cudownie. Nie to, co w Łodzi, gdzie odgłosy życia zagłusza łupanie tramwajów o szyny albo klaksony zniecierpliwionych aut stojących w korkach. Walicka chętnie chodziła pieszo, jeśli tylko mogła, wyszukując skrawki lokalnej przyrody: parki i zieleńce. Czasem korzystała z tramwajów lub pociągów ŁKA, które pozwalały szybko przebić się przez miasto. Takie łódzkie prawie metro, z naciskiem na „prawie”. Jej prawo jazdy leżało niemal nieużywane. Z samochodu korzystała wyłącznie w sytuacjach awaryjnych, gdy Jacek nie mógł prowadzić, bo z kolegami z pracy za mocno dał sobie w gaz. Nie zdarzało się to szczególnie często.

Na osiedlu Majki Ada zahaczyła o księgarnię, bo postanowiła kupić przyjaciółce na pociechę coś optymistycznego. Liczyła na to, że książka odwróci uwagę Lipskiej od bezsensownych programów w telewizji i pogrążania się w depresji. Ada grymasiła jak primadonna chyba z kwadrans, szukając odpowiedniej powieści, w której nie roiłoby się od różowych ze szczęścia niemowląt wiszących przy piersiach swoich mam. W końcu zdecydowała się na Magdalenę Witkiewicz, uznawszy, że ta autorka sama w sobie stanowi gwarancję happy endu, a zatem powinna tchnąć w Majkę trochę życia. Tytuł *Czereśnie zawsze muszą być dwie* też do Ady przemówił i zadowolona opuściła księgarnię z postanowieniem przywrócenia przyjaciółki światu.

Młoda matka nie chciała z nią gadać. Na prezent nawet nie spojrzała. Kiedy Walicka odkurzała jej mieszkanie i gotowała obiad, nie odezwała się do niej ani słowem. Potem łaskawie pozwoliła zabrać dziecko na spacer i tylko prychnęła, gdy Ada zaleciła jej w tym czasie drzemkę.

Ze Stasia robił się powoli całkiem sympatyczny niemowlak. Uśmiechał się szeroko różowymi dziąsłami i energicznie wymachiwał rączkami na widok znajomych twarzy. Coraz chętniej i uważniej obserwował otoczenie. Z każdym dniem więcej czasu spędzał z otwartymi oczami. Aż piszczał z radości, gdy ciocia wyjęła go w parku z wózka i pokazywała zielone listki ruszające się na wiosennym wietrze. Fascynował go wielki świat widziany z innej perspektywy niż ta wózkowa. Pionowa pozycja, w jakiej trzymała go Ada, zachwycała chłopca do tego stopnia, że w drodze do domu głośno wyrażał niezadowolenie z przerwania zabawy.

– No proszę, całą drogę ryczał? – skwitowała Majka, gdy na syrenie weszli do domu.

Walicka z satysfakcją dostrzegła otwartą książkę na jej kolanach.

– Nie, tylko teraz, pod koniec – zapewniła. – Jak *Czereśnie*?

– Się okaże. Na razie się rozkręca, ale już wciąga. Daj wyjca, bo ogłuchniemy – odparła Lipska nieco już przychylniejszym głosem.

Walicka oddała syna matce, a sama z rozpędu obsłużyła pralkę i żelazko. Wyszła dopiero po zmroku, mijając się w progu z Tomaszem. Wyglądał na wymęczonego i przygaszonego.

– Bardzo ponura? – spytał cicho.

– Nie jest najgorzej. Daj jej poczytać. Na bufecie masz kotlety i ziemniaki, surówka w lodówce.

– Ratujesz mi życie.

– Na pewno żołądek. – Zaśmiała się i pognała schodami w dół.

Szła do domu w pogodnym nastroju i z radosnym przekonaniem, że wszystko idzie ku dobremu. Urządzą fantastyczny koncert, Majka podbudowana książką na pewno wróci do dawnej formy, a Maciek... Maciek wreszcie spotkał kogoś wyjątkowego, kto nie tylko ma piękne oczy, ale też nieźle poukładane w głowie. Może zdarzy się cud i wyzdrowieją oboje? Ada bardzo chciała w to wierzyć i mieć nadzieję, że przed tym chłopakiem jest jeszcze jakaś przyszłość.

Pod blokiem przywitała się i zamieniła kilka zdań z sąsiadem z parteru. Lubiała go. Tak ciepłych i serdecznych ludzi ze świecą szukać. Starła się jak najczęściej poświęcać mu parę minut, bo bardzo to cenił. Doniósł jej, że Jacek wrócił do domu z jakimiś znajomymi. Wyszli dopiero co. Odetchnęła z ulgą, bo na gości brakowało jej już sił.

Na klatkę schodową weszła po ciemku. Ze zdziwieniem stwierdziła, że drzwi do mieszkania są otwarte i nie pali się w środku światło. Od razu puls

jej przyspieszył i wyobraziła sobie narzeczonego z poderżniętym gardłem wykrwawiającego się na dywanie w salonie, obok wybebeszonych wszystkich szafek i szuflad, w których hipotetyczny złoczyńca szukał najbardziej wartościowych kosztowności. Po chwili puknęła się w czoło i sama siebie ofuknęła za zbyt łąpczywe czytanie kryminałów. Chyba powinna, tak jak Majka, przestawić się na *Czereśnie*, może rozum by jej wrócił. Jacek pewnie zapomniał zamknąć drzwi, a ciemno, bo kropnął się spać. Albo wyszedł z tymi gośćmi, a sąsiadowi się coś pomyliło. Normalka.

Pstryknęła włącznik i przedpokój zalało światło.

Buty narzeczonego stały na swoim miejscu.

– Jacek? – odezwała się schrypniętym głosem, bo niby się nie bała, a jednak coś ją dławiło w gardle. – Jacek, jesteś?

Zawadowicz wyszedł po chwili z kuchni. Wyglądał koszmarnie, jakby zaliczył wiejskie wesele w plenerze z takimi atrakcjami, jak picie, lanie po pyskach i tarzanie się w potrawach, a po nim huczne poprawiny. Upaprana czymś czerwonym koszulę miał do połowy rozpiętą, na spodniach plamy, urwany guzik i rozsunięty rozporek. Potargane włosy i przekrzywione okulary dopełniały obraz nasuwający na myśl upadek. Podkrążone oczy mrużył i osłaniał dłonią, jakby nie mógł znieść światła.

– C-co się stało? – wydukała Ada, mechanicznie zdejmując kurtkę i odwieszając ją do szafy.

– Co się stało? – ryknął tak głośno, że aż drgnęła. – Ty się pytasz, co się stało?! Doktorat, kurwa, obroniłem! To się stało! – zakończył z triumfem i rozpromieniwszy się na moment, ukłonił się, jakby stał przed szeroką widownią na festiwalu stand-upu.

– Jezu, Jacek, to dziś? Zapomniałam? Niemożliwe. Dlaczego mi nie przypomniłeś rano? Świętowalibyśmy razem.

Poczuła się naprawdę głupio. Zmieniła buty i wymijając go, weszła do kuchni. Zastała tam epokowy bałagan, jakiego jej narzeczonego w normalnym stanie w życiu by nie wyprodukował. W zlewku leżało kilka talerzyków i kieliszków, na stole stał w trzech czwartych zjedzony tort, a oprócz niego puste butelki po czerwonym winie. O jedną z nich oparte było zdjęcie Ady w skąpym kostiumie kąpielowym, zrobione podczas kilkudniowych wakacji na Helu w zeszłym roku. Ada nawet nie wiedziała, że Jacek ma odbitkę. Zwykle wszystkie fotki zgrywali z telefonów na dysk komputera i na tym się kończyło dbanie o fotograficzną oprawę ich związku.

– Sam zjarłeś tyle tortu i tak ostro podlałeś czy z kolegami?

– Z jakimi kolegami? – mruknął, wzruszając ramionami i wskazując dłonią na zdjęcie. – Z tobą, kochanie. Zawsze wszystko z tobą – wybełkotał.

– Będiesz rzygał – podsumowała to wyznanie ze złośliwym uśmiechem, odwróciła się do zlewu i zaczęła załadowywać zmywarę.

Nie usłyszała, że Jacek podszedł, dopóki pusta butelka po winie z trzaskiem nie rozbiła się o ścianę.

– Śmiesz cię to? – krzyknął, wygrażając jej szklaną szyjką. Skaleczył sobie dłoń i wzdłuż palców spływały mu cienkie strużki krwi.

Odwróciła się natychmiast.

– Zraniłeś się – powiedziała cicho, usiłując zachować spokój.

– Ja? Ja się, kurwa, zraniłem? To ty mnie zraniłaś. To ty po raz kolejny zrobiłaś ze mnie idiotę. Ale ja ci na to nie pozwolę, Ada. Nie możesz mnie tak traktować, bo ja nie jestem, kurwa, śmieciem. Nie jestem zerem, żeby ten łysy Sancho Pansa mógł się ze mnie nabijać.

– Przecież on się... – zaczęła, zamykając zmywarę i rezygnując chwilowo ze sprzątania.

Natychmiast jej przerwał.

– Zamknij się. Zamknij ryj, bo zaraz ty też możesz być zraniona – wrzeszczał, wymachując okrwawioną resztką butelki. – Gdzie byłaś? Do kurwy nędzy, powiedz, gdzie byłaś, kiedy przyjechałem po ciebie do pracy.

Ada powoli nabrała powietrza w płuca. Pokiwała głową, wreszcie rozumiejąc, o co chodzi. Poczowała ukłucie wyrzutów sumienia. Niewielkie, bo on się jednak nie powinien zachowywać tak prostacko, ale trochę racji miał. Zapomniała zadzwonić i zapomniała o tej piekielnej obronie doktoratu. Nie miała nic na swoje wytłumaczenie. Jej biedny narzeczony został wystawiony rufą do wiatru w takim ważnym dniu. Świństwo i zwykła chamówa.

– Przepraszam, Jacek, przepraszam, zawaliłam. Hańba mi. Ale widzisz, tyle się działo i potem zadzwoniła Majka. Pojechałam do niej w miarę wcześniej, żeby jej pomóc, i tak jakoś zeszło. Bartek ci nie powiedział?

– Nie gadam z tym idiotą. Mam rozumieć, że mnie olałaś dla swojej przytępawej przyjaciółeczki, która nie potrafi sobie poradzić nawet z własnym bachorem? – ryknął, zbliżając się do niej tak, że ich nosy niemal się zetknęły.

Czuła w jego oddechu nadmiar wypitego wina, kropelki jego śliny łądowały na jej twarzy, kiedy dalej krzyczał, wyładowując całą swoją

frustrację i złość. Starła się go nie prowokować. Widziała, że jest bardzo pijany, a szkło w jego dłoni nie poprawiało sytuacji. Oddychała spokojnie, głęboko przez nos, by nie poddać się panice i nie zacząć też krzyczeć.

Wreszcie zmęczony awanturą Zawadowicz spojrzął na swoją rękę. Musiała go nieźle piec. Zaskoczony wypuścił rozbitą butelkę na podłogę, jakby go nagle oparzyła. Złapał Adę zdrową dłonią z całej siły za ramię, zaciskając palce jak imadło. Nie opierała się, gdy ślizgając się na okruchach szkła, wyprowadził ją z kuchni do salonu. Tam popchnął ją na kanapę i gdy rozmasowywała obolałą rękę, wyszarpnął z szafki apteczkę. Rzucił ją na kolana narzeczonej z takim impetem, że połowa leków wysypała się na podłogę. Opadł ciężko obok dziewczyny i warknął, wskazując wzrokiem na płynącą po palcach krew:

– Zrób coś z tym.

Zamrugła, próbując opanować mdłości i zawroty głowy, po czym bez słowa, najdelikatniej, jak mogła, opatrzyła mu skaleczenie. Nie zaciął się głęboko, rana nie wymagała szycia, należało jednak ją oczyścić. Jacek syczał i się wyrywał, aż wreszcie odepchnął Adę tak, że uderzyła biodrem w kant niskiego stolika. Na moment odebrało jej dech. Szybko się pozbierała i wróciła do zakładania opatrunku. Po dziesięciu minutach dłoń Zawadowicza nie krwawiła i była zabandażowana.

Ocecił wzrokiem jej pracę, westchnął i potarł dłonią czoło.

– Dziękuję, kochanie – powiedział miękkiem głosem. – Już prawie nie boli. Pójdę spać, bo się cholernie narąbałem. Połóż się lepiej tu, bo pewnie będę chrapał. Do świętowania wrócimy jutro. Pobawimy się w doktora. Bo jestem teraz doktorem, wiesz? – Wybuchnął pijackim chichotem i zataczając się, zniknął za drzwiami sypialni.

Ada posprzątała rozrzucone leki, a potem szkło i ślady krwi z kuchennej podłogi. Włączyła zmywarkę i schowała resztkę tortu do lodówki. W końcu rozebrała się, by z zaciekawieniem obejrzeć rozlewający się na biodrze siniak. Jakby nie pamiętała, skąd się wziął, jakby to ciało nie należało do niej. Wiedziała, że to źle, że to bardzo źle i zupełnie nie tak powinna widzieć ten incydent, a jednak mimo wszystko czuła się winna wobec Jacka. Zasnęła na kanapie, płacząc tak cicho, jak tylko potrafiła, żeby, broń Boże, go nie obudzić.

25.

– Bartek, ja nie chcę! Rozumiesz? O Boże, Bartek, powiedz im... Pani Ado, niech pani im powie... Nie mogą mnie wyrzucić. Mówiłeś, że jesteśmy przyjaciółmi... Pomóż mi, proszę, Bartek. Nie chcę umierać. Boję się, słyszysz? Boję się, zrób coś, błagam... Bartek...

Maciek wrywał się doktorowi Maczkowi i dwóm pielęgniarkom, które próbowały zapanować nad jego paniką. Łóżko szpitalne zostało pościelone, a wszystkie, nieliczne przedmioty należące do chłopca – spakowane do małej sportowej torby. Całe życie w jednej torbie. Takiej, do której jego rówieśnicy pakują korki, kiedy biegną pograć w piłkę na orliku. Maciek nie mógł liczyć na to, że kiedykolwiek pogra jeszcze w piłkę. Ani na to, że będzie zwykłym chłopcem. Może nigdy nim nie był?

W tej chwili nie myślał o piłce ani o torbie, ani nawet o tym, jakie życie jest niesprawiedliwe. Poddał się panice, instynktownej, niemal zwierzęcej. Oddychał płytko i szybko, jego czoło zwilgotniało od potu, a policzki pobrały bardziej niż zwykle. Czuł szum w uszach i zawroty głowy. Nie myślał logicznie. Chciał tylko walczyć, bo ta walka wydawała mu się jedynym ratunkiem. Wrywał się otaczającym go dorosłym i skupiał wzrok na osobach, które nagle zjawyły się w polu widzenia. Ufał im, a mimo to się bał, że nawet one go zawiodą.

– Bartek, nie zostawiaj mnie tak! Obiecałeś, pani też obiecywała! Oszuści! Nie chcecie mnie leczyć, bo jestem z bidula! Ratunku! Mamo! Gdzie jesteś, mamo! – Rozdzierający krzyk przeszedł w urywany szloch. Chłopiec ugiął nogi w kolanach i ukląkł przy łóżku, opierając się o nie łokciem. Drugą dłoń zacisnął w pięść i raz po raz uderzał nią w swoje czoło. – Wszyscy! Wszyscy mnie zostawiają... Nie ma... Nie ma nic... Mnie nie ma... Jestem nikt... Mamo! Gdzie jesteś? Boję się... Boję się... Boję się... – Jego głos stawał się coraz cichszy, coraz mniej wyraźny, coraz bardziej bełkotliwy. Chłopiec popadał w dziwny trans, jakby jego świadomość opuściła na chwilę szpitalną salę i cofnęła się o lata, do czasu, gdy był małym dzieckiem.

Pielęgniarki, chociaż przywykłe do trudnych i dramatycznych scen na dziecięcym oddziale onkologicznym, zgubiły gdzieś profesjonalne oblicza i ukradkiem ocierały łzy. Doktor Maczek nachylał się co chwilę do chłopca, chcąc go dotknąć, po czym rezygnował, podnosił się i nerwowo tarł dłońmi skronie. Pilch, dotychczas obserwujący całe zajście z progu, oderwał się od futryny, złapał Adę za rękę i wszedł z nią do sali.

– Zostawcie nas samych – szepnął i zerknął znacząco w kierunku drzwi. – Ogarniemy to.

Przykucnął obok chłopca i próbował go objąć, chociaż skulone ciało nastolatka stawiało zaciekle opór. Lekarz wahał się przez chwilę, obserwując te zmagania. Wreszcie zaprosił gestem pielęgniarki do wyjścia i sam, zamykając medyczny peleton, opuścił pomieszczenie.

Dopiero wtedy Bartek usiadł wygodnie na podłodze i oparł się plecami o szpitalne łóżko. Spojrzał na stojącą Adę. Próbowwała skupić wzrok na jego oczach, jednak obraz uporczywie jej się rozmywał, gdy z trudem panowała nad gromadzącą się pod powiekami wilgocią. Czuła się roztrzęsiona, rozbita od środka, a jednocześnie wściekła na doktora Maczka, na szpitalne procedury i na całą tę pieprzoną chorobę, która raz po raz fundowała Maćkowi coraz większe traumy. Najchętniej złapałaby go za rękę, wyprowadziła z budynku i zapadła się z nim w mrok wieczoru, gdzieś hen, gdzie nie znalazłby ich ani rak, ani smutek, ani żal za życiem, które postanowiło się wypiąć na to dziecko tak wcześnie. Nie zrobiła jednak nic, bo doskonale wiedziała, że nie ma dokąd uciec, bo wszystko, co jest najtrudniejsze w życiu tego chłopca, pójdzie za nimi i nie ustąpi ani na krok.

Nagle dotarł do niej cichy szept:

– Chodź, mała.

Nie miała ochoty na przekomarzanki, przysiadła więc obok, podwijając zgięte nogi pod siebie i opierając się lekko o Bartka. Otoczył ją ramieniem i natychmiast oderwał wzrok, skupiając go na plecach Maćka.

– Jesteśmy już sami, odwróć się do nas – poprosiła Walicka. – Nie zostawimy cię.

Chłopiec zadygotał, jakby dopadły go nagle, niekontrolowane dreszcze. Skulił się jeszcze bardziej, chowając głowę między zgięte kolana. Dłonie zaciskał w pięści, a palce nóg podkurczył. Wyglądał jak mały żółw, któremu zabrano skorupę, jak poczwarka pozbawiona kokonu, jak człowiek odarty z nadziei.

– Maciek, nie musimy gadać. – Pilch próbował go uspokoić. – Chcemy cię tylko przytulić.

Chłopiec zamarł na moment w bezruchu. Potem powoli wyprostował plecy. Wysyczał przez zęby, siląc się na pogardę:

– Odwal się. Przytulaj panią Adę. Korzystaj, póki jej narzeczony nie widzi. Może się nie domyśli.

Zerwał się z podłogi najszybciej, jak mógł, złapał torbę ze swoimi rzeczami i zniknął za drzwiami.

W pomieszczeniu zapanowała niewygodna cisza. Walicka nawet nie drgnęła, nadal pozwalając się obejmować. Bartek zafundował sobie i jej minutę bezruchu. Wreszcie westchnął głęboko, pocałował Adę w skroń, odsunął się i powoli wstał. Rozejrzał się i natrafił wzrokiem na rolkę ręczników papierowych stojących na stoliku pod oknem. Sięgnął po nie i położył obok na łóżku.

– Wytrzymaj twarz i spróbuj się uspokoić. Taka zapłakana na pewno mu nie pomożesz.

– A ty? – spytała, wbijając w niego wzrok.

– Pójdę za nim. Może mówić, co chce, dzisiaj nie zostawię go samego.

Kiedy wyszedł, miała wrażenie, że wokół zrobiło się do bólu zimno i pusto. Poczowała się winna, jakby to przez nią Maciek wpadł w gniew. Był zazdrosny czy po prostu chciał Bartkowi dokopać? Nieważne, liczy się to, że miał rację i najmocniej uderzył w jej własne wyrzuty sumienia.

Wstała i podreptała do łazienki. Umyła twarz i przeczesała palcami rozsypujące się włosy. Niewiele to dało, więc zdjęła gumkę, na nowo zaplotła warkocz i zwinęła go w ciasny kok. Napiała się wody z kranu i oparła plecami o ścianę, wyciągając z kieszeni komórkę.

– Jacek? – bąknęła niepewnie po uzyskaniu połączenia. – Jesteś jeszcze w pracy?

– Właśnie podjechałem pod szpital – odpowiedział. – Wyłaż.

Zrobiło jej się głupio, że on się tak stara, a ona znów go rozczaruje. Tego wieczoru nie zamierzała wracać do domu. Odepchnęła się od zimnej ściany i szybkim krokiem ruszyła do wyjścia.

– Idę – rzuciła w biegu i rozłączyła rozmowę.

Zgarnęła z klasy kurtkę i torebkę, by po chwili wybiec na wilgotny świat. Chmury rozłożyły się nad miastem ciężką, grubą i szarą pierzyną, nisko, bardzo nisko. Ada pomyślała, że wystarczy, by zahaczyły o antenę na byle którym dachu albo nawet o komin i powstanie w nich dziura, a przez nią strumienie wody wyleją się bezlitośnie na Łódź. Dopadła do samochodu. Jacek stał obok i spokojnie palił.

– Chcesz ognia? – zapytał, sięgając po zapalniczkę.

– Przecież nie palę – odparła i wsunęła do ust gumę.

Nieco ją dziwiło, z jaką łatwością znosi odstawienie papierosów. Może to zasługa oferowanych przez Bartka wspomagaczy, a może wcale nie była aż

tak przywiązana do nałogu, jak jej się zdawało.

– No tak, ty i te twoje nowe wymysły. Ciekawe, jak długo wytrzymasz. Wsiadaj – mruknął Zawadowicz i pstryknął niedopałkiem w stronę śmietnika.

Nie trafił.

– Nie, przepraszam. Jedź sam – poprosiła najcieplejszym tonem, na jaki zdołała się zdobyć. – Muszę zostać z Maćkiem. Nie wiem, jak długo, może do rana. Przenieśli go dziś do hospicjum.

– Przecież z nim tam nie zamieszkasz...

– No nie, ale to pierwsza noc. On się bardzo boi. Nie chcemy, żeby był sam.

– Sancho Pansa zamierza tam siedzieć z tobą? – Głos Jacka nawet nie brzmiał zgryźliwie, raczej stwierdził to z rezygnacją.

– Tak. Oboje chcemy zrobić to dla Maćka. Tylko dla Maćka. Przysięgam, nic się za tym nie kryje.

– To pieprzona walka z wiatrakami, mój Don Kichocie. Z tego chłopaka nic nie będzie. Nie wiem, po co się tak angażujesz, to cię za dużo kosztuje.

Ada zamrugła gwałtownie powiekami, próbując zapanować nad kolejną falą łez.

– Nie, Jacek. To walka o wszystko, co temu dziecku zostało. On nie ma nic więcej i nie będzie miał. Dla ciebie to przegrana sprawa, ale to jego życie. Nie masz pojęcia, z czym on się zмага.

Zawadowicz milczał przez chwilę, a gdy się odezwał, jego głos zabrzmiał chłodną goryczą:

– A ty masz pojęcie, z czym ja się zmagam, czemu muszę stawiać czoła co rano, z czym muszę walczyć? Może też potrzebuję pomocy albo przynajmniej twojej uwagi i obecności? Może nie podoba mi się, że stawiasz mnie wiecznie na końcu za Majką, za fundacją, nawet za twoją matką, która potrafi tylko niszczyć i zatruwać ci życie? Może ja też się czasem boję i nie chcę zostać sam w nocy?

– Jacek, ale przecież...

– Zostań tam, kurwa! – krzyknął. – Zostań, a o mnie po prostu nie myśl!

Nim zdążyła jakkolwiek zareagować, jej narzeczony wsiadł do samochodu. Nie uruchomił jednak silnika i nie odjeżdżał. Ada uznała, że przesadza i próbuje grać na jej uczuciach. Przecież nigdy dotąd nie zachowywał się jak rozhisteryzowany dzieciak. Był zmęczony, rzadko się widywali inaczej niż w przelocie, nie mieli okazji spokojnie porozmawiać.

W pracy czuł silną presję, to na pewno. A jeszcze ten jego doktorat. Kiedy on go zdążył napisać? Uświadomiła sobie, że obecność narzeczonego w domu zaznaczała się ostatnio głównie coraz liczniejszymi butelkami po piwie lub winie i wypełnionymi po brzeg popielniczkami. Wyrzucała pety, nie myśląc o tym, że teraz już tylko on je produkuje. Ile ten Jacek musiał palić? W żaden sposób mu nie pomagała. Ba! Nawet nie dostrzegą, że coś jest nie tak. Jak zatem mogła co dzień uśmiechać się do siebie w lustrze? Jak mogła czuć się szczęśliwa?

Jej rozważania przybrały formę dwóch nieprzebranych słonych potoków. Czowała, że stoi na rozdrożu, jakby dwa silne wiatry ciągnęły ją w dwie różne strony. Była jak jej rodzinna Łapszanka, w której nie wiadomo, czy patrzeć na Pieniny, czy Tatry, i które uznać za ważniejsze, bliższe, za swoje.

Wzięła kilka głębokich oddechów i zahaczyła myślami o Maćka. Cholera, ten dzieciak na nią liczy i czeka, niezależnie od tego, co mówi i jak się zachowuje. A ona stoi pośrodku parkingu jak wariatka i szlocha bez opamiętania. To ma być Don Kichot? Lipa, a nie rycerz. Trzeba zebrać się w sobie i iść powalczyć z wiatrakami. Niech się kręcą jak najdłużej i jak najpiękniej. Bo w tym akurat Jacek się myli. Ta walka ma sens, najgłębszy z możliwych. Tylko czy może przez tę całą donkiszoterię zaniedbać najbliższego jej człowieka, dopuszczać do tego, by umykało jej raz za razem wszystko, co dla niego ważne? Na szczęście jest Sancho Pansa. On zrozumie i część jej obowiązków weźmie na siebie. Maciek zaczeka i nie będzie sam.

Uśmiechnęła się do zapłakanej siebie spoglądającej na nią z bocznego lusterka octavii, poprawiła torebkę na ramieniu, uniosła brodę i dziarsko wtarabaniła się na siedzenie pasażera.

– Zmieniłaś zdanie – burknął Jacek, udając zdumienie, choć doskonale zdawał sobie sprawę z jej dylematów i nie bez powodu nadal nie ruszył z parkingu.

– Nie zmieniłam. Pojadę z tobą do domu, zjemy razem obiad, a wieczorem przywieziesz mnie pod szpital. Zmienię Bartka na posterunku. Może być?

Zawadowicz wzruszył ramionami i bez słowa przekręcił kluczyk w stacyjce.

Obiad czekał gotowy, Ada nastawiła się zatem na szybkie podgrzanie wczorajszej zupy, półgodzinną rozmowę przy posiłku i powrót do Maćka, zanim zapadnie zmrok. Może po drodze zahaczy o jakąś cukiernię? Chłopiec gustował we wszelkiej maści pączkach. Nie widziała powodu, by odmawiać

mu tej drobnej przyjemności. Perspektywa dorobienia się za trzy–cztery dekady nadwagi i miażdżycy nie wydawała się w jego przypadku przerażająca. Byłoby cudownie spotkać go jako faceta w średnim wieku, z tatusiowatym brzuszkiem. A niech to!

Od progu skierowała kroki do kuchni, jednak Jacek złapał ją za rękę i poprowadził w przeciwną stronę.

– Nie jesteś głodny? Podgrzeję... – zaczęła, ale jej przerwał.

– Jestem. Nic nie musisz podgrzewać. Wszystko jest dostatecznie rozgrzane.

Wciągnął ją do sypialni i popchnął na starannie zaścielone łóżko. Zanim zdążyła coś powiedzieć, leżał już na niej bez spodni i pospiesznie zsuwał z niej majtki.

– Jacek, przestań! – krzyknęła. – Nie mam ochoty...

– Ale ja mam – warknął i zaczął się w nią wpychać, chociaż jej ciało stawiało opór. – Ciebie też zaraz przekonam, tylko postaraj się trochę, do cholery!

Naparł na jej usta swoimi i językiem zdusił wszelkie werbalne protesty. Po paru chwilach poczuł, że leżąca pod nim kobieta mięknie, jej mięśnie się rozluźniają, a zaciśnięte w pięści dłonie prostują i opadają luźno na pościel.

– Tak lepiej, kochanie – sapnął. – Doskonale. Teraz jesteśmy razem.

Ada wlepiała wzrok w wiszący na ścianie zegar. Cykał rytmem mijających sekund, zupełnie inaczej niż deszcz, który nagle zapukał w parapet. Pewnie ta pierzyna z chmur w końcu o coś zaczepiła i rozdarła się z cichym trzaskiem, tak jak kilka minut temu rozdarła się bluzka Ady. Szkoda, bo lubiła ten ciuch. Łóżko skrzypiało w jeszcze innym rytmie. Trzy nakładające się na siebie dźwięki brzmiały nieznośnie hałaśliwie. Miała ochotę podnieść ręce i zatkać uszy, jednak nie zdecydowała się na to. Mężczyzna, który się z nią właśnie kochał, potrafił być niezwykle opiekuńczy i czuły, dbał o nią i troszczył się o ich wspólną przyszłość. Nie może go odpychać tylko dlatego, że wybrał sobie kiepski moment na manifestowanie namiętności. To nie fair, zwłaszcza że zaraz potem ona zamierza go zostawić i pojechać do szpitala. Może zdąży przed zamknięciem cukierni. Maćkowi zawsze najbardziej smakowały pączki z dziurką. Oby jakieś zostały....

Uniosła ręce z pościeli i splotła je na karku Jacka.

– Kocham cię – jęknął, przebijając się przez kakofonię dźwięków.

– Kocham cię – wyszeptała, jednak była pewna, że w ogóle tego nie słyszał.

Dwie godziny później wyszła na palcach z mieszkania, zamykając za sobą drzwi na klucz. Narzeczony wprawdzie obiecał, że ją odwiezie, jednak nie zamierzała go budzić. Wyglądał na zmęczonego. Za mało odpoczywa, za dużo pracuje, a przecież do przystanku jest tylko parę kroków. Kiedy Jacek zasnął, wstała po cichu, splukała pod prysznicem dowody narzeczeńskiej miłości i założyła czyste ubranie. Związała włosy i machnąwszy ręką na makijaż, sprawdziła w telefonie rozkład jazdy tramwajów. Wiedziała, że do cukierni już nie zdąży. Nieważne. Z pączkiem czy bez pączka, chciała jak najszybciej znaleźć się przy Maćku. Wypadła z klatki schodowej. Kątem oka zauważyła poruszającą się firankę w oknie na parterze. Pomachała w tamtą stronę, uśmiechając się ciepło.

– Cześć, Julek – zawołała i pobiegła na przystanek.

W pomieszczeniach należących do hospicjum panowała przytulna i domowa atmosfera. Wszechobecna aparatura medyczna nie pozwalała zapomnieć o istocie tego miejsca, jednak Maruda, aranżując wnętrza, zadbała, by barwy i dekoracje odwracały uwagę od kroplówek i aparatów tlenowych. Maciek zamieszkał z szesnastoletnim kolegą w niewielkim żółtym pokoiku z oknem wychodzącym na szpitalny zieleniec. Gdy Walicka tam weszła, starszy chłopiec pochrapywał, odwrócony twarzą do ściany, a jej podopieczny leżał na boku zwinięty w kulkę z zamkniętymi oczami i dłońmi splecionymi na karku.

Ada przysiadła na jego łóżku i zaczęła delikatnie głaskać go po głowie. Nie wyrwał się, w ogóle nie zareagował.

– Śpi? – spytała siedzącego na krześle Bartka, który gryzmolił coś ołówkiem w sporym brulionie.

– Udaje. – Uśmiechnął się lekko, unosząc głowę. – Kolacji nie chciałem, ale nie będę się z nim dzisiaj spierał. Martwiłem się o ciebie. Lepiej się czujesz?

– Przepraszam, że tak długo – wymamrotała zawstydzona, nie wdając się w szczegóły. – Co robisz?

– Próbuję pracować.

– W zwykłym zeszycie? – zdziwiła się.

Podciągnęła kolana pod brodę i objęła je ramionami. Milczał, więc nie próbowała mu przerywać, tylko z zaciekawieniem obserwowała, jak spod ołówka wypływają kolejne kreski, łuki i cienie. Miał nieduże jak na swój wzrost dłonie o dość krótkich palcach i szerokich paznokciach. Nie były tak ładne jak ręce Jacka, jednak nie mogła oderwać od nich wzroku. Wydawały jej się delikatne, a jednocześnie zdecydowane i stanowcze. Wiedziały, co

robią. Tymczasem ona nie miała pojęcia, bo powstające na kartce plamy niczego jej nie mówiły. Opuściła więc nogi i chciała się przysunąć, żeby zerknąć na papier z bliska.

– Nie ruszaj się – mruknął Bartek rozkojarzonym głosem. – Jeszcze moment.

Wróciła do poprzedniej pozycji i przez kilka minut siedziała w ciszy, pozwalając mu rysować i co jakiś czas omiatać ją uważnym spojrzeniem.

– Już – oznajmił wreszcie, prostując się i zamykając zeszyt. – Dziękuję. Chwilowo wystarczy.

– Mogę zobaczyć? – Zerknęła pytająco.

– To tylko wstępne szkice. – Wzruszył ramionami, nie oponując, kiedy wyjęła mu notatnik z ręki. – Borys wymyślił nową postać i ciągle mu coś nie pasuje. Uparł się, że ma być zwyczajna, a jednocześnie wyjątkowa. Rozumiesz coś z tego?

Ada z zapalem kartkowała zeszyt, próbując ukryć zdumienie. Rysunki były piękne, bardzo szczegółowe, przedstawiały tę samą dziewczynę w różnych pozycjach, z odmienną mimiką i gestami, pełną ekspresji i niezwykle żywych emocji. Na ostatniej stronie siedziała z kolanami pod brodą i patrzyła w dal rozmarzonym wzrokiem.

– Przecież to ja – wymamrotała Walicka.

– Zdaje ci się. Może trochę do ciebie podobna. Przecież to Borys ją wymyślił, a wcale cię nie zna. Widzieliście się raptem raz. No i ona, jak wspomniałem, jest zwyczajna i zarazem wyjątkowa, a ty pod żadnym względem zwyczajna nie jesteś.

– Ma dłuższe włosy.

– No widzisz. Nie wiem, jakie są twoje, w życiu cię nie widziałem w rozpuszczonych. Ona nie związuje.

– Dlaczego?

– Pytaj Borysa – odparł, wyciągając rękę po swoją własność.

Maciek nie wytrzymał i uniósł się na łokciu. Oczy miał zaczerwienione, za to twarz suchą, pozbawioną śladów łez.

– Pokaż – mruknął i wyszarpnął Bartkowi zeszyt.

Usiadł skrzyżnie na łóżku i długo analizował każdy rysunek. Wygłaszał mnóstwo uwag. Tu za długie nogi, tu głupia mina, a tu znowu zupełnie idiotyczna kreacja. Pilch wcale się tym nie przejmował i z rozbawieniem przyjmował krytykę, ciesząc się nagłym ożywieniem atmosfery.

– Kto ją będzie podrywał? Teo czy Zygi? – spytał wreszcie chłopiec, odkładając notatnik na pościel.

– Skąd wiesz, że którykolwiek ma to w planach? – zaripostował rysownik.

– Takiej dziewczyny nie wprowadza się bez powodu do komiksu. No zdradź który.

– Nie znam szczegółów, mój brat lubi dusić w sobie tajemnicę do ostatniej chwili. Mam tylko przypuszczenia.

– No! – niecierpliwił się Maciek. – Powiedz, nie bądź świnia.

Bartek pochylił się na chłopcem i wyszeptał mu do ucha komicznie poważnym tonem:

– Podejrzewam, że obaj.

Maciek parsknął śmiechem i natychmiast zakrył dłonią usta, nie chcąc obudzić nowego kolegi.

– O rany, ale się szykuje zadyma. Znowu się wezmą za łby – oznajmił i dodał: – Pani Ado, myśli pani, że coś zostało z kolacji? Okropnie burczy mi w brzuchu.

Pilch zerwał się z krzesła i rzucił okiem za okno. Panowała nieprzenikniona ciemność kwietniowego wieczoru. Nie zrobiło się jeszcze dramatycznie późno, jednak w hospicjum, podobnie jak w szpitalu, dzień kończył się wcześniej. Szesnastolatek na sąsiednim łóżku spał w najlepsze i wyglądało na to, że nie zamierza budzić się przed świtem. W przykniętych drzwiach pojawiła się na chwilę głowa wolontariuszki, która czujnym okiem sprawdzała, czy aby nie jest potrzebna. Zobaczywszy przy Maćku podwójną obstawę, wycofała się bez słowa.

– Posiedźcie tu grzecznie, coś przywiozę. Macie ochotę na słodko czy na słonko? – spytał Bartek.

– Wszystko jedno – mruknęła Ada.

– Na słodko. I na słonko też. Najlepiej coś niezdrowego – podekscytował się chłopiec. – Z McDonalda albo z KFC.

– Niezłe wymagania. – Pilch się zaśmiał.

– Zapytałeś, to powiedziałem.

– Spokojnie, przecież żartuję. Musicie mi dać jakąś godzinę, skoczę jeszcze na chwilę do sklepu po chleb i gazetę. Obróćę najszybciej, jak się da.

– Po co nam chleb i gazeta? – zdumiał się Maciek.

– Nam po nic...

– A orzechy? – wtrąciła Ada.

– Kupiłem na zapas. Wożę w bagażniku ze dwa kilogramy.

– Orzechy też lubię – zgodził się łaskawie Maciek. – Włoskie są najlepsze.

– No jasne, to jedyne właściwe – rzucił w odpowiedzi jego opiekun i zniknął w mroku korytarza.

Zgodnie z obietnicą uwijał się, jak mógł. Ulewa bębniła w dach nissana bez ustanku. Podjeżdżając pod blok przy Florecistów, Bartek raz po raz chwalił się w duchu za pomysł wymiany motocykla na auto. Tymek wprawdzie nie odpuszczał i wciąż nazywał wehikuł stryjka wielką czerwoną żabą, jednak nic nie zmieniało faktu, że to niezwykle wygodny wóz. Bartek ominął z lekceważeniem drzwi swojego mieszkania, zapukał do sąsiedniego i nie czekając na odpowiedź, użył odpowiedniego klucza.

Od progu wdarł mu się w uszy *Walc kwiatów*, po czym poznał z rozbawieniem, że Czajkowski wrócił do łask.

– Co tam, chłopaku? – zawołała pani Ludmiła, słysząc chrzęst zamka. – Po kusztyczku?

– Nie, ja tylko na moment. Muszę wracać do Maćka – odkrzyknął. – Przenieśli go do hospicjum.

– A to jasne, zostań z nim, ile trzeba. – Starsza pani pojawiła się w przedpokoju, podpierając dłonią framugę. – Weź może pierogów. Nalepiłam, a ty cały dzień poza domem...

– *Cyka blyat* – zaskrzeczało siarczyście nad ich głowami i gość mechanicznie sięgnął ręką po orzech.

– Masz, cholero. – Z czułością wyciągnął dłoń do ptaka. – Nigdy nie odpuścisz.

– *W blaskach zachodu pozółkł świat, / Czule kwietniowy chłód się skrrrrada. / Spóźniłeś się o tyle lat, / A jednak jestem tobie rrrrada**.*

** Anna Achmatowa, *W blaskach wieczoru pozółkł świat*, tłum. Anatol Stern.

– Znowu mi się podlizujesz Jesieninem, Zoja? – spytał ze śmiechem, ale papuga nie zwracała już uwagi na ludzi, zajęta bez reszty rozłupywaniem skorupki.

– Tym razem Achmatową. Kocha cię, nic nie poradzisz. Powrót *Dziadka do orzechów* zmiękczył jej serce.

– Z miłości mnie obrzuca tym rosyjskim mięsem?

– Typowa kobieta. – Pani Ludmiła zaśmiała się i podreptała do kuchni. – Zapakuję ci, będziesz miał jak podgrzać?

Bartek podążył za starszą panią i rzucił niedbale na bufet torbę z zakupami. Wiedział, że ona wszystko zrozumie. Opowiadał jej o swoim

podopiecznym dosłownie kilka razy, a nigdy nie zapomniała zapytać o samopoczucie chłopca. Tak samo wytrwale drążyła temat Ady, tylko o czym niby miał mówić? Że jest zakochana w narzeczonym, który wprawdzie wydaje się zbyt zaborczy i zazdrosny, jednak niewątpliwie stanowi oś jej życia? Ciężko było na to patrzeć i o tym mówić, a jeszcze trudniej to zaakceptować. Bartek czuł, że nie znosi faceta, bo on nie jest dla niej odpowiedni, a ona przy nim nie spędzi szczęśliwego życia. Jednocześnie miał świadomość, że jego własne zaślepienie przytępia obiektywizm, przeinacza fakty i wyciąga na pierwszy plan same niepokojące plamy. A przecież nie ma słońca bez cienia, jasności bez mroku, słodkiego szczęścia bez gorzkich okruszków zgryzoty. Zresztą tak chyba lepiej smakuje...

– Nie, dziękuję, pani Ludmiło – zaprotestował. – Pani ruskie to niebo w gębie, ale Maciek zamówił hamburgera z frytkami.

– Jak uważasz. Mój mąż mawiał, że dobre słowo jest lepsze od dobrego pieroga, sam najlepiej wiesz, co dzieciakowi potrzebne.

– Ciasto. Poza tym dziadostwem z McDonalda potrzebne mu jeszcze coś słodkiego i towarzystwo.

Kobieta uśmiechnęła się ciepło i pogłaskała gościa po policzku. Otworzyła lodówkę i wyjęła z niej plastikowy pojemnik ze sporym kawałkiem sernika.

– Widzisz, jak dobrze, że go wczoraj nie wykończyliśmy? Masz, jak znalazł. Pamiętasz, że jutro przed południem okulista?

– Pamiętam – potwierdził Bartek, pakując pudełko z deserem do plecaka. – Zerwę się z fundacji, a po wizycie odstawię panią do domu i mnie nie ma. Uzbierało mi się kilka spraw do załatwienia i powinienem wreszcie przysiąść nad robotą. Ostatnio średnio się wyrabiam. Borys ciągle warczy.

– Za dużo bierzesz na siebie – mamrotała staruszka, odprowadzając gościa do drzwi. – Komiksy, fundacja, odwiedzasz Tymka, siedzisz wieczorami z Maćkiem, zajmujesz się starą ślepą sąsiadką.

– Pani Ludmiło!

– Nie przerywaj! A do tego jeszcze miłość... Każdy by się średnio wyrabiał. Nie wymagaj od siebie cudów, bo się wykończysz.

– Jaka znowu miłość, przecież pani wie, jak to wygląda.

– Nieszczęśliwa miłość też potrafi zmęczyć i kiepsko napędza do działania. Powinieneś odejść z tej fundacji.

– Tak zrobię, kiedy wróci Majka. Serio, a teraz leczę. – Pocałował starszą panią w czoło i krzyknął w głąb mieszkania: – Pa, Zoja.

Zza zamykających się drzwi usłyszał wyskrzeczaną odpowiedź:

– *Otvali!*

Gdy dotarł do hospicjum, minęła dwudziesta druga. Na korytarzu przygaszono światła, tylko pojedyncza lampka rozmywała nieco czerń nocy. W pokoju także panował półmrok. Maciek grał na telefonie. Dźwięk całkowicie wyciszył, zatem jedyne, co wpadało w ucho, to delikatne pochrapywanie z sąsiedniego łóżka i cichy, regularny oddech tuż przy nogach chłopca. Bartek rzucił papierową torbę z McDonalda i pudełko z ciastem na nocną szafkę. Obok postawił karton z sokiem. Kupny, bo zbyt się spieszył, by tracić czas na wyciskanie świeżych pomarańczy. Usiadł na krześle i zapatrzył się na Adę. Zwinęła się w kłębek i podłożyła obie dłonie pod policzki. Wyglądała na tak odprężoną, jakby zdołała pozbyć się wszystkich lęków, całego napięcia i smutku. Spała spokojnie jak dziecko, które wie, że nic nie zmąci mu odpoczynku, bo czuwa nad nim ktoś, komu można powierzyć swoje życie. Każdy człowiek powinien choć raz poczuć się sprawcą i strażnikiem takiego snu – nie dla poczucia władzy, a wrażenia bliskości. Pilch był przekonany, że aby przy kimś aż tak odpłynąć, bez ostrzeżenia, trzeba mu bezgranicznie ufać. Przez chwilę zakłął go żal, że ta jedyna, najważniejsza dziewczyna zasnęła nie przy nim, a przy Maćku. Szybko jednak przywrócił się do porządku.

– Jemy? – rzucił. – Widzę, że wyjąłeś z pani Ady baterie.

– Nic jej nie zrobiłem – bronił się chłopiec. – Ona tak sama z siebie.

– Jasne – mruknął Bartek i zabrał się do rozpakowywania posiłku.

Jakiś czas później Walicką obudziło delikatne głaskanie po policzku. Przeciągnęła się i zdziwiła, bo nagle stopy spadły jej z wąskiego łóżka i z głuchym pacnięciem wylądowały na podłodze. Niechętnie uchyliła powieki i drgnęła, gdy tuż przy swojej twarzy zobaczyła wpatrzone w nią piwne oczy.

– Przepraszam, nie chciałem cię wystraszyć. Zadzwoiłem po taksówkę. Zaraz pojedzie. Wracaj do domu, tam lepiej wypoczniesz.

– A on? – spytała, odpychając pochylającego się nad nią faceta i zerkając na chłopca.

Usiadła i potoczyła wzrokiem po pokoju, intensywnie mrugając, bo na jej oczach resztki snu zostawiły niewidoczną mgiełkę.

– Ciii – upomniał ją Bartek. – Wreszcie dał się przekonać do drzemki. Nie hałasuj.

– Zostanę z nim.

– To nie ma sensu. Ja z nim zostanę, a rano skoczę do domu się kimnąć. Poprowadzisz lekcje sama. Muszę zawieźć pewną damę do lekarza.

– Tę orzechową?

– Nie, jej przyjaciółkę. Wpadnę dopiero pod wieczór zobaczyć się z Maćkiem. Dlatego jedź i wypocznij, żebyś rano zdołała stawić czoła niepokornym młodym umysłom. Inaczej cię wykończą.

– Dam sobie radę – prychnęła, wstając i nerwowo poprawiając rozsypujące się włosy. – Potrafię uczyć bez twojego udziału.

– Tak czy siak, nie zaprzeczysz, że bardzo dobrze ci robi na wenę, gdy siedzę w kącie i się przyglądam.

Pomamrotała chwilę pod nosem, zakładając buty i rozglądając się za swoją torebką. Bartek podał jej pudełko z resztką sernika. Uniosła pytająco brwi, jednocześnie zapinając suwak kurtki.

– Zostawiliśmy kawałek specjalnie dla ciebie, a to wyczyn godny bohatera. Jest pyszne, domowe.

Zawibrowała komórka, oznajmiając przybycie taksówki. Walicka wzięła pojemnik z ciastem i bez słowa pośpiesznie opuściła pokój. Pilch przysiadł na krześle, zapalił nocną lampkę, wyciągnął z plecaka notatnik i skupił się na rysowaniu dziewczyny. Spała w nogach łóżka, absolutnie wyjątkowa. Wiedział, że będzie miał ten żywy kadr przed oczami jeszcze długo po tym, jak Ada rozpuści włosy, położy głowę na poduszce i przytuli się do swojego mężczyzny.

26.

Zawadowicz siedział na kuchennym krześle bez okularów ze zwieszoną głową, podpierając się rękami o kolana. Koszulę miał rozchełstaną, prawy rękaw podwinął aż do łokcia, drugi zwisał smętnie, płacząc się wokół nadgarstka. Urwany guzik dawno potoczył się po podłodze i wylądował pod kaloryferem. Naprzeciwko, wcisnąwszy pięści między nogi, przycupnął skulony Christian Lodzik. Z kącika ust spływała mu krew, a z oczu – łzy. Posmarkał się jak dzieciak i wyglądał żałośnie, jakby nie skończył dziewiętnastu lat, tylko dziesięć. Jackowi było go nawet trochę żal, bo gówniarz wplątał się w całą sprawę przypadkiem i nie do końca rozumiał, co się wokół niego dzieje. Jednak tłumaczył sobie, że nie ma potrzeby szczyła niańczyć. Obaj są w sytuacji nie do pozazdroszczenia, a on, doktor chemii organicznej, może stracić znacznie więcej niż jakiś tam salowy. Już nie tylko z uwagi na wykształcenie i pozycję społeczną, jaką zdążył sobie wypracować, a przede wszystkim ze względu na posiadany talent, możliwości percepcyjne, którymi przerastał gnoja o Himalaje, a co najmniej o Pireneje, i perspektywy błyskające mu kuszącym światelkiem w oddali. Od kilku miesięcy poświęcał tym błyskom niemal wszystko, co kiedykolwiek się dla niego liczyło: karierę naukową na uczelni, czas, młodość, a nawet miłość, która przybierała coraz bardziej niepokojące oblicze.

Jacek czuł się bezradny i przerażony, a to budziło w nim wściekłość. Nie uważał się za winnego, bo przecież chciał dobrze. Jego cele i plany były jak najbardziej właściwe. To ludzie go oszukali, rozczarowali i teraz próbowali zeszmacić. Najbardziej podpadł mu Christian, bo okazał się nieudolną lebiegą, a przez to było ciężko nim sterować. Zawadowicz marzył, by wstać i skopać go po jajach, zwlec za kołnierz na podłogę i wbić stopę w nerki, przydeptać dłonie możliwie twardym obcasem, napluć na niego, a na koniec wyrzucić jak śmiecia za próg. Nie zrobił nic, bo wiedział, że nie może. Szukał więc w głowie pozostałych winnych i napawał się myślą o wendecie. Ojciec. Tak, ojciec był pierwszy. Zaraz po nim ten pieprzony Walicki, jego przyszyły teść, naczelnny łajdak gminy Łapsze Niżne, a może nawet całego Zamagurza. Aż wreszcie stara Walicka, ta koszmarna wariatka, której każde szaleństwo uchodzi na sucho, zarówno dawne, jak i obecne obłąkanie. Wszystko przez inwidię – nieposkromioną, paranoiczną zazdrość. I przez głupotę, ciemnotę, zacofanie.

Te myśli zwróciły jego uwagę w stronę narzeczonej. Kochał ją, poza matką tylko na niej mu naprawdę zależało. Wciąż, mimo upływających lat, była jedyną kobietą, z którą sypiał, i nie czuł potrzeby, by to zmienić. Dlaczego nie potrafiła uszanować prostej zasady, że on należy do niej, ona do niego i nikt inny nie powinien się liczyć? Dzisiaj też. Wróciła do tego szczeniaka oraz łysiejącego cwela, który ślini się na jej widok i kombinuje, jak ją przelecieć. Może już ją przeleciał albo robi to właśnie teraz, kiedy Jacek siedzi niczym sierota na kuchennym krześle i próbuje ratować ich wspólne życie? Pieprzy ją, a ona niczego nie udaje tylko po to, żeby szybciej skończyć i wyrzucić go ze swego wnętrza. Obrzydliwe. Kobiety to odrażające stworzenia, seks też jest ohydny i brudny. Lepkość potu, lateksu, wydzielin, ten brak kontroli nad własnym popędem, smród, zezwierżenie. Jacek poddawał się instynktowi jak każdy zdrowy facet. Nie znajdował na to rady i chwilami się za to nienawidził. Tak jak tego popołudnia. Musiała się z nim pospierać, potargować. Z całego posranego dnia zechciała mu poświęcić jeden żałosny obiad. Cholerną ogórkową, wcale nie taką znowu rewelacyjną, bo jego narzeczona nigdy nie osiągała wyżyn kulinarnego mistrzostwa. Potrzebował akurat czego innego i chociaż z początku próbowała udawać, że ma go gdzieś, łatwo ją złamał. Jak można być tak zakłamanym? Mówi, że nie chce, a potem jęczy pod człowiekiem i wbija mu paznokcie w pośladki. Żałosne. Jacek kocha ją, bez wątplenia, chociaż w tym względzie jest beznadziejna jak każda kobieta.

Kiedy wyszła, wstał z łóżka, porządnie się wyszorował i zjadł tę taką sobie ogórkową. Matka gotuje lepszą. Zaraz potem tamci trzej przyprowadzili Christiana. Rzucili go na kuchenne krzesło i na oczach Jacka obili mu gębę. Następnie włali w nich obu po ćwiartce wódki, kazali przemyśleć swoją sytuację i zniknęli z kuchni, żeby myszkować po pokojach. Christian nie odezwał się ani słowem. Tylko płakał. Jacek też najchętniej by milczał, lecz wiedział, że w ten sposób nie pozbędzie się kłopotu.

– Koniec durnych uników. Załatwisz to, czego chcą – oznajmił stanowczym tonem. – Zaczynasz od jutra.

Chłopak drgnął, uniósł lekko głowę i pociągnął nosem.

– Dociera do ciebie? – warknął Zawadowicz. – Oni nie żartują. Zrobią to, o czym opowiadali.

Salowy przełknął z trudem ślinę i odchrząknął. Wyciągnął zaciśnięte w pięści dłonie spomiędzy ud i podłożył sobie pod tyłek, jakby próbował je

rozprostować własnym ciężarem.

– Jeśli się zgodzę, to tak, jakbym strzelił sobie w łeb – wyszeptał.

– Jeśli im się sprzeciwisz, to strzelisz sobie w łeb. Nie „jakby”. To nie zabawa, Lodzik.

– Dasz mi gwarancję, że po tym wszystkim będę jeszcze człowiekiem?

Jacek uśmiechnął się ironicznie i zerknął w ciemne okno, na którym deszcz uporczywie wygrywał swoje posępne nokturny.

– A kiedykolwiek nim byłeś? – mruknął.

Pokręcił głową, by rozluźnić zeszywniały kark, i rozprostował kolana. W jednym mu paskudnie chrupnęło, więc skrzywił się z obrzydzeniem.

– Dlaczego mi to zrobiłeś, Jacek? – zapytał Christian z wyrzutem.

– Komuś musiałem. Z nikim innym nie poszłoby tak łatwo.

– Czyli miałem pecha?

– No. – Zawadowicz pokiwał smętnie głową. – Tak jakby. W sumie obaj mieliśmy pecha.

W progu stanęły dwie łyse góry mięsa, wyższa i niższa, które w pierwotnym założeniu produkcyjnym miały być chyba facetami. Jacek sądził, że skład chemiczny tych stworzeń bez trudu mógłby potwierdzić, że nic, co nieludzkie, nie jest im obce. Za nimi kryła się w cieniu sprzedajna dziwka, zdradliwe ścierwo, zakłamana kutasina. Niech zdycha w męczarniach. Michał Piekarz.

– Poszłeś po rozum do głowy? – ryknął wyższy mięśniak do Lodzika. – Dogadaliśmy się czy bierzesz wpierdol?

– Poszedłeś – poprawił go mechanicznie Zawadowicz, zanim zdążył ugryźć się w język.

– Co, kurwa? – wrzasnął niższy i jednym chwytem za kark postawił chemika do pionu.

Zanim ktokolwiek zdążył choćby jęknąć, byczek wymierzył cios w brzuch i kilka razy rytmicznie uderzył gładkim czołem naukowca o stół. Z rozciętego łuku brwiowego pociekła jasna ciepła krew.

– Stop! – syknął Piekarz i kafar natychmiast przerwał zabawę.

– To poszłeś czy wpierdol? – powtórzył ten wyższy do przerażonego salowego.

– Po...posze... – Lodzik ledwo ruszał zdrętwiałą szczęką. – Poszłem – wydusił z siebie i źrenice uciekły mu ku niebu.

Mięśniak nie czekał, aż chłopak zemdleje. Strzelił mu ostro z liścia i potrząsnął nim jak szmacianą lalką. Christian jęknął i uniósł lekko powieki.

– Bardzo ładnie – pochwalił oprawca. – Trzy miesiące wysiłku i być może będziesz wolny. Zawiedziesz, to dostaniesz wygodną trumnę albo sprzedamy cię do egzotycznego burdelu. Szef nie jest bez serca, na pewno pozwoli ci wybrać.

Wybuchnął obleśnym śmiechem, do którego przyłączył się ten niższy. Piekarz uciszył ich gestem ręki i wskazał im wyjście, mówiąc:

– Dopilnuj go, Zawadowicz, albo polecisz razem z nim. A na dokładkę dorzucimy twoją czikę. Będą z was świetne dziwki. Spieprzyłeś sprawę i już nie jesteśmy kumplami. Nie zamierzam naprawiać błędów wszystkich twoich niedorobionych koleżków. To ostatnie ostrzeżenie, na kolejne nie licz.

Na pożegnanie Jacek oberwał cios pięścią w potylicę. Christian po silnym uderzeniu w splot słoneczny spadł z krzesła. Sparaliżowany strachem żołądek podszedł mu do gardła i wywołał gwałtowne torsje. Nim chłopak zemdłał, zdołał wychwycić w oczach chemika wyraz bezgranicznej pogardy.

Kilkanaście minut później Ada stanęła w drzwiach zaniepokojona, że znów są otwarte. Nauczona poprzednią sytuacją uznała, że narzeczony rozżalony jej nieobecnością oddał się samotnej libacji w kuchni. Już w przedpokoju zaatakował jej nozdrza duszący odór wymiocin. Lęk gwałtownie wzrósł. Zakrywając nos rękawem, dopadła do progu kuchni. Jacek siedział na krześle, na skroni ziała mu paskudna rana. Krwi nie przybywało, choć nie zdążyła całkiem zastygnąć. Wpatrywał się tępo w lodówkę i dyszał jak po ciężkim biegu. Na podłodze leżał nieprzytomny, zarzygany i zakrwawiony chłopak, w którym z pewnym trudem rozpoznała szpitalnego salowego.

– Co ty wyczyniasz?! – rzuciła z oburzeniem, cofając się o krok i ledwo panując nad mdłościami. – Pobiłeś go?

Jacek poderwał się z krzesła, jakby dopiero w tym momencie zauważył jej obecność.

– Powaliło cię? – warknął, omijając Lodzika i szukając czystego kawałka podłogi dla postawienia stóp. – Kim ja, według ciebie, jestem? Zwyrolem? Psychopatą? Świrem? – krzyczał, idąc w jej stronę, podczas gdy Ada stała oniemiała.

– Jacek, no co ty? – wydusiła, patrząc, jak się zatacza, i odsuwając się z odrazą. – Narąbaliście się?

Pił, zdecydowanie. Z pewnością zaliczył bójkę. Stan jego twarzy i koszuli świadczył o niewątpliwych dramatach. Pomyślała, że się wściekł, bo

zostawiła go samego, zaprosił kumpla na wódkę, przeholowali i postanowili poboksować. Niby to niepodobne do szanownego doktora chemii organicznej, ale każdy czasem musi odpuścić, poluzować krawat i zabalować jak prostak. Ona i Majka też nieraz płynęły na fali zarzęcinowych nalewek. Oczywiście zanim pojawił się Staś. Bywało głośno, wesoło i niekoniecznie rozsądnie. *Errare humanum est.*

– Narąbaliśmy – krzyknął, złapał za przegub jej dłoni i zmusił, by ugięła nogi. – Jak w pieprzonym tartaku. I co? – dodał, popychając ją na podłogę. –

Już ci się nie podobam? Nie kochasz mnie, nie będziesz się ze mną całować? To może wróc do swojego giermka, jego się nie brzydzisz!

Poczuła, że jej plecy łupnęły gwałtownie o panele. Instynktownie uniosła głowę, by złagodzić uderzenie w potylicę. Zawadowicz usiadł na niej okrakiem i była przekonana, że zamierza powtórzyć swój popołudniowy wyczyn. Po chwili jednak szarpnął nią, obracając na brzuch, skrzyżował jej na plecach przedramiona, zakleszczając je w dłoniach jak w żelaznych imadłach, pochylił się i wysyczał prosto do ucha dziewczyny:

– Nie jestem twoim wrogiem. Jestem twoją jedyną nadzieją. Nikt poza mną i tym zarzyganym kmiotem nie może ci pomóc. Więc szanuj mnie, do kurwy nędzy, nie proszę przecież o nic więcej.

Niezgrabnie się podniósł, nie puszczając jej rąk, zatem nie miała wyboru i musiała wstać razem z nim. Wprowadził ją do sypialni i popchnął w stronę łóżka. Przewróciła się na dywanie, uderzając policzkiem w róg szafki nocnej.

– Jezu, przepraszam, skarbie – jęknął Jacek, rozcierając nerwowo dłonią zmarszczki na czole, jakby dopiero w tym upadku dostrzegł coś niestosownego. – Nie chciałem. Boli cię, przynieść lód?

– Wszystko okej – wyszeptała przez ściśnięte gardło.

Myślała tylko o tym, żeby wyszedł, zostawił ją samą, zniknął choć na chwilę, a najlepiej, żeby i ona zniknęła.

– Zostań tu. Połóż się czy co tam chcesz. Wyprowadzę gościa i posprzątam. Pamiętaj, że cię kocham.

Delikatnie zamknął za sobą drzwi, a Ada nie mogła pozbyć się wrażenia, że w jego głosie pobrzmiwał autentyczny strach. Zrzuciła z siebie ubranie i zakryła się kołdrą po szyję. Miała ochotę na prysznic, ale wołała nie oglądać wyprowadzania salowego z kuchni. Chciało jej się płakać, lecz złośliwe łzy, tak natrętnie pchające się kilka godzin wcześniej, teraz odmówiły współpracy. Czyżby tego dnia wylała z siebie już wszystkie?

Skupiła myśli na Maćku i stopniowo uspokajała oddech. Do obrazu chłopca przyplątały się rysunki dziewczyny z rozpuszczonymi włosami, zwyczajnej i wyjątkowej zarazem, oraz ręka rysownika sunąca pewnie po kartce. W pewnej chwili papier wyparował, dłoń pozbyła się ołówka i lekko, leciutko, jakby z bardzo daleka, głaskała dziewczynę. Po włosach, po przymkniętych oczach, po obolałym policzku. Nim Jacek zakończył porządki, jego narzeczona spała, śniąc o wszystkim, co ważne, a jednak nie o nim.

27.

– Maciek, gdzie jest Patrycja? – spytała Ada, siadając z chłopcem w małej fundacyjnej świetlicy o wystroju klimatycznej kawiarenki. – Nie widziałam jej od kilku dni. Dostała wypis do domu?

Chłopiec zamrugął.

W skupieniu mieszał łyżeczką w owocowej herbacie, którą Ada przyniosła mu razem z dwoma pączkami. Z lukrem i skórką pomarańczową, bo czemu nie.

– Wyszła na trochę – bąknął. – A teraz znowu wróciła. Doktor Maczek jej nie odpuszcza, ciągle ją męczy.

– To dobrze, nie? Walczy i wie, co robi. Trzeba mu zaufać. Czemu u niej nie siedzisz? Źle się czuje?

– Jej matka nie chce, żebyśmy się widywali – odparł grobowym tonem, a fajansowe ścianki kubka zabrzęczały głośno w zderzeniu z metalem.

– Daj spokój z tym koncertem. – Ada odebrała chłopcu łyżeczkę i odłożyła na talerzyk. – Przecież nawet nie słodzisz. O co jej chodzi? Pytałeś?

– Nie musiałem. – Maciek, aby zająć czymś ręce, w skupieniu obskubywał pączki z lukru. – Wiadomo. Uczę się kiepsko, stara oddała mnie do bidula, a na dodatek nic ze mnie już nie będzie, bo mieszkam w hospicjum. Fatalny materiał na przyjaciela.

Ada oderwała palcami kawałek ciastka i z lekkim wahaniem zjadła.

– Okropnie słodkie – stwierdziła z niezadowolaniem. – Wolę drożdżówki. Nieważne, co z ciebie będzie. Liczy się to, co znaczyysz teraz. Jesteś absolutnie fantastycznym chłopakiem i Patrycja to wie. A jej mamę może źle zrozumiąłeś? To rozsądna osoba.

– Dobrze zrozumiąłem. Nikt nie jest rozsądny, kiedy martwi się o swoje dziecko. Chyba że ma je w nosie, jak moja matka.

Walicka zerknęła na zegarek. Został jej tylko kwadrans, a tu wychodziły na wierzch coraz większe problemy.

– Pogadam z mamą Patrycji – oświadczyła i uniosła dłoń w ramach protestu, bo już zamierzał jej przerwać. – Niezależnie od wyniku tej rozmowy dowiem się, o co chodzi. A z twoją matką może wcale nie było tak prosto? Wiesz, kobieta czasem nie ma wyboru, bywają sytuacje, w których żadne rozwiązanie nie jest dobre. Nigdy o niej nie mówiłeś. Pamiętasz ją?

Maciek po dwóch nocach w nowym miejscu zdążył się już trochę uspokoić. Polubił współlokatora, przekonał się, że życie w hospicjum toczy

się tak samo jak w szpitalu, a może nawet spokojniej, nie czuł za plecami oddechu śmierci. Oczywiście w części żółtych pokoików bywało bardzo ciężko, jednak mimo wszystko na każdym kroku stykał się z radością życia. Nie marnowano tu czasu na troski o przyszłość. „*Carpe diem*”, powtarzała prezes Marudowicz i chłopiec coraz głębiej rozumiał istotę tej łacińskiej sentencji. Jednak nie mógł się powstrzymać i po latach jego myśli nagle zaczęły wracać do rodzinnego domu.

– Naprawdę uderzyła się pani o szafkę? – spytał, zerkając znacząco na siny policzek, który Ada usiłowała zakryć nietypową dla niej, grubą warstwą makijażu.

– Już ci mówiłam. Naprawdę. Nie zmieniaj tematu – mruknęła i mimowolnie dotknęła dłonią obolałej skóry.

– Nie zmieniam – odparował. – Doskonale ją pamiętam. Też wiecznie przewracała się na szafki albo spadała ze schodów. Dziwne, bo mieszkaliśmy na parterze, nie?

– Ty też spadałeś?

– Jasne. Kilka razy sama mnie popchnęła. Oczywiście przypadkiem. To normalne, gdy ma się strasznie kłopotliwe dziecko...

– Kiedy się poznaliśmy, skończyłeś dziewięć lat.

– No – przytaknął i odgryzł potężny kawał pączka. – Wtedy jeszcze mnie odwiedzali. Ona i Karol.

– Karol?

– No jej ten... konkubent. Bartka znowu dzisiaj nie ma? – zmienił temat, zerkając wymownie w stronę wejścia. – Wczoraj wpadł jak po ogień dopiero po kolacji.

– Jest, coś tam załatwia. Zobaczycie się później. Opowiesz mi więcej o matce i tym Karolu?

– Nie – odparł chłopak. – Powinna pani już iść. – Wsunął do ust resztkę ciasta i bez pożegnania zwiął do swojego pokoju.

Walicka posiedziała chwilę nad swoją herbatą, pogrążając się w coraz głębszej zadumie. Nie spieszyła się do klasy, celowo unikała Bartka. Poprzedniego dnia udało jej się go nie spotkać, tego ranka nie miała już szans. Obejrzał ją uważnie, wysłuchał chaotycznej historii o złośliwej szafce nocnej oraz płaczących się ze zmęczenia nogach i mruknął:

– Nie chrzań. Zdecydujesz się mówić prawdę, to chętnie posłucham. – Następnie zmienił temat i skupił się na przygotowaniach do lekcji.

Adę to potwornie zezłościło, odszczeknęła, że to nie jego sprawa, i postanowiła w ogóle z nim nie rozmawiać. Jej humor psuł dodatkowo fakt, że zrobiło się bardzo ciepło, a ona musiała kisić się przez co najmniej kilka dni w bluzkach z długim rękawem. Nie chciała, by ktokolwiek dostrzegł coś więcej niż siny policzek. Śladów po zaciśniętych palcach nie zdołałaby rzucić na nieszczęsną szafkę.

Do świąt zostało zaledwie kilka dni. Czuła się tak zmęczona, że najchętniej przespałaby Wielkanoc zwinięta w kłębek pod kocem. Z niechęcią myślała o domu pachnącym żurkiem, o mendlach jajek we wszelkich możliwych odsłonach, o babach cytrynowych, migdałowych i jogurtowych, które z zapalem i przesadną obfitością szykowała na ich przyjazd matka Jacka. W Łapszance świętowano inaczej niż w Łodzi. Może nie w każdym domu, może to tylko wyjątek, ale jej przyszła teściowa była uosobieniem tradycji i wiary. Nie odpuściła żadnego elementu obchodów, od wyplatania fikuśnych palemek poczynając, na oblewaniu śpiących gości wodą w poniedziałkowy poranek kończąc. Nic nie mogło jej zmęczyć. Ada w zasadzie ją lubiła, chociaż kobieta wydawała się do bólu prosta i bezmyślnie uparta w swoich dążeniach, pomysłach i planach. To przecież nic złego. Co z tego, że bywała nudna? Chciała dla nich dobrze, jak najlepiej. Poza nimi nie został jej nikt więcej do kochania.

Walicka wracała ze świetlicy na popołudniowe lekcje. Nie miała ochoty na odpieranie kolejnych ataków Bartka w sprawie niefortunnego zderzenia z szafką. Postanowiła zajrzeć na moment do Marudy i może poszukać Patrycji oraz jej matki. Szła korytarzem, nie patrząc przed siebie, głęboko zamyślona. Nie zauważyła szczupłej postaci stojącej do niej tyłem nad pełnym wiadrzem i odciskającej z wysiłkiem mopa z nadmiaru wody. Pochylony chłopak, pchnięty nagle w kuper, wykonał pół obrotu na kiju, jak striptizerka na rurze, zaplątał się we własne nogi i runął na świeżo umytą podłogę, wylewając strumień mydlin o wyraźnym cytrynowym zapachu. Nawet przyjemnym.

– Kurczę, panie Christianie, nic się panu nie stało? – wymamrotała nauczycielka, sunąc spojrzeniem za potokiem piany, który dopadłszy do drzwi pokoju pielęgniarek, próbował przetoczyć się przez próg. Może liczył na to, że tam mu udzielą pierwszej pomocy.

Salowy otarł zachlapanie oczy i dopiero wówczas dostrzegł, kto dopuścił się na nim tak niecnego ataku. Na twarz wpelzył mu wyraz czegoś między paniką a zawstydzeniem.

– To pani. Jezu, ale grzmotnąłem. Przepraszam, najmocniej przepraszam.

– Za co? To ja w pana walnęłam jak taranem. Aż mi głupio. Ma pan się w co przebrać? Wszystko mokre. A że się pan wtedy zabalsamował z Jackiem na amen, to nic takiego. Swoje pan przecież odchorował. Tylko następnym razem zachowajcie jakiś umiar.

– Następnym... – bełkotał Łodzik, zbierając się ze śliskiej podłogi. – Następnym razem... Z Jackiem... Chryste Panie, pani Ado, ja chyba nie dam rady. Przepraszam – wysapał i zostawiając za sobą cały bałagan wraz z oszołomioną Walicką, uciekł do męskiej toalety.

Ada pomyślała, że to dobrze, że następnym razem nie da rady, bo picie temu chłopakowi wyraźnie nie służyło. Ominęła powstały na podłodze akwen i beztrudnie powędrowała przed siebie przekonana, że ten wariat zaraz wróci i posprząta. Otumaniona wodną przygodą zapomniała o swoich pierwotnych planach i wparowała prosto do klasy.

Zastała wiernego Sancho Pansę przy rozkładaniu na stolikach świeżo skserowanych odbitek.

– Poczujemy dzieciaki piosenki finałowej na koncert. Naszykowałem kartki z tekstem. Nie oklepiesz mnie za samowolkę? Rano się nie skupiały, teraz też bym nie liczył na cud. Wszyscy myślą o świętach. Śpiewanie powinno pójść lepiej niż liczenie.

– Już jest? Gotowa? – zdumiała się, starannie unikając oczu Bartka. – A nuty?

– Nie będzie nut. – Wyciągnął z plecaka butelkę ze świeżo wyciśniętym sokiem i wcisnął w dłoń Ady. Następnie podszedł do laptopa i włączył plik z podkładem muzycznym. – Kumpel Marudy zrobił od razu aranżację. To prostsze niż kombinowanie i szukanie żywych grajków.

Przez następne trzy minuty bez słowa słuchali instrumentalnej wersji piosenki napisanej specjalnie na zaplanowany koncert. Ada skupiała się głównie na opróżnianiu butelki i niepatrzeniu na Bartka. Melodia jej pasowała, tekst też niczego sobie, tylko ona nie mogła pozbyć się dziwnej sztywności, jakby kij z przewróconego w korytarzu mopa wylądował jej w przewodzie pokarmowym i usztywnił kręgosłup.

Gdy wybrzmiały ostatnie nuty, drgnęła gwałtownie, odstawiła niedopity napój na biurko i ruszyła nerwowym krokiem do drzwi.

– Idę po dzieci – oznajmiła.

– Zaczekaj, pójde z tobą – zaproponował Pilch i odruchowo złapał ją za ramię.

Syknęła, wyrwała rękę i zaczęła delikatnie rozcierać posiniaczone miejsce, w które trafił.

– Rękę też sobie obilaś o tę szafkę? – zapytał, nie panując nad przebijającą się w tonie ironią.

– Tak – warknęła.

– Okej. Nie muszę pytać. Tylko nie myśl, że ci uwierzyłem – podkreślił ponuro.

Od tej chwili zachowywał się tak, jakby niewygodnego tematu nie było. Ada skupiła się wyłącznie na dzieciach i też próbowała zapomnieć.

28.

Siwy mężczyzna siedział w bezruchu przy zniszczonym stoliku. Wyglądał na niezwykle silnego i żyłastego. Koszulka z szerokimi ramiączkami ukazywała wyraźne, choć naturalnie ukształtowane mięśnie – dowody wielu godzin cierpliwych i morderczych ćwiczeń. Twarz, z głęboko osadzonymi zielonymi oczami, wydawała się szara i zmęczona. W pomieszczeniu znajdował się tylko on, dlatego mógł sobie pozwolić na pełną swobodę. Wyciągnął z kieszeni list, który wręczono mu tego ranka. Nie spodziewał się korespondencji, w końcu święta dopiero się zbliżały. Nie było o czym pisać ani czym się dzielić. Przywykł do ustalonego rytmu spływających wiadomości i to nagłe zaburzenie wywołało w nim gwałtowny niepokój. Może coś się stało? Coś złego, na pewno. Z jego małym polnym kwiatuszkiem czy z jej matką? Bał się zajrzeć do środka. Wmawiał sobie, że póki nie przeczyta, nic się nikomu nie stanie. Wiedział, że to naiwne. Od tylu lat egzystował w oderwanym od rzeczywistości świecie, że celowo karmił się wszelką naiwnością. Czym innym miał żyć, o czym myśleć i na co czekać?

Wreszcie się zmotywował, mrużąc pod nosem, że raz kozie śmierć, i rozdarł kopertę. Ze środka wypadła pojedyncza kartka. Zwyczajna, w kratkę, wyrwana ze starego, pożółkłego zeszytu. Taka sama jak zawsze. Pachniała domowym obiadem i kwiatami. Mężczyzna wiedział, że to zapach domu i że nie powinien go zatrzymywać. Nie dla psa kiełbasa. Niech wywietrzeje jak najszybciej.

...Był u mnie Stasiak i mówił, że z Tobą znowu to samo. Wiesz, jego szwagier, ten z Rabki, ma kuzyna, który u Was pracuje. Podobno się znacie, Sajdukiewicz. Jest psychologiem czy wychowawcą, nie wiem dokładnie, na pewno kojarzysz, o kogo chodzi. Ten kuzyn szwagra Stasiaka mówi, że się uparłeś i nie może do Ciebie przemówić. Odmówiłeś przy pierwszej okazji, pięć lat temu, rozumiem. Wtedy miało to jeszcze sens. Ale teraz? Sam się krzywdzisz, a nikomu nie pomożesz. Dowiedziałam się wszystkiego. To proste. Podanie o zwolnienie warunkowe składasz do sądu penitencjarnego w swoim okręgu. Najważniejszy jest wywiad środowiskowy, Sajdukiewicz mówi, że masz duże szanse. Coś tam trzeba zapłacić za wniosek, chyba sto złotych, żadne miliony. To się dzieje szybko. Latem mógłbyś tu przyjechać. Słodki Jezu, mógłbyś naprawdę tu być. Oni myślą o ślubie. Powinieneś to zobaczyć, powinieneś poprowadzić swoją córkę do

ołtarza. To twoje prawo i obowiązek, niezależnie od przeszłości. Pomyśl o tym, proszę!

O sobie nic nie mówię, u mnie nic się nie zmienia. W wiadomej sprawie też nie, więc nie musisz się tym przejmować. Pamiętaj, żeby wierzyć Bogu. Jeśli daje Ci szansę, to grzech nie wyciągnąć ręki. Może będziesz potrzebny, może ona wciąż na Ciebie czeka. Twój kwiatusek, pamiętasz? Tak mówiłeś. Na pewno nie zapomniała.

Zaufaj Bogu i ludziom. Pomów w Sajdukiewiczem. On Ci pomoże.

Dobrych świąt, oby to już ostatnie z dala od bliskich...

Ulga, po stokroć ulga.

Nic się nie stało, to tylko zwykła babska pisanina.

Brak nadawcy w ogóle mężczyzny nie zdziwił. Nie potrzebował żadnych wskazówek. Wystarczyła chropowata faktura starego zeszytu i równe, kształtne litery pisane ręką nienawykłą do trzymania długopisu. Nie zdołał się powstrzymać, przysunął kartkę do twarzy i powoli wciągnął w płuca jej zapach. Natychmiast się zawstydził, popatrzył z niepokojem po pustych ścianach i wepchnął papier do koperty, nie zważając, czy aby go nie gniecie.

Jeśli ktoś straci przeszłość i już wie, że nie ma przed sobą przyszłości, może zadbać tylko o teraźniejszość. Dlatego nie można nią gardzić. Trzeba ją szanować. Siwy mężczyzna musiał to przyznać. Dlatego z wypracowanym latami spokojem postanowił zaczekać na spotkanie z Sajdukiewiczem. A potem działać...

29.

Spakowane walizki stały w kącie sypialni i dopraszały się o podróż w rodzinne strony. Zgodnie z ustaleniami wyjazd miał nastąpić dopiero kolejnego ranka, jednak Jacek lubił mieć wszystko wcześniej naszykowane, twierdząc, że dba w ten sposób o swój komfort psychiczny. Adzie nie robiło to różnicy. Bez żalu godziła się na ten system, nawet rozsądny, bo minimalizował rajzefiber, czyli po prostu gorączkę podróżną. Spokój to cenna rzecz.

Pozostał ostatni dzień pracy i popołudniowe „jajeczko”. Pracownicy i wolontariusze co roku spotykali się w fundacyjnej świetlicy. Po krótkim, formalnym i wygłaszanym „na odwal się” przez Marudę przemówieniu zjadali po kawałku ciasta, a następnie szli na obchód po szpitalnych oraz hospicyjnych salach i rozdawali świąteczne upominki. Prezes Danuta uwielbiała takie dziecinne akcje. W opasce z króliczymi uszami na głowie wpadała za kolejne drzwi i zasypywała zaskoczonych podopiecznych słodyczami, owocami, naklejkami, kolorowankami, drobnymi zabawkami i wszystkim, co udało jej się wycygnąć od sponsorów. Oczy błyszczały jej przy tym jak młodej kozie, a nie damie w średnim wieku. Piękno jej wnętrza wychodziło na zewnątrz i rozpromieniało całe otoczenie.

Ada biegła korytarzem w obawie, że się spóźni, gdy wpadła na mamę Patrycji. Samą, bez córki. Nie bacząc na godzinę, nie przepuściła okazji do rozmowy. Zaprosiła kobietę na prywatną pogawędkę w swojej klasie i lekceważąc obecność Bartka, przystąpiła do metodycznego obsobaczania.

– Uważa pani, że on jest gorszy? Nie warto się z nim przyjaźnić, bo co? Bo zostawiła go matka, bo nie ma domu ani rodziny, bo nie jest orłem i nigdy nie osiągnie szczytów geniuszu? To inteligentny człowiek, nie pomyślała pani, że życie nie dało mu szansy, żeby stać się kimś więcej? I pewnie nie da?!

Mówiła stanowczym tonem z wyraźną nutą pretensji i ledwo tłumioną złością. Matka Patrycji przez chwilę przyglądała jej się w milczeniu, aż wreszcie oznajmiła ze zdumieniem:

– Przecież ja nic nie mam do pana Pilcha. Z komiksami się pogodziłam. Są z pewnością lepsze niż te japońskie mangi, które wcześniej... Mimo to wołałabym, żeby moja córka czytała normalne powieści, i nie zabroni mi pani przynosić jej książek.

– O czym pani mówi? – wydusiła z siebie skołowana Ada.

– Wolno się pani przyjaźnić, z kim pani chce. To nie moja sprawa. Patrycja to nastolatka, lubi plotkować, ekscytuje się tym, co państwa łączy. –

Tu wskazała dłonią na Adę i jej Sancho Pansę. – Dla niej jesteście jak bohaterowie serialu. Może przez oderwanie od zwyczajnego świata zrobiła się taka... Fascynuje ją wasze życie, państwa zażyłość i to mi się nie podoba.

– Nie rozumiem... – Walicka przysiadła na biurku, czując, że ogarnia ją dziwna słabość.

Bartek przerwał porządkowanie materiałów plastycznych i skupił wzrok na gościu.

– Nie oceniam tego, z kim warto się przyjaźnić czy romansować, a z kim nie. Nie wnikam w państwa wzajemne stosunki. Zabroniłam Patrycji o tym rozprawiać, bo to nie jej sprawa. Mogłaby tylko państwu zaszkodzić. Przyłapałam ją na plotkowaniu z koleżankami z sali i rozważaniu istoty państwa relacji. Nie rozumiem, o co pani ma do mnie pretensje – zakończyła swój wywód kobieta i oparła się ramieniem o ścianę, splatając ręce na piersi.

– O czym my rozmawiamy? – bąknęła Walicka i zmarszczyła czoło.

Sancho Pansa przysiadł przy niej na biurku i uważnie studiował jej profil.

– To ja się pytam o czym – zaatakowała kobieta. – Ma pani do mnie o coś żal? Lubi być pani w centrum szpitalnych plotek?

– Ależ nie chodzi o mnie ani o niego. – Ada dźgnęła nieco zbyt mocno palcem ramię ewidentnie rozbawionego Bartka.

– To o kogo?

– O Maćka. O ludzie, wyłącznie o Maćka. – Zerwała się i zaczęła nerwowo krążyć po pomieszczeniu.

– A, o niego. – Matka Patrycji wreszcie zrozumiała sedno rozmowy, bo wyprostowała się i rozplotła ręce.

– O co chodzi z Maćkiem? – wtrącił z niepokojem Pilch.

– Ta pani zabroniła mu się spotykać z Patrycją – wyjaśniła z roztargnieniem nauczycielka. – Zdaje pani sobie sprawę, ile ich łączy? Kim pani córka jest dla tego chłopca?

– Zdaję. Mniej więcej tym samym, czym pani dla... Zresztą nieważne. Przecież ja nie mam nic przeciwko Maćkowi! Uroczy chłopiec, może chwilami taki nieco... szorstki, nieociosany, ale ogromnie wrażliwy. Nie jestem idiotką, rozumiem jego sytuację, jak i to, że moja córka będzie kiedyś cierpieć przez tę przyjaźń. Bo on przecież nie wyzdrowieje...

– Dlatego nie chce pani, żeby się widywali? – wtrącił Bartek, stając za Adą niczym rasowy giermek.

– O Boże, pan też? Niczego takiego nie mówiłam. Tak to zrozumiał? –

Kobieta poprawiła nerwowo włosy i przysiadła na pierwszym z brzegu krześle. – Państwo nie mają dzieci, prawda? Nie wiedzą państwo, jak to jest. Ten strach i to czekanie... trzeba patrzeć, jak dziecko się męczy, i powtarzać sobie, że to ma sens, że musi pomóc. Bo jeśli nie, to gorsze niż własna śmierć. Ona też się boi. Znaczący, Patrycja. Dzieci wiedzą, rozumieją bardzo dużo. Obserwują w tym szpitalu tyle cierpienia innych, że wystarczyłoby do końca życia. Nie chcę, żeby widziała więcej, niż musi. Nie chcę, żeby ocierała się o najgorsze, myślała o przegranej. Ma żyć, wyzdrowieć, dorosnąć. Ma być szczęśliwa i zapomnieć o chorobie. Gdybym mogła cofnąć czas i nie dopuścić do jej spotkania z tym chłopcem, tobym to zrobiła. To podłe, okrutne? – zapytała, a gdy nie reagowali, ciągnęła dalej, wyginając palce drobnych zadbanych dłoni, jakby chciała je powyrywać niczym chwasty: – Być może. Nie idzie mi o niego, a o nią. Ale stało się. Za nim nie stoi nikt, kto by go chronił przed złem. No, chyba że wy... Nie zabronię im się spotykać. Na to już jest za późno.

– To o co chodzi? – wydusiła z siebie Ada cichym głosem.

– Nie zgadzam się, żeby moje dziecko tam chodziło. Mogą przecież spędzać czas u niej w sali i w świetlicy. Patrycja wraca na święta do domu. Mają telefony, mogą pisać, rozmawiać. Proszę tylko o to jedno: nie chcę jej widzieć w hospicjum, bo tego już nie wytrzymam. – Kobieta zakryła twarz dłońmi i rozplakała się cicho.

– Rozumiem panią – powiedziała Ada. – Wprawdzie tam nie jest najgorzej, a pokój Maćka wygląda znacznie przytulniej niż szpitalny, jednak wcale się pani nie dziwię. Być może na pani miejscu myślałabym tak samo. Dzieciakom trzeba to wytłumaczyć. Pójdę od razu do Maćka, niech już się nie męczy i nie zastanawia.

– Nie – przerwała mama Patrycji. – Ja do niego pójdę. Przepraszę, a potem przyprowadzę go do Pati. Dziękuję – zwróciła się do Ady, wstając i wycierając chusteczką oczy. – Ona od kilku dni nie chciała ze mną rozmawiać. Mogła powiedzieć, o co chodzi.

– Niech się pani nie przejmie. Czasem łatwiej dogadać się z głazem narzutowym niż z nastolatkiem – pocieszył ją Bartek. – Bywa bardziej skory do zwierzeń.

Gdy tylko kobieta zniknęła, ruszył dziarsko jej śladem, ciągnąc Adę za rękę.

– Maruda nas zabije – zawyrokował. – Przegapimy jej jajczkową przemowę.

– Jajcarską chyba – mruknęła i pobiegła za nim.

Wpadli do świetlicy, gdy uroczystość weszła w fazę zasadniczą. Prezes Danuta stała na jednym ze stołów i perorowała energicznym głosem. Skrzypienie uchylanych drzwi wybiło ją z rytmu, więc na moment zamilkła. Spóźnialscy nie zdołali wkraść się niezauważeni.

– No proszę – zagrzmiała z góry potężną charyzmą swojej niepozornej postaci. – Mamy ochotników do unicestwienia na koniec pojajecznego bałaganu. Na ciasto się nie załapali i słusznie. Czas to rzecz święta, zegarek – nie luksus. Podsumowując, moi drodzy, idziemy, jak zwykle, tyralierą do wszystkich sal. Ja biorę balony, wy łapcie fanty, tylko ostrożnie, bo ciężkie jak diabli. Dostaliśmy pół ciężarówki soków. Pamiętajcie, panowie, nie pogubcie w święta jajek, a panie, nie porozbijajcie skorupki, gdy wam panowie podpadną. Wesołych świąt! – huknęła gromko, następnie zeskoczyła z gracją ze stolika, złapała w garść olbrzymi kłęb balonów i ruszyła do wyjścia.

Objuczony upominkami wianuszek współpracowników, gawędząc i chichocząc, powędrował za nią.

Dwie godziny później rozbawiony fundacyjny tłumek rozszedł się do domów, Maruda zniknęła w nieco odrapanym oplu, który podjechał po nią cicho, bez ostrzeżenia, wzbudzając lekką sensację. Postaci za kierownicą nie udało się dostrzec. Rozpromieniony Maciek otrzymał podwójny prezent. Pierwszy, gdy matka Patrycji zaprowadziła go do dziewczyny. Drugi wolontariusze zostawili na jego łóżku. Z zapalem zdekapitował czekoladowego zająca i wraz ze słodkim smakiem czekolady spływała mu do wnętrza radość z odzyskanej przyjaźni. Nie zostało ani krzty miejsca na smutek.

W świetlicy panował nieopisany śmietnik. Resztki opakowań po słodyczach, dekoracjach, zabawkach, zgrzewki po sokach, papierowe kubki i talerzyki po cieście tworzyły barwny melanz. Ada przyniosła ze schowka wielkie plastikowe worki i przez dłuższą chwilę zbierała śmieci. W tym czasie Bartek zmiotł podłogę z okruszków mazurka i zebrał do dwóch sporych kartonów wszystko, co nie zostało do końca zużyte i mogło się przydać przy kolejnej okazji. Na koniec pomógł Adzie związać worki

i otworzył drzwi zewnętrzne prowadzące na taras, a dalej wprost na szpitalny zieleniec.

– Chodź tędy, nie ma sensu pchać się przez cały oddział – zaproponował i objuczony śmieciami przekroczył próg.

Faktycznie, stąd mieli dużo bliżej do kąta przy bramie, gdzie umieszczono kontenery na odpadki.

Lampka nad oszklonymi drzwiami rozjaśniała tylko niewielką część tarasu. Mżyło ciepłym kwietniowym deszczem – zauważyli to dopiero, gdy wyszli poza krąg światła. Przyświecali sobie latarkami w telefonach, ślizgając się na mokrym ciemnym trawniku. Od kiedy zobaczyli Maćka z Patrycją, wpadli w doskonałe humory. Nawet ten wilgotny spacer do śmietnika wydawał im się niezwykle zabawny. Na koniec złapali po kartonowym pudle i – również przez taras – pomknęli do małego pomieszczenia gospodarczego, kuląc ramiona pod ostrzałem wiosennych kropli. W środku panowały ciemności. Tylko wpadające przez okno blade światło latarni lekko rozpraszało mrok. W kącie pod ścianą leżały ułożone w stos materace piankowe i ogromne klocki z grubej gąbki służące do zajęć ruchowych. W przeciwległym rogu stało pudło na piłki, regał na zabawki ogrodowe oraz mnóstwo składanych plastikowych krzesełek. Jedno z nich nie zostało odstawione na miejsce wystarczająco starannie i przewróciło się na podłogę. Walicka, trzymając w objęciach wielki karton, widziała przed sobą niewiele. Potknęła się o przeszkodę i z potężnym impetem upuściła pakunek. Spadł jej na stopę. Podskoczyła, próbując zachować równowagę. Instynktownie złapała się poły marynarki Bartka, który znalazł się tuż przy niej. Szarpnięty nagle do przodu także wypuścił wszystko z rąk, zaplątał się nogami w kłopotliwe, wciąż leżące pod nogami krzesło i ze zgodnym, pełnym przerażenia „kurrwa” na ustach oboje runęli na stos piankowych materacy.

Pierwsze, co Ada odnotowała, to ulga, że nie rymsnęli na goły beton. Następnie uznała, że to kara od losu za sponiewieranie w mydlinach nieszczęsnego Łodzika. Dopiero potem zdała sobie sprawę, że Bartek jest tuż obok, stanowczo zbyt blisko. W zasadzie leży na niej, ich twarze dzielą jakieś nędzne centymetry, a on uporczywie jej się przygląda. Poczwała, że mimowolnie rozchyła usta, a jej oddech przyspiesza. Nie umiała nad tym zapanować.

Do Bartka ta niefortunna konfiguracja dotarła z pełną mocą nieco szybciej i natychmiast pochłonęła całą jego uwagę. Wiedział, że powinien

natychmiast wstać. To przecież nie było trudne. Wrócić do pionu, podać jej rękę, pomóc się podnieść i wyjść z tej przeklętej dziury, a potem spokojnie poczekać z Adą na zewnątrz pod daszkiem, w ciepłej kwietniowej wilgoci, aż ta zazdrosna lalusiowata klucha przyjedzie. Wróć! Żadna klucha. Doktor Jacek Zawadowicz. Normalny człowiek. Jej narzeczony. Szczęściarz, pieprzony cholerny szczęściarz.

Bartek miał swoją godność, honor i zasady, a także samemu sobie składane obietnice. Zamierzał się ich trzymać, naprawdę. Do czasu, dopóki nie poczuł na swoich ustach przyspieszonego oddechu Ady. Zajrzał jej w oczy i całe opanowanie trafił szlag. Odsunął palcem z jej czoła mokry kosmyk włosów, a potem zaniechał walki z samym sobą i zaczął ją całować.

Był przygotowany, nawet na to trochę liczył, że ona natychmiast przystąpi do walki, będzie szarpać się i go odpychać. Nic takiego nie nastąpiło. Na moment zamarła, zaskoczona intensywnością tego, co gdzieś między nimi pękło i rozlewało się, otulając ich jak w miękkim kokonie. Powoli objęła dłońmi jego twarz i przyciągnęła go jeszcze bliżej. Z każdą sekundą nabierał pewności, że opętało ją to samo szaleństwo.

Nie słyszał deszczu na zewnątrz, nie czuł smrodu potu, który zawsze, mimo ciągłego wietrzenia, utrzymywał się w tym pomieszczeniu. W głowie dudniło mu od woni pomarańczy, którymi pachniały jej włosy. Miał wrażenie, jakby ten zapach zamiast krwi krążył mu w żyłach. Pierwszy raz czuł pod palcami zarys jej bioder, talii i piersi, które zawsze skrywała pod luźnymi ubraniami tak, że nie szło się nawet domyślić, jakie ma kształty. Teraz pozwalała jego dłoniom na dowolne błądzenie od paska spodni aż po koronkę stanika, a nawet wyżej, gdy wreszcie się na to odważył. Każdy dotyk wprawiał skórę w delikatne vibracje i odrywał go od ziemi znacznie skuteczniej niż skrzydła samolotu. Pozornie to zwykła dziewczyna, niczym nie różni się od innych kobiet, a jednak... Przepaść. To o to chodziło! Borys wiedział, o czym mówi, czego oczekuje. Bartek z każdym oddechem coraz dogłębniej go rozumiał.

Chciał wierzyć, że ona pragnie tak samo jak on, by posuwał się dalej w tej cichej eksploracji po jej ciele i nigdy nie przestawał... Ani w ten wieczór, ani w tę wiosnę, ani w tym życiu...

Bzdury!

Przecież wiedział, że to bzdury.

Od takich pragnień i takich eksploracji miała Jacka. Od wszystkiego miała Jacka. Mieszkała z nim. Zaręczyła się. Planowali ślub, dzieci i wspólną

starość ze sztucznymi szczękami w jednej szklance.

Ta myśl go otrzeźwiła. Odsunął usta od jej twarzy i wciągnął powietrze przez nos. Powolnym ruchem wycofał rękę spod cienkiej bluzki.

– Mała... – zaczął z nagłym skrępowaniem.

Spojrzała na niego i chyba też nieco oprzytomniała, bo wysupłała się z jego objęć i zeskoczyła z materacy na podłogę. W pośpiechu porządkowała ubranie i fryzurę, wyraźnie czerwieniejąc, ni to ze wstydu, ni to ze złości.

– Nie jestem mała! – wypaliła wreszcie. – Co ty wyprawiasz?

– Ja?

– Cholera, odwaliło ci?

– Mnie? – Nie potrafił ukryć zdumienia.

– Skończ już z tymi podchodami i ogarnij, że nie kręcą mnie takie gierki. Mam kogoś, dociera to do ciebie? Narzeczony być może czeka już na zewnątrz! – krzyczała coraz głośniej z nutką paniki w głosie, usiłując pozbyć się nagromadzonych emocji. – Nie możesz mnie tak po prostu... Nie możesz mi tego robić! Pracujemy razem. Jestem twoją koleżanką z pracy. Nic, kurwa mać, więcej nas nie łączy. Nic! Pojmujesz?

Bartek słuchał tej tyrady jak wrośnięty w ziemię. Kiedy skończyła, sięgnął po porzuconą na podłodze marynarkę. Założył ją, sprawdził mechanicznie, czy dokumenty i kluczyki od samochodu nie wypadły z kieszeni. Wreszcie rzucił na odchodnym, nie patrząc Adzie w oczy:

– W pełni. Przepraszam.

Kiedy zniknął za drzwiami, poczuła się, jakby chlasnął ją w policzek i jakby to jego zdradziła. Na moment zadumała się nad tym wrażeniem i potężnie ją spłoszyło. Potem poddała się fali wyrzutów sumienia, że oto pierwszy raz tak naprawdę zachowała się nielojalnie wobec Jacka. Mogła wrzeszczeć na Bartka, ale oboje wiedzieli, że nie tylko on był winien. Poniosło ją tak samo jak jego...

Wychodząc z komórki, przywaliła z całej siły pięścią w ścianę. Zabolało tak, że łzy pociekły jej z oczu. Zamknęła drzwi na klucz, przeszła przez taras do świetlicy, pozbierała swoje rzeczy i wybiegła na ulicę. Chodziła wzdłuż chodnika, klnąc, na czym świat stoi, że nie ma przy sobie papierosów. Idiotyczny pomysł z tym rzucaniem. Rozgniałała między zębami gumę nikotynową z taką zaciekłością, jakby niewinna drażetka stanowiła przedmiot jej żywiołowej nienawiści. Kilka minut później podjechała po nią granatowa skoda. Wskoczyła do środka, pociągając nosem.

– Co tam? Znowu jakieś pogorszenie? – zagaił Jacek, zerkając na nią z ukosa, zanim włączył się do ruchu.

Ulica świeciła pustkami, wieczór zrobił się dosyć późny, pogoda pod psem.

– Niestety.

– Taka praca. Albo się uodpornisz, albo cię to wykończy.

– A co u ciebie? – rzuciła, byle tylko zmienić temat.

– Cały czas to samo. Roboty jak w ulu. Powinienem jeszcze posiedzieć, ale tego... Nie chce mi się. Zabrałem z sypialni walizki. Lecisz z nóg, więc może się po prostu zdrzemniesz, a ja nas zawiozę do domu?

– Do domu?

– Do Łapszanki. Zdążymy rano pójść na Kopylec, zanim mama nas zagoni do pomocy w kuchni. W tym roku mija piętnaście lat, od kiedy pierwszy raz się całowaliśmy. Właśnie tam, pamiętasz?

– Piętnaście lat?

– Mhm. Tuż przed Wielkanocą. Podpatrzyły nas dzieciaki Tatarniuków, doniosły matce i dostałem nieźle w skórę.

– Za to, że się ze mną całowałeś? – spytała, bo zupełnie umknęły jej z pamięci szczegóły tamtych zdarzeń.

– Nie za to, że z tobą, tylko za to, że w Wielkim Poście. Po rezurekcji już by mi darowała. – Zaśmiał się i pogłaskał narzeczoną po policzku.

– Jedźmy tam – zgodziła się wreszcie, oparła głowę o drzwi i wbiła wzrok w szybę.

W jej skórę z wolna wsiąkały ślady dotyku i zapachu Bartka. Dzięki podróży nie mogła ich zmyć. Wolno jej było zachować je na dłużej. Czuła się winna – nie wiadomo wobec którego z nich bardziej. Cieszyło ją, że tej nocy nie położy się do łóżka. Wiedziała, że nie dałaby rady jak gdyby nigdy nic kochać się z Jackiem, a potem przy nim zasnąć. Ciągle, natrętnie i uporczywie myślała o dłoniach tego drugiego, odrzuconego mężczyzny.

Rozdział 3

30.

Vanessa Graczyk siedziała na stołku barowym i kiwała stopą w rytm dudniącej z głośników muzyki. Przycupnięty obok facet wydawał jej się nader interesujący i rozważała, jaką wybrać taktykę na wieczór. Miała w zanadrzu kilka scenariuszy, po które sięgała z równą łatwością, co do srebrnej kopertowej torebki po szminkę. Mężczyzn dobierała do aktualnego nastroju, jak ciuchy i makijaż. Rzadko doświadczała na tym tle dylematów. Panna Graczyk traktowała życie jak wielki plac zabaw. Wchodziła w nie z radością i naiwnością przedszkolaka, nie oczekując niczego ponad dobrą zabawę i niekończące się pasmo przyjemności. Chciała wszystkiego spróbować, poczuć każdy smak i zapach młodości, najlepiej od razu. Dzisiaj. Natychmiast.

Rzadko poddawała się refleksji czy rozpaczy. Jeśli już, czarne spleeny nie miały źródła w świeżych kopniakach od losu. Umiała radzić sobie z codziennością bez względu na to, czy rozwijała przed nią czerwone dywany, zginała jej kark, czy zmuszała do tupnięcia obcasem. Przeszłość Vanessa zostawiała za sobą bez żalu i nigdy nie zerkała wstecz. Tylko przyszłość budziła w dziewczynie niepokój. Ciężko mieć nad nią kontrolę, nie da się jej przewidzieć. Panna Graczyk czuła, że nie potrafi się przed nią bronić. Ulotne fale smutku ogarniały ją z tęsknoty za sensem, ze strachu przed jutrem, któremu nie przyświeca żaden cel. Wpadała wtedy na kolację do brata lub siostry, by spędzić wieczór pośród wrzasku, pisku, rozrzuconych zabawek i śmierdzących pieluch. Następnie wracała do domu, wypijała butelkę białego słodkiego wina przy pierwszym lepszym serialu i zasypiała jak dziecko, oczekując o poranku lekkiego kaca oraz zwykłego dobrego nastroju. Działo się bez wyjątków.

Siedzący przy Vanessie mężczyzna stanowił towar z górnej półki. Nienagannie ubrany ciemny blondyn, smukły, z ostro zarysowaną szczęką, wyraźnym wykrojem warg i świeżą, jeszcze ciepłą aplikacją radcowską. Pod powiekami chował coś z nieśmiałej melancholii. Dziwne, bo z pozoru życie przychodziło mu z ogromną łatwością. Swobodnie mówił, poruszał się i sięgał do portfela. Pozostawało pytanie, jak się kochał. Z tej strony Vanessa jeszcze nie zdążyła go poznać. Dopiero nad nim pracowała, choć bardzo się starała, by miał wrażenie, że to on pracuje nad nią.

Dopiła wino i bawiła się kieliszkiem, obracając go powoli wokół własnej osi. Wzrok faceta co rusz uciekał z jej twarzy na dekolt i biodra.

– Jeszcze raz to samo? – spytał, wskazując puste szkło.

– Wolalabym coś nowego – wymruczała zalotnie, zaczepiając końcem buta o jego łydkę.

Mężczyzna przełknął ślinę i poluzował krawat. Odchrząknął i potoczył wzrokiem po rzędach kolorowych trunków za kontuarem.

– Do picia? – upewnił się.

– Niekoniecznie – oznajmiła i zeskoczyła zgrabnie ze stołka.

Straciła cierpliwość. Nie czekając, aż facet zatrybi, że szczęście właśnie się do niego uśmiechnęło, złapała go za rękę, pociągnęła i odwróciła się przodem do sali. Nim wykonała choćby krok, wyrznęła czołem w niewątpliwie męską klatkę piersiową, która nagle wyrosła jej na drodze. Zamrugła, odruchowo poprawiła grzywkę i podniosła wzrok, szukając doczepionej do tej klatki głowy. Znalazła ją bez większych problemów we właściwym miejscu. Wzięła się pod boki i prychnęła z udawaną złością.

– Pojebało cię?

– Zapewne. – Usłyszała w odpowiedzi. – Jak się masz, Vanessa?

– Świetnie, za to z tobą coraz gorzej. Ze dwa miechy cię nie widziałam. *Gdzieś ty latała, gdzieś ty fruwała?*

– Nie kituj Tuwimem, widzę, że nie płaczesz. Nigdzie nie latałem. –

Bartek wzruszył ramionami. – Utknąłem jak ślimak w słoiku z jednym cholernym liściem sałaty. Chyba mi zaszkodził.

– Nie przesadzasz? – dopytywała, puszczając dłoń towarzyszącego jej faceta.

– Pewnie tak. Przedstawisz mnie panu? – Pilch zmienił temat, wskazując na świeżo upieczonego radcę, który lekko skonsternowany przysłuchiwał się rozmowie.

Ten koleś był mu zupełnie nie po drodze.

Vanessa machnęła ręką, dokonując niedbałej prezentacji.

– Dariusz Barański. Bartosz Pilch.

– Napijesz się z nami? – zaproponował prawnik bez przekonania.

Bartek podrapał się za uchem i odpowiedział, patrząc wyłącznie na dziewczynę.

– Nie mam ochoty na clubbing.

To był ten moment, w którym myślący człowiek powinien się zmyć. W Barańskim odporność na sugestie podbijały determinacja i desperacka nadzieja na to, że ten wieczór nie skończy się na klubowych rozrywkach. Tymczasem ta prawie jego kobieta nie zamierzała bawić się w subtelności i tracić czasu na idiotyczne metafory.

– Sorry, Dario, następnym razem. Dzisiaj on wchodzi na pokład – oznajmiła i wbiła pomalowany na fioletowo paznokieć w ten sam punkt, w który wcześniej zaszarżowała czołem.

Nie obdarzając spojrzeniem żadnego z mężczyzn, podreptała do wyjścia, delikatnie kołysząc biodrami. Bartek skinął na pożegnanie głową i ruszył jej śladem. Porzucony Barański zmełł w ustach łacińskie przekleństwo, wrócił na swój stół i zamówił podwójną whisky.

Królestwo Vanessy Graczyk nie porażało ładem ani wystrojem. Wydzielone jako osobna kawalerka z wygodnego, przedwojennego mieszkania niemieckiego introligatora i bibliofila mogło zachwycić jedynie ogromnym oknem z widokiem na park Źródłiska. Duch byłego właściciela załamywał ręce, widząc, że zamiast jego literackich zbiorów po pokoju walają się sterty ciuchów i dziesiątki par butów, a beztroska lokatorka przedkłada nad lektury seriale o wampirach i strzygach. Stanowczo powinien ją straszyć po nocach.

Bartek znał doskonale to miejsce, więc nie próbował rozglądać się po kątach. Zdjął marynarkę i powiesił na jedynym wolnym krześle, mówiąc:

– Słuchaj, jeśli miałaś ochotę się z nim zabawić, to tego... Pójdę i już.

– Przyszedłeś tu pieprzyć czy pierdolić? – spytała słodkim głosem, trzepocząc kokieteryjnie rzęsami spod drzwi łazienki.

– W zasadzie...

– To nie pleć bzdur – podsumowała, szerokim gestem zapraszając go pod prysznic. – Nie marnuj czasu.

Pilch uśmiechnął się do dziewczyny i zdjął koszulę przez głowę.

Mogła zachowywać się jak rozwiązła hedonistka i bałaganiara, ale zawsze pachniała czystością, zarażała dobrym humorem i doskonale sprawdzała się jako zamiennik diazepamu. Fundowała chwilową amnezję i oderwanie od wszelkich kłopotów. Do tego nieźle się z nią rozmawiało i była świetna w łóżku.

– Pijesz? – bardziej poinformowała, niż zapytała godzinę później, gdy z melancholijną zadumą wpatrywał się w ciemność za oknem.

– Co masz? – Odwrócił się i przysiadł na parapecie, omiatając ją wzrokiem.

– Poza urodą i seksapilem? – zażartowała.

Wyskoczyła z pościeli i przeparadowała nago przez środek pokoju. Pochyliła się, żeby pomyszkować w niskiej szafce. Grzebała w niej dość

długo, by mógł się napatrzeć na jej pośladki i nogi. Lubiła budzić zachwyty i pożądanie zwłaszcza w facetach, których szczerze lubiła.

– Dżin z tonikiem albo wiśniówka – oznajmiła, trzymając w rękach dwie pełne butelki.

– Wybieram sam dżin, bez toniku – zdecydował, podchodząc, i wyjął jej trunek z dłoni.

– Obrzydliwe – skwitowała.

Zdjęła nakrętkę i pociągnęła spory łyk wiśniówki prosto z gwinta. Pilch uśmiechnął się krzywo i poszedł w jej ślady.

Przez dłuższą chwilę popijali w milczeniu. Wciąż stała na golasa, stopy jej marzły od zimnej podłogi i z wolna dostawała gęziej skórki, a oczekiwany zachwyty nie nadchodził. Gość wydawał się nieco nieobecny.

– Gdybym wiedziała, że będziesz taki skwaszony, wybrałabym Barańskiego. Pieprzysz świetnie, ale do towarzystwa się dzisiaj nie nadajesz.

– Nic straconego. Zadzwoń po niego, ulotnię się.

– Słuchasz mnie w ogóle? Powiedziałam, że nie nadajesz się do towarzystwa, a nie, że do niczego – burknęła z oburzeniem i otarła usta z alkoholu. – Planujesz się otwierać i opowiadać?

– O czym?

– O ślimaku i liściu sałaty? Ostrzegam: pozwalam ci zostać pod warunkiem, że nie zaczniesz mi się zwierzać z żadnych cierpień. Młodego Wertera nie zniosę.

– Nie planuję – zapewnił i odstawił na parapet opróżnioną do połowy butelkę.

Zemdliło go od dżinu, więc podszedł do zlewu w aneksie kuchennym, żeby napić się wody z kranu.

– Dzięki niech będą niebiosom. – Vanessa przeciągnęła się z wystudiowaną gracją i usiadła na bufecie w prowokacyjnym rozkroku. –

Problemy romantycznych bohaterów mam w dupie, za to chętnie się jeszcze pobzykam.

– Jesteś nimfomanką – wyszeptał jej do ucha, gładząc wewnętrzną stronę jej uda.

– Mhm... – mruknęła, rozsuwając szerzej nogi. – Komuś to przeszkadza?

Nawet jeśli znalazłby się ktoś taki, Pilch musiał przyznać, że to na pewno nie on.

Nad ranem wjeżdżał windą na swoje piętro, podsumowując smętnie, że wygląda jak lump, śmierdzi na odległość alkoholem i seksem oraz

z trudnością utrzymuje pion. Kusiło go, żeby wejść po cichu do sąsiedniego mieszkania i walnąć się spać na kanapę w salonie. Wszystko, byle tylko nie zostać sam na sam ze swoimi myślami. Wiedział jednak, że ten numer nie przejdzie, bo ta zielona cholera rozwrzeszczy się jak obłąkana, informując panią Ludmiłę, a przy okazji połowę bloku, że Bartek jest *durak* i *brodiaga*. W dodatku zebrałby niezły ochrzan od staruszki, że nachlał się trucizny. Wódka i spirytus to samo zdrowie, ale dżin? Zgnilizna i ostateczny upadek. Nie miał siły się z tego tłumaczyć.

Zostawił otwarte drzwi do toalety w przekonaniu, że rano problem z żołądkiem go nie ominie, i rzucił się w ubraniu na łóżko, oczekując na sen.

Krewa!

Usnął, owszem, i co z tego? Po całej nocy wyuzdanych orgii i chlania przyśniły mu się piersi i usta cudzej narzeczonej.

Kara. Pieprzona kara za grzechy młodości.

Nad ranem postanowił, że nie spotka się więcej z Vanessą. Po co, skoro w niczym mu to nie pomaga? Dla niej też byłoby lepiej, gdyby zaczęła wreszcie myśleć o kimś na poważnie. Może o tym radcy Barańskim? Miły chłopak. Nie wygląda na idiotę, raczej na takiego, który bez trudu się w niej zakocha. Jest zatem znacznie lepszą partią niż Bartek.

31.

Krucze ciasto trzeba wyrabiać szybko, by się zanadto nie ugrzało. Masło pokroić nożem w równiutkie kosteczki. Potem rozgniatać, mieszając z mąką, cukrem i jajem, najlepiej samymi końcówkami palców, ochłodzonymi pod zimną wodą. To konieczne, bo wielkanocny mazurek musi być idealnie kruchy. Bez tego przysmaku święta się nie liczą.

Ada łączyła składniki w jednolitą masę pod czujnym okiem Heleny Zawadowicz. Doskonale nadawała się do pomocy przy świątecznych wypiekach, bo ręce zwykle miała chłodne, a palce wytrenowane w zabawie z uczniami masą solną i plasteliną.

– Nie pieść się tak, włóż trochę siły, jeszcze kilka razy – dopingowała przyszła teściowa. – Porządnie i mocno, jakbyś je chciała ukarać.

Walicka zacisnęła zęby i podwoiła tempo. Sprężysta lśniąca kula ciasta podskakiwała nad stolnicą. Jacek stanął w drzwiach kuchni i przez chwilę obserwował te zmagania.

– Daj dużo skórki pomarańczowej – zwrócił się do matki. – I dolej aromatu pomarańczowego do ciasta.

– Czemu pomarańczowego? – zdumiała się pani Helena. – Zawsze ci smakowało z migdałowym.

Jacek uśmiechnął się szeroko i objął ją ramieniem.

– Mamo, wszystko, co pieczesz, jest pyszne. Ada najbardziej lubi taki. Zrób dla niej. – Podszedł do narzeczonej i pocałował ją w szyję.

– Ano lubi. Masz rację. Zawsze tylko pomarańcze i mandarynki. Pamiętam jak dziś, to było na spotkaniu świątecznym w pierwszej klasie. Nauczycielka pytała dzieci, co chcą na Mikołaja...

– Od Mikołaja – poprawił odruchowo Zawadowicz.

– No od. Ty poprosiłeś o jakieś autko czy ciuchcie... A Ada zażyczyła sobie koszyk pomarańczy. Wszyscyśmy się z tego naśmiewali. Dostałaś ten koszyk, pamiętasz? Twój tata specjalnie szukał ładnego, żebyś go potem miała na zabawki.

Walicka klepnęła ostatni raz ubitą kulkę ciasta i otrzepała ręce z mąki.

– Gotowe – powiedziała, ignorując temat ojca. – Będę jeszcze potrzebna?

– Mnie bardzo – rzucił Jacek, nim pani Helena otworzyła usta. – Mamo, na cały ranek wypożyczyłem ci narzeczoną do garów, teraz sam chciałbym ją wykorzystać.

– Czyli? – wtrąciła Ada, lekko się rumieniąc.

Pani Zawadowicz była osobą tak bogobożną i cnotliwą, że wszelkie frywolne uwagi i dwuznaczności wydawały się przy niej nie na miejscu. Od lat żyła sama, odrzucając liczne podchody okolicznych kawalerów i wdowców. Nadal jaśniała krzepką i prostą, lecz niewątpliwą urodą i nie brakowało śmiałków. Odganiała ich od progu niczym natrętne muchy. Zastanawiał fakt, jakim cudem przy tym podejściu do mężczyzn została matką.

– Mam ochotę na wspólny spacer – wyjaśnił narzeczony.

– Idźcie, dzieci. – Matka nie miała zwyczaju narzucać się nikomu ani z towarzyszeniem, ani z robotą. – Tylko zahaczcie o cmentarz. Grób trzeba na Wielkanoc przystroić, a ja dzisiaj nie dam rady. W sieni leży uszykowany znicz. Narwijcie żonkili. Tych, co za domem po lewo rosną. Najładniejszych.

– Wieczorem podrzucę cię tam samochodem.

– Nie, synku. Raz na jakiś czas powinieneś ty. Święta to czas pojednania z Bogiem i z ludźmi.

Ada nie słuchała tej dyskusji. Zdjęła przewiązany w pasie fartuszek i ruszyła do drzwi. Zawsze to samo. Jacek nie znosił cmentarza tak jak odwiedzin u pani Gabrieli w szpitalu. Walickiej wydawało się to niedojrzałe. Zwykła ucieczka przed refleksją, prawdą i tym, co w życiu trudne. Powinien stanowczo dorosnąć.

Po chwili narzeczony dołączył do niej w ciasnej sieni, założył buty, a w kieszeń kurtki wsunął znicz. Uśmiechnęła się do niego ciepło, widząc, że ustąpił matce. Odpowiedział też uśmiechem, motając wokół jej szyi lekką apaszkę.

– Wieje z gór – oznajmił. – Jeszcze mi się przeziębisz.

Żonkile wypadły im z głowy. Powędrowali szybkim krokiem w stronę przełęczy. Nie potrafili spacerować powoli. Żyjąc od lat w mieście, przywykli, że ciągle się dokądś spieszą. Słońce stało wysoko na niebie i z wysiłkiem topiło białe placki na zboczach i w żlebach Tatr Bielskich. W Łapszance po śniegu nie został żaden ślad i na wąskiej ścieżce między polami zalegało tylko grząskie błoto pozostałe po wiosennych deszczach.

Trzymali się za ręce jak lata temu, gdy tą samą drogą biegali na przełęcz, by całować się z dala od wścibskich oczu sąsiadów i groźnego spojrzenia matek. Przystanęli dopiero na górze, przy starej kapliczce z dzwonnica. Według miejscowych legend miała odganiać planetniki – demoniczne bóstwa sprowadzające burzę i grad. Dziś nikt w to nie wierzył. Małeńka

budowla tuż obok zapierającej dech panoramy na Tatry pełniła już tylko dumną rolę symbolu wsi.

Jacek oparł Adę o ścianę kapliczki i żarliwie pocałował. Poddała się temu z głębokim westchnieniem, odprężając całe ciało. Czuła, że z każdą sekundą pozbywa się napięcia i zamętu w głowie po ostatnim wieczorze w szpitalu. To jest jej świat i jej mężczyzna. Tylko z nim i tylko tak wszystko dzieje się naprawdę. Tamto nie wiadomo co to fałszywa ścieżka, karykatura życia, absurdalny, rozrysowany ręką przypadku komiks, który nigdy nie stanie się rzeczywistością. I słusznie, bo tak jest lepiej. To życie jest znane, bezpieczne i dobre. Wiadomo, czego się po nim spodziewać. Nie obiecuje cudów, ale też nie zawiedzie, nawet jeśli ostatnio bywało nieprzyjemnie...

– Może podejźmy dziś do księdza? – Jacek oderwał od niej usta i zajrzał jej głęboko w oczy.

– Do księdza? Po co?

– Pogadać o ślubie. Matka wierci mi dziurę w brzuchu. Ma rację, po co czekać? Trzeba iść i zapytać o wolny termin.

– Chcesz brać ślub tutaj, nie w Łodzi? – zdumiała się, tocząc wzrokiem po zabudowaniach wsi i odległym górskim krajobrazie.

– No pewnie. Tu się urodziliśmy, zakochaliśmy, tu grzeszyliśmy bez opamiętania, pamiętasz? Tu jest matka, a sama wiesz, że nie lubi wyjeżdżać. Podróże ją męczą. Robi się coraz słabsza.

– No, chyba że ze względu na twoją matkę...

– Tu powinniśmy też postarać się o dziecko. Najlepiej od razu.

– Tu? – Zaśmiała się. – Tak na oczach wszystkich?

– Na oczach mi nie zależy. Możemy się schować.

– Za zimno na ekscesy w plenerze. Ziemia mokra, zboże jeszcze nie urosło...

– Jezu, Ada! Musisz się nabijać?

– Nie. Przepraszam. Po prostu mnie zaskoczyłeś i nie wiem, jak reagować.

Przytuliła się do niego i objęła go mocno w pasie.

– Spróbuj zwyczajnie się tym cieszyć – zaproponował, otulając ją ramionami. – Pójdźmy do księdza i ustalimy datę ślubu. Potem wyrzucę wszystkie gumki i będę się kochał z tobą do utraty tchu. Znudziło mi się marnowanie życia.

– Wolałabym tradycyjną kolejność. Najpierw ślub, potem dziecko.

– Okej, jeśli tak będziesz lepiej się czuła – zgodził się z ociąganiem. – W takim razie pobierzmy się najszybciej, jak się da.

– Kiedy ty znajdziesz czas na bycie mężem i ojcem? – spytała z lekką kpina, odsuwając się.

– Odejdę od Korneckiego – oznajmił twardym głosem.

– Jak? Dlaczego? – Nie kryła zdumienia. – Tyle poświęciłeś tej pracy. Sam mówiłeś, jaka jest ważna. Nowe lekarstwo i badania...

– Poradzą sobie beze mnie. Zrobiłem swoje. Zarobiłem na wkład własny do kredytu hipotecznego. Zachłanność jest prostacka, wystarczy mi uczelnia.

– Ktoś cię podmienił? Nie poznaję własnego narzeczonego.

– Sam siebie nie poznaję. Chyba się wystraszyłem.

– Czego?

– To szło w złym kierunku. Za dużo kosztowało mnie, ciebie... Sama wiesz. Wszystko naprawię. Podomykam z nimi ostatnie sprawy i się wymiksuję. Oddam ci wszystkie moje wieczory, a ty przestaniesz siedzieć tyle w szpitalu, żeby nie być sama.

– Przecież ja nie dlatego. To przez Maćka.

Nie wiedziała, czy ta nagła zmiana w Jacku bardziej ją cieszy, czy niepokoi.

– Tak, pamiętam. Chodźmy już. Do kościoła, a potem do domu. Pomożemy matce.

– Jeszcze cmentarz.

– Cmentarz poczeka. Najważniejsze to ustalić datę.

Kilka godzin później pani Helena pokraśniała ze szczęścia, słysząc, że syn dał na zapowiedzi. Gniotło ją i uwierało gdzieś w środku, że tyle lat żył bez ślubu. Teraz nareszcie wszystko się poukłada. Jemu się poszczęści. Nie będzie wypłakiwał oczu za utraconą miłość. Nie czeka go samotne życie z bólem i wyrzutami sumienia. Może i jej los się odmieni? Odpokutowała już winy głęboko w duszy, choć cierpienie zostanie z nią zawsze. I słusznie, bo zło można wybaczyć, jednak nie wolno o nim zapominać. Bóg jej odpuścił, a ludzie... Ludzi też powinna przeprosić. Wszystkich, których skrzywdziła. Bez wyjątku.

– Lipiec nie ma w nazwie „r”. Nie dało rady na czerwiec? – spytała syna, podnosząc się ciężko ze stołka, żeby zaparzyć herbatę.

Kula wysliznęła jej się z dłoni i z rumorem upadła na podłogę. Jacek poderwał się i podał ją matce.

– Nie wstawaj – poprosił ciepło. – Ja zrobię. Powinnaś iść do lekarza. Może przepisałby ci jakieś zabiegi. Chodzenie sprawia ci coraz większą trudność.

– Na starość zabiegi nie pomogą. Nigdzie się nie wybieram. Nie wierzę konowałam. Raz się dałam położyć w szpitalu, kiedy cię rodziłam, drugi raz po wypadku i wystarczy. Nigdy więcej.

– Na pewno można coś zrobić, żeby pani ulżyć, pani Heleno – wtrąciła się Ada, przysiadając na parapecie okna.

– Kulawiec ze mnie od dwudziestu lat i taka umrę. Twojej mamy lekarze nie wypuszczają z rąk i widzisz, żeby jej coś pomogli?

– No nie. Ale ona to przecież co innego.

– Na chorobę duszy nikt nie zaradzi. Ten lipiec mi się nie podoba. Żle wróży – zmieniła temat i wstała, podpierając się na kuli. – Zostaw, Jacuś, zaparzysz za mocną, a ja nie lubię. Dla was też niezdrowo.

– Jeśli nie w lipcu, to dopiero jesienią. W październiku.

– Bardzo dobrze. – Kobieta pokiwała głową, nasypując czarnej herbaty do dzbanka. – Chociaż czerwiec byłby najlepszy. Urodziliście się w czerwcu i wtedy powinniście zacząć wspólne życie. Takie prawdziwe. – Łypnęła na syna z przyganą. – Z błogosławieństwem bożym. – Nalała wrzątku i przykryła dzbanek pokrywką, by esencja nabrała mocy.

– W czerwcu brak wolnych terminów – próbował uciąć temat Jacek.

– To może rzeczywiście ten październik – powiedziała ugodowo Ada, wyjmując z szafki cukiernicę i stawiając na bufecie. – Możemy przesunąć.

– Nic nie przesuwamy – warknął Zawadowicz. – Nie wierzę w głupie zabobony.

– Bo ty już w nic nie wierzysz. Nawet w Boga – westchnęła pani Helena. – Na cmentarz poszłście?

– Nie – odparł syn twardym głosem.

– Boże mój, czy nie mógłbyś już skończyć z tą nienawiścią? Zjada cię od środka, to bez sensu – mamrotała kobieta, nalewając herbaty do kubków. – Dobrze wiesz, że nie tylko on był winny.

Ada zerwała się i skroiła na spodeczek kilka plasterków cytryny. Czuła się niezręcznie, uczestnicząc w tej rozmowie. Niewiele wiedziała o ojcu Jacka poza tym, że zmarł dwadzieścia lat temu. Mniej więcej wtedy jego żonie zdarzył się wypadek, po którym już zawsze chodziła o kuli. W tym samym czasie Stefan Walicki zniknął z życia córki i zaczęto go nazywać zbrodniarzem z Łapszanki. Ada jako dziecko nie dostrzegła związku

między tymi sprawami. Gdy dorosła, nie odważyła się zapytać. Temat otaczała dziwna aura tajemniczego i posepnego milczenia. Walicka bała się prawdy.

– Wiem – odpowiedział Jacek, zabrał z bufetu kubek i uciekł z kuchni, rzucając w progu: – Przepraszam. Muszę popracować.

Pani Helena popijała małymi łykami gorącą herbatę, siorbiąc i dmuchając na przemian.

– Pojedziemy razem na ten cmentarz. Chce pani? – zaproponowała Ada.

– Ty i ja?

– Dlaczego nie? Chyba że z jakiegoś powodu nie powinnam.

– Powinnaś. Jeśli mamy stać się rodziną, to musisz tam iść. Jesteś mu to winna.

– Ojcu Jacka?

– Nie – odparła pani Helena, patrząc jej w oczy. – Swojemu tacie. Stefanowi.

W milczeniu dopiły herbatę, ubrały się i wyszły z domu. Pani Helena podreptała do ogródka po żonkile. Ada zabrała z kurtki narzeczonego kluczyki do samochodu, znicz i zapalniczkę. Zdusiła w sobie nagłą chęć zapalenia papierosa i wsunęła do ust gumę nikotynową. Natychmiast przypomniał jej się Pilch i zakłuły ją wyrzuty sumienia. Jak mogła go tak potraktować? A Jacka? Jego też. Gdyby Bartek tego nie przerwał, zdradziłaby narzeczonego bez mrugnięcia okiem. Chciała tego. W tamtej chwili ponad wszystko chciała kochać się z tamtym facetem. Nadal czuła, że tego chce. To żałosne.

Niewielki cmentarz mieścił się za kościołem w Łapszach Wyżnych. Dojechały tam w kilka minut otulone ciepłym, pomarańczowym, wieczornym niebem. Wokół panowała cisza. Były same, tylko one i skromny nagrobek z wyrytym napisem:

Edward Zawadowicz

Żył lat 34

Zmarł 25 lipca 1998 roku

Pokój jego duszy

– Jezu – jęknęła Ada. – Jaki młody! Niewiele starszy ode mnie.

– Wszyscy byliśmy młodzi, dziecko. Młodzi i durni. Nie liczyło się nic, tylko poryw serca, dudniąca krew w żyłach i to, co tu i teraz. Bez względu na konsekwencje.

Przysiadły na wygodnej ławeczce, którą kilka lat wcześniej sfinansował Jacek, choć nigdy nie odwiedzał grobu ojca. Ada ułożyła kwiaty w wazonie. Zapaliła znicz i postawiła na środku pomnika. Milczały długą chwilę, zatapiając się w myślach i patrząc na płomyk tańczący na wietrze. Wreszcie pani Helena westchnęła ciężko i odezwała się cichym głosem:

– To się nie zapowiadało na nic wielkiego. Nie wiedziałam, że tak się stanie. Gdyby nawet ktoś mnie ostrzegł, nigdy bym nie uwierzyła.

– O czym pani mówi? – spytała zaskoczona Ada.

– O twoim tacie.

– On ma związek ze śmiercią pani męża?

– Nie wiesz, za co Stefan siedzi?

– Nie. Mama nigdy nie chciała mówić, a we wsi przy dzieciach nikt o tym nie plotkował. Wiem, że dostał dwadzieścia pięć lat i zniknął w tym samym roku, w którym zmarł pani mąż. Mój tata go zabił, prawda? – wyrzuciła z siebie jednym tchem, choć przez całe lata nie odważyła się wprost sformułować tej myśli.

– I tak, i nie. Życie rzadko bywa proste. Nie zawsze oczywiste jest to, kto zawinił, a karę ponoszą wszyscy. Nawet wy, dzieci.

– Co się wtedy stało?

– Tak jak mówiłam, to się wcale nie zapowiadało na dramat. Bóg musiał się zmęczyć, przymknął oko i pozwolił ludziom na samowolkę. Rozumiesz?

Ada skinęła głową, choć nie rozumiała. Nie chciała jednak przerywać i dopytywać. Pani Helena szła typowym dla siebie tokiem myślenia i szkoda byłoby wybijać ją z rytmu.

– Nie wiem, jak go zapamiętałaś – ciągnęła. – Miał szczery uśmiech i dobre oczy. Mniej przystojny niż mój mąż, nie tak umięśniony, za to z daleka wyczuwało się w nim prawdziwego człowieka. Widać było jego duszę. Serce na dłoni, tak się mówi. To rzucało się w oczy. Mój mąż pracował na budowie. Jeździł do Bukowiny. Powstawał tam taki wielki ośrodek wczasowy, a on potrafił wszystko. Chętnie go brali, bo nie marudził, że na czarno. Jak miał marudzić, kiedy w domu małe dziecko? Jacek chorował na płuca. Astmę miał, duszności, a leki kosztowały fortunę. Wtedy nikt nie wybrzydzał z robotą, byle wpadł jakiś grosz. Edek z budowy wracał po wódce. Mniej lub bardziej, ale zawsze napity. Denerwowało go, że dziecko płacze, że kotlet za mały albo nie taki film w telewizji. Bił, kogo popadło: mnie, syna, nawet kotu się obrywało. Jacek posiniaczony chodził

do lekarza, a ja się musiałam tłumaczyć, że się potknął, nie uważał, że łamaga.

– Dlaczego pani tego nie przerwała? – Ada nie mogła dłużej milczeć. – Czemu pani nie odeszła?

– Dokąd? Dom był jego i to on przynosił pieniądze. Nie miałam rodziny, nie pracowałam. Poza tym to narastało powoli. Może gdyby zniecka skatował któreś z nas, uciekłabym bez wahania. Z miesiąca na miesiąc pozwalał sobie na coraz więcej, drobnymi krokami. Tak bym zdążyła się do tego przyzwyczaić, zaakceptować, znaleźć na to wytłumaczenie.

– Co ma z tym wspólnego mój tata?

– Ano właśnie. Raz kiedyś, w zimie, Jacek dostał duszności. Skończyły mi się lekarstwa, nie mogłam zostawić go samego i lecieć do apteki, a mój mąż zapił z kolegami i wiedziałam, że raczej na noc nie wróci. Zadzwoiłam po pomoc do znajomej, na którą zawsze, od lat, mogłam liczyć. Wiedziała, że nie odmówi. Wysłała do mnie męża, by wziął receptę i skoczył wykupić, co trzeba. Pewnie gdyby przeczuła, czym to się skończy, odmówiłaby. A może nie? Takich rzeczy nie da się przewidzieć.

– Kto to był?

– Twoja mama. Twój tata przyjechał starym polonezem. Mówił na niego „strucel”, ale dbał, by zawsze odpalał. Nawet w mróz. Z Jackiem robiło się coraz gorzej, zaczął się dusić. Stefan zawiózł nas do szpitala i spędziliśmy tam całą noc, nim lekarze nas puścili do domu. Przepraszam cię, dziecko, najmocniej przepraszam. Wybacz mi, jak wybaczył Bóg. – Kobieta ukryła twarz w dłoniach i Ada nabrała przekonania, że płacze.

– Nie rozumiem. Za co mnie pani przeprasza?

Pani Helena otarła rękawem oczy i mocno pociągnęła nosem. Strząsnęła z kolan niewidoczne okruszki i wróciła do zwierzeń.

– Zakochałam się w nim wtedy bez pamięci. W Stefku, twoim tacie. Nie byłoby w tym nawet nic złego. Tylko że on... Ada, nie wiem dlaczego... też się we mnie zakochał. To nas przerosło. Próbowaliśmy się przed tym bronić. Przysięgam na Grób Pański, żadne z nas nie chciało się temu poddać. Nie radziliśmy z tym sobie, bo i jak? Znasz takie uczucie, kiedy świat zamyka ci się na oczach drugiego człowieka? Na jego dłoniach, twarzy i ustach? Powinnas znać, jeśli zamierzasz wyjść za mojego syna. Bo taka miłość istnieje, Ada, i nie można przed nią uciec. My także nie uciekliśmy.

– Mielście romans? – wydusiła z siebie Walicka w osłupieniu.

– To paskudne słowo, ale tak. Dziecko, nie chcę ci kłamać. Kiedy spotykałam się z twoim tatą, to był najpiękniejszy okres w moim życiu. Mimo strachu, wyrzutów sumienia, pewności, że to nie może trwać wiecznie i kiedyś się wyda.

– Ile trwało?

– Ponad dwa lata. Tyle czasu zasypiałam i budziłam się przy mężu, myśląc o innym mężczyźnie. Taki grzech nie może zostać bez kary.

– Co się stało?

– Twoja mama się domyśliła.

– Jak? – Walicka starała się zachować spokój, chociaż potwornie bała się tego, co może za chwilę usłyszeć.

– Nie wiem. Nigdy się nie dowiedziałam, chociaż podejrzewam, że twój tata jej powiedział. Planował od niej odejść. Prosił, żebym też się rozwiodła. Powstrzymało go tylko to, że bardzo cię kochał. Nie chciał niszczyć twojego świata. Zastanawiał się, kiedy staniesz się dość duża, by go zrozumieć i wybaczyć mu. W jednej chwili wszystko to stało się nieważne, bo twoja mama wybrała najgorsze z możliwych rozwiązanie.

– Czyli?

– Powiedziała o wszystkim mojemu mężowi. On postanowił mnie ukarać w jedyny słuszny sposób.

– Pobił panią?

– Tak. To wtedy zleciałam ze schodów. Kiedy pojawił się twój ojciec, leżałam na ziemi z otwartym złamaniem kości udowej, w kałuży krwi. Edek strasznie sponiewierał też Jacka. Mogliśmy tam poumierać, rozumiesz? Czasem myślę, że tak by było lepiej.

– Jak umarł pani mąż?

– Od kuchennego noża.

– Tata ugodził go nożem?

– Podczas sekcji naliczono czternaście ran ciętych. Część z nich została zadana już po śmierci ofiary.

32.

Tymek Pilch siedział przy stole w mieszkaniu stryja i z niedowierzaniem oglądał ze wszystkich stron pudełko z modelem do sklejania. Prezent wydawał mu się wręcz niedorzeczny. Nie sprawiał wrażenia czegoś, co mogło kiedykolwiek naprawdę istnieć.

– Antonow A-40 KT – przeczytał na opakowaniu. – Kurczę, jakiś dziwoląg. To w ogóle samolot?

– Nie do końca. Szybowiec – oznajmił z triumfem stryjek, ciesząc się, że zdołał zaskoczyć dzieciaka.

– Naprawdę zbudowali coś takiego?

– Powstał tylko prototyp. W czterdziestym drugim, podczas drugiej wojny światowej.

– Nie sprawdził się – chłopiec bardziej stwierdził, niż zapytał.

– Nie do końca. Miał służyć do szybkiego transportu lekkich czołgów na pole walki. Spójrz, wygląda jak połączenie dwupłatowca z czołgiem. O dziwo, latał bez problemów, tylko zestrzelenie go było prostsze niż pstryknięcie palcem. Dlatego nie wszedł do masowej produkcji i nie służył armii sowieckiej.

– Głupota.

– Tymek, wojna to koszmar – wyjaśniał Bartek. – Armie desperacko kombinowały, jak zdobyć przewagę na froncie, i wychodziły z tego takie cuda.

– No spoko, wujek. Ale latający czołg? Chyba pęknę ze śmiechu.

– Stryjek. Żaden wujek, gadzino, albo oddajesz zajęcia z czekolady. Nie ma co się nabijać, Japończycy też pracowali nad czymś podobnym. Poczekaj, pokażę ci.

Obaj pochylili ciemne głowy nad ekranem smartfona, na którym widniało zdjęcie jedyne powstałego prototypu Maeda Ku-6.

– Nadali mu kryptonim Kuro-sha – wtrącił Borys, stawiając na stole paterę z wielkanocną babą i sernikiem.

– Kuro? – parsknął chłopiec. – Miały nim latać kury czy co?

– Niewykluczone. Nie nadawał się do niczego poza rolą latającego kurnika – podsumował Bartek i nałożył dziecku ciasto na talerzyk.

– Kawę zrób ty – zasugerował Borys i usiadł obok syna. – Tylko może bez tych twoich dekoracji.

– Ej, dlaczego? – oburzył się chłopiec. – Ja chcę kakao z pianką i ma być z du... ten, no... z pośladkami. Nikt inny na świecie nie potrafi takich

wyczarować. Wszyscy koledzy w klasie mi zazdroszczą.

– Tego, że pijasz kakao z zadkiem? – Bartek się roześmiał.

– Tego, że mam takiego wujka – palnął chłopiec i natychmiast się poprawił: – No dobra, stryjka. Taty też mi zazdroszczą. I *Skrzydła*. Bo one są też tak trochę moje, co nie?

– Jasne, że są twoje. – Borys zwichrzył synowi włosy. – Ty jesteś nasz, *Skrzydła* są twoje, wszystko zostaje w rodzinie.

W tonie mężczyzny zabrzmiała niekontrolowana gorycz. Dziecku umknął ten drobiazg, jednak Bartek spojrział na brata z niepokojem.

– Weź kakao i skocz do pani Ludmiły. Pokaż jej model. Możesz nawet zacząć sklejać. Wypijemy z tatą kawę i przyjdziemy ci pomóc.

– Okej, idę – zgodził się chętnie chłopiec. – Zoja jest super. Tylko nic przy niej nie sklejam, bo mi pokradnie części i rozniesie po całym domu. Później skleimy.

Zeskoczył z krzesła i ruszył w stronę drzwi, ostrożnie ściskając w dłoniach kakao z pianką ułożoną w kształt krągłych pośladek.

Bartek odprowadził go do sąsiedniego mieszkania i upewnił się, że starsza pani zajmie się dzieckiem. Przy okazji oberwał po uszach zielonymi skrzydłami, bo zapomniał zabrać orzecha.

– *Beschestiye, beschestiye!* – poniosło się za nim aż na klatkę schodową, gdy w pośpiechu zamykał za sobą drzwi.

Starszy Pilch siedział przy stole i pił kawę, wpatrując się w okno. Od dawna wiedział, że jego życie zmierza donikąd. Niemal zapomniał o czasach, gdy wszystko było na swoim miejscu. Chociaż, czym jest owo „swoje miejsce”? Skąd można czerpać przekonanie, że idzie się właściwą ścieżką? W Borysie z wolna dojrzywała potrzeba, by choć raz zrobić coś tylko dla siebie, poczuć się najważniejszym, pierwszym i niezastąpionym. Marzył, by uciec od wszystkiego, co go pęta, ogranicza i przytłacza, a jednocześnie tego nie stracić. Zachować choćby marny cień, powidok wszystkiego, czego pragnął. Towarzyszyło mu wrażenie, że nie żyje swoim życiem, a jedynie jego odbiciem w stłuczonym, koślawym lusterku. Nie wiedział nawet, czy chciałby je jeszcze posklejać.

Od najwcześniejszych lat dziadek upatrywał w młodszym wnuku dziedzica i kontynuatora lotniczej kariery. Byli do siebie podobni: bezpośredni, otwarci, szczerzy. Nieco introwertyczny, niezbyt pewny siebie, zatopiony we własnych myślach Borys nigdy nie nadawał ze starym Pilchem na tych samych falach. Jako dziecko czuł, że w niczym się nie sprawdza.

We wszystkim, co ważne, okazał się zbyt słaby: w rysowaniu, lataniu, sporcie i wrywaniu panienek. W końcu odkrył coś, w czym przewyższał Bartka. Jednak nie starczyło mu sił, by samemu przekuć talent w dzieło. Dał się wciągnąć we wspólny projekt, który nie dość, że zakwitł, to w dodatku całkiem nieźle owocował. Pracę i sukcesy dzielili po równo. To jedyna sfera życia, w której o dwa lata młodszy brat nie próbował z nim wchodzić w szranki i konkurować.

Stało między nimi zbyt dużo zła. Wystarczająco, by nigdy się z tego nie pozbierali. Podnieśli z gruzów braterskie relacje, szło całkiem nieźle, choć zdarzały się chwile, gdy Borys czuł całym sobą, że wciąż ma do Bartka żal. Udeptywał w sobie złe wspomnienia i zalewał je kilkoma szklaneczkami whisky. Chciałby czasem wytoczyć najpotężniejsze armaty, zerwać ten stan nienaturalnego, wieloletniego pokoju, lecz wiedział, że nie da rady tego zrobić. Po pierwsze, rykoszetem oberwałyby Tymek i ich wspólna praca. Po drugie, sam także zawinił. Obaj wiele stracili. Kiedy wreszcie rzucili broń, szli ramię w ramię, balansując na cienkiej linii, by zachować resztki wzajemnego szacunku, zaufania i godności. Starszy Pilch kochał brata i był z niego dumny, a jednocześnie nienawidził go z całego serca.

Bartek wrócił do mieszkania, usiadł na krześle i podążył za wzrokiem Borysa. Pogoda dopisała. Piękne słoneczne święta. Takie, w które powinno się pójść na długi spacer z rodziną, mieć blisko siebie wszystkich, których się kocha. Tymczasem rzeczywistość przedstawiała się co najmniej ponuro. Zjedli we trzech świąteczne śniadanie w atmosferze, która tylko udawała swobodną. Brakowało zbyt dużo, by można to ignorować. Każdy z nich cierpiał na swój odmienny deficyt połączony wspólnym punktem, który jak drzazga siedział gdzieś w podświadomości i nie dawał o sobie zapomnieć.

– Dzwoniłeś do dziadka? – zagaił Bartek, by przerwać męczącą ciszę.

Borys łypnął na niego wymownie i wrócił do analizy widoku za oknem.

– Do matki też nie?

– Co się głupio pytasz? Kiedy ostatnio z nią rozmawiałeś? – warknął starszy Pilch.

– Trzy lata temu. Zadzwoiła i próbowała wycyganić dziesięć patyków na nowy biznes. Przecież wiesz, mówiłem ci.

– Tia. Musiała się rozczarować. To jakiś pierdolony pech, że Pilchom trafiają się takie kobiety.

Bartek czekał, aż ten temat wypłynie. Nawet jeśli nie chciał, czuł, że powinien go podrażnić.

- Gdzie Magdalena? Dlaczego nie spędza z wami świąt?
- Bo ona, Bartuś, ma ważniejsze sprawy. Zobowiązania służbowe, chore godziny pracy i mnóstwo dodatkowych, nikomu niepotrzebnych dyżurów.
- To lekarz. Pracuje w innym rytmie niż ty.
- Niemal mieszka w szpitalu. Z Tymkiem widuje się wyłącznie w przelocie. Nie pamiętam, kiedy ostatnio pomogła mu przy lekcjach. Ja już nawet nie próbuję zabiegać o jej uwagę. To z góry skazane na porażkę.
- Może dlatego, że nie walczysz? Robisz cokolwiek, żeby to zmienić? Przecież to nie tylko twoje życie, idzie też o Tymka. On czuje, że coś się sypie. Dlaczego, do cholery, nie spróbujesz tego ratować? Dorośli ludzie rozmawiają, dają drugą i piątą szansę, usiłują zmienić coś w sobie. Wina jest zawsze pośrodku.
- Szukasz w tym mojej winy? Naprawdę? Jeszcze powiedz, że to ja zjebałem wszystko na samym początku. – Borys zerwał się od stołu, naraz poczerwieniały ze złości, niemal roztrzęsiony.
- Tak – oświadczył Bartek pewnym głosem, wyrzucając w sobie dławione latami przekonanie. – Do pewnego stopnia jesteś sobie winien. Pozwoliłeś się trącać butem jak pies. Ustawiałeś się na pozycji pokornego pacjenta, którego wyniosła pani doktor przyjmie albo odprawi, bo ma akurat kogoś innego w kolejce. Tak, bracie. Nigdy nie oczekiwałeś od niej lojalności i szacunku. Kiedy cię wystawia rufą do wiatru, pozornie przechodzisz nad tym do porządku dziennego, chociaż w duszy niczego jej nigdy nie wybaczyłeś. Jaki to ma sens? Budować życie na poczuciu krzywdy i winy? Na ciągłym żalu, bez odrobiny walki czy tupnięcia nogą?
- Powiniennem robić awantury? Wykrzyzczyć jej, co mi zrobiła?
- Owszem – potwierdził Bartek cicho. – Jeśli dzięki temu zdołałaby przeprosić, a ty wybaczyć, to tak. A jeśli nie, może lepiej to przerwać? Szkoda życia, bo skończysz jak ojciec. Nie był aniołem, nie bez powodu matka od niego odeszła. A on postanowił wtedy zapić się na śmierć, zamiast zrobić cokolwiek sensownego.
- Wzruszyłem się. Tak pięknie podsumowałeś moje i ojca życie. A co powiesz o swoim? Żyjesz tak, jak mi tu wykrzyzczałeś? Pasujesz do tego schematu? Walczysz z wiatrakami?
- Pewien dupek nazywa mnie ostatnio Sancho Pansa, więc może coś w tym jest. Znam swoje miejsce. Poza tym potrafię wybaczać i przepraszać. I radzę sobie z codziennością nawet wtedy, gdy mnie rozczarowuje.

Podszedł do lodówki i wyciągnął miskę z owocami. Obierał pomarańcze z taką zaciętością, jakby toczył z nimi walkę. Chciał się uspokoić i zająć czymś ręce, ale nie pomagało. Owoce pachniały Adą, a o niej nie chciał teraz myśleć.

– Co ty robisz?

– Wycisnę sok. Nie zaparzę kolejnej kawy, bo wyskoczy ci pompka. Jesteś cały czerwony. Mierzyłeś rano ciśnienie?

– Odwal się od mojego ciśnienia. Naprawdę staram się nie czuć do ciebie żalu. To trudne. Nikomu innemu bym tak łatwo nie wybaczył.

– Nie było łatwo – burknął młodszy Pilch znad kuchennego blatu. – Nadal nie jest.

– Dokopaliśmy sobie nawzajem. Na szczęście mamy wszystko przegadane. Z Magdaleną to trudniejsza sprawa.

– Chcesz od niej odejść?

– Nie wiem. Chyba nie chcę. Nie potrafię. Zresztą ona sama odejdzie.

– Bo?

– Znalazłem dokumenty. Nie grzebałem, przypadkiem zostawiła na wierzchu. Wysłała zgłoszenie na roczny kontrakt w klinice chirurgii ginekologicznej.

– Niezły pomysł. Kończy specjalizację, a taki wyjazd może ją ustawić zawodowo. Gdzie to? Nawet gdybyś przeniósł się z nią do innego miasta, przecież ogarnęlibyśmy robotę. Skype, komunikatory i telefon plus spotkania raz w tygodniu. Każdy z nas robi swoje, *Skrzydła* nie ucierpią.

– Skrzydła to akurat opadają. A z nimi lotki, podwozie i stateczniki. Ta klinika jest w Sydney.

– Ożeż... Antypody!

– Jeśli pojedzie, to nie wróci. Wiesz o tym. Zawsze chciała się wyrwać z Polski.

– To już pewne?

– Nie mam pojęcia.

– Nie zapytałeś?

– Nie. Wolę się łudzić nadzieją, że jej nie wybiorą.

– Słyszysz, jak to brzmi? Ile ty masz lat? – Bartek postawił na stole szklanki pełne soku z takim impetem, że rozbryzg ochlapał stół.

Borys podszedł spokojnie do zlewu i sięgnął z niego ścierkę. Nim odpowiedział, pieczołowicie starł każdą pomarańczową kroplę.

– A jak tam twoje złudzenia? Co takiego, panie mądra rada, planujesz w sprawie dziewczyny, przez którą stworzyłeś najbardziej zajebistą i dopracowaną graficznie postać w historii komiksu?

– Przesadzasz – bąknął Bartek, upijając sok.

– Nie zmieniaj tematu. Pytam o dziewczynę. Nie gadamy o rysunkach. Każesz mi walczyć, a sam pękasz? Pierwszy raz widzę cię w takim stanie. Dopadła cię miłość i tak po prostu odpuszczasz.

– Czekam.

– Na Godota? Bardzo wygodne. A nuż przyjdzie i wbrew literaturze zaskoczy nas wszystkich...

– Daj spokój. Ona ma poukładane życie.

– No proszę. To dopiero szczęściara. Kiedyś takie drobiazgi ci nie przeszkadzały – zakpił starszy Pilch, dopił sok i wstawił szklankę do zmywarki. – Pójdę już. Zostawiam ci Tymka do wieczora.

– Jak to: pójdę? – Bartek poderwał się tak gwałtownie, że o mało nie przewrócił krzesła. – Dokąd leziesz? Chyba że pogadać z Magdaleną.

– W dupie mam gadanie z Magdaleną. Jadę na lotnisko. Umówiłem się. Jest kilka zarezerwowanych tandemów, a brakuje skoczków. Ludzie wolą dzisiaj siedzieć przy stole, niż pracować. Może uda się też jakieś solo. Dawno nie miałem okazji.

– Borys, są święta. Nie zostawiaj go. Matka w pracy, ojciec ucieka... Jak ten dzieciak ma się czuć?

– Zostawiam mu stryjka. Pamiętasz, my zawsze siedzieliśmy w święta z dziadkiem i było dobrze. Korona ci z głowy nie spadnie, jeśli się nim zajmiesz.

– Dobrze wiesz, że nie było dobrze. Nie o to tu chodzi...

– Czyli odmawiasz?

– Nie, do cholery!

– Okej, to narciarz. – Borys podszedł do drzwi i założył kurtkę. – Widzimy się koło dwudziestej.

– Maks osiemnasta – wysyczał Bartek, nie kryjąc złości. – Wybieram się do Maćka, wolałbym nie zabierać tam Tymka.

– Osiemnasta – zgodził się starszy Pilch, uchylając drzwi. – Nie wściekaj się tak, bo ci żyłka pęknie. Nic nie poradzisz, życie jest parszywe. Dla każdego.

Po chwili cichy szum windy oznajmił, że Borys zniknął z pola widzenia. Jego brat wrócił do mieszkania, wycisnął sok z pomarańczy do kolejnych

dwóch szklanek i gimnastykując się z jednoczesnym trzymaniem tacy i zamykaniem drzwi na klucz, udał się do sąsiedniego mieszkania. O orzechach pamiętał. W wypchanej kieszeni czekało kilka smakołyków dających nadzieję na skrzekliwe wyznania miłości.

33.

Piętrowy wiejski dom stał pośrodku obszernego podwórka. Po lewej stronie, wokół zabudowań gospodarczych, wśród rupieci, kupy drewna i złomu oraz rozłożonego niemal na czynniki pierwsze traktora, kręciły się leniwie trzy dobrze odżywione kundle z wyraźnymi śladami owczarka niemieckiego w genach. Na prawo pysznił się zadbany ogródek ziołowo-warzywny. Skradał się w nim po ścieżce ogromny rudy kot z położonym nisko i sztywnym jak struna ogonem. Wielkanoc nie stanowiła dla niego wystarczającego powodu, by zaprzestać polowania. Dwa wróble kręciły się w niskiej trawie przy ganku, wytrwale czegoś szukając. Gałęzie owocowych drzew, rosnących w formie miniaturowego sadu wzdłuż wąskiej alejki, trwały w bezruchu. Wokół panowały bezgraniczna cisza i spokój. Nawet wiatr urządził sobie święto i zamilkł. Wszystko, co żyło, wygrzewało się w słońcu, czerpiąc, ile się da, z kwietniowego przedsmaku tegorocznych upałów.

Ciszę wiejskiej sielanki przeciął gwałtowny wrzask. Zabrzmiał rozpaczą tak bezdenną, jak głębokie są wody dalekiego Bajkału. Powietrze delikatnie zafalowało. Psy podskoczyły na przygiętych łapach, rozrzucając kilka desek, i nerwowo zamerdały ogonami. Kot zamarł w bezruchu i nastroszył ogon, który przybrał kształt szczotki do butelek. Wróble poderwały się z ziemi i skryły w gałęziach rosnącej za płotem topoli. Tylko drzewa owocowe pozostały niewzruszone. Ich stoicyzm zasługiwał na podziw. Po niecałej minucie krzyk przybrał na sile i w rozpacz wdarł się ewidentny element zniecierpliwienia. Jednocześnie zza uchylonego okna z koronkową firanką dobiegł głośny, tubalny głos pełen irytacji:

– Po coś go odłożyła? Głodny, to musi zjeść.

– Jadł przez godzinę – zaprotestował przygaszony głos Majki Lipskiej. – Zdrętwiały mi ręce.

– Chcesz napchać niemowlę w kilka chwil, a potem niech śpi pół dnia, żebyś miała spokój? Wygodnicka. To nie tucznik. I znowu kocyk wisi na budce, a biedak marznie. Chłopców trzeba trzymać ciepło. Cud, że przez te dwa i pół miesiąca nie dostał zapalenia płuc. Nie wdychaj tak ciężko, ja go przykryję. Boże, daj mi cierpliwość.

– Muszę chwilę odpocząć.

– Czym tyś się, dziecko, zmęczyła? – oburzyła się teściowa jeszcze głośniejszym głosem. – Jakby mnie kto pytał, to cały czas odpoczywasz. Do pracy nie chodzisz, gospodarstwa nie masz. Tomaszek przywiózł cię tu jak jaka

hrabinę na gotowe. Od razu zakasał rękawy, żeby pomóc. Reszta rodziny tak samo. Urobili się po pachy, tylko ty siedziałś z dzieckiem w fotelu. Dom wysprzątny, zwierzęta oporzędzone, na stole wszystko, o czym możesz zamaryć: kiełbasa, żur, mazurek, śledzie, jajka faszerowane. Wiesz, ile to roboty? O pieniądzech nie wspomnę. Wódka najlepsza stoi, najdroższa, jaką mieli w sklepie.

– Majka nie może wódki – stanął w obronie żony Tomasz. – Większości potraw też nie.

– To są bzdury, synu. Nie wtrącaj się, boś chłop i tyle wiesz o macierzyństwie, co w telewizji zobaczysz. Wódki nie musi pić, chociaż mnie się zdarzało, kiedy karmiłam was czworo, i proszę, jak wyrosliście! Co jej nie pasuje w kiełbasie i jajkach? Fanaberie. Zachciało ci się miastowej żony, to teraz masz. Sałaty, diety i inne bzdety.

– Mały ma kolki... – wtrącił Lipski bez przekonania.

– Nie mały ma kolki, tylko matce się w dupie przewraca. Wiecznie niezadowolona. A dziecko to czuje. Zamiast pieluchy zmieniać, wołałaby tipsy kleić albo po dyskotekach latać. Cały dzień siedzi jak królowa i zmęczona. Pewnie rozmyślanie o głupotach. Własnego syna ciężko do cycyka przystawić. Na co ten świat schodzi? Za moich czasów to było nie do pomyslenia! Każda matka potrafiła zająć się dzieckiem. Dzisiaj wygoda wszystko wypacza, nawet naturę...

Karcący ton z dużą wprawą przebijał się przez nieustający krzyk najmłodszego członka rodziny. Matka Tomasza należała do tego typu kobiet, które ciężko uciszyć, kiedy zaczną się rozkręcać. Zachłystywała się ostrością i bezwzględnością własnych poglądów, nie oczekując, że ktoś wejdzie z nią w dyskusję. W zasadzie nie potrzebowała, by ktokolwiek słuchał. Gestykulowała obficie, bacząc tylko, by nie stłuc świątecznej zastawy, i z każdym zdaniem pogrążała się coraz głębiej w niechęci do synowej.

Majka zerwała się od stołu, wyjęła syna z wózka razem z polarowym kocykiem i szybkim krokiem wypadła na ganek. Ostre promienie słońca natychmiast zaatakowały jej oczy. Musiała je przymknąć i zgromadzone w kącikach rozżalenie nie zdołało zatrzymać się na rzęsach. Oddychała głęboko, by zapanować nad łzami. Chciała krzyczeć, wyć, a najlepiej tupnąć, rzucić czymś ciężkim w teściową i w Tomasza, który nie potrafił jej skutecznie obronić. Co to w ogóle jest? Wielkanocny sąd czarownic? Może spalą ją na stosie, bo odłożyła dziecko do wózka? Jak tak, do cholery, można?! Pieprzona paranoja.

Staś płakał coraz mniej rozpaczliwie. Podniesienie do pionu wyraźnie mu odpowiadało. Wreszcie zamilkł, gdy zaciekało go kolorowe kółko w matczynym uchu. Kilka razy pacnął Majkę w policzek, usiłując złapać kolczyk. Gdy się udało, zapiszczał z radości i z całej siły pociągnął.

– Ała! – krzyknęła Lipska i uwolniła krążek, zanim mała, drobna piąstka zdążyła go wyrwać. – Puszczaj, draniu.

Odwróciła synka pleckami do siebie. Podtrzymała pupę i brzusek, by mógł w swojej ulubionej pozycji rozejrzeć się po podwórku. Wciąż chwiejna główka opierała się wygodnie między jej piersiami.

– Uuu – oznajmił z zadowoleniem i zamachał wszystkimi kończynami.

– Zgadza się – potwierdziła matka, pociągając nosem, i pocałowała chłopca w skroń. – Uuu. Twoja babka to stare straszdyło. Nie martw się, poradzimy sobie. Będziemy działać po naszymu. Tacie też powiemy do słuchu. W pięty mu pójdzie. „Majka nie może wódki” – przedrzeźniała męża, idąc wolnym krokiem przez podwórko w stronę warzywnego ogródka. – Słyszałeś, Stasiu? Jakby w tym tkwił największy problem. Pewnie, że bym się chętnie napiła, ale czegoś innego! Martini, wstrząśniętego, nie mieszanego, psia mać! Zobaczysz, mama się upije jak bela, kiedy tylko trochę podrośniesz. Znowu będzie ładna i zadbana. Cholerny świat! Nigdy więcej tu nie przyjedziemy, ani ty, ani ja. Tata niech robi, co chce!

Zza kopczyka ziemi tuż przy jej stopach wyprysnęła przestraszona do obłędu mysz. Za nią pognęła jak pocisk ruda kula kociego futra, podcinając Lipskiej nogi. Kobieta zatupała w rytmie dzikich, pierwotnych tańców, usiłując zachować równowagę. Krzyknęła krótko, za to tak głośno, że gromkie echo odbiło się od domu i zabudowań gospodarczych. Spłoszony chłopiec się rozplakał, więc czym prędzej zaczęła go głaskać i całować, by się uspokoił.

– Wszystko dobrze? – Od okna dobiegł tubalny głos teściowej, pełen nieskrywanej ironii.

– Tak, w porządku – odparła Majka, dodając tak cicho, by słyszał tylko jej pierworodny: – To tylko twój kot, koszmarna wiedźmo.

Ruszyła rażno alejką. Chłopiec od razu ucichł. Usiadła na drewnianej ławce w cieniu drzew i ułożyła synka wygodnie na kolanach.

– Pogadamy przez telefon, co ty na to? – oznajmiła. – Naskarżymy na tę wstrętną babę.

Staś zagulgotał coś niezrozumiałego i uśmiechnął się bezzębnymi dziąsłami.

– Jesteś słodziakiem – rozczuliła się i wyciągnęła z kieszeni komórkę. – Powiem twojej ciotce, że z dnia na dzień robi się z ciebie coraz większy przystojniak. Niech żałuje, że cię nie widzi.

Odłożyła na bok kocyk, uznając, że okrywanie niemowlęcia polarem przy takiej pogodzie jest grubą przesadą. Wybrała numer Ady i wetknęła słuchawki w uszy, by mieć nadal wolne obie ręce. Czekać na połączenie, wstała i leniwie przechadzała się po sadzie, znów trzymając chłopca plecami do siebie.

– Cześć, Majka, tu Jacek – zabrzmiało jej w uszach i zmartwiała.

Zawadowicz nigdy nie obierał od niej telefonów. Nie pamiętała, by w ogóle kiedykolwiek zwrócił się do niej po imieniu. A już na pewno nie takim przyjaznym tonem. Czyżby wielkanocny cud?

– Cz...cześć – wybąkała. – Jest Ada?

– Zaraz ci ją dam, bierze prysznic. Co u was? Jak mały? Staś, tak? Dobrze zapamiętałem? Psoci już?

– Rośnie, rozrabiać jeszcze nie zaczął, za to mnie szantażuje – odparła zaskoczona tym niespodziewanym zainteresowaniem.

– Z bronią?

– Na razie z wrzaskiem na ustach. Na okrągło trzeba go trzymać na rękach.

Wbrew oczekiwaniom Jacek wcale się nie roześmiał.

– Bądź twarda, nie daj mu się. Jesteś nie tylko matką, ale też człowiekiem. Masz prawo żyć, pamiętaj. Najbliższa okazja trafi ci się w lipcu. Musisz wcisnąć wnuka dziadkom. Oni przecież nie pracują, prawda? Mówię o twoich starych.

– Czemu w lipcu? – spytała, jednak nie zdążył odpowiedzieć, bo komórkę wyrwała mu zniecierpliwiona Ada.

– Hej, matko Polko. Jak tam święta u teściowej? – zagaiła wesoło. – Ostro imprezujesz?

– Weź nie pytaj.

– *Matka noce całe musi tańczyć, pić, bo ma dziecko małe, ma dla kogo żyć**** – zanuciła Walicka. – Znasz to?

*** Fragment piosenki z filmu *Do widzenia, do jutra*, sł. Jacek Fedorowicz.

– Nie i nie chcę znać. Oczy mam w mokrym miejscu, znowu się rozbeczę.

– Aż tak źle?

- Jestem najgorszą matką w pasie Drogi Mlecznej.
- Masz na myśli karmienie piersią?
- Poniekąd. Chociaż bardziej chodziło mi o naszą Galaktykę. W dodatku wzgardziłam białą kielbasą z czosnkiem i wódką.
- No wiesz! Jak mogłaś? – Ada zachichotała z udawanym oburzeniem. – Może należało walnąć sobie kielicha, tobyś się odważyła wygarnąć babsztyłowi, że to nie jej sprawa.
- Ona uważa, że jej, bo krzywda się dzieje synkowi i wnusiowi.
- Tomasza krzywdę jeszcze rozumiem, przez ten cały połów i komplikacje z karmieniem niewątpliwie czuje się nieco odstawiony od piersi. A o co jej chodzi ze Stasiem?
- Też się czuje odstawiony, bo za mało wisi na cycu.
- Paranoja – jęknęła Ada i całkiem innym tonem zaćwierkała, przesłaniając ręką głośnik w telefonie: – Jacuś, tylko trzy minuty. Wytrzymasz.
- Co on taki niecierpliwy? – warknęła Majka, zirytowana tym, że przyjaciółka nie ma czasu na dłuższą pogawędkę.
- Zamieniła miejscami obie ręce, bo żywy balast ciążył. Niemowlę próbowało się wyrwać, przęcąc ciało, jednak nie dała mu szans. W ramach cichego pojednania pocałowała wymachującą piąstkę. Przy okazji oberwała w nos.
- Pani Helena na spotkaniu świątecznym z kuzynkami, więc mamy wolną chatę – odparła konspiracyjnie Walicka i znów zachichotała.
- Super, czyli u ciebie święta jak z bajki: napalony facet w łóżku i święty spokój. Jeszcze mi powiedz, o co chodzi z lipcem. Ten twój adonis raczył napomknąć.
- Ślub! – wykrzyknęła z triumfem Ada i Lipska dałaby sobie głowę uciąć, że podskoczyła w miejscu jak dziecko. Dobrze, że nie zaczęła klaskać. – Szykuj się na całą noc balangi. Ostatecznie pozwolę ci nie pić przez wzgląd na Stasia, ale tańczyć musisz. Będziesz świadkiem.
- Zwariowałaś? Jaką całą noc? Z dzieckiem przy cycu? Przyjdę do kościoła, na więcej nie licz. Tyle młody wytrzyma z moimi rodzicami.
- Nawet tak nie żartuj. Impreza odbędzie się w Łapszance, żadne zostawienie go na godzinę nie wchodzi w grę.
- Popieprzyło cię? Opiłaś się wodą z Dunajca? Nie wyjadę na koniec Polski bez dziecka! Nawet dla ciebie.

– Okej. – Walicka nieco przystopowała. – Zabierz ich wszystkich. Znajdę lokum dla dziadków i berbecia. Będziesz ich miała pod ręką.

– Nie wiem, Ada. Nie widzę tego. Nawet sobie nie umiem tego wyobrazić. On nie robi przerw między posiłkami dłuższych niż godzinę, i to przez całą dobę. Gdybyś dała mi możliwość spędzenia nocy bez niego, wolałabym przespać ją martwym bykiem, niż przetańczyć.

– Teraz mi przykro – mruknęła przyszła panna młoda. – Nie wychodzę za mąż bez ciebie. Musisz to jakoś zorganizować.

W Lipskiej obudziły się frustracja i gniew. Przyjaciółka zawsze jej ustępowała, była niezwykle taktowna i wyrozumiała. A tu nagle upiera się jak głupia oślica akurat w temacie, w którym Majka czuje się totalnie bezradna.

– Kurczę, nie stawiaj mnie pod ścianą. Nie chcę cię zawieść, ale to nie zadziała. Nie mam chęci ani sił na imprezy. Mam za to problem z dzieckiem, które wiecznie jest głodne. Nie potrafię sprawić, by się chociaż na chwilę napchało, jak to subtelnie określiła matka Tomasza. Sorry, to mi przesłania wszystkie problemy włącznie z tym, czy wyjdiesz za mąż, czy nie. Ty żyjesz, ja tylko wegetuję. Mam w dupie twoje romantyczne plany z Jackiem w roli głównej. Zwłaszcza że zainteresowanie czymkolwiek poza pracą i chęć usankcjonowania związku wybuchła w nim niespodziewanie. Wywalili go z uczelni czy z tej jego firmy? Bez tego by się przecież nie ogarnął.

– Nie musisz być ironiczna – zachnęła się Ada. – Też masz cudownego faceta i jeszcze lepsze dziecko.

– Przez które powoli zapominam, co to jest seks. – Majka znów poczuła wilgoć pod oczami i ostre igielki w zdrętwiałych rękach, więc ciężko przysiadła na ławce, by ułożyć syna nieco inaczej w ramionach.

Tymczasem cierpliwość Walickiej się skończyła. Zawsze, przez wszystkie lata ich przyjaźni, stała przy Majce murem. Wysłuchiwała tysięcy zwierzeń, ocierała jej łzy płynące z powodu dramatów prawdziwych i urojonych. Od paru miesięcy poświęcała mnóstwo czasu, by pomagać i wspierać ją w początkach macierzyństwa, nawet kosztem relacji z Jackiem. A teraz co? Wystarczy jedna sprawa, ważna dla Ady, by Majka wypięła się tyłkiem? Walicka umiała myśleć, działała jej wyobraźnia i rozumiała, że wesele dla młodej matki może stanowić wyzwanie, ale wszystko da się przecież poukładać. Od czego są kompromisy? Poza tym, na litość boską, czy Majka

nie mogła chociaż udawać, że się cieszy? No jasne. Nie mogła, bo, tak jak mówiła, ślub Ady miała gdzieś.

– Wiesz co? Poradzę sobie sama! – krzyknęła. – Ze wszystkimi sprawami ostatnich miesięcy, a może nawet lat, radzę sobie sama. Ciebie to nie interesuje. Nigdy nie pytasz o moje kłopoty. Tylko ty, ty i ty. A kiedy ci się podsuwa rozsądne rozwiązania, nawet nie słuchasz. Rób, co chcesz. Nie przyjeżdżaj do Łapszanki. Tylko ogarnij się wreszcie i zrób coś ze swoim życiem, bo krzywdzisz siebie i chłopaków. Nie znosisz karmić piersią, więc ci się to nie uda. Nie będzie sielskiego życia z dzieckiem przy cycku. Ja wypisuję się z problemu. Wystarczą mi moje, nie tylko związane ze ślubem. Nie każdy ma tyle fartu co ty. Wspaniały mąż, zdrowe dziecko, piękna figura, mieszkanie po dziadkach i w dodatku fantastyczni rodzice. A u mnie? Stary w pierdlu, matka w psychiatryku, a do tego... Ech, nieważne – skończyła nagle, ścisząc głos, i się rozłączyła.

Narzeczony stanął za jej plecami i zsunął jej z ramion szlafrok. Pocałował Adę w szyję i objął ramionami w pasie. Nim odwrócił ją do siebie, powiedział najczulszym z możliwych tonów:

– Zawsze mówiłem, że ona na ciebie nie zasługuje. Miałem rację. Nie przejmuj się, skarbie. Masz mnie. Zastąpię ci wszystkich innych ludzi.

Wytarła dłonią mokre oczy i kilka razy głęboko westchnęła. Wiedziała, że Jacek wierzy w to, co mówi. Szkoda tylko, że to kompletne bzdury.

Majka wpatrywała się bezmyślnie w smartfona, nie wiedząc, jak traktować to, co przed chwilą usłyszała. To niepodobne do Ady. Musiał ją podpuścić ten cholerny chemik. Mocno się niecierpliwił. To akurat Lipska rozumiała. Seks potrafi namieszać w głowie każdemu, chociaż Ada wydawała się dotąd odporna. Nie to, co Majka i Tomasz. Boże, gdzie te całe weekendy, kiedy niemal nie opuszczali łóżka? Gdzie te aluzje, chichoty, przelotne pieszczoty w drzwiach, gdy któreś z nich wychodziło do pracy? Czy naprawdę nie da się do tego wrócić, chociażby w okrojonym zakresie?

Staś zniecierpliwił się i pojękiwał cicho. Położyła go w zgięciu łokcia i wyciągnęła spod bluzki nabrzmiałą pierś. Ścisnęła kontrolnie sutek i strumień mleka trysnął na trawę. Razem z mlekiem popłynęły łzy. Niemowle objęło łapczywie brodawkę issało. Obok żony przysiadł Lipski.

– Jak ja tego nienawidzę – szeptała, dławiąc się płaczem. – Nie znoszę, rozumiesz? Brzydzę się. To wstrętne, kiedy wiecznie śmierdzisz zjeżdżającym mlekiem i coś z ciebie wycieka. Czujesz, że ciało nie należy do ciebie, że nie jesteś już niczym poza mięsem z kością, które przypadkiem przyczepiło się

do wymion. Jacek powiedział przed chwilą, że jestem człowiekiem, nie tylko matką. Dlaczego tego nie czuję?

– Nie wiem dlaczego, ale to bardzo źle – zawyrokował spokojnym głosem Tomasz, odgarniając jej włosy z policzka. – Nie będziemy tak żyć. Kochasz Stasia, prawda?

Spojrzała na niego ze zdumieniem. Najchętniej popukałaby się w czoło, jednak brakowało jej rąk.

– No jasne, że go kocham. Jego i ciebie. Jesteście dla mnie najważniejsi. Przecież nie o to chodzi.

– No właśnie. Już wystarczy, kochanie. Byłaś bardzo dzielna i szanuję to, a teraz zwijamy ten teatrzyk.

– Że co?

– Że pstro. – Zaśmiał się, całując ją w nos. – Po drodze do domu wejdziemy do apteki, jakiegokolwiek dyżurującej w święta. Kupimy butelki, mleko i takie smoczki uspokajające do ciумkania. Wiesz jakie?

– Oszalałeś?

– Pytałem przed chwilą Gośkę. Mówi, że to bardzo pomaga, kiedy dziecko ma dużą potrzebę ssania, tak jak nasz syn. W ogóle z nią pogadałem, wyciągnęła mnie do kuchni i przyznała się, że karmiła butelką. Ukryła to przed matką, bo wiesz, jak jest, byłoby gderanie. Zrobimy tak samo. Dziś wieczorem Stasia nakarmi tata. Mama weźmie długą kąpiel i się zrelaksuje. Doświadczysz normalności i spokoju, a ja zadbam o to, żebyś poczuła się znów kobietą. Wtedy nabierzesz sił, by cieszyć się z tego, że jesteś mamą.

– Mam go tak nagle odstawić od piersi? – spytała, a w jej głosie pojawił się strach. – To dla niego niedobrze.

– Nie nagle, Majeczko. Powoli. Trochę cyca, trochę butelki. Pewnie szybko sam się przestawi, moja siostra mówi, że z butli łatwiej ssać i niemowlę się rozleniwia. Wybiera opcję mniej pracochłonną. Pokarm stopniowo zaniknie, bo on będzie mniej wisiał na tobie. Chodź, Gośka wszystko ci wytłumaczy. Malwinka ma pięć lat. Nie powiesz chyba, że czegoś brakuje mojej siostrzenicy?

Majka bardzo lubiła dziewczynkę. Mała iskierka, której wszędzie pełno, wiecznie zanosząca się perlistym śmiechem. Ulubienica babci. Siostra Tomasza to mądra kobieta. Cholera, może to faktycznie jest rozwiązanie?

– Małgosia też nie lubiła karmić?

– Dostała silne leki, bo coś tam jej dolegało babskiego, i nie mogła. Nie dopytywałem. Jakie to ma znaczenie?

– Czyli ona nie z własnej woli?

– Ty też nie z własnej woli, tylko z woli męża. Życzę sobie, byśmy wszyscy poczuli się lepiej, a najrozsądniejsza droga do szczęścia biegnie przez biały proszek.

– Zabrzmiało tak, jakbyś mi proponował wciąganie kreski. – Majka się zaśmiała, niemal całkowicie przekonana.

– Nic z tego. Dragi zostawmy w spokoju. Skupmy się na mleku z puszki. Gdy już całkiem zasmakuje małemu, osobiście przygotuję ci martini.

– Wstrząśnięte...

– Wstrząśnięta będziesz ty, kiedy pokażę ci wieczorem, jak bardzo za tobą tęskniłem. Z tym też nie musimy już czekać.

Przytulił ją mocno, tak jak kiedyś. Brodawka wyskoczyła dziecku z buzi, więc zaprotestowało głośno. Tomasz wymamrotał coś chłopcu do ucha i pomógł mu odnaleźć źródło mleka. Pogłaskał syna po główce, a potem Majkę po piersi.

– Mama jest twoja i moja – oznajmił z zadowoleniem. – Od dzisiaj, chłopie, dzielimy się pół na pół.

Psy wdrapały się na przyczepę traktora i wystawiając grzbiety do słońca, zapadły w sen. Wróble wróciły przed ganek i znów buszowały w trawie. Mysz umknęła na pole, a kot niezrażony porażką czyścił sobie sierść na parapecie okna. Drzewa w sadzie kwitły jak szalone. Dwoje ludzi całowało się bez pamięci, nie zważając na to, że trzeci człowiek łąpie na nich spod jasnej krągłości piersi. Świat otulał ciepły wiosenny spokój.

34.

Popołudnie z wolna przechodziło w wieczór. Słońce świeciło nisko nad drzewami i wpadało przez okno, rozkładając oślepiające promienie na pościeli i niewielkim stoliku pełnym porzucanych komiksów. Maciek usiadł w poprzek łóżka ze zgiętymi kolanami i oparł się plecami o ścianę. Zmęczył się. Nawet trochę chciało mu się spać, jednak twardo nie poddawał się słabości. Musiałby przyznać się przed samym sobą, że spada mu kondycja, a na to nie czuł się gotowy. Coraz częściej się kładł i coraz dłużej spał. Mimo to uważał, że nie jest najgorzej. Nie leży uwiązany do kroplówek, nie dokucza mu wymagający uśmierzenia ból, dopisuje mu apetyt, wstaje, chodzi – ba! – dzisiaj nawet skakał. Pospieszył się doktor Maczek z tym wypisem ze szpitala, oj, pospieszył. Jeszcze go Maciek zaskoczy. Pokaże mu siłę ducha, determinację i wolę życia. Nikt w hospicjum nie cieszył się taką świetną formą, więc może to nawet pomyłka? A jeśli cichaczem, nie pytając lekarzy o zgodę, nastąpił mały cud, a z nim wymarzona remisja? To przecież prawdopodobne, takie rzeczy się zdarzają! Chłopiec przekopał cały internet i uważał, że bardzo dużo wie. Doktor Bosak powiedział kiedyś, że widać w Maćku organizm sportowca. No jasne. Tyle godzin, ile dawniej spędzał przy piłce, nie trenuje nawet sam mistrz Ronaldo. Poza tym Maciek nigdy nie był wychuchany, zadbany i otoczony przesadną opieką, a takie życie kształci odporność i twardość charakteru. To też ważne. W walce z rakiem psychika i pozytywne myślenie to podstawa. Dlatego chłopiec nastawiał się bojowo. Bardzo chciał żyć.

Ze zdziwieniem przyznał, że święta w hospicjum upływały znacznie przyjemniej niż w domu dziecka. Co chwilę pojawiał się któryś z wolontariuszy, by pogadać, poczęstować mazurkiem albo wciągnąć do jakiejś zabawy. Wszyscy, którym samopoczucie na to pozwalało, zebrali się na świąteczne śniadanie w świetlicy. Skądś pojawiła się wielka góra jajek z niespodzianką i choć chłopiec stanowczo wyrósł z takich bzdur, z zapalem zrywał sreberko z czekolady i składał miniaturowe zabawki. Po południu prezes fundacji urządziła piknik na szpitalnym zieleńcu. Maciek pomagał, jak mógł. Pchał wózki tych, którzy nie mogli chodzić, ustawiał plastikowe krzesła i stoły, a potem z dostojną miną kelnera eleganckiej restauracji roznosił do stolików dzbanki z sokiem i herbatą. Śmiał się przy tym tyle, że bał się chwilami, czy aby mu brzuch nie pęknie.

Sąsiad z łóżka obok leżał odwrócony plecami, w swojej standardowej pozycji, z twarzą przy ścianie.

– Śpisz? – spytał Maciek przenikliwym szeptem. – Łukasz!

Jak zwykle odpowiedziała mu cisza. Starszy kolega przesypiał większość dnia i nocy. W tych krótkich okresach, gdy czuwał, zwykle nieźle się z nim rozmawiało, o ile nie popadał akurat w smętny fatalizm. Dużo wiedział o piłce, dawał się wciągać w pogawędki o piłkarzach zagranicznych klubów, lecz nie chciał oglądać meczów w telewizji. W ogóle był bardzo ponury. Maciek zachęcał go do aktywności, choć nie zmuszał. Łukasz chorował na raka kości, amputowano mu lewą nogę i leczono silnymi lekami na depresję. Ponad wszystko cierpiał na samotność. Maciek miał Bartka, panią Adę i Patrycję. O Łukasza dbali tylko wolontariusze.

– Szkoda, że nie poszedłeś na piknik. Słyszysz? Pani Maruda zorganizowała atrakcje: wspólne śpiewanie, kalambury, rzucanie piłką do celu. Takie rzeczy. Wykończyła nas wszystkich. Wolontariuszy też. Musiałeś słyszeć przez okno śmiechy. Łukasz!

Żadnej odpowiedzi. Maciek wiedział, że kiedy chłopak nie chce rozmawiać, nie ma takiej siły, która by go przekonała. Wzruszył ramionami, wyciągnął z kieszeni komórkę i odblokował ekran. Odczytał esemesa od pani Ady z życzeniami, obietnicę Bartka, że zjawi się po osiemnastej, i ostatnią wiadomość, która ucieszyła go najbardziej.

Ile można dzwonić? Przegiąłeś z żurkiem i utknąłeś w toalecie czy przeniosłeś się w czasie jak Zygi i Teo?

Parsknął śmiechem do ekranu i puknął palcem w połączenie wideo.

– Uff. – Z głośnika telefonu dobiegł dziewczęcy głos. – Jednak tkwisz w dwudziestym pierwszym wieku.

– Sorry – odparł, uśmiechając się szeroko. – Działo się. Świętowanie bez umiaru. U ciebie jak?

Patrycja poprawiła na głowie chustkę, zieloną w drobne kurczaczki i zające. Podrapała się po nosie i machnęła ręką.

– Nie pytaj. Złot czarownic. Zjechały się do nas siostry mojej mamy, wszystkie trzy. A z nimi mężowie i dzieci. Każde młodsze ode mnie o co najmniej osiem lat. Masz pojęcie, jaki robią harmider?

– Chyba mam. W domu dziecka zawsze kręciło się wokół pełno srulsów. Nie narzekaj, tylko zorganizuj im coś. Zabawę albo najlepiej konkurs. Maluchy lubią konkursy.

– Rany, ja nie potrafię tak jak ty. Chyba się nie nadaję do dzieciaków. Wnerwia mnie, że biegają i się drą. Najchętniej złapałabym je za nogi i po kolei powyrzucała przez okno.

– Na serio?

– Nieee – odpowiedziała z wahaniem. – Na serio nie. Po prostu nie jestem przyzwyczajona. Zwykle w domu panuje cisza, o ile kot nie pozzruca bibelotów z kominka. Skąd u ciebie takie rumieńce? Natarłeś się burakiem?

– Bardzo śmieszne. Mieliśmy piknik w plenerze. Słońce, ruch i oto efekt. W zdrowym ciele zdrowy duch.

– Jasne. Dobrze, że ci humor dopisuje. Zobaczymy się w środę, wiesz? Dopiero wtedy kazali mi się zgłosić na oddział.

– Będę czekał z czerwonym dywanem i kwiatami.

– Nie zapomnij o orkiestrze i szampanie.

– Załatwione – zgodził się chętnie, bo mógł obiecać jej każdą głupotę.

Oboje wiedzieli, że to tylko żarty, a życie żadnego z nich nie przypomina bajki.

– Dasz radę wyleczyć moje traumy po świętach w gronie przedszkolaków?

– Dam. Jako antidotum przepiszę ci coś okropnie nudnego i dorosłego. Na przykład czytanie na głos konstytucji albo oglądanie relacji z obrad sejmu.

– Lepiej od razu mnie zastrzel. – Patrycja zrobiła komiczną minę, wytykając język i wywracając oczami.

– Okej, wystarczą *Skrzydła*.

– Maciek, wiesz co? – powiedziała, nagle poważniejąc. – Powiem ci, ale się nie śmieję.

– No? – mruknął ponagląjąco.

– Tęsknię za tobą. Chciałabym już wrócić do szpitala.

Chłopiec wciągnął głęboko powietrze, by nie dać się opanować wzruszeniu. To był wspaniały dzień, naprawdę świetny, w dodatku wcale się nie skończył, bo przecież przyjdzie jeszcze Bartek. Do tego takie wyznanie! To aż za dużo, więcej, niż mógł oczekiwać.

– To głupie, Patrycja. Nie powinnaś chcieć tu wracać. Twoje życie jest tam, na zewnątrz.

– Nie będziesz mi mówił, co powinnam, a czego nie powinnam. Nie gadaj jak sruls. Jestem od ciebie o trzy miesiące starsza, mam czternaście lat i mogę decydować, za kim tęsknię! – wygarnęła mu z gwałtownym oburzeniem.

– Dobra, dobra. – Uśmiechnął się lekko, unosząc ręce w geście kapitulacji. – W sumie to nawet fajne uczucie, pod warunkiem że chwilowe

i wiesz, kiedy się skończy. Najgorsza jest tęsknota na zawsze. Nie chcę, by cię kiedyś dopadła.

– Żyjemy dzisiaj, nie kiedyś, okej? Zawsze myślimy tylko o tym jednym konkretnym „dzisiaj”. Tylko ono się liczy. Tak mówił Zygi, pamiętasz? Gdy brakowało im tego świata, w którym się urodzili. Nam też czegoś brakuje, czegoś się boimy, ale cieszymy się tym, co jest obok. Nie wygląda to najgorzej. Ja mam dom pełen roześmianych dzieciaków, do ciebie zaraz przyjdzie pan Bartek, a w środę się zobaczymy. Brzmi super, nie?

– Super – zgodził się chłopiec z wahaniem. – Narka, Pati. Ja też za tobą tęsknię.

Rozłączył rozmowę i zamyślił się, obserwując promienie słońca na swojej poduszce.

– Brzmi super, nie? – Ironiczny głos Łukasza próbował naśladować ton dziewczyny. – Umrzesz, a ona się przez ciebie zapłacze.

Maciek złapał poduszkę, by rzucić nią ze złością w plecy chłopaka. Pohamował się jednak. To bez sensu. Ponurak miał sporo racji. W dodatku musiał czuć się fatalnie, słuchając tej rozmowy. Obaj dostali od losu liche dzieciństwo i marne szanse na przyszłość. Jednak Maćka „dzisiaj” niesie znacznie lepszą jakość. Może nawet najlepszą w całym jego życiu. Nigdy wcześniej nie miał tak wielu osób tak blisko. Nigdy nikt za nim nie tęsknił. Kurczę, pomyślał chłopiec, to przecież prawie tak, jakby się miało rodzinę.

35.

– Możesz wyluzować. Ona przestała łązić gdziekolwiek z tym Pilchem. Tylko lekcje i nic więcej. Maćka odwiedzają osobno, nawet przerwy spędza sama. Wychodzi na tyły budynku jak dawniej, chociaż przecież nie jara. Opala się czy coś w tym guście – opowiadał Christian Lodzik, nerwowo przestępując z nogi na nogę i rozglądając się po parkingu.

– Nie pieprz o Adzie, bo tyle sam wiem. Wystarczyło ustalić datę ślubu, ruszyć temat dziecka i jest spokój. Kobiety to proste w obsłudze urzędnika. Pytam o poważniejsze sprawy. Odwalasz robotę? Masz dla mnie dokumenty?

– Jacek, ja się nie nadaję. Oddam całą forszę, tylko pozwól mi się wymiksować. Nie udźwignę tego.

Zawadowicz rzucił na ziemię niedopałek papierosa i przygniótł go butem. Spojrzał na rozmówcę twardym wzrokiem i zaciśniętą pięścią uderzył w ścianę małej blaszanej wiaty. W oczach błysnął mu gniew zmieszany z autentycznym strachem.

– Kurwa, debilu! Nie dotarło do ciebie ostatnie spotkanie z Piekarzem? Oni nie żartują. Nie możesz sobie ot tak zrezygnować z roboty, jeśli chcesz zachować życie i zdrowie. To jest zobowiązanie bez odwrotu.

– Do niczego się nie zobowiązywałem! Wepchnąłeś mi hajs, wyciągnąłeś grzechy młodości i mnie zmusiłeś. Z nimi nie mam nic wspólnego. Mogę iść na policję i powiedzieć, że mnie szantażujesz. W dupie to mam. Moje dotychczasowe kolizje z prawem to przy tym pikuś.

Stali w miejscu publicznym, więc salowy nie miał oporu, żeby zgrywać chojraka.

– Tylko spróbuj! Podpiszesz wyrok na siebie, na mnie i nasze rodziny.

– Wali mnie to. Nie mam rodziców ani żony z prychówkiem. Nawet psa. Wychowałem się w rodzinie zastępczej, za którą niezbyt przepadałem. Nic mi nie zrobią. Wyjadę do Irlandii albo najlepiej do Stanów. Nie znajdą mnie.

Zawadowicz przewrócił oczami z politowaniem. Zanim się odezwał, zapalił kolejnego papierosa.

– Kutno, ulica Jana Pawła przy Wyszyńskiego. Mieszkanie tuż nad apteką. Dwa pokoje z kuchnią. Joanna Piwowarczyk z mężem Jarosławem. Dwoje dzieci: Wiktoria i Alan, lat cztery i trzy. Oboje chodzą do pobliskiego przedszkola – wyrecytował beznamiętnie, utkwivszy wzrok w poszarzałej nagle twarzy Christiana.

– Skąd...? Ja pierdolę, ty bydlaku! Nie mam kontaktu z Aśką od dobrych paru lat. Jej młodszego nawet nie widziałem!

– To twoja siostra, prawda? Niezła szprycha, mimo dwóch porodów. Koniecznie chcesz sprawdzić, czy Piekarz nie żartował z tymi zagranicznymi burdelami?

– Nie masz, człowieku, serca? Ani sumienia?

– Mam. Zrozum wreszcie, że ratuję własny tyłek, więc nic mnie nie powstrzyma. Jedziemy na tym samym wózku. Nie jestem twoim zleceniodawcą, tylko ofiarą tak jak ty.

– Wciągnąłeś mnie w to.

– Kogoś musiałem. Sam bym nie dał rady tego zrobić, technicznie niemożliwe, a Ada się kompletnie nie nadaje. Byłeś doskonałym kandydatem.

– Niech cię szlag! – mruknął Lodzik, usiłując zapalić.

Ręce mu się trzęsły, a papieros wypadł z rąk. Podniósł go, otrzepał z kurzu i wsadził między wargi. Jacek usłużnie podsunął zapalniczkę.

– Nie trać czasu – zasugerował spokojnym głosem. – Wystarczająco go już zmarnowaliśmy. Za tydzień chcę zobaczyć pierwsze dokumenty. Pilnuj się, niczego nie pomył i bądź, do cholery, ostrożny. Gdybyś potrzebował pomocy, to dzwoń.

– Pieprzyć to, pieprzyć... – jęczał salowy, kiwając się, aż w końcu zmarł w bezruchu. Pusty wzrok wbił w ścianę wiaty i sprawiał wrażenie katatonika w hipnotycznym transie.

Jacek uznał, nie po raz pierwszy, że wybierając współnika, popełnił błąd. Postawił na młodzieńczą brawurę i się przejechał. Za dużo trawy i koksu, za mało mózgu i jaj. Tchórzliwy popapraniec. Same z nim kłopoty.

– Pamiętaj, że mam cię na oku. Oni też. Siostrze na wszelki wypadek powiedz, żeby wieczorami nie łąziła nigdzie sama.

Zostawił Christiana z jego myślami i dylematami. Wsiadł do octavii, zerknął na zegarek i wyciągnął z kieszeni komórkę.

– Dlaczego nie wychodzisz? – rzucił ciepłym głosem, starając się nie okazywać zniecierpliwienia.

– Pięć minut, Jacuś. Jestem z Maćkiem u Patrycji, tylko się pożegnaj.

– Co ty masz do żegnania, przecież widzisz ich codziennie. Pospiesz się, zaplanowałem romantyczny wieczór.

Rozłączył się i wsadził kluczyk do stacyjki. Nie zamierzał siedzieć w duchocie. Uruchomił klimatyzację, sięgnął do schowka po pierwszy tom

Millennium Larssona i nastawił się na minimum kwadrans czekania. Ta kobieta nigdy nie szanowała jego czasu. Po ślubie trzeba nad nią popracować. W tym względzie i w paru innych.

Ada wepchnęła telefon do tylnej kieszeni spodni i zapatrzyła się na wystawę dziecięcych rysunków zdobiącą ścianę klasy. Pomyślała, że kilka tygodni temu w takiej sytuacji natychmiast została by zalana przez Bartka falą pytań: dlaczego ściemniasz, po co oszukujesz Jacka, dzieje się coś złego, mogę w czymś pomóc...? Teraz, nawet gdyby usłyszał tę rozmowę, nie zdarzyłoby się nic. Bezduszna, obojętna cisza. Pilch precyzyjnie dostosował się do rzuconej przez nią w emocjach uwagi i trzymał się sztywno roli jej kolegi z pracy. Żadnych aluzji, komplementów, przelotnych muśnięć dłoni czy patrzenia w oczy. Brakowało jej tego jak diabli. A także żartów, przekomarzań i codziennych pogawędek o Majce, Maćku, fundacji, lataniu czy pomarańczach. Nie miała się komu wyzalić, komu pomarudzić czy choćby zapytać o radę. Nie potrafiła go też przeprosić, bo musiałaby opowiedzieć mu o tym, jak dobrze jej teraz z Jackiem, o zaplanowanym ślubie i przyjemnym ociepleniu w ich miłości. Wydawało się to niezręczne. Jedyne powidok straconej przyjaźni przyjął postać codziennej butelki soku pomarańczowego i gum nikotynowych. Pojawiały się na jej biurku jak za dotknięciem czarodziejskiej różdżki, bez słowa komentarza. Piła ulubiony napój i za każdym razem dopadały ją nieprzyjemne igiełki żalu, gdy wyobraźnia podsuwała obraz szybowca lecącego wolno nad długim jak gigantyczny dywan cytrusowym gajem. Była pewna, że ten szybowiec już wylądował, gdzieś hen, za horyzontem. Daleko od drzew owocowych, daleko od niej, na swojej osobnej i obcej ziemi. Bolało, chociaż przecież nie powinno.

Klamka opadła i zawiasy lekko zaskrzypiały. Bartek wsunął najpierw tylko głowę, a gdy dostrzegł Adę przy biurku, wszedł do środka, nie zamykając za sobą drzwi.

– Odebrałem twojego esemesa. Jakiś problem z koncertem? – zapytał, przysiadając na parapecie i splatając ramiona.

– Nie, czemu problem? – zdziwiła się wyrwana z zamyślenia.

– Napisałaś, że chcesz porozmawiać.

– O Maćku. Widziałeś go dzisiaj?

– Tak. Co z nim?

– Codziennie wspomina, że urodził się w Dzień Matki i że fundacyjna impreza wypada właśnie w to święto. Uważa, że to taki prezent dla niego

i marzy, by zobaczyć tego dnia wszystkich najbliższych. Wiesz, co najbardziej chciałby dostać?

– To oczywiste, zdrowie. Nie mogę mu tego dać, wymyśliłem coś innego.

– Co takiego? – zainteresowała się, stając naprzeciwko Pilcha, bo jej całkiem brakowało pomysłu na prezent.

– Słuchawki bezprzewodowe do telefonu i koszulkę z oryginalnymi autografami reprezentacji.

– Razem z Lewandowskim?

– Tak.

– Skąd to wytrzasnąłeś?

– Słuchawki z Allegro...

– A koszulkę? – drażyła zirytowana jego beznamiętnym tonem.

– Znam ludzi, mam swoje dojścia. O co ci chodzi?

– O nic. Myślałam, że razem coś mu kupimy – mruknęła z żalem. – Mniejsza z tym. Słuchaj, on ostatnio w kółko nawiązuje do matki. Kilka razy ją wspominał mimochodem, wygrzebał nawet stare zdjęcie, jedyne, jakie ma. Z tobą też o niej rozmawia?

– Nie – odpowiedział lakonicznie, choć widziała, że się zainteresował.

– Zna jej adres. Podał mi. Uważam, że trzeba ją odwiedzić i namówić, żeby przyjechała na koncert i urodziny. To może być ostatnia okazja, no wiesz, żeby się spotkali – dodała i nerwowo przeczesła ręką włosy.

Bartek usiadł wygodniej na parapecie, obracając się bokiem do szyby i opierając plecy o ścianę w okiennej wnęce. Przez moment obserwował widniejące w oddali skrzyżowanie.

– Nie wiem, czy to dobry pomysł – oznajmił wreszcie. – Jak długo oni się nie widzieli?

– Ponad trzy lata.

– Gdyby nie miała go w nosie, kontaktowałyby się z nim, nie uważasz? Nawet jeśli nie może go zabrać do domu – szepnął cicho, zaglądając Adzie w oczy. – Nie obiecuj mu takich rzeczy, bo możesz go okrutnie rozczarować.

– Bartek, cholera, za kogo ty mnie masz? Przecież niczego mu nie obiecywałam. W ogóle nie mówiłam mu o tym, przyszłam najpierw do ciebie. Jeśli ona się zgodzi, to będzie miał niespodziankę. Warto ją o to poprosić.

– Okej, skoro masz plan, to po co mnie pytasz?

– Interesuje mnie, co o tym myślisz, wiem, że ci na nim zależy. Chciałam znać twoje zdanie i...

– Moje zdanie jest takie, że tylko stracisz czas. Matka Maćka nie przyjedzie.

– Pozwolisz mi dokończyć?

Rozmowa szła jak po grudzie, a Walicka lada chwila spodziewała się ponaglących esemesów od czekającego na parkingu narzeczonego.

– Mów – przyzwolił łaskawie Pilch.

– Chciałam cię prosić, żebyś wybrał się do niej ze mną.

– Po co?

– Będzie łatwiej.

– Poradzisz sobie. Jedź sama.

– Niewykonalne. Mieszka na końcu świata.

– Czyli gdzie?

– W Kłaju. Z niczym mi się to nie kojarzy poza jakąś książką z dzieciństwa.

Bartek na sekundę zbaraniał, a potem mignął w jego oczach dawny ciepły ognik rozbawienia.

– Żaden Kłaj, Ada. Niziurski napisał *Awanturę w Niekłaju*.

– O to mi właśnie chodzi, prawie to samo. Nie wiem, gdzie jest Niekłaj. Kłaj leży na wschód od Krakowa. Pekaesem będę się tam tłukła cały dzień.

– Zagoń do pomocy narzeczonego. – Ton Pilcha z powrotem zobojętniał, jakby wspomnienie Jacka zdmuchnęło ulotny żar z jego spojrzenia.

– Nie ma czasu. Praca i przygotowania do ślubu... – wyrwała się, zapominając, że wcale nie zdradzała Bartkowi swoich planów na lipiec.

Pilch nie skomentował tego tematu. Znów uciekł wzrokiem za okno, a po chwili zerwał się na nogi, by zakończyć wreszcie tę dyskusję.

– Dobrze, pojedę w weekend. Do koncertu został tydzień, zdążę. Prześlij mi esemesem adres.

– Sam pojedziesz?

– Sam. Nie ma potrzeby, żebyś psuła sobie wolny dzień. Pewnie też masz mnóstwo zadań, skoro wychodzisz za mąż.

Wyminął ją i wyszedł bez pożegnania. Rozczarowała się. Podświadomie liczyła na tę wspólną wyprawę i na to, że nastąpi na niej pojednanie. Nic nie mogła poradzić na to, że czuła się zwyczajnie nieszczęśliwa. Brakowało jej rozmów z Majką, która nie odzywała się od czasu tej nieszczęsnej wielkanocnej kłótni. To jednak było nic w porównaniu z tym, jak bardzo tęskniła za tamtym dawnym Bartkiem. Za swoim Sancho Pansą z figlem

w oczach, głęboką, mądrą wrażliwością i delikatnymi, czułymi dłońmi rysownika.

Dobiegła do samochodu, z trudem hamując łzy.

– Mamy odmienne pojęcie tego, co oznacza pięć minut – burknął Zawadowicz, wyjeżdżając z parkingu.

– Przepraszam – wydusiła z siebie, nie chcąc rozplakać się na dobre.

– Znowu coś z tym Maćkiem? Ada, zdystansuj się. On umrze i nic na to nie poradzisz. Nie jest twoim synem. Nie musisz się o niego martwić. Jeśli chcesz poczuć, co to jest macierzyńska troska, to służę pomocą. W każdej chwili możemy począć własne dziecko. Nie widzę konieczności czekania do ślubu. Już ci proponowałem i jestem do twojej dyspozycji.

Zagryzła mocno dolną wargę i nie odezwała się ani słowem. Patrzyła przez przednią szybę na zastygłe w popołudniowym korku miasto. Łzy płynęły nieprzerwanie i mieszały się ze sobą: te z żalu po przyjaźni z Bartkiem, z tęsknoty za Majką, z troski o Maćka i z rozczarowania Jackiem oraz wspólnym życiem, które ich czeka.

36.

Zaplanowanie koncertu na Dzień Matki okazało się sprytnym posunięciem. Tego roku dwudziesty szósty maja wypadł w niedzielę, co gwarantowało sporą frekwencję i duże zainteresowanie imprezą. Danuta Marudowicz zadbała o maksymalną reklamę do tego stopnia, że w centrum miasta zawisło mnóstwo plakatów, liczne udostępnienia na Facebooku rozniosły w sieci wieść o wydarzeniu, a lokalne radio zaprosiło panią prezes na wywiad i zapowiedziało umieszczenie na antenie relacji z imprezy. Wróżyło to licznych gości, a wśród nich hojnych filantropów i ich tłuste portfele.

Sytuacja finansowa fundacji Szkiełko i Onko wydawała się opanowana, bo mimo kilku nerwowych rozmów z końca marca żaden sponsor się nie wycofał. Maruda jednak nie zwykła rezygnować z raz powziętych decyzji. Poza tym uważała, że funduszy nigdy dość, bo nieprzewidziane budżetem potrzeby to chleb powszedni, a na chleb zawsze powinno wystarczyć, bo to żaden luksus.

Część widowiskową dopięto na ostatni guzik. Scena plenerowa czekała na zmontowanie, nagłośnienie miało dojechać w ostatniej chwili, wszyscy artyści potwierdzili przybycie, a skromny występ podopiecznych fundacji nie wymagał niczego więcej poza ostatnią próbą generalną przewidzianą na niedzielny poranek. Oprawę gastronomiczną w postaci stoisk z kawą, słodyczami i pieczonymi kielbaskami organizowała firma cateringowa, która postanowiła wykarmić gości w ramach swojego wkładu w wydarzenie. Zaproszeni przez Pilcha youtuberzy zgodzili się na rolę konferansjerów, wodzirejów i animatorów zabaw dla najmłodszych. Bezpieczeństwo medyczne gwarantowała obecność doktora Maczka, doktora Bosaka i kilku pielęgniarek. O porządek prawny zobowiązał się zadbać aspirant Walery Łutkiewicz, który z tygodnia na tydzień piął się po szczeblach hierarchii osób ważnych i ważniejszych w życiu Danuty Marudowicz. Innymi słowy – zwyczajnie ją poderwał. Pani prezes się bowiem zakochała.

Ada spędziła z dziećmi kolejne przedpołudnie na tworzeniu ręcznie malowanych wazoników, idealnych na wiosenne stokrotki, konwalie czy niezapominajki. Wszyscy uczniowie zaangażowali się, by wykreować jak najwięcej produktów na aukcję zaplanowaną w przerwach między występami. Wspólna praca, konkretny cel i perspektywa świetnej zabawy doskonale aktywizowały uczniów i dawały im mnóstwo radości. Był to niemały sukces i idealne dopełnienie celów, jakie stawiała przed Walicką

praca w przyszpitalnej szkole. Niby nie należy chwalić dnia przed zachodem słońca, jednak Ada już postanowiła zaliczyć ten poniedziałek do niezwykle udanych. Prawie idealnych. Bez napięć, kwasów i niezdrowej atmosfery, bo Bartek nie pojawił się w pracy. Przysłał tylko esemesa, że musi dać radę sama. Przypomniała sobie głupawy mem, podesłany dawno temu przez Majkę w pewien jesienny, poweekendowy poranek, kiedy obie w wyjątkowo dobrych humorach jechały do pracy. Brzmiał złowieszczo: *Jeżeli poniedziałek zaczął się dobrze, to znaczy, że zło pieprznie znienacka.*

– Oby nie – mruknęła sama do siebie Ada i sięgnęła po leżącą na biurku komórkę. Zmobilizowała wszystkie siły ducha i napisała wiadomość:

Pojechałeś omyłkowo do Nieklaju i nie możesz trafić z powrotem do Łodzi?

Czekała długo na odpowiedź, aż zadzwonił narzeczony ze stanowczą prośbą, żeby się pospieszyła, bo umiera z głodu.

Zbiegła do samochodu potężnie zirytowana brakiem wieści od Bartka. Nigdy wcześniej nie zawiódł. Nie powinien jej olewać, nawet jeśli nie było już między nimi tak dobrze jak dawniej. Przecież nie o nią tu chodzi, tylko o Maćka.

– Widziałaś dzisiaj Christiana? – zapytał Jacek, gdy tylko wsiadła do samochodu.

– Jakiego Christiana? – odpowiedziała nieobecny głosem, błędząc myślami w okolicach Kłaju.

– Nieprzytomna jesteś? Waszego salowego. Przyszedł do pracy?

– Nie wiem, chyba nie widziałam.

– Nie przyszedł? – W tonie Zawadowicza dawało się słyszeć wyraźne napięcie.

– Jezu, Jacek, nie mam pojęcia. Nie zwracam na niego uwagi. Może był, ale nie popchnęłam go na wiadro z mydlinami, więc nie pamiętam.

– Jakie znowu wiadro?

Ada zaśmiała się na wspomnienie przygody na szpitalnym korytarzu.

– Wpadłam kiedyś przypadkiem na niego, dostał dubla w tyłek i poleciał na ziemię. Najśmieszniejsze, że to on mnie przeproszał, jakby czemuś zawinił.

– Za co cię przeproszał? – Jacek podniósł głos, niemalże krzyżąc.

– A bo ja wiem? Z nim o tym gadaj, to twój kumpel.

– Żaden mój kumpel. Zwyczajny idiota.

– To mnie o niego nie wpytuj. Możesz jechać? Podobno byłeś głodny.

– Nadal jestem. Pół dnia załatwiałem te fikuśne zaproszenia ślubne, które sobie wymyśliłaś. Cały stos. Majątek wyrzucony w błoto, zwłaszcza że i tak nikt nie przyjedzie na ślub, bo za daleko.

Walicka zdusiła w sobie kąśliwą uwagę, że to przecież nie jej pomysł, by ceremonia odbyła się w Łapszance. W milczeniu przetrwała zakupy, drogę do domu i skupiła się na pichcieniu obiadu. Esemes przyszedł, gdy wbijała widelec w ostatni kawałek brokułu. Wepchnęła do ust jedzenie i puknęła w ekran leżącego na stole telefonu. Wiadomość wyglądała absolutnie wnerwiająco.

Przepraszam, nie dałem rady. Nadrobię w sobotę.

Zakłęła pod nosem i z wściekłością odpisała:

Wielkie dzięki!

Obróciła komórkę wyświetlaczem do blatu. Przełknęła resztkę posiłku i popiła herbatą. Mrugała intensywnie, bo bezsilność wyzwalała krępujące łzy. Nie chciała ich, zwłaszcza że Jacek łypał spod ściągniętych brwi to na nią, to na smartfona. Jasna cholera, w jaką znowu sobotę? Na ostatnią chwilę? Powaliło go chyba.

– Sancho Pansa wystawił cię do wiatru? – zagaił narzeczony czułym głosem.

Zdusiła w sobie irytację na to, że filował w ekran, gdy odczytywała wiadomość. Obrzuciła go zaniepokojonym spojrzeniem. Nie wyglądał na zdenerwowanego, raczej na rozbawionego w czysto złośliwy sposób. Istniała szansa, że tym razem uda się uniknąć wybuchu niepohamowanej zazdrości.

– Niestety. Chcesz go zastąpić? Trzeba pilnie pojechać do Kłaju.

– Nie.

– Na pewno? Może znalazłbyś czas? Urządzilibyśmy sobie wycieczkę. Wolę to załatwić sama w tygodniu i mieć z głowy, zamiast zastanawiać się, czy on znowu nie nawali. Od początku nie podobał mu się ten pomysł.

Jacek nie zapytał, o co chodzi. Wystarczyła mu informacja, że Ada jest niezadowolona z Bartka. Musiał jednak wysłuchać całej historii, bo narzeczona uparcie usiłowała przekonać go do eskapady. Jakby nie miał nic innego do roboty. Niech palant jedzie w sobotę. Co za różnica?

– Po cholerę miałbym się tam tłuc? – warknął, zaglądając w swój telefon.

– To jakaś wiocha, fakt, że gminna. Nic ciekawego i diabelnie daleko. Twój paż ma rację. Ta baba na pewno nie przyjedzie, chyba że jej za to porządnie zapłacisz. Ale ze swojej pensji, nie z mojej.

– Czemu obaj nagle i zgodnie straciliście wiarę w ludzi?

– Kto powiedział, że ja ją kiedykolwiek miałem? Ludzie, Ada, są wygodni i wyłącznie zapatrzeni w siebie. To żadne nowe odkrycie, tylko ponury fakt.

– Czyli ze wspólnego wyjazdu nici?

– Nici. Zbliża się koniec maja, za chwilę sesja i na uczelni urwanie głowy. Muszę też dopilnować ostatniej sprawy dla Korneckiego, zanim odejdę z firmy. Mówiłem ci. Nie mogę sobie pozwolić na stratę całego dnia roboczego bez powodu.

– Nie bez powodu...

– Bez, Ada – podkreślił, nie odrywając oczu od komórki. – Chcesz, to jedź sama. Pociągiem do Krakowa, a dalej busem. Dasz sobie radę, nie? Dojazd do Krakowa masz przecież opanowany.

– No tak. – Walicka postanowiła nie drażnić tematu. – Może faktycznie najlepiej będzie, jeśli wybiorę się bez obstawy.

Wstała od stołu i zajęła się sprzątaniem kuchni. Przygniotło ją silne wrażenie osamotnienia. Jakby nią i jej sprawami kompletnie nikt się nie przejmował. Jakby każdy słuchał słów, lecz nie słyszał jej naprawdę. Czy to źle, czy to godna pogardy naiwność, że chce spróbować? Może faktycznie się nie uda, może ta kobieta nie zechce nawet z nią rozmawiać, ale ona, Ada, będzie mieć czyste sumienie i pewność, że się postarała. Stanie przed lustrem i powie tak, jak uczyła ją mama: „Lubię cię, Ada, jesteś w porządku”. A potem zrobi wszystko, żeby Maciek nie cierpiał z powodu braku matki w dniu urodzin. Jeśli ma jakiś wpływ na to, by ten dzieciak jeszcze poczuł się w życiu szczęśliwy, to nie odpuści, bo taka już jest. Ci dwaj pajace niech idą do diabła.

Włączyła zmywarkę, wyszorowała do czysta blat i stół, a potem z rozpędu umyła podłogę. Na końcu postanowiła wziąć prysznic i pójść spać. Dopiero się ściemniło, wciąż było wcześnie, mimo to czuła potworne zmęczenie. Rozczarowanie to paskudne uczucie, potrafi skutecznie pozbawić energii do życia. Zajrzała do dużego pokoju. Jacek grzebał w rozłożonych na stole dokumentach, zerkając co jakiś czas na włączony telewizor z programem informacyjnym. Obok niego stała pusta butelka po piwie. Właśnie otwierał kolejną.

– Połóż się. Nie siedź długo – powiedziała ugodowym głosem.

– Już? – spytał z roztargnieniem. – Dobra, to się kładź. Ale nie licz na to, że cię potem nie obudzę – dodał i puścił do niej oko.

W jego mniemaniu brzmiało to jak obietnica. W głowie Walickiej kłębiło się wszystko, tylko nie seks. Miała nadzieję, że narzeczony wypije

wystarczająco dużo piwa, by runąć na łóżko i po prostu zasnąć, bez żadnych dodatkowych atrakcji.

Zdażyła zamknąć oczy, gdy brzdęknął sygnał kolejnego esemesa.

Przepraszam, nie mogłem wyjść ze szpitala. Nie nawalę w sobotę, obiecuję.

Poderwała głowę z poduszki i wzięła kilka głębokich oddechów, by uciszyć nagły niepokój. Jaki szpital, do diaska? Przypomniała sobie, że prawie pół roku temu Bartek wjechał Jackowi pod koła. Panowała niezła gołoledź, a ona skutecznie odwracała uwagę narzeczonego od kierownicy. Poza tym ten baran, o którego nie powinna się aż tak martwić, prowadził po prostu nieostrożnie. Czyżby znowu postanowił poszarżować rozdeptaną żabą, czy jak tam nazywał ten swój dziwny samochód? Przez kilka minut toczyła ze sobą walkę, obracając smartfona w dłoni. Zajrzała na Facebooka i Instagrama, odpaliła aplikację prognozy pogody i zalogowała się na konto w banku, by sprawdzić, czy na pewno zapłaciła ostatni rachunek za telefon. W końcu nie wytrzymała, znalazła właściwy numer na liście kontaktów i puknęła w zieloną słuchawkę.

– Miałeś wypadek? – wymamrotała głosem pełnym napięcia, bo brakło jej sił na dyplomatyczne podchody.

– Co? Cześć, Ada, daj mi moment, wchodzę do windy. – Przez krótką chwilę słyszała w słuchawce same trzaski, aż wreszcie umilkły i Pilch ponownie się odezwał: – Skąd ten pomysł? Jaki wypadek?

– Robisz sobie ze mnie jaja? – zirytowała się. – Przed kwadransem napisałeś, że nie mogłeś wyjść ze szpitala.

– Serio? Czekaj. – Sprawdził wysłaną wiadomość i skomentował: – Cholera. Masz rację. Nie zdawałem sobie sprawy, że tak to można odczytać.

– Czyli jesteś zdrowy?

– Tak.

– Niech cię szlag – warknęła i zamilkła, czując, że za chwilę znowu się rozpłacze.

– Martwiłaś się? Przepraszam, nie sądziłem... Mojego brata zwinęło w sobotę pogotowie, musiałem jakoś ogarnąć jego i bratanka...

– Coś poważnego?

– Sytuacja opanowana, właśnie wracam do domu. Jutro przyjdę normalnie do pracy.

– Jak sobie radzisz? Potrzebujesz pomocy?

– Nie, dzięki. Kończę, bo wsiadam do auta. Do jutra.

Ada odłożyła komórkę na komodę. Pomasowała dłonią policzki, z zaskoczeniem odkrywając na nich ślady łez. Nowe, bez powodu, ciągle napływały. Ile, do cholery, można płakać? Zakopła się pod kołdrą aż po sam nos i postanowiła przespać te emocje, których nie chciała, nie potrzebowała, a których nie potrafiła się pozbyć.

Zawadowicz stał przez chwilę za uchylonymi drzwiami sypialni i słuchał. Nie podobała mu się ani podsłuchana rozmowa, ani nierówny oddech narzeczonej. Szłocha z powodu łysiejącego debila?! Przez niego, Jacka, nigdy tego nie robi. Rzadko widywał ją w takim stanie, a przecież dawał jej powody. Kobiety są porąbane, zawsze szukają kanarka na dachu. Cóż, doktor chemii organicznej nie zadowoli się rolą wróbla. Nie zamierza zostać tym gorszym. Nie ma mowy. Jest cholernie inteligentny, przystojny, w ostatnim czasie zarobił sporo pieniędzy. Rozwija karierę naukową. Może nawet zostanie profesorem. To Ada powinna się starać, a nie on. To jej powinno zależeć. Jacek tyle w życiu przeszedł, a ona absolutnie nigdy nie pochylała się nad nim z troską. Nie pytała, czy potrzebuje pomocy, nie współczuła mu, nie próbowała mu wynagrodzić tego wszystkiego, co przeżył przez jej pieprzonego ojca i sfiksowaną starą Walicką. Tylko matka zawsze Jacka rozumiała. Wiedziała, że należy mu się wyrozumiałość za samo to, że przeszedł przez piekło. Matka potrafiła odkupić swoje winy i docenić wyjątkowość dziecka. Rekompensowała bolesne wspomnienia, umiała syna szanować. A narzeczonej? Nie wiedziała, jakiej doświadczył traumy, nawet tego z nim nie dzieliła. Za to wylewała łzy nad problemami innego faceta albo tego gówniarza Maćka. Cholera, zawsze wszyscy byli dla niej ważniejsi od Jacka. Teraz, przed ślubem, nic się nie zmienia.

Pchnął drzwi sypialni i wszedł do środka. Przynajmniej w jednej kwestii ma nad tamtymi przewagę. Ada leży w jego łóżku i to z nim, tylko z nim, będzie się teraz kochać bez względu na to, czy tego chce, czy nie.

37.

Bartek dojechał pod blok, zgarnął z tylnego siedzenia zakupy i wjechał windą na piętro. Pani Ludmiła, uprzedzona telefonicznie, czekała w otwartych drzwiach.

– Chodź, chłopaku, pewnie padasz z głodu.

– To mało powiedziane. Przyniosłem truskawki – oznajmił, mijając ostrożnie próg.

– Jeszcze za wcześnie na smaczne. Sama chemia.

– O chemii niech mi pani lepiej nic nie mówi. Ostatnio mam uraz do chemików – mruknął, rozglądając się niespokojnie dookoła. – Gdzie te gadziny?

– Jedna śpi, a druga się obraziła. Porozrywała mi dziobem i pazurami gazetę. Wkurzała się, że czytam, zamiast się nią zajmować. W odwecie wyłączyłam *Dziadka do orzechów* i cały wieczór słuchamy Szostakowicza. Nie znosi go. Postanowiła zademonstrować oburzenie i nie wyłazi z klatki.

Bartek uśmiechnął się i położył paczkę z truskawkami na kuchennym blacie.

– To, co teraz słyszę, to Szostakowicz? – spytał.

Pani Ludmiła energicznie przytaknęła, mówiąc:

– Dziewiąta symfonia Es-dur. Należę ci botwinki.

Pilch podszedł do stojącej w kącie pokoju otwartej klatki i zapukał lekko palcami w metalowe szczebelki.

– Cześć, Zoja, chcesz? – spytał i wsunął do środka otwartą dłoń z orzechem.

Zatrzepotała skrzydłami, lecz nie ruszyła się nawet o milimetr.

– Nie to nie – stwierdził i powoli cofał rękę.

W ułamku sekundy doskoczyła do niego i porwała smakołyk, boleśnie dziobiąc go w skórę.

– Ej, za co? – krzyknął oburzony. – Ja ci wyłączyłem *Dziadka*? Poza tym Szostakowicz brzmi całkiem przyjemnie.

– *Durak! Rrrastyapa!* – Usłyszał w odpowiedzi. – *Prrrezrennyy rrrenegat!*

Machnął ręką na ptasie fochy, nie próbując nawet zrozumieć, jakie wyzwiska padły pod jego adresem tym razem. Zdjął marynarkę, z zadowoleniem podciągnął rękawy koszuli i usiadł nad talerzem zupy.

– Rewelacja – pochwalił po kilku pochłoniętych łyżkach. – Prawie tak dobra jak moja.

– Chciałbyś. – Pani Ludmiła zaśmiała się i obok talerza postawiła dwa kieliszki. Odkręciła butelkę luksusowej i zaczęła nalewać. – Moja jest najlepsza.

Pilch wyjął jej stanowczo butelkę z ręki i sam napełnił szkło.

– W tym domu nie rozlewamy – podkreślił i uniósł alkohol do ust.

– Złośliwiec – skomentowała staruszka i poszła w jego ślady. – Co u Borysa?

Powietrze zgęstniało i atmosfera natychmiast stała się poważniejsza. Bartek dokończył w ciszy zupę. Odezwał się dopiero, gdy wstawił pusty talerz do zmywarki i nalał na drugą nóżkę:

– Dzisiaj wreszcie zdołali go porządnie przebadać. W niedzielę starali się tylko, żeby wytrzeźwiał i żeby mu nie wysiadła pompka. Sam nie wiem, czy mam mu współczuć, czy raczej powinienem go zdrowo opieprzyć. To on jest *durak*, a nie ja. Dorobił się kilku siniaków i krwiaka na mózgu. Małego, podobno niegroźnego, choć na razie wywołuje drobne objawy neurologiczne. Wykończyło mnie to tak, jakby mój czerep rozbił się o beton. Nie jestem pewien, czy ta wódka pomoże.

– Czy wódka, to nie wiem, za to towarzystwo...

– Towarzystwo na pewno. Jest pani aniołem, pani Ludmiło. Oryginalnym, bo czterdziestoprocentowym, ale jednak aniołem. Na stuprocentowego bym pani nie wymienił.

Uśmiechnął się i dolał jeszcze luksusowej. Wiedział, że staruszka ma mu do zaoferowania wszystko, co najważniejsze: czas, cierpliwość, zrozumienie i akceptację. Naprawdę interesowała się jego sprawami. Wstała, podeszła do wiekowej wieży stereo i przyciszyła muzykę. Milczący obrażony ptak machnął z aprobatą dziobem. Bartek poczuł, że po dwóch ciężkich i nerwowych dobach może się wreszcie odprężyć. Opowiedzieć tyle, ile będzie chciał, a ta kobieta go zrozumie. Ta druga też by zrozumiała, na pewno. Tyle że tamtej nie powinien się zwierzać, nie powinien szukać u niej rad i pocieszenia bez względu na to, jak bardzo tego pragnął. Rozsiadł się wygodnie na krześle i wraz ze słowami wyrzucał z siebie strach i stres.

Tymek spędził ze stryjkiem całą sobotę, bo rodzice załatwiali mnóstwo swoich spraw. Oczywiście każde osobno. Borys obiecał wrócić do domu nie później niż o dwudziestej. Magdalena nie planowała wracać wcale ze względu na dyżur w szpitalu. O dwudziestej drugiej dziecko niechętnie, acz posłusznie położyło się spać, a Bartek z nudów przeglądał kolejne książki na półkach. W końcu zdecydował się na *Gniew* Miłoszewskiego, bo tytuł

korespondował z jego uczuciami wobec brata. Zagłębił się w przeżycia prokuratora Szackiego w Olsztynie. Książka wciągała, zatem nie zarejestrował upływu czasu. Tuż przed drugą w nocy oderwał go od lektury terkoczący na stole telefon. Sugerował rozmowę przychodzącą z Borysem. Otóż pudło. Dzwoniono z informacją, że nieprzytomny posiadacz tego numeru znajduje się właśnie na izbie przyjęć szpitala imienia Barlickiego. Dokumentów nie posiada żadnych, a kontakt opatrzony czułą nazwą „brat” jako jedyny ma wyciągnięty na pulpit ekranu, zapewne w celu szybkiego wybierania. Klawiaturę udało się odblokować, bo działała na odcisk palca. Liniami papilarnymi chorego szpital dysponował, mimo że dogadanie się z ich właścicielem chwilowo nie wchodziło w grę. Bartek natychmiast spanikował, bo doskonale wiedział, że starszy Pilch od lat miewał problemy z sercem. Arytmia, nadciśnienie i absolutnie lekceważący stosunek do zdrowia mogły skutkować nieprzyjemnymi niespodziankami. Było jednak ciekawiej. Dyżurna pielęgniarka ze stoickim spokojem poinformowała go, że ojciec Tymka nie wrócił na czas, bo nawalony w cztery dupy, ze śladami krwi na rękach i rozbitą głową, leżał w krzakach pod murem ogrodu zoologicznego, tulił do piersi niemal pustą butelkę johnniego walkera i chyba zamierzał tam spać. Pewnie dopiąłby swego, a zaplanowany odpoczynek przeistoczyłby się w wieczny, gdyby nie para nastolatków, która w tych samych krzakach postanowiła się poobściskować.

Młodzież wezwała pogotowie i na wszelki wypadek policję, bo zakrwawiony koleś nie dawał znaku życia. Gdyby okazał się trupem, można by mu wybaczyć to nietaktowne utrudnienie w młodzieńczych umizgach. Niestety ich rozczarował. Żył, acz ledwo zipał, i wszystko wskazywało na to, że swój niebanalny stan zawdzięcza wyłącznie sobie. Lekarze załadowali pacjenta do karetki, postali chwilę, migając światłami, i odjechali w dal. Gliniarze odwalili robotę porządnie. Znaleźli wystający, utyłany w posoce kawał podmurówki, o który zapijaczony gość musiał wyrznąć łbem. To wszystko zabrało nieco czasu i wieczór dzieciaków na swobodzie się skończył. Musiały wracać do domów poganiane nieustępliwymi telefonami matek. Do kitu taki kryminał.

Bartek powiadomił Magdalенę, dzwoniąc do niej z pewnymi oporami. Uznała, że pijany Borys to żadna nowość. Skoro jest w Barlickim, ma opiekę. Po co panikować? Ona ze swojego dyżuru wychodzić nie zamierza, Bartek ma siedzieć na tyłku i pilnować śpiącego dziecka. Matka rano wróci z roboty, to stryjka zluzuje. Wtedy może się bawić w szpitalne odwiedziny.

Wyboru nie było. Zostawienie śpiącego dziewięciolatka samego niezbyt się Pilchowi uśmiechało. Szarpany niepokojem dotrwał do świtu tylko dzięki uprzejmej pomocy powieściowego prokuratora Teodora Szackiego. Nad ranem *Gniew* się skończył i nim chrząst klucza w drzwiach obwieścił powrót Magdaleny, Bartek zdołał się nawet odrobinę zdrzemnąć.

Wymięty i lekko poszarzały po atrakcjach nocy dotarł na oddział, na którym przywracano Borysa do żywych. Dowiedział się, że pacjent doświadczył już przebłysków świadomości i zdołał podać część danych do szpitalnej dokumentacji. Resztę uzupełnił z ciężkim sercem młodszy brat, słuchając przy okazji, że taka ilość alkoholu we krwi trafia się nader rzadko, zwłaszcza u ludzi niewyglądających na menelski margines. Wypłukiwano z chorego promile, walcząc z zatruciem alkoholowym, opatrzone i zszyto rozbitą głowę, wykonano kilka badań i stwierdzono, że innych urazów brak. Cała jucha pochodziła z jednej rany, którą zapewne wytrwale obmacywał i stąd krew na rękach. Kardiologicznie go opanowano, a neurolog przyjrzy mu się w poniedziałek, kiedy pojawi się szansa na normalną rozmowę z pacjentem. Krwiak jest, lecz nieduży, nie ma zagrożenia życia. Występują tylko drobne drgawki. Powinny minąć samoistnie, a gdyby nie, wesprze się je farmakologią.

Bartek przesiedział przy śpiącym bracie całą niedzielę. Pod wieczór w panice obejrzał napad kojarzący mu się z padaczką. W poniedziałek od rana znów warował przy łóżku chorego, wychodząc na parę godzin dopiero po południu, by zająć się bratankiem. Magdalena pracowała i nie mogła odebrać dziecka ze szkoły. Stryjek zgarnął rzeczy chłopca w niewielką torbę i pojechał z Tymkiem do siebie. Zjedli pizzę, bo na nic innego nie starczyło Bartkowi sił, odrobili lekcje i pobawili się trochę, obaj udając bez troskę. W końcu Pilch nie wytrzymał. Z przeproszającą miną odprowadził małego do pani Ludmiły. Oboje się ucieszyli z tego rozwiązania, zatem machnął ręką na wyrzuty sumienia, że przerzuca dziecko jak gorący kartofel. Popędził do szpitala. Tym razem Borys był przytomny i – cud nad cudy – niemal trzeźwy.

– Lepiej wyglądasz – stwierdził Bartek, bo nic mniej banalnego, poza dziką awanturą, nie przyszło mu do głowy.

– Za to ty jak wyżęta szmata – odparował chory, nie podnosząc się z poduszek.

– Po cholere ci to? – spytał młodszy brat, z trudem panując nad irytacją. Starszy wzruszył ramionami.

- Nawet na chwilę nie przyjechała. Mógłbym zdechnąć. Nie zauważyłaby.
- To co to było? Demonstracja? Pokazowa w stylu: „Patrz, kochanie, jaki jestem biedny bez twojej miłości”? Czegoś oczekiwał?
- Czegokolwiek...
- Mogłeś naprawdę umrzeć. To nieodpowiedzialne, człowieku.
- Zdradziła mnie...
- Nie pierwszy raz.
- Jasne. Pierwszy raz zdradziła mnie z tobą.
- To prawda. – Młodszy brat nie zamierzał się wypierać. Ten temat poruszali już wielokrotnie.
- Rozwiedzie się ze mną – oznajmił Borys grobowo.
- Pewnie tak. Nic na to nie poradzisz. Musisz nauczyć się z tym żyć, bo masz dla kogo.
- Wcale nie jestem pewien. – Szept Borysa brzmiał tak cicho, jakby to zdanie nie było przeznaczone dla brata.

On jednak usłyszał. Zerwał się z krzesła i ruszył do drzwi.

– Jesteś zapatrzonym w siebie idiotą, Borys – powiedział i dodał, zanim opuścił salę: – Tymka zostawiłem u pani Ludmiły. Zajmiemy się nim, dopóki cię nie wypuszczą.

– Dziękuję – mruknął starszy Pilch, ale młodszy już zniknął. Szedł szybkim krokiem w stronę windy, poganiany wściekłością na brata. Nie warto było zawałać przez niego sprawy Maćka. No, chyba że dla Tymka.

Bartek wiedział, że rozczarował Adę. Wysłał do niej szybko przepaszającego esemesa i zajrzał na chwilę do pokoju lekarskiego w nadziei, że czegoś się dowie. Uzyskał skromną, acz znaczącą informację, że pijaczynę wypiszą nazajutrz z profilaktyczną receptą na leki przeciwpadaczkowe i skierowaniem na badania kontrolne za jakiś czas. Odetchnął z ulgą. Wsiadał do windy, gdy zadzwoniła Walicka. Nie mógł nic poradzić na to, że na sam dźwięk melodyjki przypisanej w komórce jej numerowi robiło mu się ciepło na sercu. Odetchnął głęboko i odebrał. Przyganiał kocioł garnkowi, pomyślał. Miłość bywa potwornie trudna i wciąga jak narkotyk. Nawet wtedy gdy boli, nie umiemy z niej zrezygnować.

38.

Ordynator Maczek gnał przez oddział, nie patrząc, czy aby kogoś nie potrąca. Za nim biegł wianuszek szpitalnych rezydentów, stażystów i pielęgniarek, aż furkotały w pędzie porozpinane fartuchy.

Minęli pokój lekarski, świetlicę i klasę, którą Walicka porządkowała po zakończonych lekcjach. Bartek odprowadził dzieci do ich sal i nie spieszył się z powrotem. Nawet ucieszyła ją ta chwilowa samotność. Rozpięła zamek błyskawiczny bluzy i wachlowała się plikiem rysunków na temat: *Marzenia mojej mamy*. Planowała rozwiesić je na tablicy w korytarzu, bo wyszły wyjątkowo pięknie. Dzieci się postarały jak rzadko.

Czuła, że się gotuje. Wiosna szarżowała upałem, a Adzie groziło jeszcze co najmniej kilka dni w bezpiecznym długim rękawie. Jacek przeholował. Nie dość, że wypytuje ją codziennie i coraz bardziej agresywnie o salowego, to jeszcze znów się zapomniał. Wpadł do sypialni, rzucał nią jak jakąś kukłą, nakłaniając do szybkiego, niezbyt przyjemnego zbliżenia i zalewając falą absurdalnych wyrzutów. Nie uderzył jej, absolutnie nie! To mu się przecież nigdy nie zdarzyło, ale zostały sine ślady, z których nie miała ochoty nikomu się tłumaczyć. Zwłaszcza Bartkowi. To był, kurczę blade, obrzydliwie proroczy mem, ten o poniedziałku. Zło pieprznięło zniecka i przybrało formę zaborczej zazdrości podsyconej kilkoma butelkami leżajska i zwierzęcym popędem. Bo miłością tego nazwać nie można.

Walicka zbierała się od dwóch dni, żeby poważnie porozmawiać z narzeczonym, który uśmiechał się, jak gdyby nigdy nic, i nie widział lub udawał, że nie widzi jej kontrastującego z pogodą stroju. Po tym ciepłym, wręcz gorącym pobycie w Łapszance, gdzie zdołali na nowo zbliżyć się do siebie, nie spodziewała się, że on znów zachowa się tak... nieprzyjemnie. Nie umiała tego nazwać odpowiednim słowem.

Pamiętała opowieść pani Heleny o mężu. Owszem, dziwiło ją, że kobieta godziła się na przemoc. Swoją sytuację Ada widziała całkiem inaczej. Przecież on jej nie bije, nie bije, nie bije... Powtarzała to sobie jak mantrę, bawiąc się suwakiem bluzy. To nie to samo, ona jest mądrzejsza, twardsza. Zna granicę i nigdy nie pozwoli Jackowi jej przekroczyć.

Tymczasem cichy głos z tyłu głowy podsuwał raz po raz wątpliwości. Doprawdy? Dziewczyno, jesteś przekonana? A co, jeśli ta granica już została niepostrzeżenie przekroczona? Rubikon za wami, kości zostały rzucone, a ty wolisz być ślepa, głucha i niema jak te trzy fajansowe małpki, które Majka

trzyma na komodzie przed telewizorem? Dokąd zmierza twoje życie, Ada, i dokąd ty zmierzasz?

Może doszłaby do jakiejś rozsądnej konkluzji i zdołała sama przed sobą przyznać, że nie chce tak żyć, gdyby nie nagły hałas. Tupot co najmniej kilkunastu par butów i zamieszanie za uchylonymi drzwiami przestawiły jej myśli na inne tory. Gdy wypadła przed klasę, medyczny peleton zniknął za załomem korytarza i wreszcie wtargnął bez hamowania do jednej ze szpitalnych sal. Doktor Bosak już tam był. Wraz z siostrą oddziałową w skupieniu i bez zbytniego hałasu wprowadzał w życie procedury medyczne konieczne w sytuacji zagrożenia życia.

Ada pomknęła w ślad za lekarzami zaniepokojona i gotowa służyć wsparciem. Wprawdzie wiedziała, że z typowo medycznego punktu widzenia do niczego się nie przyda, ale czasem, w sytuacji kryzysowej, pomocny okazywał się nawet zwykły fundacyjny cywil. Chociażby wtedy gdy należało otoczyć opieką panikujących rodziców. Do tego się nadawała i miała w tym doświadczenie.

Dostrzegła, w których drzwiach znika ordynator. Jej niepokój wzrósł, aż wreszcie eksplodował gwałtownie na widok skulonej i trzęsącej się przy ścianie postaci. Ada dotarła do niej w kilku susach, opadła na kolana i objęła ją ramionami.

– Co tam się stało?

– Nie wiem. To było nagle... – Maciek cedził przez zęby pojedyncze słowa, jakby strach zasznurował mu szczękę.

Z sali dobiegały pojedyncze, głośne komendy i rytmiczne odgłosy reanimacji.

– Wyprosil cię? – spytała Walicka, żeby zmusić chłopca do rozmowy.

Milczenie tylko potęgowało strach.

– Wyrzucili – podkreślił. – Krzyczeli strasznie.

– Na ciebie? Co takiego?

– Resuscytacja, noradrenalina, nie pamiętam, co jeszcze – wydusił jednym tchem.

– Niewydolność krążenia – zawyrokowała Ada.

– Mówili, że zapaść.

– Uratują ją, Maciek, zobaczysz. Patrz, ilu ich tam siedzi. Patrycja jest silna.

– Dlaczego ona? – Chłopiec wbił w nauczycielkę pytające spojrzenie. – Przecież to ja miałem umierać. To ona miała się o mnie bać, a nie

odwrotnie. Nie zgadzam się. To nie fair.

– Nie umrze – podkreśliła Walicka zdecydowanym głosem. – To tylko jakaś cholerna czarna seria straszaków. Trzecie dziecko w ciągu ostatnich dni.

– Z tamtymi się udało – mruknął Maciek, wycierając rękawem zapłakaną twarz.

Nie wstydził się łez. Nie w takiej sytuacji i nie przed Adą. Nie chciał się ruszać spod ściany, a jednocześnie nie mógł znieść zamieszania, z którego dawało się co rusz wyłowić pojedyncze, niezrozumiałe lub paraliżujące strachem słowo. Co chwilę ktoś przebiegał obok. Zamknęli się we wspólnym kokonie własnych ramion i starali się nie słuchać i nie patrzeć.

– Migotanie komór. – Dobiegł do nich stanowczy głos ordynatora. – Defibrylacja! Szybko!

Walicka przytuliła chłopca jeszcze mocniej, pozwalając, by z całych sił wbił się jej dłońmi w ramiona. Uznała, że nawet jeśli narobi jej siniaków, to nieważne. Będą bardziej zasadne niż te, które już ukrywa pod bluzą. Dźwięk świadczący o przeprowadzanej defibrylacji sprawił, że chłopiec krzyknął i zadygotał. Ada zakryła mu dłońmi uszy, by odgrodzić go od hałasu z sąsiedniego pomieszczenia. Modliła się, wypowiadając ledwo drgającymi wargami słowa, które spływały skądś same, przywołane lękiem zmieszany z niegasnącą nadzieją.

Nie zauważyła, gdy zapadła cisza. Krótco potem przykucnął obok nich doktor Bosak.

– Już okej – powiedział, głaszcząc chłopca po ramieniu. – Mamy ją. Słyszysz? Maciek! Oddycha, jest przytomna. Wszystko będzie dobrze.

Chłopiec podniósł na lekarza spojrzenie wciąż pełne lęku.

– Świetnie się spisałeś. Od razu wezwałeś pomoc. Pani Ado, naprawdę był dzielny. Przepraszam, że na ciebie nakrzyczałem. Musiałeś wyjść. Takie są procedury. Bez dodatkowych osób łatwiej się skupić na ratowaniu życia. I tak panował tam niezły bałagan. Podłoga wygląda jak krajobraz po bitwie od ampułek i opakowań po lekach. Idź i zobacz. – Uśmiechnął się i podniósł do pionu. Skrzywił usta i jęknął, rozmasowując sobie dół kręgosłupa. – Robię się na to za stary – mruknął, klepiąc się po wystającym brzuchu. – Trzeba albo dwadzieścia kilo schudnąć, albo o dwadzieścia lat odmłodzić. Nie wiem, co jest trudniejsze.

Świetny człowiek, pomyślała Ada. Uratował jedno dziecko, a potem pamiętał, żeby przyjść i uspokoić drugie.

– Dziękuję – powiedziała, zanim doktor odszedł.

– Dziękuję – powtórzył za nią jak echo zduszony łzami głos chłopca.

Siedzieli jeszcze długo na szpitalnej podłodze i stopniowo wracali do równowagi. Wreszcie Maciek wstał i nie mówiąc ani słowa, podreptał do łazienki. Później, aż do wieczora, nie dał się odgonić od łóżka Patrycji ani na sekundę. Nawet gdy przyszła jej matka. Zresztą wcale nie próbowała go przepędzać. Zszokowana informacjami od lekarzy raz po raz łapała chłopca za dłoń i mocno ścisnęła. Czerwieniał nieco skonfundowany, lecz się nie wyrywał. Patrycja uśmiechała się blado i cieszyła, że ma przy sobie ich oboje naraz.

Ada stała na korytarzu i przez szybę przyglądała się całej trójce. Nie chciała wchodzić i przeszkadzać. Nie potrzebowali jej. Niespodziewanie dołączył do niej Pilch.

– Bardzo to przeżył? – spytał, bo wieść o zdarzeniu obiegła cały oddział i dotarła także do niego.

– Bardzo – potwierdziła z ciężkim westchnieniem. – Chyba bardziej niż przeniesienie do hospicjum.

– A ty?

Gdy odwróciła wzrok, natrafiła prosto na jego oczy. Ciemne, gorące, pełne troski i żaru. Ogarnęło ją pragnienie, by się do niego przytulić.

– Ja też – przyznała i nie mogąc się powstrzymać, złapała Bartka za rękę.

– W tym dzieciaku wszystko krzyczy o uwagę, przywiązanie, bliskość. W zasadzie o cokolwiek, co ludzkie – stwierdził smutno. – Miałaś rację. Musimy spróbować z tym Kłajem. Razem mamy większe szanse. W sobotę punkt ósma będę czekał pod twoim blokiem.

Uwolnił delikatnym, choć stanowczym ruchem swoją dłoń i odszedł korytarzem w stronę wyjścia z oddziału. Jak drobne kwiaty na wiosennej łące zakwitła w Adzie radość. Spróbują. Wspólnie zrobią coś, co ma sens. Uda się, na pewno się uda. Poradzą sobie bez trudu i cały dzień spędzą razem. Tak jak dawniej, a może tak jak jeszcze nigdy. Wszystko jedno, to będzie naprawdę dobry dzień.

39.

Dom był niewielki, drewniany, ze spaczonymi oknami i odłóżką z dachu papą. Od ulicy odgradzał go spróchniały krzywy płot i rozpanoszone ponad miarę pokrzywy. Furtka wisiała na jednym zawiasie, ledwo przymknięta. Wychudzony kundel o dziwo nie cierpiał niewoli na łańcuchu, tylko myszkował po podwórku, wtykając nos we wszystkie możliwe zakamarki.

Ada złapała niepewnie furtkę. Bartek powstrzymał ją gestem dłoni. Wrócił na chwilę do samochodu i przyniósł z niego dwie kajzerki z polędwicą łososiową.

– Wkupne – oznajmił, widząc jej zdziwione spojrzenie.

Pies podbiegł do nich, gdy wkroczyli na posesję. Szczeknął dwa razy, na odwal się, z obowiązku, i zamerdał ogonem. Bułki przyjął z wdzięcznością i pochłoniął w imponującym tempie, nie gardząc nawet plasterkami pomidora. Niezapowiedziani goście okrążyli dom i na tyłach znaleźli wejście.

Uchylone drzwi, na których łuszczyły się resztki olejnej farby, skrywały ciemne wnętrza. Przez brudne okno za szarą firanką nie dało się nic wypatrzyć. Na trawniku dookoła walały się odpadki drewna, zwoje drutu, puszki po piwie i wszelkie inne żelastwo. Pod cherlawą brzozą stała drewniana ławka i okrągły plastikowy stół zastawiony pustymi butelkami, popielniczkami z mnóstwem petów oraz brudnymi talerzami. Dzwonek przy progu nie działał, pukanie nie przynosiło efektów.

– Atakujemy – zdecydowała Ada, gdy na ich próby zakomunikowania swojej obecności nikt nie zareagował. – Jest południe, drzwi otwarte, przecież nie śpią.

Zdecydowanym krokiem weszła do sieni i natychmiast nabrała ochoty, by uciec. Zatęchły odór brudu i alkoholu zaatakował jej nozdrza. Cofnęła się, nadepnęła idącemu za nią Bartkowi na nogę i jęknęła, gdy z półmroku wyłonił się wielki facet, na oko dwumetrowy, szeroki w barach, potężny i zarośnięty jak Rumcajs.

– Matka, wstaj. Jakież pany z miasta przyśli – zawołał.

– Opieka, Walduś? – Skrzekliwy głos dotarł z czeluści tej uroczej hacjendy.

– Bo ja wim? Nie mówiły. – Byczek wzruszył ramionami i rzucił w kierunku gości: – Z opieki? – A gdy dostrzegł, że go nie rozumieją, dodał, posapując: – Z MOPS-u?

– Nie – zaprzeczyła Ada, pokonując lekkie otumanienie. – My z Łodzi w sprawie Maćka. Chcielibyśmy porozmawiać z panią Wandą.

– Matka leży – oznajmił, rozluźniając się nieco i wskazując ręką gdzieś za siebie. – Pójdźta, bo do was nie wstanie. Do opieki insza rzecz.

– Matka? – Walicka nie kryła zaskoczenia.

– Matka. Chodźta, pokażę. Herbaty chceta? – Mężczyzna poprowadził ich przez zaniedbany pokój do drugiego, w głębi domu.

Głos miał przyjazny i postawę otwartą, chociaż z pewnością nie był trzeźwy. Na oko nie mógł mieć więcej niż dwadzieścia pięć lat.

Wprowadził ich do niedużego pomieszczenia, w którym na środku stało ogromne, zaścielone byle czym łóżko. Pod brudnymi kocami spał i chrapał sobie w najlepsze siwy potargany gość z obciętymi na zapalkę włosami i zmęczoną twarzą pijaka. Obok leżała kobieta w nieokreślonym wieku, tak do niego podobna z rysów i fryzury, że gdyby nie kilka tandetnych pierścionków na jej kościstych palcach, przybyli mogliby ją uznać za brata śpiącego faceta.

– Weznie zrobię herbaty – powtórzył propozycję Rumcajs i zanim goście zdążyli zaprotestować, zniknął za drzwiami.

– Czego chcą? – spytała mieszkanka domu dość uprzejmym głosem.

Ada rozejrzała się po kątach w poszukiwaniu czegoś, na czym można usiąść. Jedyne krzesło w zasięgu wzroku tonęło pod stertą skotłowanych ubrań. Oparła się zatem o framugę, przyjmując w miarę wygodną pozycję, i zastanawiała się, jak zacząć rozmowę.

– Dzień dobry – wyręczył ją Bartek. – My w sprawie pani syna. Możemy porozmawiać?

– Co macie do Waldusia? Grzeczny, pomocny. Herbaty wam poszedł zrobić. A na tej ustawce po meczu w Krakowie to on przypadkiem był. Wciągli go koledzy. Naiwny, głupi, to się dał podpuścić. Policjanty mówiły, że już wszystko załatwione i nie będzie kłopotów. Wy z policji?

– Walduś to pani syn? – wyrwało się Walickiej.

– No, a jak? Przeszło dwadzieścia lat, jakem go urodziła.

– Ładnie pani wyrósł – pochwalił Bartek, wyczuwając słabość kobiety do byczka.

Matka aż pokraśniała z zadowolenia.

– Wszyscy się go tu boją. Dziewczyny aż piszczą, kiedy idzie drogą. Pani przyzna, że ładny chłopak – dodała w stronę Ady.

Ta tylko lekko skinęła głową.

– Może pani być dumna – mruknął Pilch. – My jednak w sprawie Maćka. To też pani syn, prawda?

Śpiący facet chrapnął nagle głośniej i obrócił się na drugi bok. Walduś przyniósł dwa kubki z dyskontową herbatą i postawił na parapecie okna.

– Cukier się skończył – oznajmił przeproszającym tonem. Przysiadł na łóżku obok matki i z lubieżną miną lustrował przybyłą kobietę.

– Ano mój, prawda – oznajmiła gospodyni skrzekliwym tonem i głośno pociągnęła nosem. – Tylko nie tak jak Walduś.

– Dlaczego? – spytała Ada.

– Zabrały mi go te cholery z opieki. Dawno temu. Że niby zaniedbany i głodny. Tak samo jak o Waldusia dbałam. Przecie pani widzi. Nikt nie powie, że mój syn zabidzony.

– Dlaczego przestała go pani odwiedzać? – atakował Bartek.

Facet na łóżku znowu głośniej chrapnął. Kobieta wygrzebała się spod koców i stanęła chwiejnie, klapiąc bosymi stopami o posadzkę. Walduś zerwał się i położył przed nią sfatygowane podróby crocsów.

– Chodźta do stołu. Karol niespokojny, jeszcze się obudzi... – wymamrotała z lękiem.

Przeszli do mijanego wcześniej pokoju. Dało się tu usiąść, chociaż krzesła trzeszczały złowieszczo. Walduś wziął kubki z parapetu i postawił przed gośćmi. Pani Wanda pomyszkowała po półkach regału i znalazła papierową torbę z łyżeczką i resztką cukru. Postawiła znalezisko obok herbat, a ze zgrzewki stojącej na podłodze sięgnęła po puszkę piwa. Otworzyła, pociągnęła zdrowy łyk i sapnęła z zadowoleniem.

– Jakżeś szukał, gamoniu? – skarciła syna i zachęciła gości: – Państwo piją.

Niezbyt się kwapili.

– Nie widziałem. Poszłem tylko do kuchni – mruknął Walduś skruszony i także wyciągnął rękę do zgrzewki.

– Maćka wywieźli do Łodzi. Niby to na leczenie, ale ja swoje wiem. Chcieli go od rodziny oddzielić.

– Ale to pani przestała go odwiedzać i odpowiadać na jego listy. – Ada nie kryła wyrzutu.

– Ja chciałam, tylko skąd na to brać? Pani wie, ile bilety kosztują? Poza tym u mnie zdrowie słabe i Walduś na głowie. Oczy mi wysiadają, jak mam pisać listy? Znaczków darmo nikt nie da. Nie trza było mi go zabierać, tobym się zajmowała jak Waldusiem.

– Maciek jest bardzo chory – przerwał jej Bartek. – Lekarze rozkładają ręce.

Kobieta zamarła na moment, wbijając w niego spojrzenie.

– Biedny, to się nie starają – zawyrokowała, ocierając rękawem zwilgotniałe oczy.

– Zrobili wszystko, co się dało. Od lat walczyli o jego zdrowie. Pani o tym wie – podkreśliła Ada.

– Czego chceta od matki? – wtrącił się Rumcajs, potrząsając brodą. – Zbierata pieniądze na leczenie? U nas nie znajdzieta. Z zasiłku żyjemy.

– Dlaczego pan nie pracuje, panie Waldku? – wyskoczyła Ada, zanim Bartek zdążył kopnąć ją w kostkę.

– A ty, cizia, co? Urząd pracy? Głowę słabą mam. Na rencie jestem.

Pani Wanda zerwała się z krzesła. Po chwili przyniosła na stół decyzję o przyznaniu renty inwalidzkiej dla Waldusia urodzonego z alkoholowym zespołem płodowym FAS i leczonego od dziecka neurologicznie.

– Widzita? Chorusieńki na świat przyszedł, drobina. Ale dbałam, chuchałam i chłop jak tur. Tylko w środku ciągle delikatny taki. Łatwo go skrzywdzić. Z dwoma chorymi nie dałabym rady. Musiałam wybrać jednego.

– Pani Wando, nie przyszliśmy pani oceniać – przerwał ten wywód Bartek. – Chcieliśmy tylko panią prosić, żeby odwiedziła pani Maćka. Jutro są jego urodziny. Być może ostatnie, jakie będzie świętował.

– Przecie wiem, że jutro. Czternaście lat temu go rodziłam, w samo święto matki. Waldusia musiałam z Karolem zostawić, jak mnie do szpitala wzięli. Spił się i synka mi pobił.

– Pan Karol jest ojcem Maćka? – wtrąciła Ada.

– No skąd? Dyć to konkubent mój tylko.

– To kto jest ojcem pani synów?

– Waldusia to Matoszczyk z Targowiska. Straszna menda. A młodszego sama nie wiem. Kto by to spa pamiętał.

– Pojedzie pani do Maćka? – Ada nie dawała za wygraną. – Razem z synem. Maciek na pewno brata też chętnie zobaczy.

– On się z Waldusiem nigdy nie lubił – mruknęła pani Wanda. Zgniotła w dłoni pustą puszkę i wyjęła z kieszeni paczkę papierosów.

Syn usłużnie podsunął zapalniczkę.

– Nie pojedę, nie mam za co. Na dworcu spać nie zamierzam jak lump jaki.

– Zabierzemy panią samochodem – zaproponował Bartek. Miał już dość tej wizyty i postanowił postawić sprawę jasno. Wóz albo przewóz. –

Zorganizujemy nocleg i dostanie pani bilet na powrót do domu. Prosimy tylko, żeby się pani umyła, ubrała i pojechała z nami, a na czas wizyty u Maćka darowała sobie alkohol.

– Co ty mi tu, chłoptasiu, będziesz mówił, co ja mam robić? Co ja pijaczka jaka czy co, że mi zwykły browar wymawiasz?

– Nie o to chodzi – wtrąciła Walicka, coraz mniej przekonana do słuszności pomysłu zapraszania tej kobiety. – Po prostu do hospicjum po alkoholu nie wpuszczają.

– To on w hospicjum jest, nie w domu dziecka? – zdziwiła się pani Wanda i potarła z konsternacją czoło.

Goście w ciszy pokiwali głowami.

– Matka, nie zostawiaj mnie, nie jedź – zabiadolił Walduś jak małe dziecko.

Uciszyła go jednym gestem ręki.

– Dwa patyki – powiedziała cicho.

– Słucham? – spytał Pilch pewien, że się przesłyszał.

– Zapłacicie dwa patyki, to pojedę. Do tego nocleg, bilet powrotny i żarcie. Ja mam obowiązki, wydatki, chore dziecko. – Tu wskazała na syna kościstym palcem. – Chcecie, to się zgadzam, ale muszę coś z tego mieć, że zostawię Waldusia samego z Karolem.

– Do widzenia – oznajmiła Ada, gwałtownie wstając i odsuwając od siebie nietkniętą herbatę. – Dziękujemy za gościnę.

Ruszyła do drzwi. Jej towarzysz bez słowa pomaszerował za nią.

– Dobra. Jeden patyk wystarczy. – Usłyszeli za sobą skrzekliwy głos gospodyni.

Nie zwolnili kroku. Za progiem wpadł im pod nogi pies. Odruchowo podrapali go za uszami, przystając tylko na moment. Gdy mijali furtkę, dogonił ich zasapany Walduś.

– Matka mówi, że należy się za herbatę.

– Ile? – syknął Bartek, sięgając do kieszeni.

Byczek zbaraniał, nastawiony na opór w tej kwestii. Nie wiedział, co odpowiedzieć. Tymczasem ten koleś z Łodzi podszedł do niego, wepchnął mu w dłoń dwadzieścia złotych i warknął:

– Wystarczy?

Walduś stał jak słup. Dopiero gdy wykręcili na podjeździe, zbliżył się do okna pasażera i zapukał w nie wielką jak bochen dłońią. Ada opuściła szybę.

– Weź, cizia, kup Maćkowi czekoladę – powiedział, rzucając jej na kolana otrzymany przed chwilą banknot. – Powiedz, że od brata.

Pilch uruchomił silnik i ruszył wolno szutrową drogą, wzbijając w górę tumany kurzu. W bocznym lusterku jeszcze długo odbijała się potężna postać. Mężczyzna opierał się o furtkę i raz po raz ocierał knykciami oczy.

– Niby taki Rumcajs, a jednak Cypisek – podsumowała Walicka.

Odpowiedziała jej gęsta cisza. Minęli kilka miejscowości i wjechali na obwodnicę Krakowa. Ada kręciła się niecierpliwie na siedzeniu, raz po raz zerkając na Bartka.

– Nie przejmuj się. – Postanowił podnieść ją na duchu. – Wyobrażałem to sobie nieco inaczej, ale wiedziałem od początku, że to się nie może udać.

– To dlaczego ze mną pojechałeś?

– Żebyśmy mogli z czystym sumieniem przyznać, że daliśmy z siebie wszystko w tej sprawie. To wyprawa bardziej dla nas niż dla Maćka.

Niepewnie pokiwała głową, jednak widział, że coś ją nadal trapi.

– Co się dzieje? – wypalił, gdy wciąż nerwowo rozglądała się na boki.

– Mógłbyś wjechać na godzinę do miasta? Obiecuję, to nie potrwa dłużej.

Bez słowa wypatrzył zjazd, włączył kierunkowskaz i opuścił obwodnicę.

– Chcesz zajrzeć na Wawel albo przejść się po Plantach? – spytał wreszcie, bo Walicka wytrwale milczała. – Kierować się do centrum?

– Nie. Cały czas prosto. Powiem ci, gdzie skręcić – odparła, gapiąc się przez przednią szybę.

Gdy zaparkował pod szpitalem, odwróciła do niego dziwnie pobladłą twarz.

– Moja matka przebywa na oddziale psychiatrycznym. Leczą ją tak długo, że w zasadzie można uznać, że mieszka w szpitalu. Jacek uważa, że zaglądam tu bez sensu, bo ona i tak mnie nie poznaje. Wejdę tylko na kwadrans, dobrze? Postaram się wrócić bardzo szybko.

Wysiadła w pośpiechu, jakby się bała, że Bartek ją zatrzyma albo – co gorsza – wyśmieje. Dołączył do niej tuż przed wejściem.

– Skoro cię nie poznaje, możemy iść razem, prawda? Chyba nie będę przeszkadzał?

Uśmiechnęła się niepewnie i pchnęła szklane drzwi. Pierwszy raz nie odwiedzała matki sama.

Po wizycie Ada jak zwykle była milcząca i zgaszona. Pozwoliła zabrać się na obiad i na spacer po Starym Mieście. Rozmawiali o błahych rzeczach i zaplanowanym koncercie jak dwoje znajomych, których łączy wyłącznie służbowe sprawy. Poszpitalne przygnębienie minęło szybciej niż zwykle. Przy Bartku nie umiała pograć się w smutku. Na gierkówce humor całkowicie jej wrócił i pchana dręczącą ją od dawna ciekawością zaczęła wypytywać o *Skrzydła*.

– Skąd znasz takie szczegóły? – zdumiał się rysownik.

– Maciek pożyczył mi kilka tomów. Przeczytałam i tyle – oświadczyła, ignorując skierowany na nią pełen niedowierzania wzrok. – Powiesz czy nie? Po co oni przenieśli się w czasie? Przecież nie musieli. Mogli zdecydować.

– Postanowili zwać od okrucieństwa wojny, bezsilności i własnych błędów, które z wojną nie miały nic wspólnego. Myśleli, że tak będzie łatwiej.

– To dlaczego teraz tak bardzo chcą wrócić?

– Zmądrzeli. Nie da się uciec przed faktami i tym, co w życiu trudne. Chcą naprawić, co się da, i walczyć o lepszą przyszłość.

– Skąd ten pomysł? Też tak uciekałeś? A może Borys?

Wpatrywała się w profil Bartka. Nie odrywał wzroku od drogi, a Ada – od niego.

– Obaj. Chyba każdemu to się zdarza.

– Wróciłeś?

– Próbuję od lat i ciągle szukam drogi.

– To ma związek z jakąś dziewczyną?

Przez chwilę milczał, skupiając się na wyprzedzaniu sznurka tirów i zastanawiając się, co jej odpowiedzieć.

– Poniekąd. Przede wszystkim ma to związek z moim bratem. Ciężko posklejać rozbitą rodzinę.

– Ty ją rozbiłeś? – spytała z niedowierzaniem.

– Nie sam. Każde z nas dało nieźle czadu. Nie potrafiliśmy się wzajemnie szanować i zrozumieć.

W ciszy minęli Częstochowę. Bartek zjechał na stację. Zatankował i przyniósł po kubku gorącej kawy z mlekiem. Ada piła małymi łykami, rozważając, czy pytać dalej, czy lepiej milczeć. Jej towarzysz nie wyglądał na skorego do zwierzeń. Może to zbyt trudne, zbyt bolesne, a może zbyt prywatne, by opowiadać byle komu?

– Kim ja dla ciebie jestem, Bartek? – wyrwało jej się, gdy wjeżdżali do Łodzi i nie mogła już znieść milczenia.

– Koleżanką z pracy – odparł, zerkając na nią w gęstniejącym mroku. – Tak przecież zdecydowałaś.

Zabolało. To prawda, tak zdecydowała. Jednak czy aby na pewno tego właśnie chciała?

Odezwała się dopiero, gdy zaparkował przy Paderewskiego, tuż obok jej bloku.

– Nie może być znowu normalnie?

– Co masz na myśli?

– Między nami. Tak jak dawniej. Przyjaźniliśmy się, umieliśmy się razem śmiać, szczerze rozmawiać, mogliśmy robić wspólnie ważne rzeczy, pomagać sobie. Nie szkoda tego?

– Zrobiliśmy dziś coś ważnego, mimo że nie wyszło. Pomogłem ci, poszedłem z tobą do szpitala.

– Pomogłeś i bardzo ci za to dziękuję. Tylko wciąż trzymasz dystans większy niż z Oslo do Rzymu.

– Czemu akurat tak? – Zaśmiał się.

– Nie pasuje? To jaka jest najdłuższa droga świata?

– Autostrada Panamerykańska. Razem z różnymi odnogami prawie czterdzieści osiem tysięcy kilometrów. Może być?

– Idealnie. – Próbowała się uśmiechnąć, ale on już spoważniał.

– Przyczyny dystansu są dwie – zaczął wyjaśniać. Splótł palce na kierownicy i zapatrzył się w dal ciemnej ulicy przed sobą. – Pierwsza, mniej istotna, to fakt, że cię kocham, Ada. Świadomość, że to nie działa w obie strony, nie jest dla mnie łatwa. Druga, zasadnicza, dotyczy tego, że twój narzeczony używa przemocy. Krótko mówiąc: leje cię. Wbijasz się w bluzy i swetry, maskujesz siniaki i puszczasz mu to płazem. Pomoc odrzucasz, wypierasz się problemu. Jestem bezradny i nie potrafię tej bezradności udźwignąć, bo: patrz punkt pierwszy. Mogę tylko walić głową w ścianę i wyć do księżyca. Koniec. Teraz proszę cię, wysiądź i idź do domu, bo nie chciałbym, żeby zobaczył cię w moim aucie i uznał to za kolejny argument, żeby ci przyłożyć.

– Bartek, to nie jest tak. On mnie nigdy nie uderzył, dramatyzujesz – próbowała bronić nie wiadomo kogo bardziej, Jacka czy siebie.

– Idź! Miej litość dla mnie i dla siebie. Zastanów się nad tym, co ci powiedziałem. Mówię o punkcie drugim. Pierwszy możesz na razie nawet

olać.

– Jesteś nienormalny – mruknęła, bo właśnie punkt pierwszy wydawał jej się najbardziej wart rozmyślenia.

– Dobranoc, Ada – oznajmił Bartek twardo. Pochylił się nad nią i otworzył jej drzwi.

Wysiadła bez słowa, nie patrząc w jego stronę.

Przekręciła klucz w drzwiach i po cichu weszła do mieszkania. Minęła dwudziesta pierwsza. Niedawno zapadł zmrok. Wokół panowały cisza i ciemność. Przez chwilę cieszyła się, że Jacek nie wrócił jeszcze z pracy. Dopiero gdy zdjęła kurtkę i buty, usłyszała w salonie kroki. Jej narzeczony stanął w progu z butelką piwa w ręce i oparł się o futrynę.

– Co za ważne sprawy zajmowały cię przez całą sobotę?

– Jedna sprawa. Maćka.

– Lodzik pojawił się w pracy?

– Nie mam pojęcia. Jego pytaj.

– Pytam ciebie. Kiedy go ostatnio widziałaś?

Zmarszczyła czoło, próbując sobie przypomnieć.

– Chyba w czwartek. Sprzątał u Patrycji po tym, jak ją ratowali z zapaści.

– Z jakiej znowu, kurwa, zapaści? – warknął wyraźnie zdenerwowany.

– W ciągu ostatnich dni reanimowali troje dzieci. Czarna seria.

Na szczęście wszystkie żyją.

– Jak się czują?

– Nie wiem, wczoraj było w miarę okej. O co ci chodzi?

– Tyle czasu siedziałaś w szpitalu i nie sprawdziłaś, jak się czują?

– Pojechałam do Kłaju w sprawie Maćka. Mówiłam ci kilka razy.

W drodze powrotnej zajrzałam do matki.

– I?

– Z matką Maćka się nie udało, a z moją... wiesz, jak jest. W zasadzie niewiele się zmienia.

– Zmarnowałaś czas. Ona nawet nie wie, że przyjeżdżasz.

– Ja wiem. To mi wystarczy.

– Czym wróciłaś? Pekaesem? – zmienił temat i pociągnął z butelki spory łyk.

– Dlaczego pytasz?

– O tej porze nie ma żadnego pociągu.

– To nie jest jedyna możliwość.

– Wiem, do cholery. Jest BlaBlaCar, busy, ostatecznie autostop. Pytam, czym jechałaś – mówił coraz bardziej napastliwie, zaciskając pięść wolnej dłoni.

– Samochodem.

– Z kim?

– Z Bartkiem.

Zawadowicz wypuścił ze świstem powietrze. Dopił piwo i odstawił butelkę na szafkę z butami.

– Wiedziałem – mruknął, stając naprzeciwko narzeczonej. – Spałaś z nim.

– Co ty bredzisz, Jacek? Oszalałeś?

– Chcesz powiedzieć, że zawiózł cię do Kłaju i Krakowa, przeczekał twoje ckiwe odwiedziny u własnej i cudzej matki, przywiózł cię z powrotem i nie dostał nic w zamian? Ot, tak po prostu?

– Tak. To uczynny człowiek. Pracujemy razem, lubimy się, to wszystko.

– Już to słyszałem – oświadczył, opierając rękę na ścianie, tuż obok jej głowy. – Wiesz, co o tym sędzę?

– Co?

– Że kłamiesz. Kłamiesz i myślisz, że zrobisz ze mnie, kurwa mać, idiotę! I tak się dowiem.

– Niby jak? – spytała, wzruszając ramionami, żeby za żadne skarby nie pokazać, że zaczyna ogarniać ją strach.

Wtedy zdarzyło się coś, czego się nie spodziewała.

Robił już różne rzeczy. Ostatnio miał zwyczaj zachowywać się wyjątkowo nieprzyjemnie, opryskliwie. Uważała, że Bartek przesadza i idzie w swoich oskarżeniach nieco za daleko, choć sama przed sobą zaczynała przyznawać, że coraz mniej podoba jej się narzeczeństwo.

Zawadowicz jednym szarpnięciem oderwał ją od ściany w przedpokoju i popchnął w stronę sypialni. Zanim zdążyła zaprotestować, rzucił ją na łóżko, twarzą do przodu. Wyrwała się, ale przygniótł ją swoim ciężarem, ściągając z niej spodnie i majtki. Obejrzał zerwaną bieliznę w świetle nocnej lampki, szukając dowodów zdrady. Jednocześnie przyciskał z całej siły szyję narzeczonej do materaca.

– Puść mnie, proszę! – wycharczała. – Nie tak mocno. To boli.

– Do niego też tak skamlesz? Może ty potrzebujesz właśnie tak? Może dlatego poszłaś do niego, bo ja byłem za dobry, za delikatny... Sprawdzimy?

– Proszę, nie...

– Ależ tak. Jesteś moją narzeczoną i zaraz będziesz się ze mną pieprzyć na ostro.

Miała ochotę krzyczeć, jednak jej cała twarz zatopiła się w pościeli. Ucisk na szyję i krtań był tak silny, że niemal odbierał oddech. Leżała na brzuchu i nie miała szans, by choć wzrokiem kontrolować sytuację. Paraliżował ją strach, a jednocześnie wstyd i przekonanie, że to, co się dzieje, w jakimś stopniu sama na siebie sprowadziła.

Zanim zdołała sprecyzować własne myśli, jego palce gwałtownie i z całej siły wbiły się w jej wnętrze. Poczowała, że zbyt długo nieprzycinane paznokcie ranią ją od środka. Krzyknęła, próbując się wyrwać. Nic to nie dało, a po chwili napłynęła kolejna fala bólu, na który nie miała szans się przygotować. Niby wiedziała, czego się spodziewać, a jednak nie przypuszczała, że to stanie się tak szybko, tak brutalnie. Momentalnie zamarła w bezruchu, wiedząc, że walka nie ma sensu. Jeśli zdoła się nie wyrwać i leżeć spokojnie, zaoszczędzi sobie cierpienia.

Jacek puścił na moment szyję narzeczonej. Chwycił ją za nadgarstki, ułożył na jej karku i opierając się na łokciach, docisnął swoimi dłońmi. Wiedział, że ledwo oddycha. Chciał, by nie miała szansy nawet drgnąć, dopóki on na to nie pozwoli. Koniec z tolerancją i pobłażaniem! Koniec z poniżaniem go i puszczaniem się na prawo i lewo! Teraz jej pokaże, kto w tym domu ma ostatnie słowo!

Przez kolejne minuty Ada nie słyszała nic poza skrzypieniem sprężyn materaca z Ikei. Mdlilo ją od tego dźwięku. A sprzedawca zapewniał, że nie będą skrzypieć, cholerny kłamca...

Starła się łapać rzadkie, krótkie oddechy i nie myśleć o tym, co się dzieje. Próbowwała udawać, że w ogóle jej nie ma w sypialni. Nie wróciła jeszcze do Łodzi, utknęła z Bartkiem na gierkówce. Albo znowu ma tylko kilka lat, idzie z tatą na spacer i słonko barwi kwiatami łąkę specjalnie dla niej. Ci, których kocha, są dobrzy, a ona może im ufać. Może śmiać się przez całe popołudnie, a wieczorem usiąść z mamą przed lustrem i powiedzieć: „Lubię cię, Ada. Jesteś w porządku”.

Potem myśli zaczęły się rwać i pogrążały ją w coraz większym chaosie.

Do diabła, do diabła, do diabła!

Niech on już skończy i idzie w cholerę. Do estrów czy innych polimerów.

Kto to w ogóle jest?

Czy ja go znam?

Już nie mogę... jak to boli... jak to boli...

Kiedy wreszcie wstał i wyszedł, zamykając za sobą drzwi sypialni, zaczęła powoli, coraz zachłanniej nabierać powietrza, żeby dotlenić mózg. Kręciło jej się w głowie, a przed oczami fruwały ciemne plamy. Gdy uznała, że opanowała oddech, poruszyła ostrożnie szyją i zdrętwiałymi dłońmi. Zgodnie z przewidywaniem przeszyły je tysiące igiełek, które choć na chwilę litościwie odwróciły jej uwagę od innych doznań. Przywracanie prawidłowego krążenia w rękach sprawiało niemal przyjemność i Ada starała się przeciągać tę czynność jak najdłużej.

Następnie spróbowała się podnieść.

Zdała sobie sprawę, że leży na brzuchu wciąż w staniku, koszulce i zapiętej na zamek bluzie. Wystarczyło rozprostować to wszystko na sobie. Na nogach zostały wyłącznie skarpetki. Podniosła plecy i gdy uklękła na materacu, poczuła z przerażeniem, że po udach cieknie jej coś lepkiego.

Nie!

Bała się, że za chwilę zemdleje, bo znajome mroczki wróciły. Jeśli nie założył prezerwatywy... To przecież niemożliwe. Zawsze pamiętał. Zawsze! On, taki poukładany... Prędzej Ada by zapomniała. Jednak ostatnio naciskał na odstawienie gumek. Tym razem nie zapytał Ady o zdanie. O zgodę też nie...

Przełknęła głośno ślinę, odetchnęła głęboko i zamrugała kilka razy. Potem zebrała w sobie całą odwagę i spojrzała między nogi. W pokoju panował półmrok rozrzedzony światłami ulicy. Spływająca substancja wyglądała na ciemną. Odcinała się kolorem od jasnej skóry. Krew! Cholera jasna. To pewnie tylko krew. Bolało, koszmarnie bolało. Była sucha jak pustynia Atakama w Chile. Nic dziwnego w tych okolicznościach... Musiał uszkodzić śluzówkę. Uff. To lepiej, to znacznie lepiej. Zdecydowanie wołała taką niedogodność. Szkoda się zadręczać, na pewno użył prezerwatywy. U niego to działało jak odruch bezwarunkowy. Pan chemik, o dziwo, chemicznych zabezpieczeń nie tolerował. Ufał tylko tym mechanicznym, które mógł sam kontrolować. A może to Adzie nie ufał?

W końcu zdołała wstać. Podpierając się o ściany, dotarła do łazienki. W uszach brzęczała cisza. Walicka słyszała tylko szum wody w rurach. Była pewna, że Jacek wyszedł, i bardzo jej to odpowiadało. Musiała dojść do siebie, odpocząć, zastanowić się, co tu w ogóle zaszło i co dalej powinna zrobić. Ze zdziwieniem odkryła, że nie musi się uspokajać. Czowała się jak po przedawkowaniu naparu z melisy, zobojętniała, apatyczna i senna.

Doprowadziła się do porządku pod prysznicem. Wszystkie otarcia piekły pod wpływem mydła tak, że łzy same popłynęły jej z oczu. Założyła czystą, suchą piżamę, umyła zęby, łyknęła trochę wody z kranu i zwinęła się w kłębek pod kocem na kanapie w salonie.

Do sypialni nie chciała wchodzić. To przekraczało jej siły.

Nie martwiła się, że Jacek wróci. Nie bała się spotkania z nim. W ogóle niczego się nie bała. Przecież to jej narzeczony, najbliższy człowiek, urodzony tej samej co ona czerwcowej nocy. To coś dzisiaj nie mogło się wydarzyć naprawdę. To pomyłka albo po prostu jej się przyśniło. Nie zrobiła nic złego, ma czyste sumienie. Prawie. Jej myśli uciekają uporczywie do tego drugiego mężczyzny, ale żaden z nich przecież o tym nie wie. Od dziecka stawiała sprawę jasno, wyraźnie podkreślała, kogo kocha: tatę, mamę i Jacka. A oni po kolei wymykali jej się z rąk. Każde na swój okrutny i bolesny sposób.

Najlepiej zasnąć i oddzielić grubą kreską to, co stało się wieczorem. W niedzielę koncert. Dobry, przyjazny i bezpieczny. Jutro nic złego nie może się zdarzyć.

40.

Cichy odgłos podnoszonych rolet wyrwał Adę z głębokiego snu. Nie zdążyła zareagować. Zanim otworzyła oczy, została w pokoju sama. Na stole stał wazonie wielki bukiet kwiatów. Przy nim leżał prezent. Zajrzała do torebki – śliczna kolorowa apaszka z cienkiego, przyjemnie chłodnego jedwabiu. Potwornie droga. Darczyńca zapomniał o usunięciu metki z ceną. Walicka pogładziła materiał dłonią i zerknęła w stronę kuchni. Jajecznica skwierczała na patelni. Kawa stała na stole obok obranych i podzielonych na cząstki pomarańczy oraz posmarowanych masłem bułek. Najsmaczniejszych podłużnych paluchów z mnóstwem ziaren.

– Pospiesz się, kochanie – zasugerował Jacek, wyłączając gaz. – Musisz się najęść. Przed tobą pracowity dzień. Odwiozę cię do szpitala, bo inaczej nie zdążysz na próbę generalną z dziećmi.

Każdy krok przez mieszkanie przypominał Adzie boleśnie, dlaczego narzeczony jest dla niej taki miły. Zerknęła w lustro w przedpokoju i zrozumiała, po co ta apaszka. Tym razem bluza nie ukryje wszystkiego. Obawiała się, że nie przełknie śniadania, ale posłusznie usiadła przy stole i sięgnęła po kubek z kawą.

Godzinę później weszła do klasy i niedbale rzuciła torebkę na krzesło. Zgarnęła z biurka magicznie materializującą się butelkę i łapczywie napiła się soku. Mdlilo ją po kawie i jajecznicy, którą wepchnęła w siebie dla świętego spokoju.

Bartek rzucił na nią okiem i już wiedział. Podszedł, by delikatnie zajrzeć pod jedwab. Dziewczyna milczała, lecz zasinienia i zadrapania wyjawily mu część tajemnicy.

– Pokaż ręce – poprosił cicho.

Nie drgnęła, więc sam podciągnął jej rękawy, by dostrzec świeże ślady na nadgarstkach. Choć nie zdradzały szczegółów, dla niego stanowiły wystarczająco wstrząsający widok. Odwrócił się twarzą do okna. Uderzył otwartą dłonią we framugę i oparł czoło o zimną szybę.

– Kurwa mać – wyszeptał, zaciskając obie dłonie w pięści. – Widział nas.

– Nie.

– Nie? – spytał z powątpiewaniem, odwracając się do niej.

– Powiedziałaś mu, że byłeś ze mną w Kłaju i Krakowie.

– Ten człowiek jest chory. Już wygląda to fatalnie, a będzie coraz gorzej. Nie jest twoim mężem ani ojcem twoich dzieci. Nie ma żadnych przeszkód, żebyś od niego odeszła. Jeśli boisz się go albo że sobie sama nie poradzisz,

przynajmniej na początku, proszę bardzo, oferuję ci swoją pomoc. W takim zakresie, w jakim będziesz potrzebować. Sugeruję też psychologa. Jeśli chodzi o mnie, nie chcę niczego w zamian. Nie musisz udawać, że ci na mnie zależy, patrzeć mi w oczy, trzymać za rękę czy iść ze mną do łóżka. Mogę być dalej kolegą z pracy, tak jak sobie życzyłaś. Chcę tylko wyrwać cię z tego. Nic więcej. Gdy dojrzejesz do myśli, że masz dość roli worka treningowego, po prostu do mnie zadzwoń. Numer znasz. Tylko proszę cię, zdecyduj się, zanim on zrobi ci coś, czego nie ukryjesz pod bluzką albo apaszką i czego nie zdołasz zapomnieć.

– Bartek, ja rozumiem, co przeżywasz. Pamiętam, co wczoraj powiedziałaś. Wyolbrzymiasz, bo czujesz się odrzucony, zazdrosny i...

– Przestań bredzić! Dusił cię, pewnie szarpał, nie wiem, co jeszcze ci zrobił. Chcesz tak żyć przez następne kilkadziesiąt lat? Przemoc nie zniknie tylko dlatego, że zasłonisz jej ślady. Nie musisz się na nią godzić, a tym bardziej jej kryć i stawać w jej obronie!

Nie potrafiła zdobyć się na nic więcej poza krzywym uśmiechem i pytaniem:

– Opieprzasz mnie? Dlaczego aż tak bezpośrednio i radykalnie?

– Inaczej nie potrafię. Chwilowo pas, dzieci czekają na próbę.

Pogoda dopisała. Podniebne wełniane baranki goniły za słońcem. Upał nieco odpuścił i w cieniu dawało się wytrzymać bez ryzyka totalnego roztopienia. W otoczeniu drzew szpitalnego zielenca było nadzwyczaj przyjemnie. Maruda, odpaliwszy w głowie imprezowy pazur, dbała o efektowny show. Co chwilę wyrywała konferansjerom mikrofony, dziękowała gościom za przybycie i zagrzewała tłum do dobrej zabawy. Korowód młodszych i starszych artystów prezentował wszelkie odmiany sztuki scenicznej, od tańca przez śpiew chóralny i solowy, aż po elementy stand-upu i pokazów iluzjonistycznych. Próżno byłoby doszukiwać się nudy i monotonii w tym barwnym zbiegowisku. Występ pacjentów szpitala i hospicjum udał się nad podziw. Wzięły w nim udział niemal wszystkie dzieci, którym zdrowie i samopoczucie na to pozwalały. Jedyne Łukasz stawiał opór, twierdząc, że woli pozostać w swoim łóżku. Zachęcany do wyjścia niezrozumiale burczał. Poddał się dopiero na wieść o tym, że jego współlokator świętuje urodziny i bardzo, bardzo prosi kolegę o wzięcie udziału w balandze. Chłopak pozwolił umieścić się na wózku inwalidzkim i zawieźć na zieleniec. Siedział w cieniu drzew i pochłaniał kolejne porcje donoszonego mu przez Maćka ciasta. Milczał jak zaklęty, choć kilka razy

nie zdołał zapanować nad uśmiechem. Nie mógł zaprzeczyć, że całkiem nieźle się bawi.

Pilch urządził pod wielkim kasztanem przenośną naleśnikarnię. Na turystycznej dwupalnikowej kuchence umieścił dwie identyczne patelnie. Zwykłe smażenie podniósł do rangi improwizowanego kabaretu, wachlując się plackami, wykrzykując zabawne uwagi i strojąc głupie miny. Dzieci ustawiały się do niego w kolejce i pękały ze śmiechu.

Walicka stała na szpitalnym tarasie i z podwyższenia obserwowała widowisko: scenę, kłębiących się gości, rozbawione dzieci i pracowników fundacji. Zieleniec dawno nie wyglądał tak kolorowo. Wokół unosiło się mnóstwo balonów. Któryś z hojnych sponsorów przeholował z ich liczbą. Tworzyły coś na kształt dachu, barwiąc niebo i radując serca najmłodszych.

Wśród cizby wyłowila wzrokiem Bartka. Machnął patelniami i podrzucił w górę dwa naleśniki naraz. Błyskawicznie obrócił się wokół własnej osi i z udawanym przerażeniem w ostatniej chwili złapał spadające placki. Wybuchły wiwaty, a on ukłonił się komicznie i zaczął żonglować słoikami z dżemem. Pajac i komediant. Nie dość, że cała ta szopka wychodziła mu naturalnie, jakby bez wysiłku, to jeszcze sam doskonale się przy tym bawił. Ada poczuła, że rozpływa się po niej przyjemne ciepło i rozciąga jej usta w uśmiechu. Jakby ktoś rozsmarował w jej wnętrzu słodki dżem. Pomarańczowy, najlepszy. Taki przysmak jest najlepszym pomysłem w leniwy słoneczny dzień, a także w burą listopadową słońce i można go jeść ze wszystkim: z tostem, bułką, biszkoptem, a nawet sam, wygarniany palcami wprost ze słoika. Przy nim zawsze dopisuje apetyt. Naleśnikowy błazen był właśnie jak ten dżem. Sprawdzał się przy każdym nastroju, w każdej chwili, każdego dnia. Pasował do niej i do jej życia jak brakujący klocek, znacznie bardziej niż... ktokolwiek inny.

Czy warto planować przyszłość z kimś z innej układanki, na siłę docinając własne pasje, poglądy, marzenia do właściwego kształtu? Co z tego, że są we dwoje od zawsze? Matczyne modły, zabobony i wspólna data urodzenia to za mało! Ada zdała sobie nagle sprawę, że spędziła tyle lat z Jackiem, bo dotąd nawet nie przyszło jej do głowy, że mogłaby, że ma prawo go nie chcieć. Nigdy nie brała pod uwagę innego scenariusza na życie. Może dlatego pozwalała na... poniżanie. Do diabła, tak! Na podstępne narastanie przemocy. Koszmar. Nie umiała jeszcze nazwać rzeczy po imieniu, lecz już wiedziała, że więcej do tego nie dopuści. Bartek miał rację. Nie musiała się na to godzić ani nic ukrywać. To nie jej upokorzenie i wstyd, tylko Jacka!

– Cholera – mruknęła pod nosem, bo prawda spłynęła na nią niespodziewanie, oczywista i niepodważalna. – Cholera, cholera jasna – mamrotała, tocząc oczami gdzieś nad koronami drzew.

– Coś nie halo? – Zaatakował ją zza pleców rozbawiony głos.

W pierwszej chwili pomyślała, że to wyobraźnia płata jej figla. Odwróciła się i przed nosem pojawił się niespodziewanie ogromny różowy balon z nabazgranym markerem napisem: „*Lap byka za rogi*”.

– To dla ciebie – zawołała Majka, przekrzykując harmider. – Balon motywujący. Na przeprosiny, na zgodę i na chwilę zwątpienia. Pewnie masz wszystkiego dość. Ja przygotowania do ślubu wspominam jako upiornie męczące.

– Skąd tu się wzięłaś? Gdzie Staś?

Lipska wykonała szybki obrót na palcach, niczym rasowa baletnica, poprawiła dłonią materiał lekkiej letniej sukienki, która subtelnie podkreślała jej znakomitą figurę, i oznajmiła ze śmiechem:

– Został z tatusiem. Dostałam wychodne! – I nie mogąc powstrzymać się od dalszych zwierzeń, wypaliła na jednym wydechu: – Miałś rację. Butelka uratowała mi życie. Tomasz kocha mnie jak dawniej albo jeszcze bardziej, mały śpi, a gdy się budzi, potrafi się cudownie bawić, moi rodzice chętnie go od nas pożyczają, żebyśmy mieli trochę czasu dla siebie, i w ogóle zrobiło się prawie idealnie. Uwielbiam być mamą! Tylko powiedz, koniecznie i natychmiast, że już się na mnie nie gniewasz. Wtedy będę absolutnie szczęśliwa!

– Pewnie, że się nie gniewam. Daj spokój, ja też cię przepraszam – oświadczyła z zadowoleniem Walicka, obejmując przyjaciółkę. – Całkowicie odzyskałaś wymioną?

– Syn przekazał ojcu w wieczyste użytkowanie. Sam domaga się ich tylko wieczorami, żeby pociumkać przed snem, i mam nadzieję, że będzie ciumkał jak najdłużej. Czuję, że kiedy przestanie, zaczniesz mi tego brakować.

– Na razie z martini nici?

– Nici, ale chrzanić martini. Odzyskałam samą siebie. Nie potrzebuję alko, żeby mieć radochę z życia. A właśnie – zmieniła temat Majka. –

Dziadkowie ogarną w lipcu wnuka. Nie przegapię twojego ślubu i ani jednego tańca na weselu. Jeszcze będziesz miała mnie dość.

Ada wbiła w nią wzrok, rozchyliła i zamknęła usta, jakby zatrzymała w locie słowa, które bardzo chciały się z niej wylać.

– No co? Czemu cię tak zatkało?

– Nie wezmę ślubu. Nie wyjdę za Jacka.

– Odbija ci? Pokłóciliście się czy ogarnia cię przedślubna panika?

Walicka oparła się łokciami o barierkę tarasu i westchnęła głośno. Obserwowała toczący się w oddali naleśnikowy show. Kuchmistrz nie tracił animuszu. Smarował, rolował, podrzucał i serwował kolejne porcje zachwyconym dzieciakom.

– Chyba nie. Nie pokłóciliśmy się.

– To o co chodzi? – Lipska nie dawała za wygraną. – Ja wiem, że to nie ideał, ale ideały nie istnieją. Zawsze byliście parą. Nie umiałabyś żyć bez niego, a tym bardziej z kimś innym.

– Nie jestem pewna. Nie dowiem się, jeśli nie spróbuję.

Majka daremnie starała się zajrzeć przyjaciółce w oczy. W końcu machnęła ręką i podążyła wzrokiem za jej spojrzeniem. Przez chwilę analizowała to, co widzi, i konfrontowała obraz z wyrazem twarzy stojącej obok kobiety.

– O mamuńciu, tobie chodzi o niego! Chcesz zostawić Jacka dla kobiety z brodą. Znaczący, ten... faceta z brodą. Ja pierdziele!

– Ciiicho – syknęła Ada, bo tę wariatkę ewidentnie rozsadzały emocje. –

Nie zrywam zaręczyn przez niego. Chociaż tak, na pewno jeśli miałabym wybierać między nimi dwoma... Majka, cholera, czuję w środku, że to jest dla mnie oczywiste. Rozumiesz?

– On o tym wie?

– Który?

– Jezu, straciłaś rozum? Którykolwiek.

– Nie. Żaden nie wie. Wiesz, w zasadzie dopiero co sama się dowiedziałam. To rosło we mnie jakoś tak podstępnie, cichaczem.

– Oszaleję z tobą. Chodź, podobno Maruda ma kilka skrzynek bezalkoholowego szampana. Wycyganimy od niej butelczynę.

– Nie, Majka, słuchaj, ja muszę iść. Masz rację, powinnam mu powiedzieć.

– Bartkowi? To wędruj na scenę i łap mikrofon. Pod tę naleśnikarnię się nie dopchasz.

– Opanuj się. Jackowi. Jadę do domu. Od razu się spakuję i wyprowadzę.

– Musisz tak szybko? – Lipska z niepokojem marszczyła czoło, nie nadążając za rewelacjami.

– Tak, muszę się wynieść natychmiast, póki mam na to odwagę. Zanim zacznę się zastanawiać, czy to w porządku i czy powinnam. Słuchaj,

myślisz, że mogę zatrzymać się u twoich rodziców? Na kilka dni, zanim coś znajdę.

– Kurde, nie wiem. Są w Zarzęcinie, nie zostawili mi kluczy. Zaczekaj! – krzyknęła, biegnąc za przyjaciółką, która weszła do budynku i pędziła szerokim pustym korytarzem. – Nie możesz tak wyjść. A dzieciaki, Maruda, koncert? A Maciek?

– Zastąpisz mnie – zdecydowała Walicka. Wpadła do klasy i zgarnęła z krzesła torebkę. – Kryj mnie albo wytłumacz jakoś. Rób, co chcesz. Zresztą wrócę tu. Przewaletuję w szpitalu i szybko znajdę sobie metę.

Majka wołała jeszcze coś za nią, jednak Ada nie słyszała. Pędziła, jakby goniła ją śmierdząca chmura trującego gazu. Czuła, że musi uciekać szybko i jak najdalej. Czymkolwiek było to, co serwował jej narzeczony, wiedziała, że już jej wystarczy. Ma prawo do szacunku, spokojnego snu, życia bez strachu. Ma prawo do własnych wyborów, przyjaźni i miłości. Będzie wolna, bo tak postanowiła. Osaczył ją świr, pieprzony otello dręczony jakąś psychotyczną zazdrością i przerostem własnego ego. A ona właśnie znalazła powód, żeby się na to nie godzić. Nie kocha Jacka i wcale nie jest od niego zależna. Ta jasna prawda uderzyła w nią na szpitalnym tarasie i momentalnie przestawiła priorytety. Otworzyła jej oczy i popchnęła do działania.

Tymczasem ciasto naleśnikowe się skończyło i Bartek zdołał uwolnić się z kręgu entuzjastycznego aplauzu. Napił się wody mineralnej, odgonił od siebie kilka natrętnie trykających go w głowę balonów i rozejrzał się za znajomymi postaciami. Obszedł dookoła zieleniec i już miał się poddać, gdy niespodziewanie wypatrzył za rogiem szpitalnego budynku Maćka. Tego dnia obserwował go kilkakrotnie i serce mu rosło na myśl o tym, jak dużo radości sprawiło nastolatкови to koncertowe zamieszanie. Mniej więcej przed godziną na scenę wjechał ogromny tort, wielki jak stół, z czternastoma świeczkami. Maruda wywołała solenizanta, zagoniła do dmuchania i przedstawiła wszystkim gościom w samych superlatywach. Uszy piekły chłopca niemożliwie i nie potrafił stwierdzić, czy bardziej jest jej wdzięczny, czy zły, że narobiła mu takiego obciachu. Od tej chwili przestał być anonimowy. Mnóstwo obcych ludzi garnęło się do niego z życzeniami i objawami żarliwej sympatii. Hm, nie tylko obcych...

Zaskoczony Bartek nietaktownie wlepił wzrok w obejmującą się parę. Dzieciak skończył czternaście lat. To całkiem naturalny moment na pierwsze pocałunki z dziewczyną. Maciek miał do nich prawo, zwłaszcza że życie ukradło mu bardzo wiele i raczej małe szanse, że zdąży coś z tego oddać, bo

lada chwila będzie musiało się skończyć. Zdecydowało się ofiarować mu na koniec prezent chwytający za serce znacznie silniej niż kilka minut balansowania w chmurach. Pilch uśmiechnął się i postanowił nie przeszkadzać, gdy dostrzegło go bystre szare oko pod różową apaszką. Patrycja gwałtownie odsunęła się od chłopaka i zawstydzona zniknęła w kolorowej ciżbie.

– To ja powinienem odejść. Nie musiała uciekać. Nie robiliście nic złego.

– Wiem – odparł Maciek nieco zmienionym głosem. – Ona też wie. Skorzystała z okazji, żeby ode mnie zwać – dodał, nerwowo chichocząc.

– Bzdura. Zmywam się, to za moment wróci – zapewnił Pilch, klepiąc go po plecach. – Nie ośmieliłbym się konkurować ze śliczną młodą kobietą.

– Poczekaj! – zawołał nastolatek. – Już wszystko rozkminiłem!

– W temacie?

– Latania i skoków ze spadochronem.

Zaintrygowany Bartek uniósł pytająco brwi.

– Nie są lepsze od zakochania. Są spoko, wiadomo, ale zakochanie to najlepsze ze wszystkiego, co przeżyłem. Warto się na nie odważyć, nawet dla tych paru tygodni, które mi jeszcze zostały.

– Nie przesadzaj...

– Nie przesadzam. Mam świadomość tego, jak się czuję i co siedzi mi w środku. Nie chcę o tym mówić ani myśleć. Dla mnie liczy się każdy dzień. Za to na ciebie czeka całe życie. Powinieneś spróbować coś z nim zrobić, naprawdę. Musisz walczyć.

Chłopiec spojrzał na mężczyznę przenikliwym wzrokiem doświadczonego cierpieniem, dojrzałego człowieka. Nie było w nim smutku czy gniewu, tylko zmęczenie, powaga i głębokie przekonanie, że mówi o czymś zasadniczym i niepodważalnym.

– Próbuje, serio. Chociaż tobie wychodzi to znacznie lepiej.

– Nie możesz odpuszczać. Po prostu się nie poddawaj.

Pilch pokiwał głową. Cholernie mądry małolat, przemknęło mu przez głowę. Jakie to niesprawiedliwe, że zawiedli go nie tylko najbliżsi, ale też własne ciało. Chciałby powiedzieć coś pogrzbającego, co doda nadziei także Maćkowi, ale wiedział, że to bez sensu. Chłopiec pierwszy przerwał niewygodną ciszę. Dostrzegł Patrycję w oddali, burknął ciche „sorry” i pomaszerował do niej. Trudno się dziwić. Skończyła chemioterapię i z dnia na dzień wyglądała coraz ładniej. Cała fundacja żyła nadzieją, że z tej pary

młodych wspaniałych ludzi przynajmniej ona wróci do zdrowia i ma przed sobą przyszłość.

Bartek ocknął się z odrętwienia, gdy nastolatki zniknęli w tłumie. Trzeba działać, pomyślał. Rany, sam przecież w święta kłócił się z Borysem o to, co teraz usłyszał od Maćka. Nie wystarczy powiedzieć Adzie, że czeka i jest do dyspozycji. Musi na serio przy niej być, pokazać jej, jaki ma wybór, przekonać ją, żeby uwierzyła, że może żyć inaczej. Koniec z Autostradą Panamerykańską. Koniec z dystansem. Od tej chwili będzie tak jak dawniej albo jeszcze lepiej. Wyprostował się, dodając sobie odwagi, uśmiechnął się do siebie i odszedł w stronę tarasu, na którym widział interesującą go kobietę po raz ostatni.

Na miejscu zastał jedynie Majkę energicznie zbierającą pęknięte balony.

– O, cześć – zagaiła. – Wiesz, gdzie znajdę Maćka? Jeszcze nie dałam mu prezentu.

– Kogo ja widzę? Witaj, matko Polko. Brakowało nam ciebie.

– Akurat – prychnęła z udawaną skromnością.

– Maćkowi na razie odpuść. Jest zajęty dziewczyną.

– Łał! Widzę, że pod moją nieobecność fundacja rozkwitła miłością. Maruda i Maciek. Ada...

– Tak, wiem – wszedł jej w słowo Pilch. – Ada wychodzi za męża.

Lipska skomentowała to ironicznym spojrzeniem. Najchętniej ukarałaby ignoranta i zamilkła, jednak nie potrafiła się powstrzymać.

– Nie przerywaj. Nie jesteś w temacie. Ada akurat postanowiła, że ślubu nie będzie.

– Jak to?

– Zwyczajnie. Jacek wypadł z obiegu. Koniec wspólnych planów, narzeczeństwa i w ogóle koniec miłości. Pojechała oddać pierścionek i się wyprowadzić. Taka niespodzianka.

– Jezu, Majka... Na pewno? Nie uroiłaś tego sobie? Kiedy pojechała? Czemu tak nagle?

– Nie wiem, czemu akurat teraz. Nie zdążyła mi się dokładnie spruć. Zawinęła się niecałą godzinę temu. Pewnie właśnie pakuje bambetle, a on stoi obok z głupią miną. Ciekawe, czy bardziej wściekły, czy rozżalony. To wszystko przez...

– Cholera! – Bartek uderzył pięścią w balustradę, odwrócił się na pięcie i niemal biegnąc, zniknął we wnętrzu szpitala.

– Leć, baranie – fuknęła. – Skoro przerywasz i uciekasz, to się nie dowiesz, że to przez ciebie. Wyduś to sobie z niej sam!

Pilch już jej nie słyszał. Zaciskał zęby i biegł do samochodu, by jak najszybciej dotrzeć na Paderewskiego. Bał się nawet myśleć o tym, jak Zawadowicz zareagował na wieść o rozstaniu.

Niedzielne popołudnie oszczędziło mu korków, więc już po kwadransie stał przed wejściem do klatki schodowej i zastanawiał się, co robić dalej. Zerkał w okna, nie wiedząc, które są właściwe. Nie znał numeru mieszkania, a na domofonie widniały same obce nazwiska. Zastanawiał się nawet, czy się nie pomylił. Chociaż nie, poprzedniego wieczoru Ada zniknęła na pewno za tymi właśnie drzwiami. Omiótł wzrokiem zadbane rabatki, trawnik i ogrodzony plac zabaw. Przyjemna okolica, chociaż bloki wiekowe. Za to z cegły, zdrowsze niż to dziadostwo z wielkiej płyty, które straszy na wielu łódzkich osiedlach. Sięgnął po telefon i zawahał się, czy nie zadzwonić. Nie chciał wyrwać się jak filip z konopi. Może rozmawiają. Ona pewnie chce mu wszystko wytłumaczyć i zakończyć sprawę tak, żeby oboje wyszli z niej z twarzą. Gdyby samozwańczy obrońca to przerwał, Ada zapewne by się wkurzyła i znów pogoniła go na drzewo jak patałacha lub – co gorsza – kolegę z pracy... Ale jeśli ten bydlak zdążył się wściec... Minuty mijały, a Sancho Pansa stał jak osioł, nie potrafiąc się na nic zdecydować.

Na parterze drgnęła firanka i powoli otworzyło się okno. Pojawiła się w nim dobroduszna, pucułowata twarz w okularach, z szerokim uśmiechem na ustach i szczerą otwartością wobec świata w skośnych półprzymkniętych oczach.

– Cztery.

– Słucham? – Bartek uniósł głowę.

– Ada mieszka pod czwórką. Jej szukasz? Niedawno wróciła.

– Skąd wiesz, że jej?

– Widziałem wczoraj. Wysiadała z twojego auta. Fajne, sportowe.

Chłopak był niewysoki i pulchny. Lekko seplenił. Na oko dwudziestolatek, może trochę młodszy. Typowe dla zespołu Downa rysy sprawiały Pilchowi problem z oceną wieku. Zresztą, jakie to miało znaczenie?

– Znasz ją? – spytał. – Wiesz, które okna są jej?

– Nade mną. Pierwsze piętro. Przyjaźnimy się. Zawsze rano do mnie macha, czasem nawet rozmawiamy. Jest ładna i miła.

– To prawda.

– Wszystkich tu znam i wszystko wiem. Pilnuję na wszelki wypadek. Byłbym dobrym detektywem.

– Na pewno – potwierdził, bo chłopak budził sympatię. – Jak masz na imię?

– Julek, a ty?

– Bartek. Nie wiesz przypadkiem, czy Jacek też jest w domu?

– Pan Jacek mnie nie lubi – oznajmił chłopak. – Nie chce rozmawiać. Krzyczy na Adę.

– Teraz? Słyszysz go?

– Nie. Tylko jak są sami. Teraz mają gości.

– Jesteś pewien? Kogo? Kiedy przyszli?

– Poczekaj, sprawdzę.

Julek zniknął za falującą firanką i Pilch został sam, przestępując nerwowo z nogi na nogę i zastanawiając się, w jakim celu jego rozmówca się oddalił. Po dwóch minutach tajemnica się wyjaśniła. Krępa postać znów pojawiła się w oknie, trzymając w garści mocno wygnieciony zeszyt.

– Dwaj wysocy łysi w dresach i jeden chudy w garniturze weszli o siedemnastej szesnaście. Narobili dużo hałasu i bardzo brzydko mówili. Zawsze tak się zachowują, kiedy przychodzą do pana Jacka. Mama mówi, że to wstyd i obraza boska.

– Zawsze?

– Byli kilka razy.

– Ona ich zna?

– Mama?

– Nie, Ada.

– Nie wiem. – Chłopak wyraźnie się zawstydził. – Wychodzili, zanim wróciła. Oni i jeszcze taki jeden, też chudy, ale bez garnituru. Wystraszony. Dzisiaj go nie ma. Za to jest Ada. Przyszła o siedemnastej czterdzieści osiem.

– Świetny z ciebie detektyw – pochwalił chłopaka Bartek. – A teraz coś słyszysz z tamtego mieszkania?

– Nie. Wcześniej strasznie krzyczeli.

Pilch nie wiedział, co o tym myśleć. Stał i drapał się po głowie, powoli dochodząc do wniosku, że skoro mają gości, nic Adzie nie grozi. Trzeba uzbroić się w cierpliwość i być do jej dyspozycji, kiedy wreszcie wyjdzie z walizką.

Czuł, jakby wszystko w jego wnętrzu śpiewało z radości. Nareszcie zmańdrzała. Zostawi tego palanta, będzie bezpieczna, a on, Bartek, powoli przekona ją do siebie. Tyle ich łączy: poczucie humoru, przyjaźń, zaufanie, Maciek. Nawet chemia, na złość cholernemu Zawadowiczowi. Jest między nimi mnóstwo chemii. Wtedy w szpitalnej kanciapie czuł wyraźnie, że to nie tylko jego emocje popchnęły ich ku sobie. To ciągle się tli, wystarczy porządnie podmuchać w palenisko. Byłe tylko jej narzeczony nie bruździł. Eksnarzeczony!

– Wchodzisz tam? – spytał zaciekawiony Julek. – Nie wiem, czy cię zapisywać.

– Nie zapisuj. Poczekam na nią w samochodzie.

– Wyjdzie do ciebie?

– Mam nadzieję – odparł Pilch, uśmiechając się do chłopaka. – Cieszę się, że cię poznałem. Ada ma dobrego przyjaciela.

– Ty też jesteś dobry. Lepszy niż pan Jacek. Lubię cię.

Bartek pomachał Julkowi i wrócił do auta. Siedząc za kierownicą, gapił się we właściwe okna i drzwi do klatki schodowej. Ciężko czekać w pełnym napięcia niepokoju. Wspomniani przez Julka trzej goście uspokajali go tylko połowicznie. Pilch nie ufał ani Zawadowiczowi, ani jego kumplom.

Nie mógł wyciągnąć notesu i szkicować, bo nie chciał tracić z oczu bloku. Włączył radio i krzywiąc się, skakał między stacjami. Zaatakował go hip-hop, death metal, a potem przegląd regionalnych orkiestr strażackich. Zateęsknił gwałtownie za *Dziadkiem do orzechów* lub chociaż za Szostakowiczem. Wreszcie trafił na koncert fortepianowy a-moll Paderewskiego i uznał, że z racji swojej obecnej lokalizacji powinien go wysłuchać z uwagą. Nie byłoby to trudne, bo muzyka bardzo mu się podobała, gdyby nie fakt, że miał za sobą ciężki, obfity w emocje tydzień z niemal groteskowym deficytem snu. Nim pierwsza mazurowa część wybrzmiała z głośników nissana, spał jak zabity.

Obudziło go pukanie. Słońce chyliło się ku zachodowi, a w radiu nadawali wiadomości. Bartek zamrugał, rozejrzał się nieprzytomnie po wnętrzu samochodu i wreszcie dostrzegł za szybą rumianą twarz Julka. Natychmiast przypomniał sobie, gdzie i po co jest. Zmełł w ustach przekleństwo. Uchylił drzwi i spojrział na przybysza ze znakiem zapytania w oczach.

– Znowu krzyczą – doniósł chłopak przyciszonym głosem. – Okropnie.

– Co? Zrozumiałeś jakieś słowa?

– Tylko takie, których nie powtórzę. Mama by się smuciła.

– Ada też krzyczy?

– Nie. W ogóle jej nie słysząc. Na pewno nie wychodziła. Ty odpoczywałeś, ja pilnowałem. Wszedł ten w garniturze i jeden łysy. Czterdzieści minut temu. Drugi został.

– Jezu, to ile ja spałem?

– Godzinę i dwadzieścia minut.

– Dzięki, przyjacielu. – Bartek wygrzebał się niezgrabnie z auta i poklepał Julka po ramieniu. – Ty masz doświadczenie w pracy detektywa, ja się dopiero uczę. Wpuścisz mnie na klatkę?

– Chcesz tam iść?

– Muszę sprawdzić, co z Adą.

Zazgrzytał klucz w centralnym zamku i po chwili obaj maszerowali w stronę bloku. Julek otworzył pogrążoną w mroku klatkę schodową i puścił Bartka przodem. Nim zdążyli zapalić światło, drzwi gdzieś wyżej się uchyliły i wypłynął zza nich krótki, niemal zwierzęcy krzyk. Zmartwieli, chociaż trwało to dosłownie kilka sekund. Drzwi zamknięto, a oni słyszeli tylko własne przyspieszone oddechy. Po chwili zmaćcił ciszę niepokojący szmer. Ktoś szedł w dół, dziwnie wolno i ciężko. Jęczał i głośno sapał. Nagle potknął się albo stracił równowagę i stoczył się pod ich stopy jak worek kartofli. Julek odruchowo pacnął włącznik światła. Spojrzeli na leżącą postać i zgodnie poczuli, że uginają się pod nimi nogi.

41.

Stefan Walicki długo czekał na moment, gdy zostanie na chwilę sam. Zdarzało się to rzadko i tylko wtedy mógł pozwolić sobie na luksus nieudawania twardziela. Siedział na swoim kojo i gładził palcami wygnieciony od czytania list. To już ostatni, który odebrał pod celą. Może ostatni w ogóle? Kto wie, jak ułoży sobie życie po gwizdku? Dwadzieścia lat zmienia każdego: młodą zahukaną kobietę, kilkuletnią, pełną radości dziewczynkę, a także zmęczonego zbyt długim garowaniem faceta. Z silnego, pewnego siebie mężczyzny stał się grypsującym wrakiem, który tylko na tyle zdołał się wybić w więziennej hierarchii, by nikt się go nie czepiał, by zostawiano go w świętym spokoju. Nie bratał się bardziej, niż to konieczne, nie wchodził w konflikty, nie sprawiał problemów. Czytał po kolei wszystkie książki z więziennej biblioteki, a gdy się skończyły, zaczął od nowa w tej samej kolejności od półki z autorami na literę „A”. Wracał do nich jak do starych znajomych. To był jego świat, jego ratunek i ucieczka.

Pochłaniał też zachłannie listy, wielokrotnie, aż znał na pamięć każde słowo. Pod zamkniętymi powiekami potrafił wyświetlać sobie godzinami zawijasy liter, by zgadywać, w którym miejscu zadrżała kreśląca je ręka. Wyobrażał sobie Helenę pochylającą głowę nad kartką: przy kuchennym blacie, przy stole w pokoju, w ogrodzie, w sypialni. Nie odpisał jej ani razu. Bał się, że jeśli przerwie własne milczenie, nie zdoła dalej żyć. Nie miała o to żalu, a w każdym razie nie wspominała o tym. W ogóle pisała powściągliwie, choć krzepiąco. Głównie skupiała się na kwiatuszku. Wiedziała, że rozstanie z dzieckiem boli go najmocniej i nieustannie szarpie wyrzutami sumienia. Listów zgromadził niewiele. Do wyboru miał ich znacznie mniej niż książek z więziennej biblioteki. Za to mocniej ścisnęły go za serce. Tak jak ten ostatni...

Zatem w lipcu jego córka wyjdzie za mąż. Jeśli będzie chciał, jeśli się odważy, zobaczy ceremonię na własne oczy. Po plecach przebiegło mu wspomnienie chłodu nawy łapszańskiego kościoła i jego własny ślub. Gabriela wyglądała bardzo ładnie w sukni, którą uszyła według własnego projektu. Miała talent do maszyny. Była dobrą żoną i matką. Tylko kochała tak bardzo, tak obsesyjnie i zaborczo, że nie zostawiała miejsca choćby na odrobinę oddechu. Kiedyś myślał, że to dlatego, że jego uczuć jest zbyt mało i ona to musi wyrównać. Potem zrozumiał, że tkwił w niej załazek szaleństwa, początki choroby, która w końcu ją pochłonęła. Wiedział, w jakim stanie jest Gabriela, i czuł w tym ironię losu. Nie widział sposobu,

by jej pomóc ani z za kratki, ani na wolności. Mimo to uważał, że za jedno powinien ją przeprosić. Za niewierność. Za miłość do Heleny przeproszać nie będzie. To najlepsze, co go w życiu spotkało. Poza kwiatuszkiem.

Jego córka zostanie synową Heleny. To dobrze czy źle? Sam nie wiedział. Kiedy ostatni raz widział Jacka, chłopiec broczył krwią, a jego rozszerzone źrenice zdradzały skrajne przerażenie. Wskazywał palcem Walickiego i powtarzał w kółko: „Przez niego nie mam już tatusia. Przez niego nie mam już tatusia. Przez niego...”.

Mężczyzna otrząsnął się z trudnych wspomnień. Było, minęło. Niczego nie da się naprawić ani odwrócić. Tyle lat maglował w głowie tamten dzień, dopisywał mu inne zakończenia i tworzył nowe historie, że powoli zapominał, co wydarzyło się naprawdę.

Za kilka tygodni stawi czoła i przeszłości, i terażniejszości. Powinno się udać. Wyjdzie i zdecyduje, gdzie najpierw skierować swoje kroki: do Łapszanki, krakowskiego szpitala czy Łodzi. Jeszcze nie wie. Serce rwie się do córki, lecz rozum podpowiada, że to będzie najtrudniejsze ze spotkań po latach. I najważniejsze.

Przez ostatnie dni zastanawiał się i rozważał, czy nie napisać do Ady listu. Kilka razy nawet zaczynał. Po paru zdaniach zgniatał papier i wyrzucał do kosza. To beznadziejne. Jakimi słowami przerwać ciszę, która trwała dwadzieścia lat? Jak wytłumaczyć się córce z nieobecności, by zrozumiała i zechciała wybaczyć? W końcu poddał się i zaniechał kolejnych prób. To się nie może stać na odległość, bez szans na spotkanie oczu, uśmiechów czy gestów. Nie ma sensu się spieszyć ani mieszać jej w głowie teraz, przed ślubem. Poczeka. Tyle lat czekał, że ten ostatni odcinek może uznać za nieistotną chwilę.

Walicki rwał się do wolności, choć napawała go niepokojem. Czuł treść i niemal paniczny lęk. Czy sobie poradzi? Czy zdoła odnaleźć się w świecie, który zdążył stać się dla niego całkiem obcy?

Jednocześnie wiedział, że jeśli nie spróbuje, przegra wszystko, co kiedyś miał i co jeszcze mógłby mieć. Przegra życie.

Spomiędzy kartek wypadła fotografia – prezent na ostatnie święta, najlepszy z możliwych. Młoda, smukła i dość wysoka kobieta, niewątpliwie ładna, choć nie piękna, stała na łapszańskej przełęczy i uśmiechała się do fotografa. Za jej plecami pchały się w kadr góry. Stefan potrafił nazwać niemal każdy widoczny szczyt. Szczególnie lubił kształt Havrania – monumentalny, dostojny i niedostępny. Walicki biegł palcem przez

postrzępione turnie, aż dotarł do twarzy córki. Jęknął głucho, próbując powstrzymać emocje. Nie dał rady, za długo i za głęboko bolało. Zagryzł zwiniętą w pięść dłoń i pozwolił popłynąć łzom.

42.

Ada dotarła pod blok szybko i bez przeszkód. Pomachała, jak zwykle, siedzącemu w oknie Julkowi i wbiegła na pierwsze piętro. Już przez drzwi usłyszała podniesione głosy. Jej narzeczony miał gości. Fantastycznie, pomyślała. Unikniemy nieprzyjemnej konfrontacji sam na sam. Wprawdzie wolałaby w ogóle go nie zastać, a potem umówić się telefonicznie na rozmowę i oddanie kluczy oraz pierścionka gdzieś na neutralnym gruncie, jednak mimo wszystko lepiej ze świadkami w domu niż bez nich.

W ciągu ostatnich kilkudziesięciu minut zdążyła uznać za nienormalne, wręcz niepokojące, że potrafiła z nim być, dotykać go, całować, a nawet przy nim odpoczywać, jednocześnie mając z tyłu głowy świadomość, że w każdej chwili coś może mu się odkleić pod czaszką, by zafundować jej kolejną porcję bólu, strachu i upokorzenia.

Przekręciła klucz i wsunęła się bezszelestnie do mieszkania. Trwając w przekonaniu, że nikt jej nie zauważył, dała susa do sypialni, by tam w spokoju załadować ciuchy do stojącej w kącie walizki. Resztę rzeczy zabierze później. Na dnie szafy leżało pudło z materiałami ze studiów, w łazience trochę kosmetyków, w salonie miała osobną półkę z książkami, bo czytali z narzeczonym całkiem inną literaturę. Na regale stało kilka pamiątkowych zdjęć i bibelotów, choć na nie akurat chętnie machnęłaby ręką. Nie gromadziła zbyt wielu szpargałów, bo co jakiś czas zmieniali wynajmowane mieszkania. Jackowi zawsze coś nie pasowało. Potrafiła spakować się szybko i kompaktowo. Przywykła do koczowniczego trybu życia.

Położyła na łóżku pustą walizkę i zdążyła rzucić na nią kilka ubrań zgarniętych z wieszaków, gdy w progu stanął jakiś facet. Kojarzyła go z twarzy, spotkali się kiedyś, może nawet rozmawiali. Dość przystojny, smukły i wysoki, w eleganckim garniturze i z idealnie zadbanymi dłońmi, którymi przytrzymał skrzydło uchylonych drzwi.

– Wybierasz się gdzieś? – spytał, wskazując wzrokiem kłębowisko ciuchów.

– Tak – prychnęła z irytacją. – Możesz wyjść?

– Po co tak niegrzecznie? – Gość pogroził jej wymuskanym palcem. – Jeszcze mi nie podziękowałaś za tamtą sprawę z motorniczym.

Klapka pamięci się uchyliła i Walicka uzmysłowiła sobie, że stoi przed nią adwokat o spożywczym nazwisku. Bochenek? Nie, ale jakoś podobnie.

– No tak. Bardzo dziękuję. Myślałam, że Jacek to z tobą załatwił.

– Jacek nas zawiódł.

– Nas?

– Mojego szefa, mnie i paru innych ludzi. Ciebie też, skoro się cichaczem pakujesz. Nawet nie wiesz, jaka to słuszna decyzja. Szkoda, że za późno. Nie wyjdiesz stąd bez mojej zgody.

– Słucham? – Stała naprzeciwko niego i wzięła się pod boki. – Chyba się zagalopowałeś. Przesuń się, proszę, bo muszę zabrać kilka rzeczy z łazienki.

O dziwo nie stawiał oporu. Wypadła do przedpokoju i pomknęła w głąb mieszkania. Nim złapała klamkę łazienkowych drzwi, rzuciła wzrokiem na salon.

Zamarła.

Na środku dywanu stało samotne krzesło. Siedział na nim jej narzeczony ze związanymi z tyłu rękoma, ubrany tylko w dżinsy. Włosy i klatkę piersiową miał mokrą, chyba od potu. Z nosa i kącików ust spływała mu krew.

W pierwszej chwili Adzie przeleciała przez głowę myśl, że dobrze tak, draniowi. Szybko jednak otrzeźwiała, gdy poczuła, że ktoś ją popycha. Tuż przy uchu usłyszała głos:

– Wędruj, lala, do kochasia.

Próbowała odwrócić się i spojrzeć temu komuś w twarz, ale popchnął ją znacznie mocniej i z impetem wpadła do pokoju, przewracając się u stóp narzeczonego.

– Piekarz, zostawcie ją! – jęknął Jacek. – Ona nic nie wie.

– Zobaczymy – oznajmił spokojnie adwokat, sadowiac się w fotelu i zakładając nogę na nogę.

Agresor przygwoździł Adę swoim ciałem do podłogi. Zalepił jej szeroką taśmą usta, a potem związał ręce z tyłu. Wreszcie przekręcił ją na plecy i podniósł się, ocierając pot z czoła.

– Twój bulterier ją zakneblował. Jak chcesz z nią rozmawiać? Nic ci nie powie – nie dawał za wygraną Zawadowicz.

– Nie szkodzi. Nie zna mnie zbyt dobrze, mogłaby wołać o pomoc. Ty się nie odważysz, więc będziesz zeznawał.

– Taki jesteś pewny?

– Mhm. – Piekarz wyciągnął z kieszeni zabezpieczoną strzykawkę i położył na stole. – Mogę wkuć się tobie albo jej. Albo obojgu, wszystko jedno. Wiesz, co to jest?

Twarz chemika nawet nie drgnęła. Ada łypała raz na jednego, raz na drugiego, próbując opanować przerażenie. Co tu się dzieje, do jasnej cholery? To jakiś żart? Bykowaty łysy dres, który powalił ją na podłogę, stał cały czas obok, wlepiając wzrok w jej piersi. Przy szamotaninie oderwał jej kilka guzików od bluzki. Spod materiału wystawały miejscami koronka stanika i jasne fragmenty gładkiej skóry. Walicka starała się nie myśleć, czym to grozi.

Jacek zamilkł, nie odrywając oczu od adwokata, jakby chciał przewiercić się przez jego głowę i przewidzieć kolejny ruch.

– Nie domyślasz się czy nie chcesz mówić przy damie? – zakpił Piekarz. –

To bardzo wygodna substancja. Już kilka mililitrów potrafi wywołać śmiertelny zawał serca. Potrzebuję dosłownie sekund, żeby uraczyć was tym oboje, po równo. Niemal nie do wykrycia w czasie sekcji. W każdym razie dotąd nikomu się nie udało.

Walicka wstrzymała oddech, uznając, że chyba śni. On blefuje. To jest po prostu niemożliwe! Takie rzeczy dzieją się w książkach i filmach, a nie w życiu. O co im chodzi? Może by nawet zapytała, gdyby nie taśma na ustach. Szarpnęła się i jęknęła przeciągle, bo to był jedyny dostępny sposób protestu.

– Widzisz? Do niej dotarło, a do ciebie ciągle nie. Wasze życie jest w moich rękach.

Do pokoju wszedł drugi kafar, sporo wyższy. Beknął głośno i zagaił:

– Kto upichcił gulasz? Niezły. Prawie jak u mamy.

Nikt nie kwapił się z odpowiedzią.

Piekarz wstał i przykucnął obok dziewczyny. Złapał w dwa palce materiał jej bluzki i zajrzał pod spód. Uśmiechnął się krzywo.

– Biustu Bozia poskapła, może dała chociaż rozum. Odpowiadaj i pamiętaj, że to twoja jedyna szansa. Potem wszystko będzie już zależało od twojego narzeczonego. Zrozumiałaś?

Ada wolno kiwnęła głową.

– Wspaniale. Czy znasz Christiana Lodzika?

Przytaknięcie.

– Czy widziałaś go w pracy w ciągu ostatnich trzech dni?

Zaprzeczenie.

– Kiedy go zatem widziałaś?

W oczach dziewczyny zabłyśły popłoch i konsternacja.

– Dobra. – Prawnik się zaśmiał. – Mój błąd. Jedziemy po kolei dniami tygodnia. Ja wymieniam, ty potwierdzasz, gdy trafię we właściwy.

Metoda zadziałała. Po chwili wszyscy trzej oprawcy uśmiechali się szeroko.

– Okej. W czwartek. Wtedy zdarzyła się u was ostatnia zapaść?

Przytaknięcie.

– Czyli zniknął najwcześniej w piątek. – Piekarz wysnuł wniosek sam, nie czekając na potwierdzenie. Swoje zainteresowanie przeniósł na Jacka: – Wiesz, co o tym myślę? Wystraszył się i zwiął, a ty go nie dopilnowałeś.

– Próbowałem...

– Powiedział ci o tych zapaściach?

– Nie. Dowiedziałem się od Ady.

– Dostałeś od niego zebrane materiały? Mamy pewność, że te incydenty z niewydolnością krążenia powinny nas interesować?

– Nie.

– Zmotywowałeś go dostatecznie?

– Postraszyłem go.

– Czym?

– Wami i tym, że w szpitalu wypłynię, że ćpa.

– Nie rozśmieszaj mnie! – Piekarz zacisnął dłonie w pięści. – Twoim zadaniem było zwerbować ludzi i znaleźć na nich haka po to, by w razie problemów tego haka wyciągnąć.

– Z pozostałymi w innych szpitalach robota idzie gładko...

– Miałeś dopilnować wszystkich, a nie pozostałych! Za to dostałeś hajs, a nie za wpięprzenie nas w kłopoty. Daj mi haka na Lodzika! I nie mydl mi oczu ćpaniem. Nie zależało mu na tej pracy. Sam mu ją załatwiłeś, żeby mógł wykonać prawdziwe zlecenie.

– Nie mam innego haka – wymamrotał Zawadowicz.

Niższy kafar doskoczył do niego i uderzył pięścią w szczękę. Krzesło zachwiało się niebezpiecznie i upadłoby razem z zamroczonym Jackiem wprost na Adę, gdyby agresor nie zablokował go ręką. Wyższy złapał Zawadowicza za włosy i odgiął mu głowę do tyłu. Wziął zamach, by wyprowadzić kolejny cios, jednak Piekarz go powstrzymał.

– Poczekaj. Szkoda roboty. Jeszcze parę podejść i go zabijecie. Tym sposobem niczego się nie dowiemy.

– To co, kurna? – spytał łysy, wyraźnie rozczarowany.

– Twardy jest. Zrobimy tak – oznajmił prawnik złowieszczo – żeby zabolalo nie do wytrzymania.

To, co potem nastąpiło, wydawało się Adzie piekłem w najczystszej postaci. Najniższym kręgiem z wyobrażeń Dantego. Nie wiedziała, ile trwało – sekundy czy godziny. Nie rozumiała, dlaczego się zaczęło i czy kiedykolwiek się skończy. Miała wrażenie, że to wcale nie dotyczy jej. Jednocześnie nagle się dowiedziała, jak łatwe jest sprowadzenie człowieka do roli żywego mięsa, marniejszego niż najlichsze zwierzę, pozbawionego nawet możliwości krzyku, gdy wszelkie dźwięki poza głuchym jękiem hamuje taśma. Walicka modliła się, żeby przestali, a jednocześnie panicznie bała się tego, co wówczas może się stać...

Zawadowicza zakneblowali, a jego kostki przywiązali do nóg krzesła. Skrępowane wcześniej dłonie tylko skontrolowali. Taśma sprawdzała się doskonale.

Przesunęli go pod ścianę, dbając, by miał dobry widok.

– Rozwiążcie ją. Będzie wygodniej – zakomenderował Piekarz. Przez chwilę szeptał coś cicho, by słyszeli tylko jego kumple. Wreszcie dodał normalnym głosem: – Pracujcie tak, żeby nie wyprodukować trupa, bo nic nie osiągniemy. Idę zaparzyć kawę. Kiedy wrócę, Zawadowicz ma być gotowy do zeznań.

Wszedł, a dwóch kafarów przystąpiło ochoczo do pracy.

Jacek nie wątpił, że ją uderzą, będą się do niej dobierać, może nawet zgwałcą. Nie spodziewał się jednak takiej jatki. Początkowo nie chciało im się do niej nawet schylić, a może dostali od prawnika szczegółowe wytyczne, bo przez kilkadziesiąt sekund widział wyłącznie śmigające nogi obute w białe adidas. Kopali we wszystko, co popadło: brzuch, kończyny, plecy, głowę, krocze. Z nosa buchnęła Adzie krew, więc musieli trafić także w twarz. Deptali jej po dłoniach i stopach, wykrzywając je pod dziwnym kątem, wyrwali włosy z głowy, ślizgając się po nich butami. Jacek przymknął na chwilę oczy, by pozbyć się zawrotów głowy, a gdy je otworzył, dostrzegł z przerażeniem, że jeden z bandytów odsłonił brzuch dziewczyny, a drugi pochyla się nad nią z krótkim nożem w dłoni. Długim powolnym ruchem rozciął białą skórę, dość płytko, choć nie na tyle, by na poplamiony już dywan nie spłynęła świeża porcja krwi.

W tym momencie do pokoju wrócił prawnik.

– Kurwa, mówiłem, że z umiarem? Mówiłem?!

Podszedł bliżej i postawił na stole kubek z kawą. Przykucnął, by ogarnąć wzrokiem szkody. Poobijana, to na pewno. Rana na brzuchu tylko powierzchowna. Mokre spodnie. Jezu, złała się ze strachu? Czy z bólu?

Ruszył wzrokiem wyżej. Jeden nadgarstek wygięty pod dziwnym kątem już zaczynał puchnąć. Piersi dziewczyny falowały w płytkim spazmatycznym oddechu. Z oczu płynęły jej łzy. Płacz zatkał nos i spowodował problemy z oddychaniem.

Adwokat delikatnie odkleił taśmę z jej ust. Z wyraźną ulgą nabrała głęboko powietrza. Twarz cała we krwi, rozcięta skroń i rozbity nos, jednak nie wyglądało to poważnie. Najgorsza sprawa z ręką. Dziewczyna musi wytrzymać jakiś czas. Gdy wyduszą wszystko z Jacka, schowają ją gdzieś, gdzie nikt jej nie znajdzie. Otwiera się przed nią nowa ścieżka kariery, tylko trzeba ją najpierw wyleczyć, bo nie uświadczy klientów. Kornecki znajdzie dla niej gniazdko, ma dojścia na rynku lalek. Biust trochę mały, za to reszta palce lizać. Szkoda ją zabijać, nie zrobiła nic złego. Pecha ma i tyle.

– Jeśli zaczniesz krzyczeć, powiem, żeby znów to zrobili i tym razem ich nie powstrzymam, rozumiesz? – oznajmił w swoim mniemaniu ciepłym głosem.

Lekko pokiwała głową. Natychmiast stracił nią zainteresowanie, nie trudząc się nawet ponownym krępowaniem jej rąk. Nie wyglądała na zdolną do samodzielnego poruszania się. Podszedł do faceta na krześle i jednym ruchem zdarł mu taśmę z ust.

– Ty chuju! – ryknął Zawadowicz i natychmiast zamilkł, gdy obaj łysi podeszli do Ady.

– Nie drażnij mnie – warknął Piekarz. – Przypomniałeś sobie? Co masz na Lodzika?

Jacek zacisnął mocno szczęki i milczał.

– Na pierwszy rzut oka widać paskudne złamanie nadgarstka – mruknął prawnik. – Chyba z przemieszczeniem. Na razie to tylko jedna kość...

– Kutno, ulica Jana Pawła przy Wyszyńskiego. Mieszkanie tuż nad apteką. Dwa pokoje z kuchnią. Joanna Piwowarczyk z mężem Jarosławem. Dwoje dzieci: Wiktoria i Alan, lat cztery i trzy – wycedził przez zęby chemik.

– Co to ma niby być?

– Siostra Christiana.

Piekarz uśmiechnął się z zadowoleniem.

– Ty skurwielu – syknął. – Nie mogłeś powiedzieć od razu i oszczędzić bólu narzeczonej? Przyjemnie patrzeć, jak cierpi? A może sam lubisz czasem jej przyłożyć? – Odwrócił się na pięcie, zgarnął ze stołu strzykawkę i oznajmił: – Jadę to sprawdzić i przekazać szczegóły Korneckiemu. Olo za mną, Wito zostaje.

– Ja zostanę – zbuntował się niższy. – Bym ją, tego...

– W burdelu sobie tego – ofuknął go zwierzchnik i dodał do wyższego: – Pilnujesz ich. Dziewczynę zostaw w spokoju. Tego śmiecia, gdyby się za bardzo stawiał, możesz nawet zabić. Już się nam nie przyda.

Gdy wyszedł, przez chwilę panowała absolutna cisza. Wreszcie Wito sapnął.

– Kurwa, zjadłbym coś jeszcze. Poszukam czegoś w kuchni.

Po paru minutach przyniósł orzeszki, rodzynki i piwo. Wyciągnął z kieszeni słuchawki, wsadził w uszy, pogrzebał w telefonie i zaczął coś oglądać z ogromnym zainteresowaniem.

Jacek obserwował go w milczeniu. W końcu przeniósł wzrok na Adę. Przestała płakać. Nie ruszała się. Gdyby nie to, że miała uniesione powieki, myślałby, że zemdląca. Odchrząknął, zebrał się na odwagę i zapytał:

– Bardzo cię boli?

Jej gałki oczne momentalnie powędrowały w jego stronę, chociaż głowa nawet nie drgnęła.

– Pytasz o to teraz czy o to, co mi zrobiłeś wczoraj? – Głos Ady zabrzmiał nadszpiewanie mocno.

– Teraz. Zresztą wszystko jedno.

– Bardzo.

W Jacku kłębiły się irytacja, poczucie klęski i autentyczna troska o narzeczoną. Wszystko to pokrywała gruba warstwa atawistycznego lęku o własne życie. Rozumiał, że ma małe szanse wyjść z tej sprawy cało. Chyba że znajdą Christiana. Gnój wiedział zbyt wiele, by machnęli na niego ręką. Nie znał nazwisk, adresów, szczegółów i założeń akcji, lecz miał w rękach dowody i widział kilka twarzy. Tym, co mógłby przekazać policji, zniszczyłby cały plan. A za planem stały wielkie pieniądze.

Jacek nie chciał wydać chłopaka ani narażać jego rodziny. Nie zrobiłby tego, cholera jasna, wytrzymałby, jakoś by sobie poradził, gdyby Ada nie postanowiła wdepnąć w sam środek jego kłopotów.

– Po cholere wróciłaś? – spytał z wyrzutem. – Miałaś siedzieć w pracy do wieczora, aż po ciebie przyjadę.

Spróbowała usiąść. Zakręciło jej się w głowie. Przycisnęła zdrowe ramię do zranionego brzucha i z jękiem przekręciła się na bok.

– Przyjechałam się spakować.

– Spakować?

– I oddać ci pierścionek. Niestety, chwilowo nie dam rady go zdjąć.

Z kuchni dobiegał odgłos skwierczącego na patelni tłuszczu. Siedzący na kanapie cerber chyba zapomniał, że coś smaży. Machał nogą i nucił w rytm dyskotekowych kawałków. Jacek poczuł, że jego gniew jeszcze wzbiera na sile.

– Dlaczego?

– Naprawdę nie wiesz? Nie pamiętasz, co mi wczoraj zrobiłeś?

– Zdradziłaś mnie! Puściłaś się z tym swoim paziem. Od dawna cię posuwa?!

– Nigdy z nim nie spałam. To koniec, Jacek. Nie chcę żyć pod jednym dachem z kimś, kto zachowuje się tak brutalnie. Jesteś chory na zazdrość, która cię pcha do przemocy. To wariactwo.

– Ja jestem chory? Nie, kochanie. To w twoich żyłach płynie krew zabójcy, to ty masz w genach zbrodnię i szaleństwo. Straciłem ojca. Miałem tylko osiem lat, a morderca nigdy nie został dostatecznie ukarany.

Ada zamarła. Dotąd nie rozmawiali o ojcu Jacka. Nie chodził na grób, nie wspominał go, nie wiedziała nawet, czy go pamięta. Przywołała w myślach opowieść pani Heleny. Czy jej syn był świadkiem zbrodni? Jeśli tak, to zdarzenie musiało zapisać się w nim jako gigantyczna trauma. W dodatku wcześniej też nie żyło mu się lekko.

– Bił cię. Zniszczył waszą rodzinę. Mój tata musiał go zabić, żeby obronić ciebie.

– Tak ci to przedstawiła moja matka? – Próbował zaśmiać się gorzko. Świeżo zaschnięta rana w kąciu ust pękła i popłynęła z niej krew. – Ojciec pił, owszem. Bywało, że się awanturował, ale nie przypominam sobie, żeby kogoś uderzył, dopóki w nasze życie nie wtargnął twój stary. Dymał moją matkę. Do tego też ci się przyznała? Ile wlezie i gdzie popadło. Kilka razy ich widziałem. Potrafisz odgadnąć, co czułem? Kilkuletni chłopiec patrzący na rozwalone nogi matki i rytmicznie skaczący tyłek obcego faceta. Ryczała jak zarzynany kocur. W życiu tak nie wrzeszczałaś i chwala ci za to. Seks jest obrzydliwy, Ada. Ohydny. To słabość, przez którą ludzie zachowują się jak zwierzęta.

– Ona twierdzi, że to była miłość...

– Mam to w dupie. Ojciec czuł, że pojawił się rywal. Nie wiedział tylko kto. Dopiero wtedy zaczął matkę bić, a ja obrywałem przy okazji, gdy próbowałem ją bronić. Nie wpadłem na to, żeby wszystko mu opowiedzieć. Wyręczyła mnie twoja matka.

– Wiem...

Wito zerwał się z fotela i klnąc, popędził do kuchni. Po mieszkaniu rozchodziła się ciężka woń spalenizny.

Jacek odprowadził go wzrokiem i wrócił do rozmowy.

– Gównu wiesz. Ojciec kochał nas oboje. Tylko przez wódkę tracił kontrolę. Wtedy gdy twoja matka mu doniosła, upił się i wpadł do domu narąbany. Siedzieliśmy przy moim biurku. Matka pomagała mi w lekcjach, a w zasadzie wmawiała sobie, że to robi. W szkole szło mi świetnie, dawałem radę bez jej wsparcia. Ojciec z krzykiem wbiegł po schodach na górę. Wparował do pokoju. Jednym susem zwałem pod łóżko. Złapał matkę za włosy i wywlókł na próg. Kopał ją i okładał pięściami. Strasznie krzyczała. Bałem się o nią, że ją zatłucze, tak jak dzisiaj o ciebie... Przemknąłem do ich sypialni. Chwyciłem z etażerki telefon i popełniłem pierwszy błąd.

– Zadzwońłeś po mojego ojca?

– Powinienem być zadzwonić na policję. Pomyślałem jednak, że skoro to wszystko przez Walickiego, niech on to teraz naprawi. Odebrała jego żona. Powiedziała, że go nie ma, i kazała mi iść do wszystkich diabłów. W przedpokoju usłyszałem straszny hałas. To matka wyrwała się ojcu i spadła ze schodów, łamiąc nogę. Krzyknąłem w słuchawkę, że tata chce zabić mamę, a potem mnie. To był drugi błąd. Ojciec usłyszał. Wpadł do sypialni, odłączył telefon i mnie zaatakował. Nigdy wcześniej tak nie bił. Rzucił mną jak śmieciem, walił moją głową o ścianę, grzmocił pięściami po twarzy i plecach. Korzystając z chwili jego nieuwagi, uciekłem do siebie. Zabarykadowałem drzwi i próbowałem wyskoczyć przez okno. Ojciec szybko pokonał moją żalosną przeszkodę. Ściągnął mnie z parapetu. Darłem się jak obłąkany. On też wrzeszczał, że to moja wina, bo nie upilnowałem dla niego tej kurwy. Byłem pewien, że to koniec. Wtedy niespodziewanie nadeszła pomoc. Ojciec osunął się najpierw na mnie, a potem na podłogę. Buchnęła krew, tryskała jak z fontanny, a z ust toczyła się różowa piana. Wciąż przybywało ran, chociaż ojciec już się nie ruszał. Wpadłem w panikę. Zamiast odetchnąć z ulgą, zacząłem bać się osoby, która przyszła mi na

ratunek i prawdopodobnie ocaliła mi życie. Myślałem, że nigdy nie przestanie...

– Dlaczego mój tata zrobił to właśnie tak? Wpadł w amok, bo zobaczył panią Helenę na dole, czy może chodziło mu o ciebie?

– Jezu, jak ty żałośnie nic nie wiesz o swojej rodzinie – westchnął Jacek, oddychając z ulgą. Cieszył się, że najgorszą część historii ma za sobą. – Twój stary nikogo nie zabił.

– A kto? – Dziewczyna podparła się na łokciu i o mało nie zemdląła z bólu, gdy poruszyła przy tym złamaną ręką.

– Gabriela Walicka. Mordowała jak psychopatka. Wbiła nóż po rękojęść aż czternaście razy.

Ada poczuła silne mdłości. Z trudem zapanowała nad torsjami. To, co opowiadał Jacek, nie mieściło jej się w głowie. Tymczasem sytuacja, w której się znajdowali, cały toczący się wokół koszmar sprawiał, że wierzyła w to, co słyszy. To nie był dobry moment na zmyślanie i żarty. To mogła być ich ostatnia rozmowa...

– Jakim cudem...? – wyjąkała.

– Walicki przyszedł chwilę potem. Odebrał żonie nóż. Zaczęła rozpaczliwie szlochać, jakby wyrwał ją z chorego transu. Zrozumiała, co się stało. Wczepiła się w niego, chcąc go objąć, lecz natychmiast się odsunął. Kiwała się w przód i w tył, mamrocząc: „To przez ciebie. Nie mogę stracić Ady”. Powtarzał jej w kółko, że będzie dobrze. Podszedł do mnie. Chciał sprawdzić, czy jestem cały. Odepchnąłem go ze złością. Także w moim odczuciu to była jego wina. To on zaczął. Przez Walickiego mama stała się złą żoną, a tata – agresywnym pijakiem. Przez to, że miała kochankę, ojciec zrzucił ją ze schodów, pobił mnie, a potem umarł cały we krwi, zachlapując łóżko, ściany i większość zabawek. Nigdy więcej nie chciałem ich dotykać. Tak skończyło się moje dzieciństwo. Krew znajdowała się wszędzie. Do dzisiaj widzę ją przed oczami. Twój ojciec wytarł dokładnie nóż o swoją bluzę, a potem stał, trzymając go w dłoniach i obracając. Myślałem, że teraz on zacznie kogoś dźgać. Nie zrobił tego. Poszedł do sypialni, włączył telefon, wreszcie zadzwonił po pogotowie i policję. Siedzieliśmy przez długie minuty na podłodze, wszyscy troje obok trupa, i czekaliśmy. Walicki nie wypuszczał noża z rąk. Gdy w drzwiach ukazała się głowa policjanta, wstałem, wskazałem twojego ojca palcem i powiedziałem: „Przez niego nie mam już tatusia”. Dalej nic nie pamiętam. Czarna dziura. Może zemdląłem?

Miałem tylko osiem lat. Walicki przyznał się do zabójstwa, jego żona i kochanka musiały mu w tym pomóc.

– Dlaczego?

– To chyba ich sprawa. Każde z nich po swojemu pojmowało winę i poniosło inną karę. Na wszystkich to się potężnie odbiło. Na mnie też, chociaż przez niemal dwadzieścia lat starałem się o tym nie myśleć.

– Jesteś pewien, że to prawda? To właśnie pamiętasz?

Jacek w milczeniu pokiwał głową.

Ada miała wrażenie, jakby jej stary poukładany świat ktoś nagle postawił na głowie. Co powinna czuć wobec ojca i matki? Żadne z nich nie jest tym, kogo grało. Co uważać w życiu za pewne, dobre i niezawodne, skoro ani rodzice, ani narzeczony nie stanowią żadnego oparcia? Czy ma o co walczyć? Jeśli jakimś cudem wyrwie się bandytom i wróci do normalnego świata, czy znajdzie tam coś prawdziwego, wartego wszelkich wysiłków?

Znajdzie!

Majka, Maciek... i Bartek!

Kiedyś obiecał jej skok ze spadochronem. Myślała, że nie ma mowy, że prędzej umrze ze strachu. Zmieniła zdanie. Maciek zastanawiał się, czy to lepsze od zakochania. Już się dowiedział, widziała go kilka godzin wcześniej z Patrycją. Bartek na pewno też wie. Powinna go zapytać, a najlepiej poprosić, żeby jej to wszystko pokazał. Spadochron i zakochanie. Chociaż, gdyby skoczyli razem, nadal by nie mogła zdecydować, co jest lepsze. Jedno i drugie działałoby się jednocześnie.

Przymknęła oczy i próbowała marzyć, odsuwając jak najdalej od siebie ból i strach. Lecą przez chmurę. Nic nie widać, wokół mleko, tak jak opowiadał Maciek. Bartek krzyczy jej coś do ucha, a ona bardziej się domyśla, niż słyszy. Odwrzaskuje jednak, przebijając się przez wiatr: „Ja ciebie też!”.

Nagle chmura się kończy i wypluwa ich z siebie na jasny, kolorowy świat. Słońce barwi okoliczne łąki tysiącami kwiatów. Celują w długi wąski, prostokąt. Cytrusowy gaj. To Hiszpania? Chyba tak. Za chwilę wylądują. Bartek zerwie owoce i wycisnie sok. Nic więcej nie będzie potrzebne do szczęścia. Unoszą w górę głowy i widzą, że czasa spadochronu lśni jak gigantyczna pomarańcza. Wtedy ich stopy dotykają podłoża. Widać zieleń drzew i uginające się od owoców gałęzie. Kładą się na ziemi, a nad ich głowami rozciąga się pomarańczowy dach. Ada chce podeprzeć się na

łokciu i pocałować Bartka, jednak ręka zbyt mocno ją boli. Zaczyna jęczeć i krzyczeć. Nagle wszystko znika wraz z nagłym uderzeniem w policzek.

Otworzyła oczy i zobaczyła poczerwieniałą twarz łysego. Krzyknęła ponownie, tym razem ze strachu.

– Zamknij ryj – warknął, a gdy nie milkła, oderwał kawałek taśmy z rolki i zakleił jej usta.

Nie protestowała. Tylko zamknęła oczy.

– Zostaw ją, bo znowu zemdleje – warknął Jacek.

Wito parsknął śmiechem.

– Idę po browara. Lepiej dla ciebie, żebyś miał jeszcze w lodówce.

Wetknął słuchawki w uszy i wyszedł do kuchni. Jacek zawołał przenikliwym szeptem:

– Ada! Aaaaaa!

Uniosła lekko powieki.

– Mam pomysł, słyszysz? Kiedy wróci, zacznę mu się stawiać. Łatwo go sprowokować. Zajmie się mną i wtedy spróbujesz uciec. Rozumiesz? Wstaniesz i wyjdiesz z mieszkania. To tylko kilka metrów. Dasz radę. Zejdź na dół do tego twojego Julka albo do tych drugich na parterze. Zadzwon po policję. Wsadzą mnie, kurwa, bez dwóch zdań, ale przynajmniej będziemy żyć.

Patrzyła na niego zaskoczonym wzrokiem.

– Zrozumiałaś? To jedyna szansa, tamci niedługo wrócą. Do Kutna rzut beretem. Nie możesz tego spieprzyć, słyszysz?

Lekko pokiwała głową. Odetchnął z ulgą.

– Nie oddałaś mi pierścionka, kochanie. Jeszcze wszystko się poukłada. Możemy być razem szczęśliwi. Kocham cię.

Pocałuj mnie w dupę, pomyślała. Na szczęście nic nie mogła powiedzieć, bo szara metaliczna taśma blokowała jej usta.

Po chwili łysy wrócił z dwiema butelkami piwa. Z jednej pociągnął łyk, a z drugą podszedł do Jacka.

– Chcesz trochę? – spytał i ze złośliwym uśmiechem wylał zawartość na głowę Zawadowicza.

Moment był idealny. Więzień poderwał się razem z krzesłem i walnął kafara z byka prosto w brzuch. Osilkowi odebrało z zaskoczenia mowę, ale szybko się opanował. Złapał za oparcie krzesła i zawlókł je do łazienki, a następnie wstawił do wanny. Ciężar przywiązanego Jacka niewiele dla

Wita znaczył. Zasapał się tylko i poczerwieniał na szyi. Zatkanął korkiem odpływ i puścił gorącą wodę...

Ada zebrała wszystkie siły ducha, bo o ciele nie było co gadać, i spróbowała się podnieść. Musiała zachowywać się cicho, jak najciszej. Odkryła, że jedna z nóg nie chce jej słuchać. Nie rwała aż tak jak ręka, jednak coś w niej nie grało. Pozostało zatem poruszanie się przy podłodze, ni to pełzając, ni to czołgając się. Bolało potwornie. Cieszyła się, że ma zaklejone usta, bo nie opanowałyby krzyku. Gdy dopadła do drzwi wejściowych i zdołała je uchylić, z łazienki dobiegł gwałtowny skowyt. Nie wiedziała, że to ukrop dotarł do stóp Jacka i obejmował w swoje władanie coraz wyższe partie jego ciała. Dźwięk przycichł bardzo szybko, bo rolka taśmy pozostawała pod ręką oprawcy. Cierpienie się jednak nie skończyło.

Walicka wymknęła się na zewnątrz i zdrową ręką chwyciła balustradę schodów. Próbowwała zjeżdżać na pośladkach, lecz brakowało jej drugiej ręki do podparcia. Na klatce schodowej panowały egipskie ciemności. Nie traciła czasu na szukanie włącznika. Po pokonaniu kilku stopni postanowiła wstać. Kuśtykając i niemal wisząc na poręczu, dowlekła się do parteru.

Pot zalewał jej oczy i plecy, dyszała jak po długim biegu. Dygotała z zimna i gorąca zarazem. Zapomniała, że Zawadowicz kazał jej pukać do sąsiadów. Chciała jak najszybciej znaleźć się na dworze i poczuć świeże powietrze. Olśniło ją, że przecież ma wolną rękę i może zedrzeć knebel blokujący oddech przez usta. Niecierpliwie szarpnęła i nagły ból ugiął jej nogi. Machnęła zdrową ręką, by jak najszybciej znowu podeprzeć się o poręcz. Mokra od potu dłoń ześlizgnęła się, nie chwytając dość mocno. Zdrowa noga sama zsunęła się ze stopnia, za nią bezwładnie ruszyła reszta ciała. Ada uświadomiła sobie, że spada i że najgorzej będzie, jeśli ją tu na dole znajdzie Piekarz z Olem. Potem poczuła, że tyłem głowy uderza o posadzkę. Za bólem napłynęło gorąco, zaraz po nim chłód i wreszcie nicość.

43.

– Nie żyje! – wymamrotał Julek i natychmiast zakrył sobie ręką usta, jakby chciał zatrzymać wyrwywające się z nich słowa.

Pilch w milczeniu przykucnął przy dziewczynie. Miała rozchylone wargi. Klatka piersiowa unosiła się płytko, lecz rytmicznie.

– Nie bój się. Oddycha – uspokoił chłopaka i sięgnął do nadgarstka rannej, żeby zbadać puls.

Ada jęknęła głośno, na chwilę uniosła powieki, zamrugała i znów zamknęła oczy. Pilch nie wiedział, czy zemdląca, czy nie ma sił trzymać ich otwartych. Wyglądała przerażająco, jak ofiara wypadku samochodowego albo brutalnego napadu. Zważywszy, że wyszła z mieszkania, w grę wchodziła tylko ta druga opcja. Miał ochotę popędzić na piętro i udusić tego zwyrodnialca. Nie wystarczyło mu, że poniewierał nią sam, teraz jeszcze zaprosił do zabawy kumpli? Chryste, co oni jej zrobili? Trzeba ją jak najszybciej zawieźć do szpitala! Obicie bydlakowi mordy musi poczekać na później.

Wsunął delikatnie dłonie pod kolana i plecy Ady i podniósł ją z podłogi. Krzyknęła, podkurczając przedramię i obejmując je drugą ręką.

– Delikatnie – syknął Julek. – Boli ją.

– Gnój złamał jej rękę! – jęknął Bartek, czując, że za chwilę coś w nim pęknie i zacznie krzyczeć lub płakać. – Patrz, spuchła jak bania.

Ranna potwornie śmierdziała: potem, moczem, krwią i chyba po prostu strachem. Jakby była zupełnie kimś innym niż ta fantastyczna kobieta, na którą Sancho Pansa gapił się podczas koncertu. Wtedy mieszała mu rozum i zmysły. Teraz na dokładkę szarpała go za serce.

– Zadzwońię po pogotowie – zaoferował się chłopak. – Zostawiłem telefon w mieszkaniu. Pójdę.

– Nie, poczekaj. Zawiozę ją, będzie szybciej. Otwórz drzwi na dwór i do nissana. Wyjmij kluczyki. Mam w lewej kieszeni.

Julek wykonał polecenie i niezgrabnym truchtem pobiegł na parking. Pilch szedł wolno za nim, starając się nie trząść dziewczyną. Posadził ją z przodu i pochylił się, by jak najdelikatniej zapiąć jej pas. Krzyknęła, odpychając jego rękę od swojego brzucha.

– Cholera – mruknął, czując narastającą panikę.

Może źle, że ją ruszył? Jeśli ma obrażenia wewnętrzne, tylko jej zaszkodzi...

– To ty? – wychrypiała obcym głosem.

– Ja, mała. Bądź dzielna. Zabiorę cię do lekarza i zajmę się tobą. Raz-dwa wyzdrowiejesz. Obiecuję.

– On go zabije – oznajmiła i wbiła w rozmówcę oczy.

– Jacek?

– Wito zabije Jacka. Wezwij policję.

Bartkiem targnął gwałtowny gniew. O co jej chodzi? Martwi się o tego śmiecia? Po tym, co jej zrobił? Jeśli ten jakiś Wito chce dokopać jej oprawcy, należy mu tylko przyklasnąć.

– Okej, zadzwonię ze szpitala.

– Zrób to teraz! – Zabrzmiała zaskakująco stanowczo.

– Ja zadzwonię. Mam w domu komórkę. Mama mi kupiła.

– Dasz radę? – upewnił się Pilch, chętnie przystając na to rozwiązanie.

Oczy rannej uciekały do góry, choć wyraźnie próbowała z tym walczyć. Co chwilę wstrząsały nią dreszcze.

– Dam. Wybiorę sto dwanaście i wszystko opowiem. Jestem dobrym detektywem.

– Najlepszym – pochwalił go Bartek i obiegnął samochód dookoła. – Idź, szkoda czasu. Bardzo pomogłeś. Możesz być z siebie dumny.

Julek przytaknął i wolnym krokiem odszedł w stronę bloku. Bartek wskoczył za kierownicę. Wyjechał na Paderewskiego i przyspieszył. Chwilę potem hamował na skrzyżowaniu. Ada wrzasnęła, gdy pas zacisnął jej się na brzuchu.

– Jezu, przepraszam, kochanie. – Pilch nie wiedział, czy patrzeć na nią, czy na drogę. – Przepraszam. Boli cię brzuch, tak? I ręka. Co jeszcze?

– Wszystko – wyszeptała. – Pomóż mi. Obiecałeś. Jesteś moim Sancho Pansą, musisz mi pomagać.

Język jej się plątał. Walczyła z gorączką i napływającą falami sennością.

– Pomogę ci ze wszystkim. Przysięgam.

– Zadzwoń na policję.

– Julek ich powiadomi.

– Nie. Ty to zrób. Masz numer gliniarza Marudy?

– Łutkiewicza?

– Od łuta, nie od łódki. Niech pojedzie do Jacka i do Kutna. Mieszkanie nad apteką. Trzy i cztery lata...

Bartek był pewien, że dziewczyna majaczy. Ubzdurzyła coś sobie, żeby jakoś przetrzymać to, przez co przeszła. Nie zamierzał się z nią sprzeczać. Mógł dzwonić do wszystkich świętych, ale dopiero gdy będzie bezpieczna.

Najbliższy szpital znajdował się kilka przecznic dalej. Droga zajęła nie więcej niż siedem minut, włącznie z postojem na czerwonych światłach, przez które kierowca mało nie rozniósł w pył samochodu. Kończyła mu się cierpliwość. Podjechał pod izbę przyjęć i wyskoczył jak oparzony z nissana. Przy wejściu dostrzegł samotny wózek inwalidzki. Uznał, że ta metoda transportu zada rannej mniej bólu niż noszenie na rękach. Przyciągnął szpitalny sprzęt, otworzył drzwi od strony pasażera i sięgnął w głąb auta, by uwolnić dziewczynę z pasów. Wyciągnął ją, rejestrując z ulgą, że wciąż ma otwarte oczy. Panicznie się bał, żeby nie straciła przytomności. Doskonale wiedział, że to niepokojący objaw. Posadził ją na wózku i już miał ruszyć, gdy odchyliła się nagle na bok i z wymiotowała na podjazd. Zareagował instynktownie. Przytrzymał ją za ramiona, żeby nie spadła na ziemię. Gdy skończyła, odgarnął jej z twarzy mokre od potu włosy.

– Nie mdlej, mała. Wytrzymaj – powiedział, pchając wózek w stronę izby przyjęć. – Wyhoduję ci pomarańczowe drzewko. Dam ci cały cytrusowy gaj, tylko jeszcze przez chwilę bądź przytomna.

Wjechał z hałasem skrzypiących kółek do jasnego holu. Kilka osób siedziało na plastikowych krzesłach i czekało na swoją kolej. Pielęgniarka w rejestracji wypełniała z pacjentem papierowe formularze. Na widok rannej kobiety wyskoczyła zza biurka i pobięła po pomoc. Rozmowy wokół umilkły. Po chwili zjawił się przysadzisty siwy facet w kitlu i zaświecił Adzie latarką w jedno i w drugie oko.

– Z wypadku? – spytał.

– Z przemocy domowej – odparł ponuro Sancho Pansa.

– No już, skarbie. – Głos lekarza stał się natychmiast o kilka stopni cieplejszy. – Nie bój się. Poradzimy sobie ze wszystkim po kolei. – Poglaskał ją po zdrowej ręce i przejął od Pilcha wózek. – Proszę zostać, czekać cierpliwie i załatwić formalności. Ma pan jakieś jej dokumenty?

Nie czekał na odpowiedź. Nie tracąc czasu, pomknął z pacjentką w czeluści szpitala.

Bartek rozejrzał się nieprzytomnie po holu. Czekać mógł, liczył się z tą koniecznością, choć cierpliwość nie wchodziła w grę.

– Usiądź pan, będziesz za mną w kolejce – zachęcił go przyjaznym głosem chudziuteńki staruszek z długim siwym kucykiem na głowie.

Pilch przycupnął i przez kolejne minuty słuchał opowieści o tym, jak to dziadzio stracił po wojnie kamienicę przy Wodnej i nie wiedział, czy opłaci się po latach dochodzić swoich praw. Znaczy, nie dziadziowi czy się opłaci,

bo on już dawno ziemię na Dołach gryzie, tylko wnusiowi, Mietkowi, czyli Bartkowemu rozmówcy.

– Bo to wiesz pan, czy mnie się na starość kalkuluje? Tam trzy piętra są, na każdym po cztery mieszkania, jak to upilnować? Rodziny już nie założę, spadkobierców się nie dochowam, a na podwórku za bramą pochować się nie dam. Wolę z dziadziem na jednej kwaterze. Rażniej będzie.

– To niech pan da spokój – zasugerował grzecznie Pilch.

– No, ale jak to? Toż sromota odpuścić! Dziadzio wojskowy, Ruska i Niemca bił we trzy wojny, w tym dwie światowe. Honor dla niego podstawa! Splamię się i będzie się w grobie przewracał.

Bartek westchnął głęboko, rozglądając się na boki i szukając możliwości ucieczki. Ludzie wokół tylko uprzejmie się uśmiechali. Nikt się nie kwapił, żeby wziąć udział w dyskusji.

– W tej sytuacji nie ma pan wyjścia – mruknął. – Musi pan walczyć.

– Jak? Tam jedna ruina. Remont trza. A notariusze, adwokaty i sędzie do cna wydoją. Ja skromny emeryt. Całe życie w farbiarni pracowałem. Żadnych oszczędności w skarpecie, lokat, nic. Golcem mnie puszczą, na hipotekę wejdą i kamienica pójdzie pod młotek. Stryczek zostanie.

– To może faktycznie nie...

– A dziadzio?

W głosie faceta brzmiało takie natężenie dramaturgii, że Bartkowi zrobiło się go żal. Biedny stary. Nie ma kto go uspokoić, pokierować jego sprawami. Do tego chory, bo przecież nie przyszedł do szpitala dla przyjemności.

– Dziadzio, tak czy siak, na pewno jest z pana dumny.

– Tak pan myśli? – Staruszek rozciągnął usta w uśmiechu i poklepał Pilcha po udzie. – Zgrywus z pana. Pański dziadzio to kto?

Trafił pytaniem w dość niewygodne rejony. Jego rozmówca nieco się skrzywił. Po chwili jednak zebrał się w sobie i postanowił odpowiedzieć.

– Nie widziałem go od lat. Też jest wojskowym. Wykładał w Lotniczej Akademii Wojskowej w Dęblinie. Pewnie już przeszedł na emeryturę.

– Ulala. – Facet aż zaklaskał z zachwyty. – Pan nie chciałeś latać?

– Chciałem. Obaj ze starszym bratem chodziliśmy do liceum lotniczego. Wybieraliśmy się w ślady dziadka. Borys nie przeszedł badań lekarskich. Nie przyjęli go do akademii przez problemy z sercem.

– Nie mógł pan sam?

– Mogłem. Marzyłem o tym.

– Ale?

Bartek westchnął i zawahał się. Mówić, nie mówić? Jako alternatywa dla rozmowy pozostawało mu wyłącznie zastanawianie się, w jakim stanie jest Ada. W jej sprawie chwilowo nie mógł nic zrobić, więc wybrał opcję, która przynajmniej pozwalała mu zabić czas. Zaczął opowiadać.

– Borys był potwornie rozżalony. Uznał, że skoro jemu się nie udało, mnie też nie powinno. Dostał się na kulturoznawstwo do Łodzi. Jestem dwa lata młodszy. Odczekał, miał mnóstwo czasu na myślenie. Uknuł głupi szczeniacki plan. Chodziłem już do trzeciej klasy. Podpuścił mnie na dziką imprezę z jego kumplami. Dosypał mi czegoś halucynogennego do piwa. Nigdy wcześniej nie brałem narkotyków. Poczułem się jak król życia, supermocarz i as przestworzy. Wtedy wszedł mi na ambicję, wmawiając, że nie dam rady zwędzić z hangaru szkolnej awionetki.

– Udało się?

– Zależy co. Wyjechałem na pas startowy i rozwaliłem samolot, zanim oderwał się od ziemi. Kariera poszła się bujać. Dziadek nie chciał słuchać tłumaczeń. Dla niego byłem skończony. Przeniesiono mnie karnie do zwykłego liceum. Zawalił mi się świat.

– Zemściłeś się? – dopytywał staruszek, nie zauważając, że z emocji przechodzi na ty.

– Zemściłem. Mój brat na początku studiów ożenił się z dziewczyną, którą obaj znaliśmy od małego. Zawsze miała do mnie słabość. Podobała mi się, nawet bardzo, chociaż nie planowałem wchodzić Borysowi w drogę. Nie garnałem się do poważnych związków, brat wydawał się pod tym względem znacznie dojrzały. Po maturze pojechałem za nimi do Łodzi. Przy pierwszej lepszej okazji upiłem Magdalenę i przespałem się z nią.

– Żartujesz?

– Niestety nie. Jakby mało było upokorzeń, przyznałem się do tego wyczynu Borysowi przy stole, w pełnym rodzinnym gronie. Pobiliśmy się. Dziadek obraził się na nas obu, twierdząc, że nie tak nas wychował. Zawiedliśmy na całej linii. Żeby mu zrobić na złość, poszedłem na studia pedagogiczne. Chciał wnuka lotnika, a będzie miał przedszkolankę. Tak to sobie wymyśliłem.

– Dokuczyłeś sam sobie.

– Okazało się, że nie bardzo. Uwielbiam dzieci. Po latach dogadałem się z bratem, pracujemy razem, a nauczycielem bywam głównie dla przyjemności. Tę dziewczynę na wózku spotkałem właśnie przy takiej okazji.

– Ale to nie ty ją tak urządziłeś? – spytał starszy gość z niepokojem.

– No skąd! Zamierzam wyleczyć jej wszystkie rany. Na ciele, duszy i sercu. W tym temacie już dorosłem. Dziesięć lat później niż mój brat, ale jednak.

– Panie Mietku! – Donośny głos z rejestracji wdarł się brutalnie w ich spokojną rozmowę. – Z panem zawsze to samo. Wołam i wołam, a pan każdego, kto się napatoczy, zanudza tą swoją kamienicą. Wchodzimy, szybciućko. Pani doktor czeka.

– Idę, kolego – oznajmił pan Mietek, z trudem się podnosząc. – Pani doktor młoda koza, ale ładniutka, skubana... Aż miło pochorować.

Bartek został sam i próbował odrobinę oprzytomnieć. Zerknął na tablicę informacyjną i wciśnięte mu w garść formularze, które powinien wypełnić danymi pacjentki. Skupiał się, jak mógł, jednak poległ już na najprostszym, zasadniczym pytaniu. Kiepska sprawa. Ada nie zabrała z sobą dowodu osobistego. Kto, u diabła, poza tym zwyrodnialcem, z którym mieszkała, mógł znać jej numer PESEL?

Danka! – olśniło go i chlasnął się dłonią w czoło. Zatrudniła Adę, musi mieć w dokumentach takie informacje!

Wyszarpnął z kieszeni smartfona i zorientował się, że tkwi w szpitalu już ponad godzinę. Zdążył się tym zdenerwować, przypomnieć sobie, że obiecał zadzwonić do Łutkiewicza, machnąć na to ręką i wreszcie wybrać numer Marudy.

Chwilę zajęło jej dotarcie do gabinetu i odszukanie potrzebnych danych. Oficjalna impreza już się skończyła. Pracownicy i wolontariusze fundacji kontynuowali rozrywkę prywatnie, w swoim gronie, i co chwilę ktoś panią prezes zaczepiał. Bartek pobieżnie wyjaśnił, co się stało. Przejęła się, wyraziła chęć wszelkiej pomocy i natychmiastowego przyjazdu do szpitala. Z trudem ją powstrzymał. Odmówiła przekazania komórki gachowi, informując, że Walerego wezwali już jakiś czas temu w jakiejś bandycko pilnej sprawie. Opuścił zabawę i huczącą słusznym gniewem ukochaną. Strzeliła babskiego focha i postanowiła się na gliniarza obrazić, ale może podyktować jego numer telefonu.

Bartek podjął kilka bezskutecznych prób dodzwonienia się do Łutkiewicza. Wreszcie oddał wypełnione papiery pielęgniarce w rejestracji, rozejrzał się po pustym holu i spytał, czy mogłaby się dowiedzieć czegoś o pacjentce. Obiecała zdobyć informacje, kiedy skończy z papierkową robotą. Wrócił zatem na krzesło i czekał.

Znów zasnął, choć tym razem nie wspomagał go koncert fortepianowy Paderewskiego. Siedział z głową opartą o ścianę i otwartymi ustami, z których wydobywało się coś na kształt odgłosu zacinającego się diesla. Ta oniryczna pauza trwała dość długo, aż wreszcie znajoma pielęgniarka szturchnęła Pilcha w ramię.

– Niedawno wybudzili ją z narkozy – powiedziała. – Przyjęła mnóstwo leków, zasnęła i raczej tej nocy już pan z nią nie porozmawia.

– Z jakiej narkozy? – zawołał, niezgrabnie zrywając się z krzesła. – Operowali ją? Chcę się z nią zobaczyć.

– Tłumaczę panu, że śpi. Lekarz przyjdzie do niej rano. Proszę teraz wrócić do domu. Nie może pan zakłócać ciszy nocnej innym pacjentom. Jutro oboje wszystkiego się dowiecie. A w zasadzie dziś, bo dawno po północy. No, wychodzi pan?

Spojrzał bezradnie na kobietę. Zaskoczyła go. Nie zamierzał oddalać się od Ady, planował nie odstępować jej na krok. Miał wrażenie, że powinien jej pilnować bez względu na porę. W milczeniu podreptał do drzwi. Wrócił do nissana, wygrzebał z bagażnika koc, usiadł za kierownicą i zapadł w niespokojną drzemkę.

Wpuścili go na oddział tuż po świcie. Pacjentka leżała sama w dwuosobowej sali. Wydawała się blada i drobniejsza niż zwykle. Niemal tonęła w pościeli. Na pierwszym planie biał się gips. Sięgał kawał za prawy łokieć. Na głowie zamocowano bandaż i opatrunek. Na całym ciele straszły krwiaki i paskudne zadrapania.

Bartek usiadł na krześle obok łóżka, chwycił leżącą na kołdrze lewą dłoń i delikatnie pocałował jej wnętrze. Ada podniosła powieki i spojrzała na niego.

– Cześć, mała, jak leci?

– Skąd się tu wzięłeś? – spytała cichym głosem.

– Przywiozłem cię wczoraj. Siedziałem na dole całą noc. Kazali mi czekać, nie pamiętasz?

– Nie wiem. Chce mi się spać.

– Mam sobie pójść?

– Nie – zaprzeczyła, ściskając lekko jego palce. – Zostań, proszę.

Uśmiechnął się. Nie ma sprawy. Może warować przy niej aż do wypisu. Byle tylko nikt go nie przegonił...

Do sali weszła pielęgniarka z termometrem i nową kroplówką. Pokręciła się przy pacjentce, zapisała temperaturę i sprawdziła wenflon. Nim zniknęła,

w drzwiach zjawiała się młoda lekarka o niezwykle ciepłym spojrzeniu. Przywitała się, zerknęła kontrolnie na kartę choroby i przycupnęła w nogach łóżka. Bartka omiotła obojętnym spojrzeniem.

– Jak się pani czuje? – zagaiła.

– Boli mnie ręką i głowa. Jestem zmęczona.

– To naturalne. Musi pani uzbroić się w cierpliwość. Z każdym dniem będzie lepiej.

– Co mi jest?

Pani doktor przyszła pogadać o stanie jej zdrowia. Niech mówi i idzie precz. Ada chciała tylko ciszy, snu i Bartka trzymającego jej dłoń. Potrzebowała go jak nigdy przedtem. Zanim się zjawił, czuła, jakby coś od środka rozbijało ją na kawałki. Przy nim zaczęło się powolutku sklejać. Bała się, że mógłby zniknąć.

– Może pan nas zostawić na chwilę same? – Stanowczy ton wskazywał bardziej na polecenie niż pytanie.

Lekarka nie chciała zabrzmieć surowo, jednak musiała poruszyć z pacjentką trudny i osobisty temat.

– Siedź – zaprzeczyła chora nad wyraz mocnym głosem, a mężczyzna natychmiast opadł na krzesło, bo zdążył się już lekko unieść. – Don Kichot nie ma tajemnic przed Sancho Pansą. Całkowicie mu ufa.

Uniósł zabawnie brwi. Wyrażnie go zaskoczyła. Patrzył na chorą z bezgranicznym oddaniem. Może powinien znać fakty, żeby pomóc jej się pozbierać, pomyślała lekarka. Widziała już wiele ofiar przemocy. Dziewczyna z gipsem na ręce wyglądała na silną. Poradzi sobie, jeśli ten facet zostanie przy niej.

– Była pani nieprzytomna, gdy panią badaliśmy. Ma pani objawy wstrząśnienia mózgu. To minie, trzeba tylko dużo wypoczywać. Rentgen wykazał złamanie z przemieszczeniem w nadgarstku. Na szczęście dość czyste. Złożyliśmy rękę pod narkozą. Czeka panią minimum sześć tygodni w gipsie. Rozcięcie na brzuchu opatrzyliśmy, nie wymagało szwów. Zszyliśmy za to skórę nad lewą skronią. Dlatego ma pani opatrunek. Lewa noga skręcona w kostce, mocno opuchnięta. Gdyby nie ta ręka, optowałabym za gipsem. W tej sytuacji uznałam, że orteza wystarczy. Pamięta pani, kto to zrobił?

– Wito i Olo na rozkaz Piekarza. Skatowali jeszcze kogoś. Nazywa się Jacek Zawadowicz. I nie wiem, co z siostrą Lodzika. – Pacjentka z nagłym niepokojem poderwała głowę. – Czy policja wie?

– Wie – uspokoił ją Pilch, chociaż nie miał pewności, czy to prawda.
– Wie – potwierdziła jednocześnie lekarka. – Aspirant Łutkiewicz czeka w korytarzu. Bardzo chce panią odwiedzić. Podobno się znacie.

– Dlaczego nie wchodzi?

– Przekonałam go, że mam pierwszeństwo w dostępie do pani. Już kończymy. Chciałabym panią poobserwować jeszcze kilka godzin. Wieczorem przygotujemy wypis. Musi pani dużo leżeć. Przez tę rękę i nogę będzie konieczna opieka i pomoc. Czy da się to zorganizować?

– Bez problemu – wtrącił się Bartek.

– Pani Walicka potrzebuje raczej kobiecej ręki...

– Proszę się tym nie martwić. Jestem ja, kobiece ręce też się znajdują. Jedyne, co jej grozi, to nieustannie grzmiące nuty rosyjskich kompozytorów.

Obie zmarszczyły czoła, zaintrygowane tym ostrzeżeniem, jednak Bartek nie zamierzał im się zwierzać ze swoich wieczornych ustaleń z panią Ludmiłą. Sprawa załatwiona.

– Została ostatnia kwestia. Znaleźliśmy ślady – pani doktor zawahała się i zerknęła niepewnie na siedzącego na krześle mężczyznę – przemocy seksualnej. Dość świeże, chociaż nie wyglądają na powstałe wczorajszego wieczora.

Bartek zacisnął zęby i wbił pytający wzrok w pacjentkę. Bał się, że za chwilę puszcza mu nerwy, wybuchnie, zacznie tupać i walić głową w ścianę. Co jej się jeszcze przydarzyło, do cholery? Ile musiała znieść w tak krótkim czasie?

– To Jacek. – Ada poczuła się dziwnie oderwana, jakby odległa od swoich słów. Zdawało jej się, że mówi cudzym głosem, który rodzi się gdzieś poza jej krtanią i nie zahacza o jej własne emocje. Przyznaje się tej miłej lekarce i najbliższemu człowiekowi do obcych przeżyć dotyczących innej kobiety i dawnego, nikomu już niepotrzebnego życia. – W sobotę wieczorem... Zgwałcił mnie. Boże, nie można tego nazwać inaczej! To chyba nie był pierwszy raz...

– Chyba? – Pani doktor zachowała zawodowy spokój. – Kto to jest Jacek?

– Nie zwracała uwagi na faceta, który ewidentnie nie wiedział, co powinien zrobić: przytulić chorą czy raczej wycofać się i dać jej odrobinę oddechu.

– Często nie pytał mnie o zdanie. Chociaż nigdy wcześniej nie był tak... wulgarny, brutalny... Tak, to prawda. Mój były narzeczony mnie zgwałcił.

– Na pewno były? – Lekarka wołała się upewnić.

– Na pewno. Zdejmijcie mi ten pierścionek! – Dziewczyna nagle wpadła w panikę, bo dotarło do niej, że rozmowa dotyczy faktów z jej życia. Zaczęła machać zdrową ręką, jakby obecny na niej krążek złota w jednej chwili zaczął parzyć.

Mężczyzna próbował pomóc, jednak nie szło mu najlepiej. Lekarka wahała się tylko moment. Podeszła do zlewu i wycisnęła na dłoń odrobinę mydła. Kilka minut później błyskotka po austriackiej prababce Zawadowicza spoczywała bezpiecznie w kieszeni jego rywala. Napięcie w sali nieco opadło.

– Może pani wniesć oskarżenie – poinformowała pani doktor. – Są dowody...

– Nie! – przerwała pacjentka. – Chcę tylko zapomnieć. Nic więcej.

Kobieta pokiwała głową i wyszła. Na jej miejsce natychmiast wepchnął się Łutkiewicz, nie zostawiając chorej nawet chwili na odpoczynek. Odchrząknął i zakasłał, zakrywając dłonią twarz. Nie wiedział, jak zacząć rozmowę.

– Pojechaliście do Kutna? – spytała Ada, a on odetchnął z ulgą.

Obszedł jej łóżko i przysiadł na sąsiednim, gniotąc świeżą pościel.

– Tak. Wszystko w porządku. Lodzik ich ostrzegł, zdążyli wyjechać.

– Jak to?

– Odwiedził ich w piątek i opowiedział o wszystkim. Wręczył im bilety na tygodniowe wakacje na Krecie, a potem zgłosił się na łódzką komendę. Kazał się aresztować, dostarczył sam przeciwko sobie dowody, ale do prawdziwych zeznań udało się go nakłonić dopiero dziś w nocy, kiedy usłyszał, że zwinęliśmy Korneckiego i jego ludzi.

– Nic nie rozumiem – mruknął Bartek. – Kornecki to nasz sponsor. Szef Zawadowicza.

– Szuja i menda – uzupełnił Walery i pokręcił głową, żeby rozluźnić mięśnie szyi.

– Może pan jakoś składniej, po kolei i kompaktowo? Ada jest zmęczona, powinna spać.

– Przepraszam, ma pan rację. Lodzik zwierzał się chaotycznie i ciężko było znaleźć w tym sens. Dopiero zeznania Zawadowicza pozwoliły nam energicznie zadziałać. Zdążyliśmy wszystkich pozamykać, zanim zapadli się pod ziemię.

– Jacek żyje? – W głosie Walickiej zabrzmiał niepokój.

Pilch wyprostował się sztywno na krześle.

– Tak. Jest w fatalnym stanie. Okropnie poparzony i pobity.

– Nikt mu nie kazał pchać paluchów między drzwi – podsumowała.

Gliniarz łypnął na nią ze zdziwieniem, Sancho Pansa rozluźnił mięśnie.

– No dobrze, to po kolei. Zadzwoił do nas wczoraj pan Julian Kurek. Poprosił o sprawdzenie mieszkania sąsiadów. Koledzy z interwencyjnej podjechali pod wskazany adres. Znaleźli Jacka Zawadowicza katowanego przez niejakiego Witolda Ambroziaka.

– Wito – szepnęła Walicka.

– Tak jest – potwierdził Walery. – Na szczęście pani sąsiad to przytomny człowiek. Od razu poinformował nas, gdzie pani jest. Nie musieliśmy się martwić. W życiu nie pozwolę powiedzieć nic złego na ludzi z zespołem Downa. Zawadowicza odwieźliśmy do szpitala. Lekarze go jeszcze opatrywali, a on już rwał się do zeznań i domagał informacji o narzeczonej. Niczego się nie dowiedział.

– I dobrze, bo on już nie ma narzeczonej – burknął mściwie Bartek.

– Za to my dowiedzieliśmy się sporo od niego. Inteligentny idiota. Naukowa zagadka. Wygląda na to, że na początku w ogóle nie wiedział, w co się pakuje...

Lami Solutions to fikcyjna firma farmaceutyczna pracująca oficjalnie nad wieloma nowymi lekami, w szczególności nad nowatorskimi mieszankami do chemioterapii. Zatrudniony w niej pod koniec roku doktorant chemii organicznej głęboko w to wierzył. Skusiły go pieniądze kilkakrotnie przewyższające uczelnianą pensję, zachwyty i pochlebstwa dla jego intelektu oraz obietnica splendoru i chwały, jeśli badania zakończą się sukcesem. Tymczasem prace przechodziły właśnie z fazy prób na zwierzętach do etapu testów na ludziach... Kosztowny, niewygodny i długotrwały proces, chyba że się go trochę przyspieszy.

Podpisano z Zawadowiczem umowę i przelano na jego konto zaskakująco dużą sumę. Następnie umożliwiono mu pogrzebanie w dokumentacji badań, by poczuł się współsprawcą dzieła, i pozwolono samodzielnie odkryć, że to nie królestwo rewolucyjnych leków, tylko potężna fabryka dopalaczy.

Ostatnia stworzona mieszanka miała stać się hitem na światową skalę, żyłą złota, nową amfetaminą klasy średniej. Tania, niezawodna, bezpieczna i niemal pozbawiona skutków ubocznych poza drobnym faktem silnego uzależniania. Z założenia nie zaburza percepcji i świadomości, nie wywołuje euforii, halucynacji czy nieprzemijającej erekcji. Nawet nie oferuje poczucia szczęścia i mocy. Trudno ją wykryć w morfologii krwi czy w moczu, nie

rozszerza źrenic. Dopiero znacznie przedawkowana skutkuje zawałem serca. Po prawidłowym zażyciu dodaje energii i redukuje potrzebę snu niemal do zera. W chwilach, gdy sesja czy *deadline* za pasem, ma sprawiać, że człowiek zasuwa kilka dób z rzędu i nie leci na ryj. Stawia na nogi zagrypionych, zmęczonych, wycieńczonych chorobą. Nie leczy, lecz poprawia jakość życia, montując w miejsce baterijek od zegarka potężne akumulatory.

Prawie bajka. Zaiste.

Jacek wypróbował inne firmowe wyroby. Wszystkie działały bez pudła. Nawet spodobał mu się pomysł przyspieszenia badań na ludziach, dopóki nie zapoznano go ze szczegółami.

Szef projektu, niejaki Filip Kornecki, wymyślił, by obserwować wyniki na pacjentach oddziałów onkologicznych. Nie dość, że brakuje im energii i doładowanie powinno być wyraźnie widoczne, to warunki szpitalne dawały szansę na uzyskanie szczegółowej dokumentacji medycznej testowanych pacjentów. Wystarczyło umieścić w szpitalu lub zwerbować spośród personelu zaufanego pomocnika. Stosowano różne metody aplikowania królikom doświadczalnym tej magicznej substancji: od wstrzykiwania jej bezpośrednio do kroplówki, przez umieszczanie w posiłkach, aż do uzupełniania nią przygotowanych na dany dzień leków. Ten ostatni sposób wybrał Christian Lodzik. Włamywał się do szafki na medykamenty, zanim zdołał pokonać chciwość oraz strach, zbuntować się i odmówić współpracy. Nie godził się na narażanie walczących z nowotworami dzieci nawet za cenę swojego życia oraz losu siostrzeńców. Był gówniarzem, ćpunem i chłystkiem, potwornie bał się Zawadowicza, a jednak znacznie mniej od niego tchórzył i nawet na chwilę nie zatracił człowieczeństwa.

Jacek umieścił swoich ludzi w pięciu szpitalach. Wszędzie wszystko grało. Wybrani pacjenci świetnie się czuli, do Korneckiego spływały kradzione wyniki ich badań i testy szły pełną parą. Poza oddziałem dziecięcym, na którym mu szczególnie zależało. Im bardziej Lodzik nawalał, tym silniej Kornecki, przez swoją prawą rękę – Michała Piekarza – stawiał Jacka pod ścianą. Z tygodnia na tydzień chemik zmieniał się w zaszczute zwierzę, niepewne własnego życia i bezpieczeństwa narzeczonej. Bał się o nią coraz bardziej. Obsesyjnie kontrolował, gdzie jest i co robi, panikując, gdy znikala mu z radaru. Niby tylko kobieta, ale bardzo ją kocha. Panował nad czworgiem pozostałych podwładnych, nad Adą, matką, karierą

naukową, a nie potrafił zmusić do współpracy ópuna-salowego. Źyciowa porażka!

Zawadowicz i Kornecki nie wiedzieli, kiedy dokładnie Christian się zbuntował i w jakim stopniu wykonał zadanie, a w związku z tym – czy trzy przypadki zapaści na onkologicznym oddziale dziecięcym były skutkiem eksperymentów. Tą informacją Łodzik raczył się podzielić wyłącznie z policją. I dobrze. Korneckiemu ta wiedza przestała być potrzebna. Nie będzie nowej amfy dla mas. Nie będzie góry forsy i sukcesu. W zasadzie dla niego nie będzie już nic.

– Pójdzie siedzieć? – spytała Ada, mocno zszokowana opowieścią Łutkiewicza.

– Kornecki? Jasne.

– Jacek.

Gliniarz obrzucił ją badawczym spojrzeniem.

– Nie wiem. Sypie aż miło. Jeśli rozpruje się do końca, może wywalczy zawiasy.

– Gdy miał osiem lat, na jego oczach zamordowano mu ojca. Ten... ktoś – Walickiej nie przeszłoby przez usta, że jej matka – zrobił to wyjątkowo brutalnie. Takie rzeczy zostają w człowieku.

– Myśli pani, że to go tłumaczy? Brał udział w narażaniu życia co najmniej kilkudziesięciu chorych ludzi...

– Nie tylko to ma na sumieniu – wtrącił Bartek i zajrzał jej głęboko w oczy.

– Nie – oznajmiła twardo. – Żał mi dziecka, którym kiedyś był. Drania, którym się stał, nic nie wybieli. Nawet to, że podłożył się Witowi, by pomóc mi uciec. W końcu dzięki temu sam także przeżył.

Walery wstał i zbierał się do wyjścia. W progu odwrócił się na moment, by powiedzieć:

– Danką panią pozdrawia. Wciąż się na mnie dąsa, jednak tyle zdołała z siebie wydusić.

– Przejdzie jej. – Walicka się zaśmiała. – Niech pan wpadnie do fundacji i pobawi się z dziećmi. To ją najskuteczniej zmiękcza.

Łutkiewicz pokiwał głową i zniknął za drzwiami.

Zostali sami. Pilch układał w głowie wszystkie zasłyszane informacje. Żadnemu dziecku nie stała się krzywda. Interes Korneckiego zdychał w męczarniach. Bartek czuł, że może pozwolić sobie na to, by nie

obchodziło go nic i nikt poza Adą. Milczała i nie chciała na siłę przerywać ciszy. Zamknęła oczy, pomyślał nawet, że zasnęła, gdy nagle usłyszał:

– Dlaczego rosyjscy kompozytorzy?

Ożywił się, od razu łapiąc, co ją zaintrygowało.

– Taki klimat. Zobacysz, spodoba ci się. Już się nie mogę doczekać. Czajkowski i trzy kobiety mojego życia w jednym miejscu.

– Jak to trzy?

– Ta od orzechów, ta od „Dziennika Łódzkiego” i ty.

– To one są dwie?!

Obserwował jej konsternację z rozbawieniem. Gdyby nie była w tak fatalnej kondycji, przekomarzałby się z nią i podpuszczał do upadłego. Poprawił kołdrę i pogłaskał Adę po policzku, z trudem znajdując miejsce, gdzie skóra została nietknięta.

– Nerozłączne i cudowne. Polubicie się. Odziedziczyłem je w spadku po profesorskiej rusycyście. Staruszka wdowa i gadająca papuga.

Dziewczyna zmarszczyła czoło, choć kąciki ust drgnęły jej z rozbawienia.

Weszła pielęgniarka. Przegoniła gościa w kąt i zmieniła chorej opatrunki. Poprawiła poduszki i przestawiła wyżej zagłówek. Zniknęła na moment, by wrócić z kubkiem i talerzem.

– Śniadanie. Pan pomoże – przykazała i ulotniła się z sali.

Bartek obrzucił niechętnym wzrokiem chleb, masło i trzy plasterki mielonki. Wsunął pacjentce w rękę kubek i pomógł unieść go do ust, gdy zobaczył, że herbata niebezpiecznie zafalowała. Ada piła łapczywie do ostatniej kropli.

– Mogę skoczyć po sok – zaproponował. – Na dole jest jakiś sklepik.

Powstrzymała go gestem dłoni.

– Obiecałeś mi skok ze spadochronem, pamiętasz?

– Mhm. Jak przez mgłę.

– Jestem gotowa.

Uśmiechała się, więc zaryzykował żart.

– Dzisiaj, z tym gipsem?

– Koniecznie. Jeśli dopisze mi szczęście, przywalę ci nim prosto w łeb. Jesteś nieuleczalnym błaznem – zawyrokowała.

– Nie boisz się skoczyć ze mną?

– Potwornie się boję. Niestety z nikim innym się nie odważę, a muszę sprawdzić, czy to lepsze od zakochania.

– Absolutnie nie. Mówię to ja, niedoszły as lotnictwa. Zresztą Maciek powtórzy ci to samo.

Walicka nagle znów spoważniała.

– Naprawdę mnie kochasz?

Przywołał na twarz niemal uroczystą minę i wygłosił mocno oficjalnym tonem:

– Lubię cię, Ada. Jako koleżanka z pracy jesteś naprawdę w porządku.

Spojrzała z zaskoczeniem, słysząc jakby parafrazę echa własnego dzieciństwa. Tym razem nie zabrzmiało to jak zakłęcie, jak coś, co latami potrafiło ustawić ją do pionu. Zbiło ją z pantałyku i nieprzyjemnie zadrapało w gardle.

Natychmiast to dostrzegł i postanowił dać spokój głupim żartom. Pochylił się nad nią i wyszeptał:

– Nie jesteś w formie, mała. Dajesz się podpuszczać.

W oczach zatańczyły mu chochliki, ukazując drugie, głębsze dno. To, które od dawna chciała zobaczyć i poczuć.

– Nie jestem mała – burknęła z udawanym gniewem.

– Jasne, że nie – zgodził się, znów ją zaskakując. – Po prostu kocham się z tobą droczyć.

– Bo jestem dla ciebie koleżanką z pracy?

– Oczywiście. To też. Ada, jesteś dla mnie wszystkim...

Za oknem szpitalnej sali pięło się w górę słońce. Lśniło na niebie jak przerośnięta złota pomarańcza. Wiosna oddawała z wolna palmę pierwszeństwa latu. Walicka nie wiedziała, co myśleć o rodzicach i tym wszystkim, co zdarzyło się niemal dwadzieścia lat temu, choć nie wątpiła, że pewnego dnia przyjdzie jej się zmierzyć z przeszłością. Może nawet spotka się z ojcem? Kiedyś, na pewno nie teraz. Najpierw musi pozbierać się do kupy. O Jacku chciała jak najszybciej zapomnieć. Gdzieś daleko, na południu, kwitł i pachniał cytrusowy gaj. Wciąż czekał na to, aż Ada go odkryje. Była coraz bliżej. Wystarczyło poczekać na samolot. Wyciągnęła rękę do życia, które właśnie otworzyło dla niej drugie drzwi. Tym razem te właściwe, bezpieczne i samodzielnie wybrane.

Sancho Pansa wstał i oparł dłonie na poduszce, po obu stronach głowy pacjentki. Przez moment badał wzrokiem jej usta, jakby sprawdzał, czy nie są zbyt okaleczone, by przyjąć dodatkowe wyzwanie. Rozchyliły się i uśmiechnęły do niego zachęcająco. Wkrótce wyszło na jaw, że można się

całować, nawet gdy ciągle rwą szwy, złamane kości i dusza. Po sercu Ady rozpływał się pomarańczowy dżem. Po sercu Bartka rozpływała się Ada.

Każdy ma swój cytrusowy gaj i swoje drzwi. Zewsząd jest jakieś wyjście. Czasem tylko trzeba, by ktoś inny stanął obok i pomógł chwycić za klamkę.

Table of Contents

[Strona tytułowa](#)

[Strona redakcyjna](#)

[Dedykacja](#)

[Motto](#)

[Prolog](#)

[Rozdział 1](#)

[1.](#)

[2.](#)

[3.](#)

[4.](#)

[5.](#)

[6.](#)

[7.](#)

[8.](#)

[9.](#)

[10.](#)

[11.](#)

[12.](#)

[13.](#)

[14.](#)

[15.](#)

[Rozdział 2](#)

[16.](#)

[17.](#)

[18.](#)

[19.](#)

[20.](#)

[21.](#)

[22.](#)

[23.](#)

[24.](#)

[25.](#)

[26.](#)

[27.](#)

28.

29.

Rozdział 3

30.

31.

32.

33.

34.

35.

36.

37.

38.

39.

40.

41.

42.

43.

